

Tytuł oryginału:
Reinventing Mona

Copyright © 2005 by Jennifer Coburn. All rights reserved

Copyright to the Polish Edition © 2005 G + J Gruner + Jahr Polska
Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa
02-677 Warszawa, ul. Wyzalazek 4

Dział handlowy: tel. (22) 640 07 25, 607 02 56 (57, 59) w. 221, 380,
fax (22) 607 02 61

Sprzedaż wysyłkowa:
Dział Obsługi Klienta: tel. (22) 607 02 62

Dystrybucja: Wydawnictwo LektorKlett Sp. z o.o.
tel. (61) 849 62 14, 849 62 11,
fax (61) 849 62 12

Tłumaczenie: Hanna Szajowska
Redakcja: Klara Szarkowska
Korekta: Joanna Ziolo
Projekt okładki: Anna Angerman
Redakcja techniczna: Robert Jeżewski

ISBN: 83-89221-32-2

Skład i lamowanie: SEPIA, Warszawa
Druk: ABEDIK S.A.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odzwierciedlanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Podziękowania

Mam wielkie szczęście, bo otaczają mnie wspaniali ludzie, którzy zawsze chętnie pomagają w nadaniu moim książkom ostatecznego kształtu. W pierwszej kolejności myślę o swoim czujnym i zabawnym agencie Christopherze Schellingu. Dyrektor działu redakcyjnego Kensington John Scognamiglio zawsze wykazywał się zrozumieniem i wyczuciem kierunku, które niezmiennie cenię. Bystre oko Lisy A. Davis wykryło niezliczone ilości moich głupich błędów w pierwotnej wersji tekstu.

Po przeczytaniu pierwszych szkiców podsuwały mi wspaniałe rady (znowu!) Deborah Shaul, Bonni Graham, Joan Isaacson i Audrey Jacobs. Belen Poltorak wraz z Audrey i Joan urządziła cudowne przyjęcie na cześć *Oddam męża w dobre ręce*. Za kulisami czuwały nad bezproblemowym przebiegiem całości Greg Tate, Mark i Ray z Hummingbird Confections, Mike Poltorak, Karl Jacobs, Bob Slavik i Steve Isaacson. Dziękuję za to wspaniałe wydarzenie.

Podczas pisania zawsze rozsyłałam e-maile, radząc się na temat specjalistycznego żargonu i możliwych scenariuszy. Mój przyjaciel (i webmaster) Milo Shapiro nieodmiennie podrzuca mi coś zabawnego. Luke Coburn zapewnił wspaniałe doświadczenie do Missouli w stanie Montana. Vince DeFelice wspomógł przy żargonie sportowym i męskich odzywkach, podobnie Matt Levy i Vince Hall (do spółki z trzema tchórzliwymi facetami, którzy wolą nie zostać wymienieni jako pomysłodawcy tekstów do kolumny „Pieskie życie”). Vince Hall i Bob Mackey niesamowicie wsparli mnie od strony technicznej przy promocji poprzedniej książki; jestem wam dożywotnie wdzięczna.

Jacqueline Lowell, której sama nie wiem, jak dziękować, nigdy nie zawodzi przy promocji moich książek i zdjęciach. Najwspanialszym prezentem od niej było jednak przedstawienie mi mojego męża Williama. Jim McElroy sprawił, że proces przeglądania opcji

kontraktów filmowych stał się przyjemnością i nie mam żadnych wątpliwości, że nawet praca w kopalni soli byłaby z nim rozkoszna.

Dziękuję czytelnikom, którzy do mnie napisali, wyznając, że książka *Oddam męża w dobre ręce* ich rozbawiła. (Te e-maile są dla mnie cenniejsze, niż możecie sobie wyobrazić!) Dziękuję także wspaniałemu personelowi księgarń, który spotykam przy okazji podpisywania książek. Tyle osób zadało sobie trud, by osobiście polecić moją pierwszą powieść wielbicielkom kobiecej literatury. To tak wiele znaczyło i jestem niezmiernie wdzięczna.

I przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi Williamowi, który codziennie zachęcał mnie do pisania – i umożliwiał to, biorąc na siebie nieprzychylną ilość prac domowych.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była to pierwsza autentycznie impulsywna decyzja, jaką podjęłam w życiu. Nie jestem nawet pewna, czy można tu użyć słowa „decyzja”, bo sugeruje namysł bądź zastanowienie przed dokonaniem tego konkretnego wyboru. Może nie da się tego nazwać nawet dokonywaniem wyboru. Raczej skokiem na głęboką wodę.

W zeszłym roku w grudniu, kiedy Larry Fontaine powiedział w naszym dziale, że firma proponuje inżynierom rezygnację z etatów w zamian za rekompensatę pieniężną, moja ręka wystrzeliła w górę mimowolnie, epileptycznie. Na to pytanie istniała tylko jedna odpowiedź i padła z moich ust bez choćby przelotnej konsultacji z mózgiem. Bez namysłu. Słowa, które zmieniły moją tożsamość inżyniera mechanika na tabula rasa, wyrwały się ze mnie równie gwałtownie jak strzał oznaczający rozpoczęcie wyścigu.

– Chciałabys poznać szczegóły warunków odprawy? – zapytał Larry, unosząc brew, tak że wyglądała jak znak akcentu. Nie potrafiłam określić, czy rozbawiło go, czy rozzłościło, że tak entuzjastycznie odniosłam się do koncepcji wczesnej emerytury. Nie była to scena, którą daloby się włączyć do filmu zachęcającego do podejmowania pracy w naszej firmie, ale biorąc pod uwagę wywołane recesją zwolnienia w San Diego, przez pewien czas zatrudnianie nowych inżynierów nie miało należeć do priorytetów Larry'ego. Mimo wszystko nikt nie lubi postrzegać swojego miejsca pracy jako firmy, którą pracownik opuściłby nawet z pakietem rekompensat wielkości sporej paczki czipsów.

Nie chodź o ciebie, tylko o mnie, stwierdziłam w duchu. Zawsze chciałam to powiedzieć przy rozstaniu i pomyślałam, że być może powiem, kiedy tylko wszyscy przestaną się śmiać z pytania Larry'ego.

Larry mówił dalej:

– Naszym celem jest znalezienie w tym dziale pięciu inżynierów zainteresowanych przyjęciem wspianalomyślniej propozycji wykupu etatów, by uniknąć zwolnień. Reakcja pani Warren nasuwa mi myśl, że może to nie być aż tak trudne, jak sugerowali niektórzy nasi konsultanci.

Użył mojego nazwiska, co wskazywało na to, że jednak go zirytowałam.

Wręczył wszystkim w dziale trzydziestostronicową broszurkę, w której przedstawiono plan wypłat, obiecano premię emerytalną i kontynuację opieki zdrowotnej i dentystycznej przez osiemnaście miesięcy. Przerzuciłam strony, udając, że czytam każdy rozdział. Nie chciałam obrazić Larry'ego bardziej, niż już to zrobiłam, ale byłam zdecydowana. Bez względu na warunki, przyjmę tę propozycję. W moim wieku pomysł przejścia na wczesną emeryturę wydawał się trochę śmieszny. Trzy tygodnie przed trzydziestymi pierwszymi urodzinami bardziej stosowne było nazwanie rezygnacji z etatu szansą na spóźniony rozkwit. Albo w ogóle ostatnią szansą na rozkwit.

Zabawne, jak to się zbiegło w czasie. Właśnie tego ranka patrzyłam w lustro i lamentowałam, że nie mam żadnego życia, kompletnie. Zdaję sobie sprawę, że kiedy ludzie to mówią, często przesadzają. Może mają kiepski dzień. Może roczne, czy coś koło tego, opóźnienie w realizacji planu swoich wzniosłych celów. Czasami chodzi po prostu o PMS. Nie w moim wypadku. Ja naprawdę nie miałam żadnego życia. Z chęcią powitałabym zły dzień, bo to by oznaczało, że w tej spokojnej kałuży, znanej jako egzystencja Mony Warren, nastąpiło jakieś poruszenie. Ucieszyłaby mnie nawet porażka, ponieważ stanowiłaby dowód na to, że czegoś spróbowałam.

Weszłam roku w grudniu rzeczywiście nie miałam żadnego życia. Żadnej rodziny. Chłopaka. Przyjaciół. Hobby. Żadnej pasji, przynależności do klubów, stylu, wyglądu, żadnych tajemnic. Nie miałam też czego żalować. Miałam tylko dobry samochód, wielki dom, abonament na nagrywanie programów telewizyjnych i świetną kartę debetową – wszystkie symbole luksusu południowej Kalifornii bez śladu oznak życia.

Od sześciu miesięcy kupowałam kawę w tym samym miejscu i każdego ranka facet za ladą spoglądał na mnie i pytał, co zamawiam, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział. Co rano mówiłam mu to samo. Mrożona kawa z chudym mlekiem. Potem pytał mnie o imię. Odpowiadałam, że Mona. I codziennie rano wszystko rozgrywało się według tego samego scenariusza. Nawet jeśli w kawiarni nie było nikogo innego, wywoływał moje imię i rozglądał się z zaskowaniem, dla kogo też może być ta mrożona kawa. W końcu w jego oczach pomieszczenie było puste.

– Mona? – wołał. – Mrożona kawa z chudym mlekiem dla Mony?

Czasami wymyślałam imiona, żeby sprawdzić, czy zauważy różnicę, ale nigdy nie zauważył. Nawet gdy wybierałam absurdalne w rodzaju Kleopatra czy Spartakus, nigdy nie zostałam zapamiętana.

I nie jest to, jak można by podejrzewać, zła strona życia w wielkim mieście. Mieszkam na wyspie, która szczyli się posiadaniem żywej społeczności – w oazie na południe od centrum San Diego i na północ od Meksyku. Coronado to bardziej modna wersja Bedford Falls. Ludzie z Coronado nigdy nie omieszkają zaznaczyć, że kiedy dzieje się coś złego – czy choćby niemilego – dzieje się to „za mostem”. Porzucone szczenię – za mostem. Bezdomny prosił o drobne – za mostem. Nieuprzejmy sprzedawca – za mostem. W Coronado tego rodzaju rzeczy po prostu się nie zdarzają. Zatoka i forsa działają jak filtr, chroniąc nas przed wszelkimi życiowymi niedogodnościami.

Piegowaty sprzedawca w Starbucks zawsze rzucił imionami i stałymi zamówieniami wszystkich innych klientów. Nawet turyści zatrzymujący się w hotelu Del Coronado na długi weekend zapadali mu w pamięć. A jednak codziennie spoglądał na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu i zadawał wciąż to samo pytanie:

– Na co miałaby pani dziś ochotę?

Na co miałabym ochotę? Chciałabym zostać zauważona. Rozpoznana. Liczyć się. Mam także chętkę na mrożoną kawę z chudym mlekiem i na życie.

– Kawa z odchudzonym mlekiem dla Beyoncé – wołał pięć minut później.

Więc tego grudniowego poranka patrzyłam w złote rokokowe lustro w łazience i jedna rzecz rzucała mi się w oczy, a mianowicie fakt, że stanowią idealny przykład nadzwyczajnej pospolitości, który ostro kontrastuje z ozdobną ramą. W duchu powiedziałam sobie, że za trzy tygodnie skończę trzydzieści jeden lat i nigdy nie osiągnęłam żadnego celu, bo nigdy żadnego sobie nie wyznaczyłam.

Obejrzałam swoje sięgające ramion brązowe włosy, ani kręcone, ani proste. Moje ciało nie było tuste, ale z pewnością także nie zaliczało się do szczupłych. Wyglądałam na rozlazłą. Zbadałam twarz, ani uderzająco brzydka, ani ładna. Moja cera miała kolor tłuczonych ziemniaków i była usiana plamami po słońcu. Westchnęłam z niechęcią na widok oczu, podpuchniętych z wyczerpania, które zwykle pojawia się w znacznie bardziej zaawansowanym wieku. Oczywiście nie zaszkodziłoby mi trochę makijażu i fryzura, ale zawsze uważałam strojenie się za daremny trud. Widziałam potem nieatrakcyjną kobietę z wymalowaną twarzą i zdawało mi się to trochę niemądre. Niemądre i smutne, jak to bywa, gdy ktoś strasznie się stara być kimś, kim wcale nie jest.

– Mono Warren – powiedziałam do swojego odbicia w absurdalnie ozdobnym lustrze – jesteś jak plama po musztardzie na tweedowej kanapie od Searsa. *I to nawet nie jakieś wymyślnej musztardzie*, dodałam w duchu. Chociaż status finansowy plasował mnie na pozycji Grey Poupon, cała reszta krzyczała: „francuska musztarda piknikowa w plastikowym pojemniku”.

Czytam każdy spam, jaki dostaję, bo tylko w tym momencie słyszę, że mam wiadomość. Patrzyłam w lustro zakupione czterdzieści lat wcześniej przez moją niezującą babcię, która ozdobiła każdy centymetr kwadratowy tego gigantycznego domu. Zmarła prawie rok temu, a ja nie zrobiłam zupełnie nic, żeby zmienić ten dom w swój dom, ponieważ te dwa słowa nie dla mnie nie znaczą. Mój Dom. Jeżeli nie masz pojęcia, kim naprawdę jesteś, jak możesz stworzyć dom?

Zawsze zazdrościłam kobietom z filmów, szczególnie klasyków. Ich role wydawały się im samym i reszcie świata tak oczywiste. Na

podstawie sposobu ubierania, mówienia i zachowania z miejsca dało się powiedzieć, jaki typ człowieka reprezentuje każda z nich. Zawsze sprawiały wrażenie istniejących spójnie, podczas gdy ja składałam się z tysięcy odrębnych kawałków, których nikt nie postarał się złożyć w całość.

W milczeniu patrzyłam w lustro i, mając prawie trzydzieści jeden lat, zdałam sobie sprawę, że Mona Warren nigdy nie zostanie supermodelką. Nie poproszą mnie nawet o pozowanie z rękawicą kuchenną do niedzielnego dodatku gazety „Pani Domu”. Przemiana z kaczątką w labędzia wcale nie miała nastąpić. Nigdy nie będę seksowną panią chirurg, która troszczy się o naszych zawodowych graczy futbolowych. Nigdy nie będę mówić siedmioma językami ani odrzucać oświadczeń nadchodzących z całego świata. Nigdy kapryśnie nie odmówię przyjęcia róż przysłanych do mojego hotelowego pokoju przez toreadora imieniem Enrique – czy choćby Harvey. Nigdy nie będę stała we mgle na pasie startowym, rozważając, czy powinnam wsiąść do samolotu z walczącym z nazistami mężem, czy zostać z Humphreym Bogartem. Nigdy nie powiem mężczyźnie, że zawsze będziemy mieli Paryż.

To, kim nie będę albo czego nie zrobię, nie martwiły mnie tak bardzo, gdybym choć w niewielkim stopniu wiedziała, kim jestem albo co zrobię.

Kiedy w grudniu wybrałam wcześniejszą emeryturę, wciąż nie miałam pewności, kim jestem ani co ze sobą zrobić. Tylko jedno było pewne. Przestałam być inżynierem mechanikiem pracującym dla przemysłu zbrojeniowego, a świat stał przede mną otworem, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Mogłam zrobić ze swoim życiem wszystko. Mogłam pofarbować włosy na wścieklą zieleń i pisać wiersze. Po drugiej stronie ulicy mam Pacyfik; mogłam nauczyć się pływać. Mogłam pojechać w podróż dookoła świata. Kłopot polegał na tym, że moja licencja poetycka straciła ważność dawno temu, nie miałam ochoty pływać i byłam już na wszystkich kontynentach świata razem z babcią. Za granicą przekonałam się, że jestem niewidzialna także na obcej ziemi. Moja niezauważalność okazała się uniwersalna – nawet we Włoszech, gdzie ostrzegano mnie, że mężczyźni

zechcą szczypać mnie w pupę. Szczypali babcię, która wyzywała ich po włosku, ale ani razu nie zainteresowali się jej dojrzałą do zamęścia towarzyszką ze świeżutkimi piersiami i poprawionymi przez ortodontę zębami.

Prawda jest taka, że miałam wówczas marzenia równie przyziemne jak ja sama w tamtym czasie. Najbardziej pragnęłam poślubić miłość mojego życia, Adama Zieglera, urodzić mu dzieci i poświęcić wolny czas na ochotniczą pracę na rzecz szkoły podstawowej, doping drużyn Małej Ligi, pieczenie ciast na imprezy charytatywne, ręczne szycie kostiumów na Halloween i warsztaty ceramiczne. Serce zaczynało mi bić żywiej na samą myśl o tym wszystkim. Balam się, że ktoś odkryje te nerealne fantazje i wtedy zamknę mnie w domu dla nieodwołalnie pozbawionych kontaktu z rzeczywistością. Wprawdzie nie roilał sobie, że stworzę ulepszoną wersję promu kosmicznego ani że wynajdę lek na raka, ale tamto marzenie zdawało się mi równie nieosiągalne. Bo takie było.

– I co teraz ze sobą zrobisz, Mona? – zapytał Larry, gdy usiedliśmy w jego sterylnym biurze. Wręczył mi wszystkie papiery i zapytał, czy chcę, żeby przejrzał je mój prawnik. Nie ustępował w dociekaniach. – Masz nagrany inną pracę?

– Coś w tym rodzaju – mruknęłam. – Właściwie nie – poprawiłam się. – Nie pracuję. Mam zamiar po prostu, no nie wiem, chyba popracować nad sobą.

Zadzwoił telefon i Larry zapytał, czy mogłabym chwilę poczekać. *To moja specjalność*, mruknęłam niedosłyszalnie. Odchyliłam się na oparcie miękkiego skórzanego krzesła i gapiałam przez okno na statki zacumowane w zatoce. W duchu opuściłam biuro Larry'ego i odważyłam się marzyć o życiu, jakie miałam nadzieję prowadzić w okolicach następnej Gwiazdki.

Ubrana w suknię wieczorową od Donny Reed wieszam ozdoby choinkowe z dwudziestoparoletnimi przyjaciółmi i sąsiadami. Włosy mam ułożone w staroświeckie pukle i cały czas jestem podświetlona od tyłu łagodnym światłem, które daje efekt cudownej poświaty. Radośnie śpiewamy „Czuj duch! śpiewają anielscy heroldowie” w salonie, w którym tłoczy się towarzystwo i ludzie od dobroczyn-

ności, zastawionym parującymi kubkami *eggnog*^{*}. Adam szaleńczo natchniony duchem święt patrzy na wszystkich nowym okiem, życzy wesolych świąt i namiętnie mnie całuje.

To wspaniałe życie. No dobra, sam pomysł odgrzewany, ale chodzi o to, że jesteśmy szczęśliwi. Po hollywoodzku, w stylu Jimmy'ego Stewarta, bożonarodzeniowo szczęśliwi. I to cudowny rodzaj szczęścia.

– Przepraszam za tę przerwę. – Głos Larry'ego gwałtownie przywołał mnie do rzeczywistości. – Wierz mi, to dla nas trudny okres. – Westchnął. – Masz szczęście, że nie musisz pracować, Mona. Co ja bym dał, żeby znów mieć czterdziestkę i pieniądze na przeżycie na emeryturę.

Czterdziestkę? Czy właśnie powiedział, że jego zdaniem mam czterdziestkę?!

– Mam trzydzieści lat – sprostowałam.

– Oczywiście, oczywiście – wycofał się, chociaż było jasne, że naprawdę uważał mnie za starszą o dziesięć lat. – Wyglądasz jak dzieciak po college'u, Mona. Ale sprawiasz wrażenie bardziej dojrzałej niż inni w twoim wieku. Jesteś taka poważna.

Chciałeś powiedzieć „brak ci werry”, poprawiłam go w duchu.

– Nie wiem, jak to określić, ale jesteś bardzo serio, Mona. Nie masz w sobie śladu frywolności.

To się nazywa nudna. Mdma. Bez wyrazu. Oszbla. Nieciekawa. Pospolita. Waniilia minus waniliowy aromat. Ale dzięki, że próbowałeś przedstawić to jako zaletę. Teraz mam wrażenie, że powinnam ustalić wizytę u chirurga plastycznego na lifting i przeszczep osobowości.

– Nie miałem niczego złego na myśli, Mona. Robisz wrażenie starszej niż trzydziestolatka, to wszystko. W szkole pewnie należałaś do tych dzieci, które przenosi się klasę wyżej, bo są nad wiek dojrzałe. Urodziły się dojrzałe, znasz ten typ? – Larry pośpiesznie usiłował zmienić temat. – Powiem ci, co bym zrobił, gdybym był na twoim miejscu. Zgarnąłbym żonę i pojechał na Maui, otworzył bar na plaży i urządził pieczenie prosiaka i konkursy tańca dla turystów.

* Napój sporządzony z mleka, cukru, jajek oraz likieru lub brandy.

– Roześmiał się. – Może pojechałbym bez niej i naprawdę zaszalał. I to właśnie kocham w moim Adamie. Nigdy by się nie śmiał na myśl o tym, że zostawi mnie na kontynencie, podczas gdy sam „zaszaleje”. Wie, że to, co mamy, jest wyjątkowe, i nie musi opuszczać mnie z prędkością odrzutowca, by posmakować życia. Poza tym jest chyba Żydem, więc pieczenie świni nie wchodzi w grę.

Tak wiele jeszcze musiałam dowiedzieć się o Adamie przed ślubem. Musiałam mu pokazać, jak idealną parę możemy stworzyć. Musiałam przekonać do siebie jego przyjaciół i rodzinę, być może przejść na judaizm, a potem skłonić go do oświadczeń. Potrzebny mi był poważny plan działania.

Potrzebna mi była pierwsza randka.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Nigdy w życiu nie uwierzysz, co właśnie zrobiłam! – wrzasnęłam w komórkę, gdy wyjechałam z biurowego garażu. Gdy dotarłam na ulicę, słońce zalalo samochód, a chłodne grudniowe powietrze miękko owionęło moją skórę.

– Za dwie minuty mam pacjenta. Mogę potem do ciebie zadzwonić? – zapytała Greta. Pierwsze w moim życiu poważne oświadczenie musiało ustąpić miejsca potrzebom psychicznie chorego.

– Kiedy do mnie oddzwonisz? Zrobiłam coś zupełnie nie w moim stylu, sama nie mogę w to uwierzyć! – zawołałam.

Zerknęłam na swoje odbicie w sferycznym lusterku umieszczonym z tyłu ciężarówki z benzyną Shella. Nawet nie byłam już do siebie podobna, ale w aucie babci zawsze robiło mi się jakoś różnie. Kiedy zmarła, nie miałam powodu, żeby pozbywać się jej błękitnego dwuosobowego mercedesa kabrioletu. Kiedy nim razem jeździliśmy, babcia wyglądała jak postać filmowa z czasów, kiedy gloryfikowano technikolor. Gdy pędziliśmy wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, głowę obwiązywała jedwabną chustą ze wzorem z Kandinsky'ego i zakładała ogromne szylkretowe okulary słoneczne.

– Dwie wolne dziewczyny w południowej Kalifornii w super-sportowym wozie! – wołała.

Za każdym razem. Niezawodnie. Oto, kim byłyśmy w oczach babci: dwie dziewczyny w drodze. Samochód potrafi tak zadziałać. Nawet ja czułam się w tym wozie inaczej. Jeżeli samochód potrafi zmienić człowieka, wyobraźcie sobie, co mogłam zrobić, mając starannie opracowany plan i brak ograniczeń budżetowych. Mogłam stworzyć siebie od nowa. Jeżeli moja osiemdziesięcioletnia babcia z łuszczycą i chorym sercem mogła uważać się za laskę, gdy tylko opuszczała dach kabrioletu, czemu nie miałabym przemądrzować swojego życia i zmienić się w zupełnie inną dziewczynę?

Czemu nie miałabym stać się kobietą marzeń Adama Zieglera? Czemu nie miałabym przerzucić biegu na wyższy i wjechać na drogę do wspaniałego życia?

– Z przyjemnością bym porozmawiała, ale mam tylko dwie minuty – ucieła Greta. – Podaj mi skróconą wersję.

– Rzuciłam pracę! – krzyknęłam. – Spotkasz się ze mną na lunchu, kiedy skończysz sesję? Mam ci tyle do opowiedzenia. Sprawiam sobie wcześniej prezent urodzinowy – życie.

– Kiepsko cię słyszę – odparła Greta. – Możesz się ze mną spotkać na wczesnym lunchu? Jesteś jakaś podenerwowana.

Podenerwowana? Czterdziestoletnia? Zostałam źle zrozumiana przez jedynych ludzi, którzy zadali sobie trud, żeby mnie wysłuchać. Jedyne miejsce, w którym jestem taka, jaka naprawdę jestem – jaka zamierzam się stać – to tył ciężarówki Shella z benzyną. To początek. Kiepski, ale początek.

Nie kłamalam, mówiąc, że nie mam przyjaciół. Jest Greta, ale wróciła do San Diego zaledwie przed miesiącem. Greta i ja poznałyśmy się kilka tygodni po tym, kiedy wprowadziłam się do babci, co miało miejsce w trzeciej klasie liceum. Stałyśmy się nierozłącznymi kuzynkami, dorobiłyśmy się nawet przezwiska – oskarżono nas o poważną zbrodnię bycia „lesbami”.

Babcia wykorzystwała wiele swoich towarzyskich i politycznych koneksji, żeby umieścić mnie w jednej z najbardziej elitarnych prywatnych szkół w San Diego. Przeważnie chodziły do niej dzieciaki, które albo znajdowały się na liście oczekujących od poczęcia, albo miały za rodziców chirurgów, adwokatów i dyrektorów generalnych. Jedna dziewczyna miała rodziców, którzy wzbogacili się dzięki wygranej na loterii; gdy to się wydało, jej status społeczny dramatycznie i nieodwołalnie się obniżył. Sama nie poinformowałam absolutnie nikogo, że miesiąc wcześniej mieszkalam w Montanie, w komunie z czterema innymi rodzinami. Ani że nigdy nie widziałam szkoły z żyrandolami i głowami wypchanych zwierząt na ścianach. Tak naprawdę w domu naszą szkolną ławkę stanowił stół kuchenny zrobiony ze starych drzwi od stołody, a moi rodzice, do spółki z innymi, uczyli nas rachunku różniczkowego, chemii i historii ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych.

Brązowe sztruksy i haftowane koszule sprawiły, że inne dziewczyny zachowywały bezpieczny dystans czterech stóp z obawy, że mój staroświecki styl ubierania może okazać się zaraźliwy. Nie zamierzałam pogarszać swojej żalosalnej sytuacji, zdradzając tym uprzywilejowanym snobkom, skąd pochodzę i dlaczego nagle pojawiłam się w ich szkole w połowie roku. Nie wyznałam tego nawet Grecie aż do ostatniej klasy. Nie żeby nie pytała. Już wtedy jej kariera psychoterapeutki zaczęła majaczyć na horyzoncie.

Po kilku tygodniach w Akademii dla Dziewcząt w Coronado zaczęły się plotki na mój temat. Środowisko uczniowskie przydzieliło mi rolę narkomanki, która musiała zamieszkać z babcią, gdy wykopano ją z rozlicznych ośrodków odwykowych za romans z amfą.

– Hej ty, nowa – odezwała się Greta w altanie przeznaczony na lunch.

Świetnie, pomyślałam. Teraz nawet te przegrane będą ze mnie szydzić. Zadrżałam. Błagałam babcię, żeby pozwoliła mi skończyć szkołę średnią za pośrednictwem kursów korespondencyjnych albo z pomocą nauczycieli domowych, ale odmówiła. Postanowiłam, że skoro jestem zmuszona chodzić do prawdziwej szkoły, postaram się być w jak największym stopniu niewidzialna. W klasie nigdy nie podnosiłam ręki. Nie należałam do żadnej paczki. Tylko przypadkowo nawiązywałam kontakt wzrokowy z koleżankami z klasy. Gdyby istniała gumka do wymazywania ludzkiego ciała, zapłaciłabym za nią dowolną cenę.

– Co? – na zaczepkę Grety na przerwie obiadowej w jedenastej klasie skrzyżowałam ręce na piersi.

– No, no, co za postawa obronna – rzuciła w odpowiedzi. Nie wyglądało, żeby starała się być miła. – Chciałam tylko zapytać, czy mogę z tobą usiąść, ale jeżeli zamierzasz stroić fochy, darujmy sobie. – Odwróciła się, żeby odejść, a ja zrozumiałam, że Greta to moja jedyna szansa na przyjaciółkę w szkole.

– Greta! – zawołałam za nią. Zawróciła i uśmiechnęła się kąpiąco. – Przepraszam. Myślałam że chcesz... sama nie wiem. Nie sądziłam, że chcesz zapytać o lunch. Myślałam, że chcesz powiedzieć coś miłego.

Usiadła i nachyliła się do mnie konspiracyjnie:

– Nietrudno tak myśleć w tej dziurze z piekła rodem. To znaczy, widziałas kiedyś większe nagromadzenie suk niż te dziewczyny?

Mogłam szczerze odpowiedzieć, że nie. Fakty były takie, że w swoim szesnastoletnim życiu nie spotkałam zbyt wielu osób. Mieszkaliśmy na farmie z dziewięciorgiem dorosłych i dziesięciorgiem dzieciaków, ale poza nimi miałam niewiele kontaktów ze światem zewnętrznym. Znalismy ludzi pracujących w spółdzielni spożywczej i wszystkich, którzy kupowali w Sklepie Farmerskim w Missouli, gdzie sprzedawaliśmy nasze wyroby – lniane makramy, biżuterię z koralików i wełniane swetry oraz kapelusze, które robiła moja mama. Kiedy mówię, że je robiła, chcę powiedzieć, że naprawdę je robiła – zaczynając od strzyżenia wełny, przedzenia jej i robienia na drutach albo szydelku, kiedy cicho nuciła ulubione piosenki Cyndi Lauper. Byliśmy przecież hipisami lat osiemdziesiątych.

Tak więc z całą szczerością i przekonaniem mogłam odpowiedzieć Grecie, że nie, nie spotkałam nigdy większej grupy suk niż dziewczyny z Akademii. Greta była piękna w naturalny, całkowicie niewymuszony sposób. Inne dziewczyny w szkole poświęcały mnóstwo czasu, by mieć pewność, że ich wygląd, który miał manifestować brak szacunku, dostanie wysoką notę u szkolnych krytyków mody. Ku mojemu całkowitemu zdumieniu wielu dziewczynom pozwolono zrobić pasemka, nosić skórzane spodnie i przejść rekonstrukcję mało wyrazistych podbródków. Greta sprawiała wrażenie dziewczyny, która niezbyt wiele uwagi poświęca swojemu wyglądowi, a mimo wszystko była ośniewająca. Po matce Japonce miała proste czarne włosy i pełne usta, a dzięki ojcu Amerykaninowi, szefowi personelu w Scripps Memorial Hospital, oczy koloru zielonego mechu. Greta nosiła zwykłe niebieską bluzę z kapturem z białym obłazającym nadrukiem „Piłka nożna w hrabstwie La Jolla” na plecach. Włosy zawsze miała związane w koński ogon na karku. Z powodu tego niedbałego chłopięcego stylu nikt nie zdołał dostrzec, jaka jest śliczna, ale niewątpliwie Greta była najładniejszą dziewczyną w naszej szkole. Dziś holduje temu samemu stylowi pod tytułem „mam niski dochód” w uniformach składających się z białych krochmalo-

nych koszul na guziki, prostych czarnych spodni i skórzanych kowbojskich butów, a jako ozdoby nosi artystyczne naszyjniki, które przywozi z podróży.

– No więc, nowa, masz jakieś imię? – rzuciła młoda Greta.

– Mona. – Nie miałam pewności, czy Greta naprawdę zachowuje się po przyjacielsku, czy tylko ocenia nowy, najniższy poziom w hierarchii społecznej. Zachowywała się strasznie bezceremonialnie. – Więc jaka jest twoja historia, Mona? Skąd pochodzisz? Co cię gryzie? – Greta jako pierwsza zapoznała mnie z plotką o uzależnieniu od narkotyków. Dostę mi się podobało krycie się za wizerunkiem ćpunka-wygnanki, no i wszystko było lepsze niż prawdziwa wersja mojej podróży do Coronado, więc uznałam, że potraktuję Gretę wymijająco i pozwolę jej na wyciąganie dowolnych wniosków.

– Wiesz, czasami dziewczyna potrzebuje zmiany powietrza, że by rozjaśniło się jej w głowie – powiedziałam.

– Rozjaśniło w głowie po czym? – drążyła Greta.

– No wiesz, takich tam.

– Nie, nie wiem. Dlatego pytam – naciskała.

– Właściwie nie chcę w to wchodzić. Pomyślałam po prostu, że potrzebuję zmiany otoczenia, a czy istnieje lepsze miejsce niż słoneczna południowa Kalifornia?

– Wiesz, co o tobie mówią, prawda? – zapytała. Potrząsnęłam głową i zmarszczyłam brwi, zachęcając ją, by mówiła dalej. – Gadają, że rodzice cię wykopali. Nie mogli już z tobą wytrzymać. – Moje serce spadło z wysokości piątego piętra. Nienawidziłam tej bandy rozpieszczonych kretynek. Słyszałam o swoim rzekomym problemie z narkotykami. Nawet bawiły mnie te bzdurne plotki. Ale że rodzice się mnie pozbyli? W najmniejszym stopniu mnie to nie bawiło.

Zobaczyłam mamę, która zgarnia na gazetę pająka i ostrożnie eskortuje go do drzwi. Kiedyś klóciła się nawet, że plama z soku winogronowego ma pełne prawo stałego pobytu na bluzce, na którą ten sok wylała. Powiedziała, że nie ma sensu próbować spierać soku winogronowego, więc równie dobrze może uznać plamę za nowy wzór. Użyła plakatówek i dorobiła płatki wokół niekształtnego fioletowego środka, tworząc prowizoryczny kwiatek. W naszej utopijnej komunie

w pełni funkcjonalna sztuka odzieży w żadnym razie nie mogła zostać wyrzucona. Mrówki były „przekierowywane” na zewnątrz za pomocą strategicznie umieszczonych kawałków skórki cytrynowej. Ale zdaniem wszystko wiedzących panienek z Akademii moi rodzice wyrzucili swoją jedyną córkę z domu.

Pamiętałam, jak wyglądał mój ojciec ostatnim razem, kiedy go widziałam, gdy zamykał drzwi szkolnego autobusu i pokazywał mi uniesione w górę kciuki, jakby ich wyprawa do stolicy na zlot zwolenników rozbrownienia nuklearnego miała naprawdę coś zmienić. Jakby parę tysięcy hipisów miało zmienić nastawienie Ronalda Reagana i skłonić go do stwierdzenia: „Wiecie co, koncepcja wprowadzenia pokoju siłą to rzeczywiście zły pomysł. Teraz, kiedy o tym wspomnieliście, tak sobie myślę, może po prostu damy szansę pokojowi”. A dziewczyny z Akademii wyobrażały sobie mojego ojca jako dyrektora generalnego jakiejś firmy elektronicznej, który chodzi w garniturze w prążki i wysłał mnie do najlepszego ośrodka odwykowego dla nastolatka. Śmiechu warte.

– Rodzice mnie nie wykopali – powiedziałam Grecie przez zaciśnięte zęby. – Musiałam wyjechać z Montany, ale to nie to, o czym myślisz.

– Więc mnie oświeć. – Greta uśmiechnęła się złośliwie. – Uciekasz przed prawem? Mroczną przeszłością? Byłym chłopakiem, który grozi ci wendetą? I o co chodzi z tymi potwornymi włosami?

– Nie wiem, na jakiej podstawie sądzisz, że jeśli usiadłaś obok i zadajesz niegrzeczne pytania, upoważnia cię to do wysłuchania historii mojego życia, ale z miejsca ci powiem, że strasznie się pomyliłaś. – Wstałam z tacą w rękach i bez żadnej konkretnej koncepcji, jak rozegrać wyjście. – Uważam, że jesteś wścibska i wcale cię nie lubię.

Naprawdę nie pamiętam, jak się po tym dogadałyśmy, ale przypominam sobie, że jeszcze przed wiosną zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. W ostatniej klasie byłyśmy nierozłączne, razem odrabialiśmy lekcje przez telefon i spędzałyśmy weekendy na udawaniu, że jesteśmy turystkami w hotelu Del Coronado. Uwielbiałam oglądać zdjęcia Marilyn Monroe i Jacka Lemmona z czasów, kiedy kręcili tam *Pół żartem, pół serio*. Przemierzyłam każdy cal hotelowych

ciemnoczerwonych wzorzystych dywanów z nadzieją, że nasiąknę odrobiną seksapilu, który został po Marilyn.

Greta namówiła mnie, żebym zapisała się do żeńskiej drużyny piłki nożnej Akademii i rozpacziwie usiłowała nakłonić do wybrania do college'u poza granicami stanu. Jako przyszła psychoterapeutka Greta uznała mnie za swój osobisty projekt, zawsze starała się mnie skłonić do zbadania, co będzie najlepsze dla mojego osobistego rozwoju. Wówczas brakowało jej jednak dojrzałości, dzięki której mogłaby naprawdę pomóc mi odkryć, co dla mnie najlepsze, i po prostu narzucała mi własną koncepcję tego, co jej zdaniem powinnam zrobić. Serce miała na właściwym miejscu, ale dysponowała jedynie mądrością nastolatki. Trzy dni po tym, gdy usłyszała, jak doszło do tego, że zamieszkałam z babcią, miała zaplanowaną całą moją przyszłość, łącznie z kwestiami, które powinnam przepracować, i sposobem, w jaki mam to zrobić. Nigdy nie musiałam się zastanawiać nad tym, kim jestem. Zawsze miałam Gretę, która mogła to zrobić za mnie. Być może to stwierdzenie nie fair. Greta to naprawdę porządny człowiek, ale ciężko mi było stanowić źródło jej frustracji, kiedy ośmielałam się nie zgadzać z pospiesznie przez nią przeprowadzanymi analizami mojego życia.

Kiedy Greta wyjechała do Teksasu, żeby pójść do college'u, mogłam bez przeszkód i w spokoju kontynuować pogoń za pustką na Wydziale Elektrycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego. Otrzymałam tytuł inżyniera, ale poza tym wyłącznie ukrywałam się na zadrzewionym kampusie na brzegu morza. Pamiętam pierwszy dzień zajęć, kiedy zauważyłam, ile dzieciaków chodzi do szkoły. Zupełnie inaczej niż w Akademii, którą kończyło sześćdziesiąt jeden dziewcząt, na uniwersytecie studenci kręcili się wszędzie. Wydawało się, że nikt nie zauważa ani mnie, ani upojnego zapachu liści eukaliptusa opadających z niezliczonych gałęzi nad głowami. Uznałam, że to idealne miejsce dla mnie. Chwilowe wrażenie spokoju po odkryciu osobistej Walhalli zakłóciło poczucie winy, że tracąc najlepszą przyjaciółkę na rzecz stanu Samotnej Gwiazdy, czułam zarówno smutek, jak ulgę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Znalazłam miejsce do parkowania po przeciwnej stronie ulicy niż Wielka Kuchnia, składająca się z trzech sal knajpa ze śniadaniem w Golden Hill. Greta twierdziła, że w weekendy czeka się tam na stolik godzinę, ale w środę rano, o wpół do dwunastej, drewniane drzwi obite siatką wisiały bez ruchu, a lawka na zewnątrz stała pusta. Rzeźkie grudniowe powietrze było nieruchome i suche. Większość purpurowych kwiatów trzymała się swoich miejsc na gałęziach ulicznych drzew jacarandy, nieliczne znaczyły chodnik. Tuż przed drzwiami znajdowała się trzystopowej wysokości drewniana filiżanka do kawy, jaskrawo pomalowana, z napisem „MAŁY ŚWIAT, WIELKA KUCHNIA”.

Salę jadalną zapelniały tysiące zdjęć bezładnie przybitych zszywaczem do ścian. Między nimi wisiały ręcznie wykonane plakaty, pocztówki z całego świata i opatrzone autografami zdjęcia komików z kobietą w sukience w barwne plamy i falistymi szpakowatymi włosami. W kącie spora kartonowa sylwetka Jerry'ego Garcii stała obok oprawionego artykułu z gazety o grupie, która okadziła szalwią Centrum Zebrań w San Diego, by wypłoszyć złe duchy dzień po zakończeniu Krajowej Konwencji Republikanów w 1996. W menu miejscowe specjalności tłoczyły się jak pasażerowie nowojorskiego metra.

Kobieta ze zdjęć wyloniła się z kuchni jak dym. Chropowatym głosem „paczka dziennic”, który stanowił zachęcającą kombinację pewności siebie i ciepła, przedstawiła się jako Judy Piękność.

– Ty jesteś Mona, *oui*?

Kiwnęłam głową. Wydawała się żydowsko-nowojorska, ale miałam wrażenie, że Judy używa strzępków obcych języków w zależności od nastroju. W niektórych dni z pewnością mógł to być jidysz, w inne francuski.

– Greta się spóźnia, więc posadź tu swoją dupkę, a ja naleję nam po filiżance świeżej kawy – zaproponowała Judy – Witaj w Wielkiej Kuchni, gdzie każdy jest przyjacielem – oznajmiła, kiwając na brodatego mężczyznę za kontuarem. – Czy to nie prawda? Jeżeli ktoś nie zachowuje się przy drzwiach jak należy, to go nie wpuszczamy.

Brodacz się uśmiechnął.

– Dziś rano są dobre jajka, Judy.

– Co ty gadasz?! Mam najlepszego kucharza na świecie. *Buenos buenos* co rano, *oui*? – Judy ponownie skupiła uwagę na mnie, wprowadzając mnie przez kuchnię na patio.

Zamiast ukrywać się przed światem jak ja, Judy nieustannie szukała kontaktu z ludźmi. Cisza, która stanowiła ścieżkę dźwiękową mojego życia, dla Judy była równie nie do zniesienia jak pusta filiżanka do kawy. Lekkim krokiem spieszyła, by napelnić solidne kubki kawą, a nieruchome powietrze pogawędką. Byłam zdumiona, jak swobodnie radzi sobie z tym, że skierowane na nią są wszystkie oczy, podczas gdy ja ledwie panowałam nad rumieńcem wywołanym wyłącznie jej uwagą.

– Chcesz zobaczyć, gdzie Whoopi podpisała mi się na ścianie? – zapytała Judy.

Wielka Kuchnia przypominała wielką zabawę w łączenie punktów, od ludzi na zdjęciach do graffiti autorstwa różnych sław, feministycznych plakatów i dziwnego obrazu z restauracją bez dachu, którą dzieci bawią się jak domkiem dla lalek. Próba złożenia do kupy, co to wszystko znaczy, wydawała się daremna, kusząca i dziwnie kojąca. Zapach skwierczącego bekonu, kawy i czegoś maślanego i słodkiego był niewiarygodnie pociągający.

– Ee, okej – zgodziłam się ochoczo.

Żaden z kucharzy nie wydawał się szczególnie zaskoczony widokiem Judy zabierającej klienta do kuchni. Wysoko na pociemniałej żółtej ścianie Whoopi Goldberg żądała za pomocą czarnego cieniokopisu: „Nie zamaluj mojego miejsca, do cholery!”.

– Czemu Whoopi Goldberg napisała to na twojej ścianie? – zapytałam.

Judy się uśmiechnęła, uniosła brwi i zerknęła na mnie znad zsuniętych na czubek nosa okularów w drucianych oprawkach.

– Nie chciała, żebym pomalowała jej miejsce – oznajmiła powoli, jakby licząc na to, że odczytam z jej odpowiedzi więcej, niż potrafiłam. – I była dość bojowo nastawiona.

Gdy zjawiała się Greta, naszkicowała mi rys historyczny istnienia Wielkiej Kuchni. Nie tylko uroczyście przysięgła, że mają najlepsze biszkopty i sos, jakich próbowała, ale wyjaśniła, że Judy jest kimś w rodzaju politycznej muzy przemysłu rozrywkowego. Whoopi Goldberg pracowała tu jako pomywaczka, kiedy bezdomna żyła w San Diego. Sheri Glaser, też artystka sceniczna, w Wielkiej Kuchni odpracowała swoje jako kelnerka. Lily Tomlin i Pat Schroeder osobiście odbierali telefon, kiedy dzwoniła do nich Judy Forman. To ona przewodziła palącym szalwicy w centrum zebrań po konwencji republikanów, a potem wczuwała media, żeby doczekać się wzmianki w wiadomościach.

– Czemu jesteś taka zdenerwowana? – zapytała wrzeszcząc Greta, gdy podano nam zamówione dania.

– Nie, prawdę mówiąc, raczej podniecona. Rzucam pracę – oświadczyłam znów podekscytowana, wspominając swoje impulsywne posunięcie.

Greta wzięła głęboki wdech, co sygnalizowało, że stara się opanować reakcję. Umieściła palce na brzegu stołu, delikatnie, jakby miała zagrać na pianinie. Nachyliła się z uśmiechem.

– Wszystko mi opowiedz. Jak do tego doszło? Masz plan, co chcesz robić dalej?

– Nie jestem całkiem pewna, co zamierzam – zaczęłam. – To się stało tak nagle. Larry powiedział rano o opcji wykupu etatów, a dwie godziny później siedzę tu, mając w perspektywie kilka dni urlopu. W poniedziałek zaczynam dwutygodniowy proces opuszczania firmy i startu w nieznanym kierunku. Jednego natomiast jestem pewna. – Zrobiłam pauzę dla dramatycznego efektu. Tak rzadko miałam jakieś nowiny do ogłoszenia, nie wspominając już o oświadczeniach życiowej wagi.

Spektakularne wystąpienia odbywały się co poniedziałek w naszym firmowym pokoju rekreacyjnym. Nancy wzięła kiedyś udział

w weekendowych warsztatach, żeby przeprogramować swój pociąg do brutalnych mężczyzn. Fred oznajmił, że jest alkohikiem i poszedł na pierwsze spotkanie AA po tym, gdy któregoś niedzielnego ranka obudził się na ławce w parku Balboa. A ostatnio Sandy oświadczyła, że wyszła za Elvisa w Vegas. Widziałam więc masę dramatycznych występów przerywanych pauzą, po prostu nigdy jeszcze nie miałam okazji sama z takiej skorzystać.

Pauza.

– Wiem jedno. Jesteś gotowa, żeby usłyszeć moją nowinę? – zapytałam, prostując plecy i pochylając się, jakby to miała być rewelacja na skalę światową. – Do następnej Gwiazdki zamierzam być obłędnie i nieprzyzwoicie szczęśliwą żoną Adama Zieglera.

Skóra na twarzy Greta gwałtownie stężała. Moje oświadczenie podziało jak emocjonalny botoks. Nie miałam pojęcia, o czym myśli. Wyraz oczekiwania ustąpił miejsca pustce.

– Zaskoczona?! – Próbowałam zreanimować uczucie przyjemnego podniecenia, które dzieliłyśmy dziesięć sekund wcześniej, zanim słowa „Adam Ziegler” padły z moich ust.

– Kto to jest Adam Ziegler, do cholery? – zapytała zirytowana i autentycznie zaintrygowana. – Zanim przeprowadziłam się z powrotem do San Diego, wyraźnie cię pytałam, czy się z kimś spotykasz, i powiedziałaś, że nie.

Z czystej głupoty ponownie spróbowałam podsyć podniecenie.

– Oficjalnie się nie spotykamy, ale znamy się od siedmiu lat i od momentu, kiedy go poznałam, byłam całkiem pewna, że to ten jedyny, ale nigdy nie miałam odwagi, żeby coś z tym zrobić. A teraz mam uczucie, że dostałam w życiu drugą szansę, i chcę stworzyć z nim związek. No wiesz, pójść i chwycić byka za rogi.

Greta milczała przez kilka sekund, a potem westchnęła z politowaniem.

– Całkowicie popieram koncepcję wzięcia życia za rogi, ale to się nie przekłada na wyjście za mąż za człowieka, którego ledwie znasz. Mona, masz szansę odkryć, kim jesteś i czego chcesz od życia, a jedyne, co zdołałaś wymyślić, to poślubienie szczęliwej miłości? Masz czas i pieniądze, żeby zrobić absolutnie wszystko, Mona.

Przykro mi to mówić, ale jesteście tak dobrymi przyjaciółkami, że powiem. Ta twoja młodzieńcza fantazja jest co najmniej banalna. Powinnaś brać lekcje malarstwa w Paryżu, chodzić na terapię, zająć się pracą społeczną albo czymś innym. Ale nie uzależniaj swojego szczęścia od możliwości poślubienia faceta, którego ledwie znasz.

Wokół nas nagle zabrakło powietrza, co jest dość dziwne na otwartym patio.

– Och – to było wszystko, co mogłam powiedzieć. – Byłam... jestem... naprawdę tym podekscytowana. – Miałam nadzieję, że poczujesz się winna po przekleciu balonu moich złudzeń, ale nie zareagowała. – Byłam w Paryżu, nie potrzebuję terapii i w razie, gdybyś nie zauważyła, przypominam, że nie jestem specjalnie społecznie. I znam Adama. Znam go od lat.

Greta prychnęła i przewróciła oczyma.

– Znam go od lat! – ucięłam.

– Nie o to chodzi – wycofała się Greta.

– Więc o co?

– Mona, nie zrozum mnie źle, ale jeżeli komuś potrzebna jest terapia, to właśnie tobie. Wiele przeszłaś. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Caroline nigdy nie posłała cię do terapeuty po twoim przyjeździe do Coronado.

Kolejne dziesięć minut wykorzystaliśmy na jedzenie. Z każdym przeżutym kęsem czułam rosnącą irytację wywołaną natychmiastowym potępieniem przez Gretę mojego planu.

– Wiem, że mogę wybierać z wielu możliwości, co moim zdaniem sankcjonuje każdy wybór, jakiego dokonam – podjęłam znowu. – Nie wychodzę za Adama, ponieważ potrzebuję kogoś, żeby mnie utrzymywał, ani dlatego, że jestem w ciąży. Chcę za niego wyjść, ponieważ uważam, że bycie z kimś tak wspaiałym jak on mnie uszczęśliwi.

Grecie w jednej chwili zmienił się wyraz twarzy, upuściła widelec.

– Dorośnij, Mona – warknęła. – Czemu najpierw nie pomyślisz o własnym szczęściu, a dopiero potem nie sprawdzisz, czy nadal chcesz wyjść za nieznanego? Usilnie staram się powstrzymać od traktowania przyjaciół jak pacjentów, ale w sytuacjach, kiedy

widzę przyjaciela, który zmierza prosto w przepaść, muszę wkroczyć i coś powiedzieć. – Aż ją zatkało, kiedy uświadomiła sobie, jak kiepskiego doboru słów dokonała. – Mona, strasznie cię przepraszam. Co za okropnie niedelikatny komentarz. Tak mi przykro.

– W porządku – mruknęłam, urażona faktem, że w jej oczach jestem tak słaba, by mogła mnie załamać podobna wzmianka. – Prześtań przepraszać. W porządku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Najpierw usłyszałam brzęk garnków i talerzy w kuchni oraz głosy rozmowy dorosłych. Moja mama śmiała się i żartobliwie lajała ojca za coś, o czym nigdy się nie dowiem. Jego cięta riposta wywołała hałaśliwy śmiech reszty.

– Idź obudzić dzieciaki, panie Zabawny – poleciła. – Andy, daj spokój, mówię serio. Mamy godzinę do wyjazdu, a nikt nawet jeszcze nie wstał.

– Czy Mona jedzie? – zapytał jeden z mężczyzn. Chyba Freddy. Moja matka odpowiedziała:

– Wczorajem temperaturę miała normalną, ale zobaczymy, jak się czuje. Andy, obudź resztę dzieciaków, a ja zajrzę do Mony. Fran, nadal nie masz nic przeciw temu, żeby zostać? Jeżeli chcesz pojechać, ja mogę zostać.

Francesca była tak naprawdę babcią Leah, Mai i Karah, ale jako jedyna mieszkająca z nami osoba, która przekroczyła sześćdziesiątkę, została zastępczą babcią dla wszystkich. W przypadku sześciorga najmłodszych dzieci w domu, w tym dwóch moich braci, pełniła rolę położnej. Francesca była pierwszą osobą, do której zwracaliśmy się z obtartym kolaniem albo w razie choroby, więc w naturalny sposób to właśnie na nią padł wybór, żeby została i zajęła się mną tego dnia.

– Nie bądź niemądra, Lauro – uspokoiła mamę. – Nic nam nie będzie. Moim zdaniem Mona potrzebuje solidnego dnia wypoczynku i kiedy wszyscy pojedziecie, upora się z tym czymś i będzie jak nowa.

Prawda była taka, że uporalam się z tym czymś już dwa dni wcześniej, ale rozkoszowałam się samotnością, jaką zapewniła mi gtypa. Oczywiście kochałam swoją wielką barwną rodzinę, ale w tak zatłoczonych domach jak nasz rzadko trafia się chwila ciszy. Rzadko

miałam minutę, żeby po prostu posiedzieć i pomyśleć, bo zaraz jakiś maluch przemykał obok, jazgocząc nie wiadomo o czym. A ja chciałam na chwilę przysiąść na parapecie i pomarzyć o tym, co chcę zrobić z własnym życiem. Tak wielu nas znajdowało się pod jednym dachem, że nie dalo się słyszeć własnych myśli.

Byliśmy spokojnymi ludźmi, którzy mieszkali w domu stale zagrożonym w chaosie. Kusząca byłaby próba napisania teraz tej historii od nowa i wyidealizowania życia w komunie. Glorifikacja zmarłych i życia, jakie stracili, wydaje się szlachetną rzeczą. To znaczy o tyle szlachetną, o ile szlachetna może być nieuczciwość. Pamiętam, że słyszałam dorosłych rozmawiających o tym, jakie to obłudne, że ludzie wychwalają zmarłych, jakby byli świętymi albo mędrkami. Jak każda myśl, którą kiedykolwiek tamci rzucili, nagle staje się prorocza. Pamiętam Asię mówiącą, że kiedy umrze, chce być zapamiętana „prawdziwie i realnie”. Jako osoba, którą była, dobra i zła.

– Niech na moim nagrobku będą tysy – powiedziała, unosząc pewnego wieczoru kieliszek z czerwonym winem. – Życie dobrze przeżyte to życie wypełnione pomyłkami i dumotami, których nie należało robić. – Reszta rodziny wzniosła toast za tę perłę rozumu, która jak na ironię stała się ostatnią przepowiednią Asi. Starałam się pamiętać życie w Montanie takim, jakie naprawdę było, nie odtwarzać go w pamięci jako ekstatycznego śpiewania w dzieciństwie *Kumbaya* z pokrewnymi duszami. Tak żałuję, że nie dali mi przyzwolenia na podobną szczerłość, gdy żyli.

Nawet jako nastolatka – czas oddzielania się od rodziców – czułam się krańcowo winna, że nie doceniam „raju”, który stworzyli dla nas dorośli. Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że moja przyjaciółka Jessica podzielała tę antypatię do życia w komunie. Przewracałyśmy oczyma i przejeżdżałyśmy palcem po gardle podczas Kobiecych Spacerów po Lesie, kiedy matki i młodsze dziewczynki śpiewały *Siyahumba* na trzy głosy. Jess o mało nie umarła ze wstydu, kiedy matka wydała „Czerwone przyjęcie” z okazji jej pierwszej miesiączki. Wszystkie kobiety i dziewczyny dęły w jakiś dumny zwierzęcy kić i wyły jakieś pierwotne pieśni podczas pełni. Mężczyźni podawali nam wszystkim herbatę i owocowe batoniki, które naprawdę

sami piekli, i nazywali nas Boginią Jessicą, Boginią Moną, Boginią taką a taką. Kiedy teraz o tym myślę, pieczenie dla nas wydaje mi się naprawdę uroczne. Poważnie, nie chcę być tylko miła, to serio było uroczne. Jako trzydziestolatka widzę to wyraźniej, niż kiedy byłam nastolatką uwięzioną w komunie.

Gdy Jessica i ja przerzucaliśmy kompost, fantazjowałyśmy, jakby to było mieszkać z normalnymi rodzinami. Nigdy nie spotkałyśmy żadnej klasycznej rodziny i nie mieliśmy telewizora, więc nie znałyśmy Cosbych, ale jakimś sposobem wiedziałyśmy, że gdzieś tam są. Nasi rodzice przyjmowali do wiadomości fakt istnienia ludzi z „Babilonu” (Jessica i ja naprawdę wierzyłyśmy, że to miejsce gdzieś w Montanie) z ledwie maskowaną niechęcią. Tamci cenili rzeczy, nie ludzi, powiedziała nam moja mama. Stali się kulturą jednorazowego użytku, oświadczył Freddy. Nie byli świadomi własnych ludzkich możliwości, oznajmiła Asia. Oglądali za dużo telewizji, dodał Morgana. Francesca jako jedyna przerywała im te obłudne tyrady, mówiąc: „Och, niech sobie tacy będą. Wybraliście inne życie, więc teraz żyjcie nim radośnie”. Zawsze bardzo mnie pocieszało, że Francesca rzucala ten cierpki komentarz, ponieważ to dowodziło, że nasi rodzice nie zawsze mieli rację. Ktoś starszy i mądrzejszy mógł – i robił to – upomnieć ich za osądzanie innych. Francesca nie mogła tego wiedzieć, ale kompensowała stale obecny, wyczerpujący ciężar winy, którą czułam, rozpaczliwie marząc o wycieczce do Babilonu. Nie o udziale w złocie poświęconym kwestii nuklearnego rozbrojenia, ale o wizycie w centrum handlowym, flirtowaniu z chłopcami, którzy oglądają telewizję, i opiciu się w jakimś barze koktajlami ze styropianowego kubka.

Tej nocy, kiedy temperatura skoczyła mi do czterdziestu stopni, kompletnie nie myślałam o poczuciu winy. Istniało tylko drżące, bolesne delirium, doprawione odrobiną radości z powodu snu w oddzielnym pokoju. Normalnie sypiałam w obszernej sypialni, którą dzieliłam z innymi dziećmi, od czterolatek po Todda, siedemnaścieletniego kędzierzawego syna Asi i Morgana. Maluchy spały z rodzicami, dopóki nie odstawiono ich od piersi, co nam, trojgu nastolatkom, zupełnie odpowiadało. I tak słyszeliśmy dość pociągania

nosem, jęczenia i chichotów. Mój ojciec i Freddy zbudowali dla chłopców piętrowe łóżka, a my, dziewczęta, z jakiegoś powodu miałyśmy rozkładane na podłodze sofy. Sufit obito cienkim błękitnym jak niebo gobelinem z bawelnianymi chmurami, który mama zrobiła po naszym pierwszym roku w Montanie. Kiedy zszywaczem mowiała go do sufitu, materiał obwisł, tworząc delikatne złudzenie prawdziwego nieba. Mama uważała, że sufity są przygniatające. Nawet wplotła w materiał subtelne złote nitki, tak że w dziennym świetle wyglądały jak najcieńsze promienie słońca. Przez cztery dni, kiedy byłam chora, mogłam być sama w pokoju, który tak naprawdę służył do szycia, ale co z tego. Spędzanie dni w całkowitej ciszy było takim luksusem, że postanowiłam jeszcze trochę przedłużyć chorobę.

– Więc co dzisiaj będziemy robić, panno Camille? – zapytała Francesca, kiedy szkolny autobus pełen antynuklearnych protestantów opuścił podjazd.

Uśmiechnęłam się na wzmiankę o filmie.

– Mamy czas, żeby zapleść ci włosy, jeżeli nadal chcesz – zaproponowała Francesca. Kiwnęłam głową i pobiegłam na górę po szczotkę, a potem wróciłam w podskokach. Możliwość energicznego poruszania się zamiast konieczności udawania powolnego powłóczenia nogami, by wymigać się od protestu, działała na mnie zbawiennie. – Nie wyjdzie jak u tej Bo Dudley, ale zobaczę, co się da zrobić.

Jeżeli chodzi o Francescę, najlepiej pamiętam jej zręczne i szybkie palce. Ręce miała starsze niż ona sama, kościste, z błękitnymi żyłkami, które przebiegały przez papierową skórę. Ale poruszały się jak u pianistki, prędkie i delikatne. Kiedy długimi paznokciami rozdzielala mi włosy i przeczesywała je między palcami, prawie zwinęłam się jak kot i zasnąłam.

– Połaskoczysz mnie w ramię, kiedy skończysz? – poprosiłam błagalnie. Francesca się zgodziła, ale nie doszliśmy do tego punktu programu. Dwie godziny później, kiedy owijała kolorową nitkę wokół ostatniego z moich stu czy coś koło tego warkoczyczków, zadzwonił telefon.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała Francesca, kiedy usłyszała dzwonek. Nie miałyśmy pojęcia, że była to ostatnia minuta życia takiego, jakie znałyśmy. – Za moment – upomniała telefon, który zadzwonił trzeci raz. – Halo. Farma piękności Franceski – rzuciła radośnie, spodziewając się moich rodziców.

Po chwili milczenia oświadczyła równie radośnie:

– Oczywiście. – A potem zapadła cisza, gdy słuchała dzwoniącego.

Całym ciężarem opadła na krzesło, które miała za sobą i oparła czoło o zwiniętą dłoń. Napięcie wypełniło kuchnię, równie wyczuwalne jak wyczuwalna byłaby woda wdzierająca się do pomieszczenia przez zerwaną tamę. Francesca spoglądała na mnie, potem przenosiła uwagę na rozmówcę. Westchnęła głęboko i boleśnie, po czym popędziła dzwoniącego, żeby przeszedł do konkluzji. Kiedy ludzie mają przekazać złe wieści, wstęp stanowi zwykle kiepską próbę złagodzenia ciosu. Bez wątplenia słuchała o szczegółach wypadku. Później dowiedziałam się, że nasz pomalowany na niebiesko szkolny autobus wpadł w poślizg na placie lodu. Miał czołowe zderzenie z ciężarówką i spadł z klifu.

– Więc proszę mi powiedzieć – przerwała Francesca. – Czy ktoś został poważnie ranny? – Zamilkła i z jej oczu popłynęły łzy. Milczała przez kilka sekund, potem się rozszlochała.

– Co się stało? – zapytałam, chociaż już wiedziałam, że wypadek musiał być bardzo poważny.

Francesca wzięła głęboki wdech, żeby odzyskać nieco panowanie nad sobą, i wytarła nos w rękaw.

– Mona, nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczęła.

– Nikomu nic się nie stało? – zapytałam. Dziwne to było. Chociaż wiedziałam, że z całą pewnością coś się komuś stało, czułam, że to pytanie daje mi ostatnią szansę, żeby nie wiedzieć. Żeby tragedia nie stała się realna.

Francesca potrząsnęła głową, krzywiąc się boleśnie.

– Są w szpitalu? – naciskałam błagalnie. Z każdym pytaniem moje nadzieje na szczęśliwe zakończenie malały.

Do kręcenia głową dołączyły kolejne szloch.

– Czy ktoś zginął? – zapytałam ostrożnie.

– Wszyscy, Mona. – Zaczęła znów szlochać i wyciągnęła ramię, żeby mnie objąć.

Sparaliżowana szokiem na wpół uwierzyłam, że jeżeli się nie poruszymy, nie zaczniemy płakać i nie przyjmimy tej fatalnej katastrofy do wiadomości, możemy wstrzymać upływ czasu i może nawet go cofnąć.

– Może to nie byli oni – zasugerowałam. – Może to był jakiś inny szkolny autobus. – Inny niebieski szkolny autobus z ręcznie farbowanymi zasłonkami i pacyfkami wymalowanymi w oknach.

Pamiętam, że usiłowałam trwać jak najbardziej nieruchomo, rozpaczliwie czepiając się nadziei, że jeśli tylko zachowamy całkowity bezruch, możemy jakoś się z tego wyplątać. Z każdą łzą padającą z oczu Franceski stawało się jasne, że telefon z prośbą o wybaczenie pomyłki nigdy nie nastąpi. A jednak stałam nieruchomo, czując pulsowanie w uszach i nic więcej. Wiem, że babcia po mnie przyjechała, ponieważ mi o tym powiedziała, ale za żadne skarby nie jestem w stanie przypomnieć sobie nawet wyjazdu z Montany. W mojej głowie Francesca wciąż siedzi na tym samym krześle i rozpacza, od piętnastu lat.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tydzień później wpatrywałam się w różowy koronkowy baldachim nad moim królewskich rozmiarów łóżkiem w domu babci. Tylko że nie mogłam już nazywać tego domu domem babci. Teraz był także mój. Z tym że ona i ja mieszkaliśmy razem na niewiele mniejszej powierzchni niż cała komuna, na wyspie z drogami, których nigdy nie pokrył lód. Mój nowy dom mieścił się na Ocean Drive w ceglanej posiadłości z perłoworóżowymi wykończeniami i złotymi akcentami. Brama z herbem rodowym i interkolem oddzielała nas od turystów, którzy jeździli po dzielnicy, żeby gapić się na domy. Wnętrze rezydencji, przesyadnie gęsto ozdobione europejską złotą koronką, było hołdem żłobionym monarchii. Ręcznie malowane wazy dorównywały wysokością wzrostowi moich młodszych braci. Na ogromnej szachownicy ustawiono figury ręcznie rzeźbione w kości słoniowej. Dywany wyglądały, jakby nikt nigdy po nich nie chodził. Wszystko wydawało się odległe i niegościnnie jak w muzeum bogactwa.

Stojąc po raz pierwszy na marmurowej posadzce foyer, musiałam wyglądać jak Julie Andrews wchodząca do domu von Trappa w *Dźwiękach muzyki*. – Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie, kochanie – głosem lodowatym i obcym jak Królowa Matka powiedziała babcia. – Poprosiłam Patrice, żeby urządziła pokój dla nastolatki. Oczywiście możesz dodać osobiste akcenty, nie życzę sobie tylko taśmy klejącej na ścianach – wyjaśniła.

Nie potępiałam babci, że kazała służącej urządzić mój pokój, ale uwagę o taśmie klejącej uznałam za niestosowną. Po stracie wszystkich, oprócz jednego, członków jedynej rodziny, jaką znałam, dekorowanie pokoju nie było moim zasadniczym problemem. I w ogóle nie opowiadałam jej w samolocie, jakie to mam pomysły na upiększenie pokoju za pomocą taśmy.

Babcia wcale nie sprawiała wrażenia zachwyconej myślą, że zostanie moją prawną opiekunką, a tym bardziej prawdziwą babcią. Odniosłam niejasne wrażenie, że ma zupełnie inną wizję własnej emerytury.

Przez kilka pierwszych miesięcy po wypadku fantazjowałam o tym, co by było, gdybym znalazła się w tym autobusie ze wszystkimi. Zamyślałam oczy i wyobrażałam sobie poranną mgłę. Próbowałam wymyślić, który sweter i golf włożyłabym na zlot. Które wybrałabym mitenki, jakie miejsce zajęłabym w autobusie. I oto siedziałam obok Jessiki, gadałyśmy o tym, jakie absurdalne są te zloty i że nikt nigdy w życiu nie zmieni zdobytej za ciężkie łapówki politycznej pozycji z powodu jakichś staroświeckich hipisów w błękitnym szkolnym autobusie. Słyszymy przesywający dźwięk klaksonu, przez chwilę czujemy tylko przerażenie, potem następuje niekontrolowany poślizg, uderzenie w ciężarówkę, pięciosekundowy lot i wpadamy na siebie, kiedy nasz autobus przodem ryje w ziemię. Słyszę odgłosy zgniatanego metalu, tłuczonego szkła i jestem martwa. Zastanawiałam się, czy umieranie boli, czy to euforyczne uczucie uwolnienia, jak opowiadała nam Francesca. Nikt w naszej komunie nigdy nie kwestionował, jakim sposobem tak niezwykle żywotna kobieta może mieć informacje z pierwszej ręki o tym, czym jest śmierć. Chyba wszyscy uznaliśmy, że skoro jest najstarsza, skądś wie. Zastanawiałam się, czy wszyscy umarliśmy w momencie uderzenia, czy niektórzy z nas przez parę chwil pozostali przy życiu. Zastanawiałam się, kto krzychał. Kto miał dość przytomności umysłu, żeby sformułować ostatnią myśl? Kto miał szczęście i wszystko przespał?

Zastanawiałam się, co – jeśli w ogóle – wyglądałoby dziś inaczej, gdybym wsiadła do tego autobusu i umarła. Rozważałam to kilka razy i przerwałam swoją zabawę. Fakt, że moje życie nie miało na nikogo żadnego znaczącego wpływu, był zbyt przygnębiający.

Patrice powiedziała babci, że dzwoni właśnie zastępca dyrektora Akademii. Od Gwiazdki minęły dwa dni, w święta zjadłyśmy obiad w hotelu Del Coronado i oglądaliśmy wystawę sklepowe w poszukiwaniu prezentów, które miałyśmy kupić następnego dnia, kiedy otworzą sklepy.

– Halo – powiedziała babcia, zdejmując klips z masy perłowej.
– Tak, Kyle. – Czekala, aż skończy mówić, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Wierząc szerokim skórzanym obcasem w pluszowym niebieskim dywanie, skracała sobie czas oczekiwania na moment, kiedy będzie mogła się odezwać. – Oczywiście rozumiem. Natomiast ty nie rozumiesz, że moja wnuczka zacznie naukę w Akademii w przyszłym tygodniu. Nie obchodzi mnie, za jakie sznurki musisz pociągnąć. – Słuchała przez prawie całą minutę. – Co za grubiaństwo, Kyle. Właśnie straciłam córkę, na litość boską. Po prostu to załatw, a ja oczywiście będę odpowiednio hojna dla szkoły. – Rzuciła słuchawkę i tak się dowiedziałam, że będę uczęszczać do tej jakiejś akademii, do której chciała mnie posłać babcia.

Uśmiechnęła się z przymusem wąskimi koralowymi wargami i zapytała, czy chciałabym omelet.

– Okej – odparłam, właściwie obawiając się odmówić.

Patrice przyniosła nam dwa omelety z wielkimi kostkami szynki i ziemniaków oraz roztopionym serem, ułożone na przypieczonych gałkach rozmarynu, na białych porcelanowych talerzach. Uśmiechnęłam się, biorąc do ręki lśniący srebrny widelec.

– Co takiego? – zapytała babcia niespecjalnie rozbawiona.

– Po prostu mama dokładnie tak samo przygotowywała omelety – powiedziałam. – Szynka i ziemniaki w idealnych kostkach i ten przypieczony rozmaryn. – Uśmiechnęłam się. – Tylko bez wszystkich tych frymuśnych dodatków – wyrwało mi się.

– O, nie wątpię – smutno rzuciła babcia. – Laura nienawidziła wszystkich moich frymuśnych dodatków.

– Wyglądasz dokładnie jak ona – zauważyłam.

– Wiem. Tęgo też nienawidziła.

– Nie, nieprawda – zaprzeczyłam szybko. – Lubila to, że jesteście podobne, nie podobały się jej tylko twoje... – zamilkłam.

– Frymuśne dodatki – dokończyła babcia.

– Nie, umm, chirurgia plastyczna – odparłam z wahaniem i porzucałam wielką ulgę, kiedy babcia wybuchnęła śmiechem.

– Laura i ja byliśmy bardzo różne. To nie podlega dyskusji – przyznała z trudem. – Może i miała rację z tym swoim komunistycznym

myśleniem. Nie mogę powiedzieć, żeby któraś z tych rzeczy naprawdę kupiła mi szczęście. – Westchnęła. – Zawsze miałam wrażenie, że zawiódłam Laurę. Gdybym jako matka lepiej się sprawdziła, nie uciekłyby na to zwariowane ranczo.

– Wcale nie – weszłam jej w słowo. – Od niczego nie uciekła. Oni stworzyli własną wersję raję. Cały czas rozmawiali o tym w Berkeley, a potem mieli dość odwagi, żeby rzucić nudną pracę i zacząć wieść proste i satysfakcjonujące życie, o jakim zawsze marzyli. – Ten opis był niemal dosłownym cytatem z wieczornego błogosławieństwa Asi. Dalej mówiłam już własnymi słowami. – Nie byłaby w stanie tego zrobić, gdybyś nie sprawiła się jak należy, babciu. Cały czas to powtarzała. Że jej matka miała wiele rzeczy, które mogła jej dać, ale najlepszym prezentem była umiejętność samodzielnego myślenia i życia własnym życiem.

– Tak powiedziała? – babcia gwałtownie wciągnęła powietrze.

Z zapalem pokiwałam głową.

– Mówiła to cały czas. – Powiedziała raz.

– Co jeszcze mówiła? – dopytywała się babcia. – Opowiedz mi wszystko, Mono. Mam wrażenie, że przez ostatnie lata naprawdę byliśmy sobie obce. Opowiedz mi o niej. Wszystko, co ci przychodzi do głowy, nawet jeśli wydaje się to blahe.

– Umm, dobra – odparłam. – A co znaczy „blahe”?

– Lubisz prowadzić samochód, Mono? – zapytała babcia. Pokręciłam głową. – Po śniadaniu zamierzam pokazać ci San Diego. Zaczniemy od wyspy. Pokażę ci twoją nową szkołę, potem, po południu, ruszymy wzdłuż wybrzeża i opowiesz mi wszystko o Laurze. Nawet drobniaki, które wydają się nieważne. To właśnie znaczy „blahe”: bez znaczenia.

Tamtego dnia jeździliśmy dość długo, by po powrocie do domu okazało się, że moje dziesięciodniowe warkoczyki uległy degeneracji i zaczęły niebezpiecznie przypominać dredy. Spojrzałam na swoje odbicie w złotym zwierciadle babci i zaczęłam płakać na widok samej siebie. Rozpaczliwie grzebałam w łazienkowych szufladach, aż znalazłam paczkę żyletek. Kolejno uciniałam wszystkie warkoczyki i patrzyłam, jak spadają na ziemię niby chude sardynki zaplątane w kolorową sieć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Prześnię już przeproszać – powiedziałam do Greta. – Rozumiem, co masz na myśli. Tak bardzo przywykłaś do pracy z wariatami, że oczekujesz historycznego zachowania przy każdym drobiazgu.

Z ulgą przyjmując zawieszenie kary, roześmiała się.

– Mona, pracuję z ludźmi mniej szalonymi od ciebie. Moje klientki przeważnie mówią mi, że po dziesięciu latach małżeństwa nie wiedzą już, kim są ich mężowie – nie żeby wiedziały to przed ślubem. Moim zdaniem mądrzej spędziłabyś czas, próbując odkryć, kim jesteś, zamiast starać się złapać męża, co do którego nie masz żadnej pewności, że naprawdę do siebie pasujecie. Jak możesz znaleźć pokrewną duszę, kiedy nie jesteś pewna, jaka jest twoja własna?

Broniłam się nieugięcie.

– Wykorzystam ten czas, żeby zrozumieć, czego chcę na resztę życia, ale już wiem na pewno, że chcę zostać żoną Adama. Byłby wspaniałym mężem i ojcem, a z tego, co o nim wiem, jest dokładnie takim mężczyzną, jaki może mi dać to, czego pragnę.

– Mona, ty sama musisz zapewnić sobie życie, jakiego chcesz. Jak właściwie masz zamiar odkryć, kim jesteś, skoro będziesz zajęta dowiadrywaniem się, jaką chce cię widzieć ta osoba?

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem, bo Greta dobrze mnie знаła. Nawet nie umiałabym zliczyć, ile czasu zastanawiałam się, czy Adam szukał noszącej garnitur intelektualnej partnerki à la Katharine Hepburn w *Zębrze Adama*, penetrującej grobowce Lary Croft, dziewczyny z małego miasteczka, takiej jak Mary Bailey, czy płochej Holly Golightly. Nawet nie musiałam jej tego mówić, Greta wiedziała, że w ramach starań o męża przerobię całe swoje życie tak, by pasowało do wymarzonej przez Adama wizji kobiety.

Postanowiłam, że się z tym nie zdradzę, bo miała tendencję do uznawania każdego potwierdzenia za zaproszenie do analizy. Mimo zaprzeczeń Greta zawsze jest w pracy.

– Greto, poszukiwanie miłości nie oznacza, że się gubi sam siebie – powiedziałam.

– Nie chcę być niedelikatna, ale już teraz jesteś dosyć zagubiona – protekcjonalnie położyła dłoń na mojej. – Przeszłaś trudną drogę.

Usunęłam rękę i pociągnęłam łyk kawy, która dzięki staraniom Judy nie stygła.

– Co w tym złego, że chcę zmienić swoje życie? Sama powiedziałaś, że przeszłam trudną drogę. Co jest złego w tym, że ruszam pełną parą naprzód, aby zdobyć to, czego pragnę? Przecież nikomu nie robię krzywdy.

– Zmiana samej siebie w osobę, jakiej twoim zdaniem pragnie ktoś inny, to krzywda wyrządzona samej sobie. To odrzucenie tego, kim jesteś, i toksyczne działanie. Popelniasz emocjonalne samobójstwo.

Przewróciłam oczami, zastanawiając się, czy Greta myśli o tym, co ja – że przyjaźń, która nas kiedyś łączyła, może nie dotrzeć do naszych czterdziestych urodzin. Emocjonalne samobójstwo?!

– Słuchaj, Greto, wiem, że próbujesz mi pomóc, ale twoje warunki są trochę za ostre. Przecież nie skaczą z mostu Coronado ani nie w tym stylu.

– Zostanę przy mojej teorii. To, co robisz, jest emocjonalnym samobójstwem. Zduszenie własnego ja może się wydawać niegroźne, ale to cię powoli zabije.

Zaczęłam zastanawiać się, czy nasza przyjaźń przetrwa ten lunch. – Skąd czerpię przekonanie, że mój plan poślubienia Adama obejmuje przemianę w kobietę jego marzeń? – Kiedy tylko wyrwały mi się te słowa, pożałowałam zadanego pytania. Wiedziałam, że dostarczyłam jej co najmniej pół tuzina przykładów sytuacji, w których z miłości zmieniałam się w kameleona.

– Kenny Schneider – rzuciła Greta. – Pamiętasz go z Akademii dla Chłopców? Kochał wędkarstwo, więc została Małą Miss Przy-

jęty i Kolowrotka? Dowód B: punkrockowy Pete z Dnia Wiejskiego La Jolla. Pamiętasz, jak dosłownie opróżniłaś dział muzyki punk w Tower Records, żeby „zrozumieć go poprzez jego muzykę”? Oczywiście wysilek ten okazał się bezowocny, bo nie zamieniłaś z nim ani słowa! Mam mówić dalej?

Machnęłam ręką i uśmiechnęłam się, jakby wspomnienie przez nią moich sposobów działania z czasów nastoletnich nie miało odniesienia do obecnej pogoni za Adamem Zieglem.

– Mona, nie chcę, żeby to zabrzmiało protekcjonalnie, ale czy aby nie jest tak, że łatwiej ci skupić się na kimś innym niż na sobie?

– Może zrobisz nam wszystkim tę przysługę i napiszesz poradnik, żeby w ten sposób wyrzucić z siebie wszystkie mądrości? Szczęrze mówiąc, nudzi mnie to jak cholera.

Wyjrzałam zza grubego wełnianego koca, który zwił z siatkowych drzwi na patio, i zauważyłam, że mężczyzna z apartamentowca obok odkręca prysznic. Co takiego robią ludzie, że mogą brać prysznic niemal w południe? Niedługo się dowiem. Uśmiechnęłam się. Może Greta miała trochę racji. Może powinnam poświęcić ten czas na odkrycie, kim jestem, zamiast zastanawiać się, kim chciałby widzieć mnie Adam Ziegler. Ale jeśli to, kim zechcę być, przypadkiem pokryje się z tym, kim chce mnie widzieć Adam, niech tak będzie. Uznałam, że to wcale niezły kompromis.

– Słuchaj, może i masz rację – przyznałam niechętnie.

– Jest Bóg w niebiosach! – uradowała się, dramatycznym gestem wznosząc ręce.

– Jeśli jest, oszczędź mi twoich dalszych analiz. – Uśmiechnęłam się. – Nie rezygnuję z Adama, ale stworzę samą siebie na nowo, żeby stać się kimś, kogo i ty polubisz.

– Ja już cię lubię, Mona. Zrób to drobne przemebrowanie w życiu, jeżeli tego potrzebujesz, ale musisz mieć pewność, że osoba, która cię pokocha, kocha prawdziwą ciebie. A tak w ogóle, to moim zdaniem już teraz jesteś idealna. Z pewnością zagubiona, ale i tak cię kocham. Jesteś moją przyjaciółką o najdłuższym stażu, wiesz o tym?

Jesteś moją jedyną przyjaciółką – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego.

Jadąc z powrotem do Coronado, zatrzymałam się przy stoisku z prasą, gdzie sprzedają wszystkie popularne czasopisma od „Good Housekeeping” po prawie nielegalną pornografię. „Good Housekeeping” obiecywało wskazówki, jak utrzymać męża. Uznałam, że trochę za wcześnie. Kręciłam się po sklepie, aż znalazłam dział ze świeżymi twarzami piętnastoletnich wampów na okładkach – pisma dla kobiet singli. Artykuły z okładek krzyczały do mnie jak nawołujące właściciele restauracji w Atenach i Rzymie, którzy obiecują najwyższą satysfakcję kulinarną. Jeśli miłość miała swoją bibliotekę, to tutaj.

„ZDOBĄDŹ JEGO SERCE W 30 DNI!” skoczyło z półki prosto w moje ramiona.

„TWÓJ FACET PO TWOJEMU! WEŹ OD NIEGO TO CZEGO PRAGNIESZ!” wydawało się nieco agresywne, ale musiałam przestudiować kwestię umawiania się na randki, a te kobiety o oczach ozdobionych przydymionym makijażem wyglądały na takie, które rzeczywiście znają się na rzeczy.

„ZBUDUJ LEPSZĄ PUŁAPKĘ NA FACETA!” wydawało się urocze, nawet jeśli myśl o wzięciu Adama w niewolę była okropna. Mój plan polegał na tym, że pomogę mu dostrzec to, co sama już wiedziałam – że stanowimy idealną parę. Kiedy to zauważy, będzie mnie zdobywał. Nie chciałam przeprowadzać jakichś nieczystych machinacji, ale ciekawiło mnie, co doradzi artykuł. Wiedza to władza, a potrzebowałam solidnej porcji obu.

„DZIESIĘĆ RZECZY, KTÓRE ODSTRASZAJĄ FACETÓW!” Nad tym się nie zastanawiałam, ale jeśli poważnie myślałam o zgłębieniu sztuki uwodzenia, musiałam poznać możliwe błędy, zanim je popełnię.

„DOPROWADŹ GO W ŁÓŻKU DO SZALEŃSTWA!” Okej.

„NIECH BŁAGA O WIĘCEJ!” Proszę, proszę!

„PRAWDZIWE DZIEWCZĘCE PRZEMIANY!” Trafiony!

„ZAWRÓC MU W GŁOWIE SWOIM WSPANIAŁYM TYŁECZKIEM!” Za to na pewno zwolnili redaktora.

Byłam zachwycona tą werwą. Już same wykrzykniki zmusiły mnie do nerwowego gromadzenia magazynów, aż musiałam odłożyć zebrany stos na ladę, nie przerywając poszukiwań.

„SEKS NA PIERWSZEJ RANDCE ALBO WCZEŚNIEJ” dumnie obwieszczał napis na okładce. O, dział męski.

„BĄDŹ FACETEM, O KTÓRYM ONA OPOWIADA PRZYJACIÓŁKOM – A POTEM PRZELEĆ JE WSZYSTKIE” pulsowało z „Chromosomu Y”.

„CO LASKI WIEDZIEĆ POWINNY” oznajmiał kolejny. Te męskie pisma mnie zaintrygowały. Tytuły brzmiały, jakby podawały gołe fakty, a nie jakąś przetworzoną, sfeminizowaną wersję prawdy. Musiałam się dowiedzieć, co Neandertalczyk naprawdę sądził o kobietach – i o czym jego zdaniem powinnyśmy wiedzieć. Rzeczy, o których rozmawiał z kumplami po meczu rugby, kiedy napompany testosteronem ociekał potem. Chciałam usłyszeć, co mają do powiedzenia najgorsze typy, nie jakieś świeżo wykąpane pedalki w gładkich pastelowych swetrach, których „Glamour” zdybał przy skubaniu rogalików w kawiarni. Nie chciałam wskazówek od facetów, którzy udzielali wywiadów kobiecym pismom, ponieważ najprawdopodobniej było to jedno wielkie gówno. Mimo wszystko jednak zamierzałam przeczytać kobiece magazyny i sprawdzić, co mieli do powiedzenia. Tamtejsze autorki z całą pewnością wiedziały więcej ode mnie, niczego zatem nie traciłam, czytając, co brygada skrzywionych panieś miała do powiedzenia o mężczyznach.

Przyniosłam resztę wybranych pism na ladę. „Maksimum dla niego”. Tłumaczenie: minimum dla niej. Badanie przeciwieństw. Na myśl o zgłębieniu się w tym kolosalnym stosie informacji ledwie mogłam powstrzymać szeroki uśmiech. Czulałam się jak szpieg, który ma przekroczyć granice innego kraju. Czulałam, że żyję.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zawsze wracam do domu tą samą drogą. Przecinam błękitną żyłę mostu Coronado, jadę prosto przez miasto, dopóki nie trafię w Alameda Avenue, potem posuwam się wprost w stronę oceanu. Codziennie mijam posterunek marynarki wojennej North Island i widzę tych samych facetów w mundurach pozdrawiających gestem ręki swoich towarzyszy. Przez pierwsze dwa lata, które tu spędziłam, nie mogłam zrozumieć, skąd marynarze wiedzą, kto jest wojskowym. Założyłam, że mają po prostu świetną pamięć i rozpoznają twarze całego personelu North Island. Babcia się roześmiała, kiedy jej o tym powiedziałam.

- Ty gąskol! Mają na szybach nalepki. Widzisz? - Wskazała na samochód przed nami i rzeczywiście, w rogu przedniej szyby znajdowała się mała naklejka marynarki wojennej. Właściwie nigdy nie chciałam wejść na teren bazy. Gdybym tego pragnęła, łatwo byłoby rzecz zaaranżować z pomocą babci. Pragnęłam natomiast, żeby facet w mundurze wyróżnił mnie oficjalnym kiwnięciem. „Wchodź, Mona. Witamy w naszym małym prywatnym klubie. Wejdz, proszę. Chcemy cię tu mieć”.

Prawdę mówiąc, moje ulubione fantazje seksualne rozgrywają się za murami bazy morskiej. Nie chodzi o facetów w mundurach. Znam kobiety, które to kręci, ale sama bez trudu mogłabym się zakochać w mężczyźnie w garniturze i krawacie, który też jest rodzajem uniformu. Mogłabym bez trudu dać się zauroczyć mężczyźnie w miękkim czarnym swetrze i spodniach khaki. Nawet nie chodziło o lokalizację. Raczej, jak sądzę, o znalezienie się za tymi murami. W niektóre noce moje marzenie zaczynało się od faceta przy bramie, który kiwa na mój samochód, w inne wyobrażałam sobie, jak wspinam się po murze i przeskakuję przez plot, po czym ląduję po drugiej stronie z podrapanymi kolanami i gałkami we włosach.

Kiedy dotarłam do domu z nowymi czasopismami, nalalam sobie szklankę mrożonej herbaty i wyniosłam lekturę na dziedziniec z tyłu. Moje podwórce jest przestronne według wszelkich standardów, ale gigantyczne, jeśli kierować się miarą z południowej Kalifornii. Regularnie co roku jakiś przedsiębiorca budowlany chce kupić trzy czwarte mojego podwórza, żeby zbudować tam dom. Zawsze zapewniam mnie, że nadal zostanie mi masa przestrzeni, opowiada jaką to klasę mają jego projekty, a potem odchodzi, rzucając mi tę samą wymęczoną starą kwestię o posiadłościach przylegających do oceanu – „już takich nie robią”.

Babcia zawsze twierdziła, że kiedy przedsiębiorca opowiada, jakie eleganckie domy buduje, to dlatego, że prawie zawsze łączy w całość niedopracowane modele spod sztancy, które odzwierciedlają gust ślicznej dwudziestopięcioletniej panny młodej.

– Każdy, kto chwali się swoją uczciwością, wyświadcza ci wsparcia przysługę – mawiała także. – To sygnał ostrzegawczy. Kiedy ktoś zaczyna mówić, jaki to jest uczciwy, bierz nogi za pas. Jeżeli ktoś jest uczciwy, nie ma potrzeby o tym mówić. Gdy budujesz eleganckie domy, z całą pewnością nie musisz zachwalać ich elegancji. Jeżeli ktoś wyjaśnia, kim jest, zamiast pokazać się w działaniu, możesz mieć pewność, że prawda jest dokładnie odwrotna.

Ilekróż robiliśmy razem zakupy, porozumiewaliśmy się tajnym językiem min. W salonie mercedesa właściciel nie przestawał opowiadać, jak to stworzył dla swoich pracowników drugi dom i jak uwielbiają pracę tutaj. Babcia rzuciła mi spojrzenie, które, jak wiedziałam, oznaczało: „A co to ma znaczyć? Czy badamy poziom zadowolenia z pracy wśród jego personelu?”. Nie kupiliśmy tego dnia samochodu, za to babcia jak kobieta w ciąży nabrała smaku na informacje o tym konkretnym salonie. Po półgodzinnym waleniu w komputerową klawiaturę wykrzyknęła ze swojego gabinetu.

– Wiedziałam!. Chodź no tu, Mona. Mam wyczulony instynkt czy nie?

– Cóż – rzuciłam, żeby się z nią podroczyć. – Jeżeli jest taki wyczulony, czemu masz potrzebę o nim mówić?

– Och do jasnej ciasnej, rusz pupę i zobacz, co znalazłam w internecie. – Kiedy przyszłam, ciągnęła. – Oskarżenie o molestowanie seksualne. Hm! Widzi dwie kobiety wchodzące do salonu i z miejsca zaczyna opowiadać o wielkiej szczęśliwej rodzinie, niskiej rotacji wśród pracowników i jak to wszyscy są u niego szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi. Ten biedny głupiec mógł mieć moje pieniądze w kieszeni jeszcze dzisiaj, gdyby po prostu skupił się na samochodzie. Guzik mnie obchodzi, jakiego rodzaju miejsce „stworzył” dla swojej drugiej rodziny sprzedawców.

– Babciu! – upomniałam ją. – Nie obchodzi cię, czy ten człowiek molestuje seksualnie swoich pracowników?

– W najmniejszym stopniu – odparła zdumiona, że mogłam w ogóle brać coś podobnego pod uwagę. – A czemu miałoby to mnie dotyczyć?

Odstawiłam mrożoną herbatę i zaczęłam czytać pisma, najpierw kobiece. „Naucz się, jak robić idealny masaż” – proponowało jedno. „Naucz się słuchać”. Hmm. Zobaczymy, co mają do powiedzenia męskie magazyny. Spojrzałam na stół zavalony czasopismami i wpadła mi w oko okładka z reklamą comiesięcznej kolumny dla facetów pod tytułem „Pieskie życie”. Idealnie! Mike Dougherty, „Pies”.

Co laski wiedzieć powinny – Mike „Pies” Dougherty

Moja była dziewczyna odjechała właśnie sprzed domu ciężarówką do przeprowadzek. Jeszcze kilka minut temu miałem wrażenie, że zostalaby, gdybym ją poprosił. Krążyła z miejsca na miejsce, chybając i robiąc pauzy oraz gadając o naszych problemach, jakby uciążliwy był „nasze”.

Skoro nie chciałem rozmawiać o tych tak zwanych kwestiach, kiedy byliśmy razem, czemu miałbym chcieć mówić o nich teraz? Zorientowałem się, co robiła. Czekala, żeby powiedział jej to, co chciała usłyszeć. I wiercie mi, nie trzeba geniusza, żeby się zorientować, co to miało być. Pewnej nocy, podczas jednego z tych niekończących się festiwali

uczuc (jej), wyjaśniła, co dokładnie powinienem mówić, żeby czuła się „wyjątkowa”. Teraz uwaga, przygotujcie miednicę, bo będzie gorzej.

Kiedy moja ostatnia eks zrozumiała, że wrzaski na mnie nie działają, autentycznie napisała dla mnie scenariusz. Wrzasnęła: „Mam ci napisać scenariusz?”. Powiedziałem, że nie, ale i tak to zrobiła. (I kto tu ma problemy z komunikacją?!). Nie żartuję, wręczyła mi kartkę papieru ze słowami, które chciałaby ode mnie usłyszeć. Zastanawiacie się pewnie, moi przyjaciele, co takiego znajdowało się na ściągach?

„Kocham cię”.

„Chciałbym, żebyśmy spędzali razem więcej czasu”.

„Cały czas o tobie myślę”.

„Mam wielkie szczęście, że z tobą jestem”.

Mając na uwadze poprawienie relacji męsko-damskich (boj, mają te cipki, więc co mamy robić, chłopaki, racja?), chciałbym zaoferować moim czytelnikom drobną darmową poradę. Mam nadzieję, że obie płcie ucieszy.

Po pierwsze, zacznijmy od tego, co czytawicie. Jeżeli z wami jesteśmy, to nam zależy. Albo was lubimy, albo kochamy. I tyle.

Po drugie, gdybyśmy chcieli spędzać z wami więcej czasu, to byśmy spędzali. Przykro mi, moje panie, ale taka jest prawda. Robimy to, czego chcemy. Zdarzają się wyjątki, czasami coś powstrzymuje nas od robienia tego, co naprawdę sprawia nam przyjemność, ale generalnie rzecz biorąc, jeżeli nie spędzamy z wami całej kupy czasu, to dlatego, że nie chcemy. Nie dlatego, że jesteśmy durkami. Dlatego że wszyscy – także kobiety – znajdują czas, żeby robić to, co sprawia im przyjemność. I żeby podsumować sprawę: jeżeli nie spędzamy czasu z wami, to prawdopodobnie dlatego, że w tym momencie jesteście niepiękne, mało zabawne albo wyglądacie beznadziejnie.

Po trzecie, nie myślimy o was przez cały czas. Oto o czym myślimy (zgodnie z hierarchią ważności): o seksie, sporcie, seksie, jedzeniu, seksie, pracy, seksie, gadżetach, seksie, łysie-

niu, seksie, tyciu. Taa, o was też myślimy, ale oto wskazówka: darcie ryja i pisanie scenariuszy nie jest seksowne, a jeśli nie wpasujecie się w czas, kiedy myślimy o seksie, upadacie w przegródkę „praca”. Nie powinniście kojarzyć się z pracą. Powinniście kojarzyć się z seksem.

Jest na świecie garstka facetów, którzy mieli dość szczęścia, by znaleźć naprawdę fajne babki, z którymi dzielą życie. Hej, czapki z głów, panowie, bo sam wiem, że to nietławne. Ale, moje panie, jeśli piszecie scenariusze, wysuwacie różne żądania, i narzekacie cały czas, bycie z wami to wcale nie takie szczęście.

I wreszcie przestańcie tworzyć te mentalne scenariusze, co to byśmy powiedzieli, gdyby nam „naprawdę zależało”. Nie spodziewajcie się, że którykolwiek facet zacznie czytać kwestie znalezione przez was w romansie. To kobiety je piszą – kobiety je czytają. Harlequin to język, jakim faceci nie mówią i nie chcą mówić. Oszczędźcie nam słuchawek z tłumaczeniem w stylu ONZ. Wolelibyśmy już raczej uczyć się japońskiego – jest łatwiejszy i jego znajomość dalej nas w życiu zaprowadzi.

I na koniec, moje panie, mówienie nam, co mamy powiedzieć albo zrobić, wkurza nas jak cholera. Jeżeli – pozwólcie, że powtórzę – jeżeli układasz scenariusze dla swojego chłopaka, masz problem z kwestią kontroli. (Widzicie, przyswoiłam sobie co nieco terminologię z waszego psychologicznego gędzenia. A myślałyście, że nie słuchamy).

Możecie mi wierzyć, że nigdy nie powiedziałem żadnej z powyższych rzeczy mojej byłej dziewczynie, i to mimo jej licznych próśb, żebym był „zupełnie szczerzy”. Kobiety twierdzą, że pragną komunikacji, ale to zaszyfrowane stwierdzenie „ja mówię, ty słuchasz”. Mężczyznom się wydaje, że mają szansę coś powiedzieć, ale lepiej, żeby chodziło o to, co kobiety chcą usłyszeć, bo w przeciwnym razie „jesteśmy wycofani emocjonalnie”. I co się stało z uczciwością?

Do następnego miesiąca, przyjaciele, nie dajcie się złamać tym sukcom.

Wpatrywałam się w artykuł z otwartymi ustami jeszcze długo po tym, gdy doczytałam ostatnie słowa. Co za obraźliwe, zużyte stare stereotypy na temat kobiet! O co tu chodzi? Co za banalne, nudne, pozbawione oryginalności końskie lajno. Ale czy rzeczywiście? Magazyn „Maksimum dla niego” należał do najwyższej ocenianych męskich pism w kraju, a „Pieskie życie” – sądząc po listach do redakcji – naprawdę przemawiało do facetów. Wszystko to takie skomplikowane. Moje życie wirtualnego pustelnika miało pewien urok i prostotę. Nie byłam pewna, czy jestem na coś takiego gotowa. Jedno natomiast nie pozostawiało wątpliwości. Jeśli miałam zaryzykować wyprawę we wspaniały nowy świat, potrzebowałam przewodnika. Psa przewodnika, że tak powiem. Zatrudnię Mike'a jako swojego doradcę. Konsultanta. Wszystkie pomysły, jak zrobić wrażenie na Adamie, dam Psu do obwąchania. Pies będzie najostrzejszym, najtwardszym, najbardziej złośliwym i najohydniejszym krytykiem, jakiego mogłabym znaleźć. Jeśli będę mogła trenować pod jego okiem, zostanę mistrzynią.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dwa tygodnie później Mike „Pies” nie odpowiedział na żadną z moich ośmiu telefonicznie przekazanych wiadomości. Jego asystentka Gwen zaczynała już być na mnie zirytowana, co, muszę wyznać, raczej sprawiało mi przyjemność. Nigdy wcześniej nie byłam natrętna. Gwen, młoda kobieta z brytyjskim akcentem, robiła wrażenie strasznie znudzonej swoją pracą.

– Przekażę pani wiadomość ponownie, panno Warren. – Wypowiedzenie tego siedem razy wyraźnie ją obciążało.

Greta zapukała do drzwi o wpół do ósmej rano ubrana w spłowie niebieskie spodnie od dresu i T-shirt z wypisanym kryształkami ostrzeżeniem „Nie zadzieraj z Teksasem!”, kiedy wyciskałam ostatnią pomarańczę przeznaczoną na śniadaniowy napój.

– Przepraszam, jestem parę minut spóźniona – oznajmiłam. – Tylko wstawię to do lodówki i ruszamy.

Kiedy wróciłam na dół w szarym dresie (bez ostrzegawczego napisu), Greta miała w ręku mój żółty notatnik sprzed telefonu.

– Kim, jeśli wolno mi zapytać, jest Pies? – zagadnęła, patrząc na mnie podejrzliwie.

– Och – zawahałam się jak dziecko przyłapanie na robieniu czegoś złego. – Pisze felietony w magazynie dla mężczyzn. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do niego z prośbą o poradę.

Greta obgryzionym paznokciem odsunęła z twarzy przydługie kosmyki grzywki. Zielone oczy wierceły się we mnie oskarżycielsko.

– Poradę w jakiej sprawie? – zapytała, chociaż już wiedziała.

– W kwestii facetów.

– Mona. – Westchnęła z rozczarowaniem. – Proszę, powiedz mi, że nie szukasz męskiej szowinistycznej aprobaty przed wystąpieniem z propozycją wobec tego całego Adama. Fakt, że facet

należycie zajmuje się twoimi podatkami, nie znaczy, że będzie do-
brym partnerem życiowym.

– Chodźmy już biegać. Pogadamy o tym po drodze – powie-
działam. Miałam nadzieję, że obie będziemy rozpaczyliwie dyszeć, co
uniemożliwi Grecie poddanie mnie brutalnemu przesłuchaniu na
temat planu, by Pies pokazał mi kilka nowych sztuczek. Nic z tego.
Szczupłe ciało Grety poruszało się jak ciało gazeli i bieg w najmniej-
szym stopniu nie obciążał jej oddechu. Ja przeciwnie, nie biegałam
od czasów lekcji wuefu w szkole średniej, ale obiecałam Grecie, że
w ramach tworzenia mojego nowego „ja” poświęcę czas dla własne-
go zdrowia. Bieganie z nią dwa razy w tygodniu i wegetariańska ko-
lacja co niedzielę – wymusiła to na mnie. Powiedziała, że zdrowszy
styl życia pomoże mi jaśniej myśleć. Wiedziałam też, że usunie te
pięć kilogramów nadwagi z mojego amorficznego ciała.

– Więc powiedz – zaczęła Greta – co, do licha, jest tak wyjąt-
kowego w Adamie Ziegredzie, że popadłaś w taką histerię? Podaj
mi trzy powody, dla których powinnam przyklasnąć powodzeniu wa-
szego związku.

– Po pierwsze, nazywa się Adam Ziegler, nie Zigfried.

– Och, teraz mnie przekonałaś. Co za wspaniały powód.

– To nie powód. Chciałam ci to tylko powiedzieć, żebyś zaczę-
ła się przyzwyczajać do poprawnego wymawiania jego nazwiska.
W końcu niedługo będzie to także moje nazwisko. – Uśmiechnęłam
się, udając pewność siebie.

– Masz zamiar przyjąć nazwisko męża? Czy kiedy skończysz,
w ogóle cokolwiek zostanie ze starej Mony?

– Greta, naprawdę dramatyzujesz. – Przewróciłam oczyma, dy-
sząc i sapiąc, podczas gdy fale Oceanu Spokojnego biegnęły za nami.
– Z całą pewnością nie ja pierwsza przyjmę nazwisko męża. Przecież
nie odcinam sobie dla niego prawej nogi. – Ta konkretna kończyzna
przyszła mi na myśl tylko z powodu bólu, który ją w tamtym mo-
mencie przeszywał.

Kiwnęliśmy głowami innym biegnącym po gładkiej ścieżce
wzdłuż oceanu. Zbiorowisko skał wielkości opon samochodowych
tworzyło mur oddzielający nas od ekspansywnej białej plaży. Głęboko

ko nabrałam powietrza, częściowo, żeby wprowadzić do ciała tlen,
częściowo, żeby nasycić się rajem, który nas otaczał. Gdzie indziej
w tym kraju ludzie mogli uprawiać jogging wzdłuż obramowanych
palmami ścieżek przy plaży, w T-shirtach zaledwie tydzień przed Bo-
żym Narodzeniem? Wyglądało na to, że mój dziadek podejmował
same sprytne decyzje, poczynając od zakupu domu nad oceanem,
a kończąc na zostaniu jednym z pionierów w branży puskwanego
tuńczyka. San Diego, westchnęłam. Stanowczo Bóg miał dobry
dzień, kiedy stworzył ten skrawek świata.

– Kobiety nie muszą robić różnych rzeczy tylko dlatego, że ro-
biły je inne kobiety przed nimi. – Greta biegła lekkim krokiem.

– Co się stało z wolnością wyboru?

– Co się stało z wolnością myślenia?

– Masz całkowitą rację, Greta. Przyjęcie nazwiska Adama spr-
awi, że mózg mi wyparuje. Moja osobowość zostanie wchłonięta
przez niego bez śladu. Jestem aż taka głupia. Czemu tak strasznie
się temu sprzeciwiasz, skoro wiesz, że to mnie uszczęśliwi?

Greta nie patrzyła w moją stronę, kiedy odpowiadała. Przele-
ciały samoloty wojskowe, ale nic nie mogło jej zdekoncentrować.

– Po prostu nie wierzę, że inni ludzie potrafią człowieka
uszczęśliwić – oświadczyła, zdecydowanie mając na myśli coś więcej
niż tylko Adama Zieglera. – Mona, jesteś cudownym człowiekiem,
ale serce mi pęka, bo najwyraźniej nie zdajesz sobie z tego sprawy.
Zauważyłam, że jednak nie podałaś mi tych trzech powodów. I co ty
sobie, na Boga, myślisz, chcąc pytać o radę tego dumia Psa?

– Czytałaś jego rubrykę? – zapytałam.

– Słyszałam o niej. Jest przerażająco szowinistyczny.

– Dokładnie o to chodzi – wyjaśniłam. – Zawsze mi powta-
rzasz, żebym stanęła twarzą w twarz z tym, czego się boję. Wierz mi,
czytałam jego felieton i ten facet budzi lęk. Pozwoli mi od podsze-
wki poznać sposób męskiego myślenia i nie będzie się przejmował po-
lityczną poprawnością. To prawdziwa szansa, ma uprzywilejowaną
pozycję w męskim świecie.

– W takim razie czemu miałabyś chcieć się związać z neander-
talczykiem o małym mózgu?

– Nie chcę. Adam zupełnie taki nie jest. Adam jest wrażliwy, delikatny i uprzejmy, ale jeśli będę w stanie zrozumieć mężczyzn w działaniu oczyma kompletnego dumia, bez problemu poradzę sobie z Adamem.

– To kompletnie bez sensu.

– Nie dla mnie i szczerze mówiąc, niepotrzebna mi twoja aprobata tej czy innych moich decyzji. I jak to wygląda pod względem kondycji emocjonalnej?

– Powiedziałabym: krok do przodu, dwa do tyłu.

Kiedy przebiegaliśmy niecały kilometr, nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

– Nie mam dziś rano żadnych pacjentów. Może wypijemy kawę w Starbucksie? – zapytała Greta.

– Jasne, ale muszę być z tobą szczerą. Ja z kolei nie mam już dziś rano cierpliwości. Możemy porzucić temat Adama?

– Z rozkoszą porzucę Adama. – Uśmiechnęła się. – Dobra, odpuszczę ci. Wiem, że czasami bywam jak wrzód na tyłku, ale zrozum, tylko dlatego, że mi na tobie zależy. – Zabrzmiła w tym stwierdzeniu czysta prawda, wiedziałam, że nie byłabym w stanie długo gniewać się na Gretę. Czasami miała idealne wycucie chwili.

Zmieniłam temat, gdy szliśmy nieskazitelnymi chodnikami Coronado.

– Hej, a co się stało z tym facetem z Austin?

– Jakim facetem? – zapytała Greta.

– Halo? Tym, z którym mieszkałaś. Tym, z którym „po prostu nie wyszło i nie chcę o tym rozmawiać”. Pamiętasz?

Szliśmy w milczeniu, aż dotarliśmy do pustego Starbucksa.

– Dzień dobry, Greto – zagadnął sprzedawca. – *Mocha latte venti*? – Skinęła głową, żeby potwierdzić. – A co dla pani?

Greta mieszała bitą śmietaną, aż całkiem rozpuściła się w kawie.

– Przepraszam, Mona. Wiem, że obiecałam odpuścić ten temat, ale muszę zapytać: jakim cudem jesteś taka pewna, że to ten jedyny?

– Proponuję ci układ. – Westchnęłam. – Powiem ci to, co chcesz wiedzieć o Adamie, jeżeli ty mi powiesz, co takiego okropne-

go było w twoim rozstaniu, że musiałaś przeprowadzić się z powrotem do domu.

Greta przeniosła ciężar z jednego pośladka na drugi.

– Zwykle powody – oświadczyła nienaturalnie pogodnie. Chciałabym mieć takie mięsiste wargi jak ona, takie pełne i wygięte u dołu. Moje wyglądają jak u muppetów, twarz otwiera się jak przecięta, bez brzęgu, który odznaczałby usta. – Nie układało nam się, więc trzeba było się rozjeść.

– To dosyć nudne – uznałam.

– To prawda.

– I naprawdę nie ma w tym nic więcej?

– Taka jest moja wersja.

– Nie wierzę – powiedziałam. – Zawsze chodzi o coś więcej.

– Nie zawsze. W porządku, twoja kolej.

– Hm. Niech pomyślę – zaczęłam. – Po pierwsze, pomiędzy mną i Adamem działa chemia. Nie możesz nie docenić siły czystego po- ciągu fizycznego. Po drugie, Adam pochodzi ze wsłaniałej rodziny. Są sobie tak bliscy, że jak mi mówiła babcia, spędzają razem wakacje. Udaje im się nawet raz w miesiącu organizować niedzielne obiady. Uważam, że to słodkie. Chcę w takiej rodzinie wychowywać dzieci. – Greta znów poruszyła się niespokojnie. – I po trzecie, sama nie wiem. Coś w nim jest. Sprawia, że kręcą mi się włosy. Sprawia, że mam ochotę nawinąć włosy wokół palca, wskoczyć na łóżko i gadać z nim przez telefon całą noc. Sama nie wiem, Greto. Po prostu go kocham. I tyle. Nie umiem ci powiedzieć dokładnie dlaczego, ale mam w brzuchu uczucie, że jest tym jedynym. Znasz to uczucie, kiedy słyszysz muzykę, która naprawdę do ciebie przemawia? Czujesz się, jakby ktoś narysował mapę wskazującą drogę prosto do twojej duszy, a muzyka idzie tą drogą, wsącza się w ciebie przez skórę i wszystkimi kanałami dociera do samego twojego rdzenia. Części, do której rzadko zaglą- dasz, bo jest tak delikatna, że jeśli zrobisz choć wdech, rozplaczesz się z powodu niesamowitego wszechogarniającego uczucia szczęścia. Wiesz, o co mi chodzi? Tak właśnie się czuję, kiedy myślę o Adamie, i nie mam tu żadnego logicznego wytłumaczenia. I kompletnie tego nie żałuję. Żałuję tylko, że tak długo czekałam, żeby po to sięgnąć.

Greta zastanawiała się nad tym, co powiedziałam. Widziałam, że w duchu rozważa kilka kolejnych kontrargumentów, zanim wystąpiła z tym konkretnym.

– Ależ ty wcale po to nie sięgasz. Mona, opowiedziałas mi o Adamie dwa tygodnie temu i do tej pory nawet nie sięgnęłaś po telefon. Obawiasz się, że prawdziwy Adam Ziegler nie dorasta do twoich marzeń?

Usiłowałam nie dopuścić do tego, żeby zwilgotniały mi oczy, ale po chwili patrzyłam na Gretę przez zbierające łzy.

– Nie. Obawiam się, że prawdziwa Mona Warren nie wystarczy. – Wzięłam głęboki wdech i powstrzymałam łzy.

Staram się nie płakać za często; kiedy już płaczę, trwa to całymi godzinami i wyczerpuje mnie śmiertelnie. Gdy naprawdę zacznę, gwałtownie lykam ślinę, szlocham i robi się straszne zamieszanie. Co kilka lat nie jestem w stanie się opanować, ale wyznaję zasadę, że trzeba próbować powstrzymać płacz, zanim się zacznie.

– Mona, przepraszam – powiedziała Greta, biegnąc do lady po serwetki. – Nie chciałam cię zdenerwować.

Zwinęłam brązową serwetkę w rożek i wetknęłam koniec w kącik oka. Czulałam, jak łzy wskakują na serwetkę, umykając z mojej nieszczęśliwej twarzy.

– Sama nie wiem, co robię – oznajmiłam, pociągając nosem. – Nie mam pojęcia, co robię. Dlatego próbuję zatrudnić Psa, żeby pomógł mi pojąć, czego chcą mężczyźni. Wiem, że powinnam się skoncentrować na tym, czego sama chcę. Tak zrobię. Zrobię, obiecuję. Ale najbardziej pragnę Adama i kompletnie nie mam pojęcia, jak się zachować przy facecie. Nigdy nawet nie miałam chłopaka i jestem przerażona, że wpadnę do jego biura i odleczę z powodu napięcia, zacznę gadać jak idiotka i wszystko spałę.

Kiedy wróciliśmy do domu, rzuciłam okiem na sekretarkę, żeby sprawdzić, czy Pies odpowiedział na wiadomość. Greta wzięła do ręki mój notes.

– Czekasz na Psa? – zapytała.

– W pewnym sensie – przyznałam. – Nie rozumiem, czemu nie oddzwania.

– Co byś powiedziała na to, żeby spędzić dzień Bożego Narodzenia z moją rodziną, całą naszą gromadą? – zaproponowała.

– Okej.

– Więc dobrze. A teraz zrobię coś dla ciebie. Pozwól mi ponownie stwierdzić, że moim zdaniem prośenie o radę mężczyźną, który nazywa siebie Psem, to absurd, ale nie zdołasz w pełni się przekonać, jak bardzo jest bezużyteczny, dopóki sama tego nie sprawdzisz. Dotrę do niego i ustalę termin tego głupiego spotkania, ale gwarantuję, że odrzuci twoją ofertę. Nie, cofam. Po spotkaniu z nim przekonasz się, że nie potrzebujesz jego rady, i nie zaoferujesz mu niczego oprócz podróży do frontowych drzwi, w jedną stronę.

– Ale jak? Dzwoniłam już do niego osiem razy – wyjaśniłam.

– Dzisiaj pasuje? – zapytała Greta.

– Skinęłam głową.

– Ale jak zamierzasz...?

– Ma przyjść do ciebie do domu, czy wolisz spotkanie w kawiarni?

– Ee, tutaj, ale on nie...

Uniosła rękę, żeby mi przerwać, i zaczęła wybierać numer.

– Pewnie wyjechał na urlop – wyszeptalam.

Nagle Greta zaczęła mówić z nieskazitelnym brytyjskim akcentem. Wystarczająco nieskazitelnym, miałam nadzieję, żeby oszukać angielską sekretarkę Mike'a.

– Tak, dzień dobry. Proszę mnie połączyć z biurem Psa.

– Przeستاń z tym akcentem, jego asystentka jest... – nie zdołałam skończyć.

– Tak, dzień dobry Gwen. Tu Felicity z biura Claudii Schiffer. Pani Schiffer jest wielką fanką Psa. Uważa, że to całkiem zgrabna rubryka. Zatrzymuje się dziś wieczorem w San Diego i chciałaby wiedzieć, czy pan Dougherty zechce przyłączyć się do niej podczas kolacji. – Zrobiła kolejną pauzę. – Tak, oczywiście poczekam. – Pauza. Wyraz twarzy Grety oznajmił, że Mike podniósł słuchawkę. – Tak, dzień dobry panie Dougherty... tak, oczywiście, Pies. Dobrze, znakomicie, znakomicie, Claudia będzie zachwycona. Pozwoli pan, że podam adres prywatnego domu, w którym się zatrzymuję. Ufam,

że wykaże się pan dyskrecją w tej kwestii, zgadza się? – Pauza. – Cudownie. W takim razie, powiedzmy, siódma. – Greta podała mu swój adres, mimo że nie przestawałam błagać na miigi, by odłożyła słuchawkę.

– Coś ty zrobiła, do cholery?! – wrzasnęłam, kiedy się rozłączyła.
– Zaaranżowałam twoje spotkanie z tym panem Psem. Czy nie tego chciałaś?

– Greta, to nie jest jakiś przyjazny piesek! Przeczytaj ten felieton. – Wepchnęłam jej w ręce otwarty egzemplarz „Maksimum dla niego”. Gdy przeglądała pismo, ciągnęłam: – Przyjdzie tu, zobacz, że jestem jak najdalej od bycia Claudią Schiffer i nie wiadomo, co zrobi. – Zaczęłam gorączkowo chodzić w kółko, kiedy czytała artykuł. – Dostanie szalu, kiedy się tu zjawi. Zadzwoń i odwołaj. Daj mi telefon, żebym ja mogła to odwołać. Wścieknij się, kiedy tu dotrze i nie będzie Claudi Schiffer. Hej, Pies, zgadnij, kto nie przyjdzie na kolację? A zamiast niej masz mnie?!

Greta roześmiała się, podnosząc wzrok znad magazynu.

– Mona, powiedziałaś, że tego chcesz. Jeżeli chcesz konsultanta, musisz się najpierw z nim spotkać. Ja ustaliłam spotkanie, to wszystko. Jeżeli czegoś chcesz, musisz sprawić, żeby do tego doszło.

Czy chciałam? Po co zatrudniać doradcę, który jest psem, podczas gdy Adam to książę? Czy Mike był dla mnie jak Nowy Jork? Jeśli uda mi się z nim, wszędzie mi się uda? Czy raczej wykorzystywałam go jako kolejną taktikę opóźniającą? Kolejną wymówkę, żeby odsunąć w czasie przypuszczenie ataku na Adama?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy powiedziałam Grecie, że nigdy nie miałam chłopaka, nie do końca byłam szczera. Ale działo się to tak dawno temu, że trudno rzecz uznać za realne doświadczenie.

Gdybym dorastała na amerykańskim przedmieściu, Todd byłby chłopakiem z sąsiedztwa. Jako produkt tej samej komuny na farmie, którą nazywałam domem, był chłopakiem, który sypiał po przeciwnej stronie zasłony dzielącej dziecięcą sypialnię.

Moi rodzice i ich przyjaciele kupili dużą działkę w Montanie zaledwie trzy tygodnie po tym, gdy Ronald Reagan został po raz pierwszy wybrany na prezydenta, i tej wiosny zaczęli budowę domu. Miałam dziewięć lat i pamiętam masę przyjaciół rodziców, którzy mówili, że wyjeżdżają z kraju, przeprowadzają się do Kanady, wszczynają rewolucję albo coś równie drastycznego. Rodzice i trzy inne pary, razem z którymi uczyli się w college'u, faktycznie zrealizowali swoje zamierzenie. Stwierdzili, że chcą zbudować wspaniały dom w samym środku pustkowi, hodować zwierzęta, organiczne warzywa, samodzielnie szyć ubrania, przygotowywać pożywienie i żyć z ziemi. Żyć z własnej pracy, zamiast polegać na świecie zewnętrznym. Wszystko, od jedzenia po meble, miało być wykonane przez naszą nową, powiększoną rodzinę.

Pierwszej nocy w Missouli Jessica i ja odnalazłyśmy się w partnerskim cynizmie wobec całej tej dziwacznej idei komuny wymarzonej przez naszych rodziców. Każda z nas obstawiła, jak długo to potrwa i jak się skończy. Postawiłam dziesięć dolarów, że zwierzęta pouciekają, kiedy tylko zjedzą wszystkie warzywa. Rok, góra. Jess uważała, że dorośli zaczną sobie działać na nerwy najdalej za sześć miesięcy i każdy pójdzie swoją drogą przed Gwiazdką.

Nasze nadzieje na niepowodzenie całego przedsięwzięcia przyniosły wręcz odwrotny efekt. (To tyle, jeśli chodzi o wyznawaną

przez Freddy'ego filozofię, że myśli manifestują się w rzeczywistości. Co wieczór wybuchy śmiechu trwały coraz dłużej. Dorosli stale powtarzali, jakiego to błyskotliwego dokonali wyboru. Asia odmawiała swoje błogosławieństwo dla stworzonego przez nich rajku przed każdym posiłkiem. Kolacje były tak obfite, że przypominały rycerskie uczy. Dopiero teraz potrafię docenić zalety produktów, które sami zasadziliśmy i wyhodowaliśmy. Jedliśmy posiłki z talerzy, które Asia sama wymodelowała na kole garncarskim i poszkliwiła. Na stole, który wykonał mój ojciec. Przy świetle waniliowych świec, które ręcznie zrobiła moja matka. W domu, który zbudowaliśmy. W życiu, które stworzyliśmy. Z ludźmi, których wybraliśmy na naszą rodzinę.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie Jessica i ja przeżyliśmy objawienie, że Todd jest cudowny. Nie było szkoły, która odmierzalaby czas kolejnymi klasami jak w naszym poprzednim życiu. W każdym razie było to w tym samym roku, co „Czerwone przyjęcie” Jessiki. Pamiętam, bo była zawstydzona, że Todd wie o jej pierwszej miesiączce, więc musiało to być gdzieś w okolicy naszych trzynastych urodzin. Siedzieliśmy na werandzie, przyglądając się mężczyznom, którzy rąbali drewno, udając, że czytamy zadane *Opowieści kanterberyjskie*, ale tak naprawdę zerkałyśmy znad kartek na opalony i niedawno rozrośnięty tors Todda, który przeżył się z każdym zamachem siekiera.

Todd właśnie zdał test umiejętności szkolnych i wszyscy wiedzieliśmy, że na jesieni wyjedzie do szkoły należącej do Ivy League. Wszyscy zawsze twierdzili, że Todd jest genialny, ale Jessica i ja uważaliśmy, iż to tylko takie hipisowskie brednie. Uważaliśmy, że jest dosyć bystry i strasznie piękny ze swoimi falistymi czarnymi włosami do ramion i budową charakterystyczną dla Indian Salisha. Ale kiedy rok przed obowiązującym terminarzem przystąpił do testu przygotowawczego i osiągnął wynik 1440, idealny wynik w matematyce, z pewnymi oporami, ale jednak przyjęliśmy do wiadomości, że może naprawdę jest genialny.

Dorośli nie byli zachwyceni jego chęcią pójścia do szkoły Ivy League, ale też gorąco popierali wybór własnej drogi dokonywany przez

nas, dzieci. Uważali, że Yale czy Dartmouth, które w pierwszym rzędzie wybrał Todd, były za bardzo elitarne i obawiali się, iż jego wartości zostaną tam nadwyrężone. Francesca zapewniała ich, że jeśli właściwie chłopaka wychowali, mogły pójść na uniwersytet w samym piekle i wyjść stamtąd jako dobry człowiek. Może nawet lepszy.

– Ten chłopak całe swoje życie uczył się z książek, czym są przywileje i władza – wyjaśniała Francesca przy kuchennym stole, kiedy debatowano nad tą sprawą. – Pozwólmy mu doświadczyć ich na własnej skórze. To środowisko sprawi, że stanie się bardziej współczujący. Nie zakładajmy, że środowisko go zmieni. Todd to silna osobowość, którą musimy teraz podzielić się ze światem. Pomyślcie o miłości, którą nasz chłopak zaniesie światu. – Jej oczy wypełniły się łzami, a Jessica wzniosła wzrok do nieba.

Todd i ja nigdy nie poszliśmy na prawdziwą randkę jak normalne nastolatki. Ale zdecydowanie stanowiliśmy parę i wszyscy o tym wiedzieli. Stało się to tego lata, kiedy obchodził siedemnaste urodziny. Właściwie to na jego przyjęciu urodzinowym. W naszej rodzinie urodziny były hucznie obchodzone. Dla każdego urządzano się wielkie przyjęcie, którego temat sam wybierał. Dzieciaki i starsi byli szczególnie wyróżniani dęciem w rogi, rytuałami i czytaniem poezji. Oni naprawdę wiedzieli, jak celebrować życie, to muszą przyznać. W każdym razie Todd wybrał temat „przyjęcie na plaży”, co oznaczało, że zrobiliśmy wielkie ognisko i ułożyliśmy dookoła niego koce.

Ze skrzynki obiecująco wyglądały torby ciastek, pianek i czekoladek Hershey. Widok paczkowanej żywności był w naszym domu rzadkością. Słyszeliśmy, jak Freddy pouczał młodsze dzieci na temat pakowania słodyczy, pytając, czemu ich zdaniem producenci używają ilustracji z misiem na plastikowych opakowaniach.

– Bo jest miły – odpowiedział mój brat Oscar.

– W porządku, ale zróbmy krok dalej i porozmawiajmy o tym, dlaczego firma produkująca pianki chce mieć miłe obrazki z misiami na swoich torebkach. – Wывód został przerwany, bo główka Oscara opadła Freddy'emu na kolana.

Tego wieczoru moja mama zaśpiewała dla Todda, zmieniając rodzaj w tekście Beatlesów *I Saw Her Standing There*. Kiedy zaśpiewała,

że „miał tylko siedemnaście lat”, i zapytała, czy wiemy, co ma na myśli, zaczerwieniłam się. Bardzo dobrze wiedziałam, co miała na myśli. Wiedziałam też, że to oznacza pożegnane przyjęcie przed jego wyjazdem do college'u za rok od teraz. Tak przynajmniej myślałam. Nie wiem, co sobie myślał Todd, ale spotkaliśmy się wzrokiem nad ogniem, patrzyliśmy na siebie o sekundę za długo i oboje wiedzieliśmy, że to drugie jest zainteresowane. Poczuliśmy wibracje, jak nazywali to moi rodzice.

Morgan pojechał do miejsca odległego o godzinę drogi, żeby kupić dwa tuziny homarów, które Todd chciał mieć na urodzinowym plażowym przyjęciu. Todd nigdy w życiu nie próbował homara, więc nie chodziło o to, że była to jego ulubiona potrawa. Raczej chciał liźnąć różnych frykasów, żeby nie sprawiać wrażenia indiańskiego przybłądy z komuny w Montanie. Moim zdaniem dręczył go lęk, że w college'u dzieciaki będą łązić po kampusie, gadając o jachtach i tenisie, zakąszając kawiozem i sącząc szampana podczas meczów polo. Wiedziałam, że wszystko to potwornie go onieśmiela, ale i tak pojedzie. To była jedna z rzeczy, które naprawdę w nim uwielbiałam. Wiedział, czego się boi, ale nie pozwalał, żeby strach powstrzymał go przed działaniem.

Kiedy opalaliśmy się nad jeziorem, powiedział mi, że chce pójść na uniwersytet należący do Ivy League przede wszystkim po to, by zmierzyć się ze standardem, który go przerażał. Greta byłaby nim zachwycona.

– Bogaci ludzie mnie przerażają – przyznał, rysując palcem linie w piasku przed nami. – Wszyscy tu mi mówią, jaki jestem inteligentny, ale ja muszę się zastanawiać, z czym mnie porównują, wiesz? „Karty postępów”, które mi wystawiają, zawsze są na „super-plus”, ale co to znaczy? Pytam ich, czy w normalnej szkole byłbym szóstkowym uczniem, a oni mi mówią, że nie ma żadnych ocen, które mogłyby scharakteryzować moje osiągnięcia. Rozumiem, co mówią, ale to jednak nie daje odpowiedzi na moje pytanie, wiesz?

– Todd, miałeś idealny wynik z matematyki w teście umiejętności. – Chciałam mu dodać pewności, sięgnęłam ręką do jego przedramienia. Leżał na brzuchu i przewrócił się na bok.

– Tak, ale miałem tylko sześćset czterdzieści punktów z angielskiego. Wiesz, co to znaczy?

– To znaczy, że miałeś wynik lepszy niż większość dzieciaków w tym kraju – powiedziałam. – Bogatych dzieciaków, dzieciaków, które chodziły do normalnych szkół, większość z nich zdawała ten sam test.

– Sześćset czterdzieści to wcale nie tak dużo – zauważył. – Nie na poziom Ivy League. I nie jestem kapitanem drużyny futbolowej ani nie mam mnóstwa dodatkowych zajęć. Kiedy zobaczą, że miałem z angielskiego tylko sześćset czterdzieści, pomyślą, że jestem jakimś dumnym indiańcem, który ma głowę do liczb. Muszę poszerzyć słownictwo – oznajmił nerwowo.

Nie chodziło o to, że Todd tylko gadał o zgłębieniu łacińskiej etymologii i osiągnięciu lepszych wyników z angielskiego w teście. Kiedy twierdził, że musi poszerzyć słownictwo, mówił to, co myślała większość z nas, starszych dzieci – że nie posługujemy się językiem prawdziwego świata. Nasi koledzy z college'u będą rozmawiać o filmach i programach telewizyjnych, których nigdy nie widzieliśmy, będą mieli faworytów wśród drużyn sportowych, których nie znamy. Oczywiście jako czeladnik mojego ojca Todd potrafił robić meble. Należał do niewielkiej grupy amerykańskich nastolatków mówiących płynnie po rosyjsku. Grał na pianinie, gitarze basowej, saksofonie i harfie. I znał każdą roślinę i kwiat rosnące w stanie Montana, jeśli nie w całym kraju.

– Todd, spokojnie – powiedziałam zachwycona rolą jego powiernicy. – Nawet się nie uczyłeś do tego testu. Kupisz jedną z tych książek, powkuwasz słownictwo i kiedy przyjdzie pora na test, założę się, że przekroczysz siedemset punktów.

Todd westchnął, a potem z poczuciem winy, że zmonopolizował rozmowę, zmienił temat. Wbił we mnie wzrok.

– Jesteś piękna – powiedział.

– Widzisz, moim zdaniem masz świetne słownictwo. Uwielbiam twoje słownictwo. – Zachichotałam.

– Wspaniale się przy tobie czuję, Mona. Tak łatwo się z tobą dogadać.

Uwielbiałam moją nową rolę jego dziewczyny. Todd, bez najmniejszych wątpliwości oszalamiająco cudowny, wybrał mnie, w takim razie byłam wspaniała przez analogię. Jeżeli uważał, że jestem piękna, musiałam taka być. W końcu był przecież geniuszem.

– Uwielbiam twój uśmiech – szepnęłam nieśmiało, bojąc się przytłoczyć go falą zachwytu nad tym wszystkim, co w nim kochałam.

– Uwielbiam w tobie wszystko, Mona.

– Ja też wszystko w tobie uwielbiam.

– Kocham cię – powiedział po raz pierwszy.

– Ja też cię kocham.

Długo po skończeniu college'u pojechałam do New Haven w stanie Connecticut na konferencję dla inżynierów i odwiedziłam kampus Yale. Uśmiechnęłam się z głębokim żalem, bo Todd nigdy nie odkrył, że tamtejsi studenci jedli big maki i nosili bawełniane meksykańskie bluzy z kapturami, takie same jak jego bluza. Masi dzieciaków ubierała się w sprany dżins, miała konopne naszyjnik i proste koszule, dokładnie takie, jakie nosiliśmy. Moda hipisowska.

W naszym domu w Missouli nie obchodziliśmy Gwiazdki, bo dorośli uważali, że święta stały się zbyt skomercjalizowane. Zamiast tego robiliśmy z aluminiowej folii i celofanu półcalowe gwiazdki i całe ich setki wieszaliśmy na żyłce pod sufitem. Freddy zamontował oświetlenie, żeby gwiazdki delikatnie świeciły, tworząc nastrożone zimowych nocy wewnątrz domu. Mój ojciec i Freddy zrobili z kamienia księżyc cienki jak kartka papieru i podświetlili go od tyłu na niebiesko. Nawlekaliśmy na nitkę różne suszone jagody i obwiązaliśmy jemiółkę własnoręcznie wykonanymi kokardami z koronki i zasuplanej jedwabnej wstążki. Dzieciaki malowały gliniane paciorki w kolory tęczy i robiły „boże oko” z domowej, farbowanej w sok z warzyw przędzy nawiniętej na patyczki. Święteczne nakrycie stołu w stylu „House & Garden spotyka działaczy związkowych”.

Jedynie, co wolno nam było kupować na prezenty, to książki. Wszystko inne musieliśmy zrobić, korzystając z naszych talentów

* Krzyżyk z gałązek owinięty kolorową przędzą lub nicią używany jako ozdoba i amulet; popularny w Meksyku i pld.-zach. stanach USA.

Odrożyłam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pojechać do miasta i kupić Toddowi podręcznik Barrona do testów umiejętności, a potem Asia pomogła mi zrobić dla niego kubek do kawy, do nauki późno w nocy. Przed szklwieniem namalowałam na nim różowe kwiaty. Todd wyrzeźbił dla mnie zestaw szachów, bo wiele godzin spędzaliśmy, grając w tę grę. Prawdę mówiąc, używaliśmy szachów jako wymówki, żeby nie spać do późna i wyglupiać się, kiedy wszyscy poszli już spać. Pierwszym razem kiedy uprawialiśmy seks, wyszliśmy na palcach z domu do stodoły, kiedy pozostali udali się na spoczynek. Naszą wymówką – jak zwykle – była gorąca rozgrywka szachowa.

Rozmawialiśmy z Toddem o tym, że się pobierzemy, kiedy skończy Yale, ale jak sądzę, dla obojga było to raczej słodkim marzeniem niż realistycznym planem na przyszłość. Zawsze myślałam, że Todd spotka jakąś dzianą blondynkę z Yale, ożeni się z nią i będzie miał dwoje albo troje dzieci. Ja zostanę piosenkarką w skrajnie alternatywnej grupie rockowej. Teraz wydaje mi się to tak egzotycznym pomysłem – aż trudno uwierzyć, że sama na to wpadłam. Chociaż zdawałam sobie sprawę, że Todd i ja prawdopodobnie pójdziemy różnymi drogami, zawsze zakładałam, że pozostaniemy przyjaciółmi na resztę życia. I chyba tak się stało. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że jego życie będzie takie krótkie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nigdy nie przynosi kwiatów.

– „Maksimun dla niego”, październik

Chyba że dla Claudii Schiffer.

– poprawka z grudnia

Mocne stukanie w drzwi sprawiło, że podskoczyło mi serce. Puls gwałtownie przyspieszył, na skórze pojawiła się warstwa potu. Nadeszła godzina zapłaty. Siódma. Czas Psa. Co ciekawe, przyszedł punktualnie, chociaż zalecał, by na randki zjawiać się z dziesięciminutowym opóźnieniem, bez żadnych wymówek czy przeprosin. Zdaje się, że Claudia Schiffer stanowi wyjątek od tej reguły.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam przystojną męską twarz z wymownymi brązowymi oczyma i cieniem popołudniowego zarostu. Ciemnoblond włosy lekko się kręciły i opadały na bok w nieporządku, nieodparcie seksowny sposób. Dolną szczękę miał odrobinę, wystającą. Włożył dobrze skrojone spodnie, kaszmirowy sweter pod szyję w śliwkowym kolorze i miękkie brązowe mokasyny. W prawej ręce niedbale trzymał dwa tuziny czerwonych róż z gipsówką i zielonym przybraniem, co tworzyło bukiet imponujących rozmiarów.

– Hej – powitał mnie uprzejmie i nieważnie, jakby oczywista była moja funkcja asystentki supermodelki. – Mike Dougherty na spotkanie z Claudią.

– Proszę wejść – oznajmiłam. – Mogę zaproponować coś do picia? Lemoniadę? Piwo?

– Poproszę piwo.

Nalałam piwo do kufla, który zmroziłam przed jego przyjściem. Z chłopięcą nieśmiałością siedział na sofie, gdy umieszczałam różę w wazonie z poczuciem winy, że przyjął kwiaty przeznaczone dla niemieckiej supermodelki, której noga nigdy nie postąpiła w moim

domu. Wróciłam do salonu, usiadłam naprzeciw Mike'a i podziękowałam mu za przyjście.

– Jasne, nie ma sprawy – prychnął. – Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę mi pochwlebia, że lubi moją rubrykę. Proszę mi wierzyć, masa lasek nie darzy jej sympatią. – Spojrzenie Mike'a powędrowało za mnie, bo obserwował schody w oczekiwaniu na pojawienie się Claudii Schiffer. – Czy niedługo zejdzie?

– Wiesz, Mike, muszę ci coś wyznać – powiedziałam. Nie odzwalał się. – Naprawdę strasznie mi przykro... Po prostu nie odpowiedziałeś na moje telefony i tylko taki sposób przyszedł mi na myśl, żeby cię tu ściągnąć. Zresztą właściwie to nie ja. Moja przyjaciółka Greta zadzwoniła i oznajmiła, że jest asystentką Claudii Schiffer, byłam cała tuż nie, ale nie słuchała, bo naprawdę chciała, żebym... ee, uznała, że to dobry pomysł, abyśmy się spotkali, bo naprawdę mam dla ciebie za chęćającą propozycję i, i... proszę, mógłbyś coś powiedzieć?

Mike wyglądał na rozszoszczonego, ale nie całkiem rozumiał co mówię.

– Więc to ty jesteś Claudią Schiffer? – uściślił.

– Ależ nie... nie jestem Claudią Schiffer. Oczywiście nie jestem Claudią Schiffer, ale jeśli pytasz, czy Claudia Schiffer będzie tu dziś wieczorem, to, ee, cóż, muszę jeszcze raz przeprosić, ale, cóż, nie. Nie, nie udało się jej dotrzeć.

– Nie udało się jej dotrzeć? – dociekał.

– Właśnie.

– Nie udało? A może nie ma pojęcia, kim jesteś, i nigdy nie ustaliła tego bzdurnego spotkania?

Moje serce walilo jak oszalały sąsiad, który dobija się z informacją, że dom się pali. Rozpaczliwie potrzebowałam pomocy Psa, a jego dzielilo od wyjścia najwyżej sześćdziesiąt sekund.

– Ee, nie ma pojęcia, kim jestem – wyjąkałam. Mike wstał i chwycił kurtkę. – Słuchaj, naprawdę bym chciała, żebyś mnie wysłuchał, skoro już tu jesteś.

– Paniusiu, moim zdaniem jesteś psychiczna. – Ruszył w stronę drzwi.

Zaśmiałam się nerwowo.

– Zapewniam cię, że nie jestem psychopatką. Jestem po prostu wyjątkowo zdeterminowana. Możesz to zrozumieć? Naprawdę chciałam się z tobą spotkać, bo cenię twoje zdanie i chcę ci złożyć propozycję pracy. Więc zrobiłam to, co musiałam zrobić. – Był już blisko drzwi, a ja wiedziałam, że mam jakieś trzydzieści sekund, żeby wygrać sprawę albo stać się bohaterką dzisiejszej opowiadki w barze. – Słuchaj, przeczytałam twoje felietony z całego roku i zawsze twierdzisz, że niby to byś chciał, by kobiety potrafiły myśleć bardziej po męsku. Czy nie byłoby świetnie, gdyby kobiety naprawdę wiedziały, czego chcą faceci? Daję ci okazję, żeby tego dokonać. Stworzyć idealną dziewczynę. Pomyśl, cóż to by było za dzieło. Mógłbyś pisać o kobiecie, którą tworzysz w swoim laboratorium jak Frankenstein potwora, ee, narzeczoną Frankensteiną?

Daj sobie spokój z tym Frankensteinem. I tak uważa, że jesteś stuknięta.

– Jak w „Weird Science!” Wiesz, o co mi chodzi. Pomyśl o materiale, który zebralbyś do swojej rubryki. – Stał przy drzwiach z ręką na galcie. – Proszę cię, Pies. Po prostu chcę uczynić pewnego faceta niewiarygodnie szczęśliwym. Proszę. Sześć miesięcy. Zapłacę ci. – Na zmianę pieniędzy był gotów rozmawiać.

– Ile?

– Tysiąc miesięcznie – zaproponowałam.

– Co miałbym robić za ten tysiąc miesięcznie?

– Doradzać mi – wyjaśniłam. – Po prostu mówić mi, czego facet oczekuje od dziewczyny. Nauczyć mnie, jak stać się nieodpartą. Będziemy się spotykać raz w miesiącu, a resztę możemy załatwić przez telefon. Dziesięć godzin miesięcznie, maksymalnie. Proszę, Pies. Jestem zdesperowana. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia i naprawdę potrzebuję, ee, przewodnika.

– Psa przewodnika? – Rozesmiał się. – Wydajesz się miła, ale to byłoby jak pracować dla wroga. Należę do męskiej drużyny. Nie mogę jej nagle zdradzić i zostać twoją dobrą wróżką.

– Dwa tysiące? – zaproponowałam w odpowiedzi.

– Naprawdę mi przykro. Muszę zrezygnować. – Galka się obróciła.

- Dwadzieścia pięć tysięcy – jęknęłam.
 - Umowa stoi. – Uśmiechnęłam się. Zdjął rękę z galki i uścił moją dłoń, a ja rozkoszowałam się najbardziej wyczerpującym zwycięstwem w historii wojen. – Więc jak ci na imię?
 - Mona. – Uśmiechnęłam się. – Mona Warren.
 - No dobra. Więc może wypiszesz mi czek za grudzień i za czniemy od razu?
 - Teraz?
 - To jakiś problem?
 - Ee, nie, nie. Teraz jest super. Teraz jest świetnie. Pójdę po książeczkę czekową. Siadaj gdzieś, Mike. Odpowiada ci tam, gdzie byliśmy przed chwilą?
 Nie odpowiedział, ale wrócił na swoje miejsce na sofie.
 - Czy mógłbym dostać jeszcze jedno piwo, skoro jesteś na nogach?
 - Tak, oczywiście – zawolałam z gabinetu. – Mam zamówić pizzę?
 - Jest to jakiś pomysł.
 Wróciłam na kanapę, gdzie Mike został częściowo wchłonięty przez kordonkowe poduszki w kolorze burgunda. Rozparł się, położył ramię na oparciu, lewą kostkę umieścił na prawym kolanie. Usiadłam grzecznie w rogu, zajmując jedną piątą tego miejsca co on. Kiedy już zamówiłam pizzę zgodnie z upodobaniami Mike'a, objaśnił mi swoją strategię.
 - Słuchaj, należę do facetów, którzy mówią, jak jest. Nie urządzam wesołych pogawędek na dobry początek, żeby potem zakończyć pozytywnym akcentem. Mówię, co mi przyjdzie na myśl. Czy to będzie dla ciebie problem? – Potrząsnęłam głową, chcąc go upewnić, że żadne mile pogawędki nie będą potrzebne. – Jeżeli myślisz o tym na poważnie, będę musiał wywalać kawę na ławę, bez ogródek. Nie zaczniesz płakać, jeżeli zranię twoje uczucia, prawda?
 - Nie, nie, absolutnie, żadnego płaczu.
 - Świetnie, bo muszę ci powiedzieć, że zdołamy zrobić z ciebie niezłą laskę, ale trzeba się będzie solidnie napracować. Solidnie. A ja muszę się skupić na strategii i nie przejmować ranieniem twoich uczuć.
 - Dobra. Naprawdę uważasz, że mogę być laską?

- Westchnęłam.
 - To się da zrobić. Jesteś nawet niebrzydka, ale czeka mnie sporo roboty.
 - Jestem gotowa się uczyć. Nie mogę się doczekać.
 Mike uznał, że jestem zbyt pasywna, za łatwo się dostosowuję.
 - Powiedziałaś mi, że jesteś zdesperowana i podniosłaś cenę. Musisz porzucić ten sposób myślenia. Nic mnie nie obchodzi, czy ci odbija, bo zaraz wyjdę, musisz rozegrać to na chłodno, w stylu „hej, mam dla ciebie propozycję, przyjmujesz czy nie?”
 - Ale byś wyszedł!
 - Jesteś pewna? – Uśmiechnęłam się złośliwie.
 Pół godziny później zjawila się nasza pizza, dokładnie w chwili, gdy Mike mówił, że jestem zupełnie pozbawiona seksapilu. Nie przerywając żucia, doradzał mi, jak stać się bardziej atrakcyjną.
 - Masz przyzwoite ciałko, Mona, ale muszę się nieźle namęczyć, żeby wypatrzeć je pod tym fartuchem, który nosisz. – Przelknął i na tym samym oddechu ugryzł kolejny kawałek. – Masz miłą twarz, ale, uwaga, uwaga! W dzisiejszych czasach kobiety się malują. – Przyglądał mi się badawczo, oceniając od stóp do głów. – Musisz coś zrobić z włosami. Teraz tylko leżą i nic ci nie dają.
 - Och – westchnęłam smutno. – A co powinny dawać?
 - Układ jest taki, że nie czujesz się dotknięta. Chcesz znać prawdę, czy mam ci zapodać kupę beużytecznego gówna, po którym dobrze się poczujesz?
 - Kiedy skończysz już rozdzierać mnie na strzępy, powiesz, co mam z tym wszystkim zrobić, tak?
 Nie mogłam uwierzyć, ile ten człowiek jest w stanie pożreć pizzy. Jakim cudem był w tak dobrej formie, skoro wrzucał w siebie jedzenie jak listy do skrzynki?
 - Po pierwsze musisz zacząć ćwiczyć i wszystko podkręcić. Mogłabyś zgubić kilka kilogramów, ale nie więcej niż pięć, dziesięć. Nagram ci spotkanie z moją siostrą w sprawie ciuchów i włosów, bo nie pisałam się na pedalskie stylizacje. Jestem konsultantem wyłącznie w sprawach zachowania, jasne? Zapłać Vicki stówę za godzinę i zabierze cię na zakupy, umówi z dobrym fryzjerem i takie tam.

- Ee, dobra. Czy ona jest, ee, jak powinnam to ująć...?

- Niezła? - dokończył za mnie.

- Cóż, to znaczy, czy jest...

- Jest atrakcyjną dziewczyną i jeśli będzie miała czas, na pewno chętnie mi pomoże.

- Okej.

- Chyba najlepsza rada, jaką mogę ci dać od ręki brzmi: obserwuj seksowne kobiety. Zobacz, jak się noszą. Obserwuj, jak się poruszają, jak ubierają. Studiuj gry ich twarzy. Są urocze i wiedzą, jak korzystać z tego, co mają. Powinnaś pójść czasem do klubu ze striptizem i popatrzeć, jak dziewczyny rozpracowują tłum. Wiedzą, jak się w to gra.

- Jasne, dokładnie to zrobię. - Przewróciłam oczyma. - Już leczę do klubu ze zwitkiem dwudziestek.

- Pokaż się tam ze zwitkiem dwudziestek, a staniesz się bardzo popularna. - Mike się roześmiał. - Kumpel mi powiedział, że jego dziewczyna poszła na lekcję striptizu i było super. Wróciła całkiem odmieniona. Po jednych zajęciach załapała tę pozę „gorący ze mnie towar”.

- Ale ja nie chcę zostać striptizerką - zaprotestowałam. - Nie sądzę, że bym rozebrała się nawet dla Adama. Za bardzo bym się wstydziła.

- Wstydziłabyś się?

- Tak, czułabym się za bardzo spięta.

- Potrzebna ci ta lekcja, Mona - upierał się Mike. - Uwierz mi, chcesz wiedzieć to, co wiedzą te dziewczyny. Nie musisz się nigdy dla nikogo rozbierać, ale musisz pokonać to idiotyczne zawstydzenie. - Nieoczekiwanie spojrział na zegarek. - No, zrobiłem swoje. Siostra jest w tym tygodniu w Los Angeles, ale powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła zaraz w nowym roku, ustalicie termin na zakupy i zrobicie coś z włosami. Masz tu moją komórkę i domowy numer, gdybyś czegoś potrzebowała.

Przy drzwiach wyglądał na mniej niedostępnego niż przy spotkaniu przy wejściu do mojego domu.

- Wiesz, właściwie całkiem mi się dziś podobało. Może to ten świąteczny klimat albo co, ale naprawdę mam wrażenie, że robię coś

dobrego. Spłacam swój dług społeczeństwu. Hej, no to najlepszego. Pamiętaj, żadnych ciastek w czasie świąt i zapisz się na te lekcje.

Kiedy jego samochód zniknął z podjazdu, oparłam się o frontowe drzwi z szerokim uśmiechem, pełnym zadowolenia.

- Zrobiłam to - rzuciłam w pustkę.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy facet w rodzaju Mike'a może mi pomóc zdobyć mężczyznę takiego jak Adam. Ten drugi był moim wymarzoną, a pierwszy najgorszym koszmarem każdej kobiety. Jak dla mnie zdecydowanie oznaczał Nowy Jork. Uśmiechnęłam się, wspominając swój pierwszy pobyt w Nowym Jorku. Powiodło mi się tam. I znów mi się uda, wyjdę za Adama, dokładnie tak jak zaplanowałam. Pierwszy raz od lat miałam uczucie spokojnej pewności, że wszystko się uda.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mam urodziny w terminie wręcz idealnym dla kogoś, kto ukrywa się przed światem. Dzień ten wielki dzień ni mniej, ni więcej, tylko z Jezusem Chrystusem. To się nazywa zepchnięcie na drugi plan. Dzięki temu bożemu darowi (moim urodzinom, nie Jezusowi) nigdy nie musiałam znosić rzadka pracowników restauracji śpiewających „Happy Birthday”. Szkolni koledzy ani współpracownicy nigdy nie urządzali zbiórki pieniędzy na prezent dla mnie. Zawsze miałam wymówkę, żeby nie szykować przyjęcia. Czerpałam z tego faktu wielką pociechę, ponieważ to oznaczało, że nigdy nie będę znosić upokorzenia związanego z niską frekwencją na takim zebraniu towarzyskim.

W dniu Bożego Narodzenia Greta zadzwoniła wcześniej rano, żeby życzyć mi wszystkiego najlepszego i upewnić się, czy nadal mam w planie uczestnictwo w kolacji w domu jej rodziców. Natchniona przekonaniem Mike’a, że jestem materiałem na gorącą laskę, postanowiłam pobiegać po plaży, zanim wezmę prysznic i przebiorę się na spotkanie z Gretą. I zamiast biec cementową ścieżką, wspiąć się na kamienny mur i pobiec bosą wzdłuż linii brzegu.

Pierwsze święta z babcią spędziłyśmy, jedząc kolację w hotelowej restauracji i oglądając wystawy zamkniętych sklepów, co wyraźnie dało nam odczuć, że nasz rodzinny portret ma tragedię w tle. Wychódź z domu w pewien sposób pomogło uciec od konieczności patrzenia sobie w oczy z przeciwnych końców gigantycznego stołu w jadalni. Babcia bez trudu mogłaby zapełnić te miejsca grupą swoich przyjaciół, ale obu nam łatwiejsze wydawało się opuszczenie San Diego. Pewnie dlatego, że wypadek miał miejsce dokładnie w tym czasie. Właściwie nigdy tak naprawdę o tym nie porozmawialiśmy. Po prostu obie zawsze zakładałyśmy, że Boże Narodzenie spędzimy gdziekolwiek, byle nie w domu.

Zdarzały się lata, kiedy natykaliśmy się na bardzo rodzinne ko-
lacje świąteczne. Podczas przerwy semestralnej na Uniwersytecie
Kalifornijskim babcia i ja zatrzymałyśmy się w pensjonacie położo-
nym jakieś dwie godziny drogi od Dublina. Było to chyba najbo-
dziej przytulne, najcieplejsze miejsce na świecie, jakie widziałam.
Pensjonat prowadziła rodzina Henniganów, a babcia i ja byłyśmy
w tamtym tygodniu ich jedynymi gośćmi. Ta para emerytów miała
piątkę dorosłych dzieci mieszkających w promieniu sześciu kilo-
metrów z własnym potomstwem. Ściany u Henniganów zawieszono
oprawionymi w ramki fotografiami i pamiątkowymi talerzami
z miejsc, które odwiedzili. Cynowy kubek z ich herbem rodowym
dzielił miejsce na półce z pluszowym misiem w robionym na drutach
sweterku z miejscowej szkoły. Porzucona przed zakończeniem gry
plansza do scrabble leżała na stole obok pudełka ze srebrnymi
sztućcami, które czekały na polerowanie.

Babcia i ja czułyśmy się tam jak koty w porcie rybackim, lekkie
wstawione i przytulone do siebie pod jedną z licznych ręcznie zszyc-
wanych kółder porozkładanych po domu Henniganów. Ogień pło-
nął, a ludzie pili i przerzucali się opowieściami o najgorszych zi-
mach, jakie spadły na Irlandię.

Razem z babcią spędzałyśmy też Boże Narodzenie w Jerozolimie,
Australii, Tajlandii, Atenach, Rzymie, na Barbadosie i w Nowym
Jorku. Podróż do Nowego Jorku to były nasze ostatnie święta razem.
Jak klasyczne turystki zapuściłyśmy się na teren Central Parku w kon-
nym powozie, poszłyśmy na dwa przedstawienia na Broadwayu i na-
wet wjechałyśmy na szczyt oświetlonego na czerwono-zielono tatarasu
widokowego Empire State Building. Zastanawiałam się, ile par zapla-
nowało tam randkę od czasów *Niezapomnianego romansu*, jednego
klasyka filmowego, którego szczerze nienawidziłam. Nigdy nie mo-
głam zrozumieć, dlaczego Deborah Kerr nie zjawiała się na swoim
wózku inwalidzkim, żeby spotkać się z Carym Grantem. Babcia po-
wiedziała, że nie potrafił pojąć, jakim piętnem była wówczas niepeł-
nosprawność. Stwierdziła, że tamte czasy zupełnie nie przypominały
dzisiejszych, kiedy ludzie na wózkach są w reklamach Knartu. Ja
w każdym razie, gdybym była szaleńczo, namiętnie zakochana, miałam

być nadzieję, że mój Cary Grant będzie mnie uwielbiał bez względu
na wszystko. Przeczłogałam się przez wszystkie stopnie niedostosowa-
wanego wówczas do Ustawy o niepełnosprawnych Amerykanach ta-
rasu widokowego, dysząc i oblewając się potem, i oznajmiałabym
„Nie mogę chodzić, kochany, ale nadal potrafię kochać. Potrafię cię
kochać aż do ostatniego tchu”, czy coś równie dramatycznego, jakiś
szalony tekst, który może ująć płazem tylko w starym filmie.

Nie tylko mogłam chodzić, ale i biegać, więc stwierdziłam, że
powinam się do tego ostro zabrać, jeśli poważnie myślę o zgubie-
niu paru sugerowanych przez Mike'a kilogramów. Kiedy moje stopy
uderzyły o mokry piasek, zauważyłam, że ich ślad poćmiął, a po-
tem szybko znikł. Pomyślałam o poprzednich świętach i tym jednym
wieczorze, który spędziłam bez przewodnika po Nowym Jorku w rę-
ce. Wtedy pierwszy raz wypelzłam z własnego życia i zajrzałam w cu-
dze. Babcia uznała, że chce mieć wieczór dla siebie, więc poszłam
pieszo z hotelu Plaza do Greenwich Village. Zamierzałam zwołać
taksówkę, ale zajęli mnie uliczni sprzedawcy. Kupiłam puchaty nie-
bieski beret Kangol i szalik, które zdaniem pakistańskiego handla-
rza podkreślały kolor moich oczu. Kilka przecznicy dalej wybrałam
sobie naszyjnik i długie kolczyki zrobione ze starych żetonów do
metra. Od kobiety z żetonami kupiłam też pasek z kart MetroCard.
Na Trzydziestej Czwartej Ulicy mężczyzna imieniem Gunther sprze-
dawał zdjęcia Statui Wolności wykonanej przez siebie z podartego
na skrawki planu metra. Nawet nie zauważyłam, kiedy przeszłam te
cztery kilometry. Ani się obejrzałam, jak siedziałam w parku przy
Washington Square w nieświątecznie ciepłym nocnym powietrzu,
zabrząc o papierosa od mężczyzny, którego widok skłoniłby babcię
do mocniejszego ściśnięcia torebki.

Okazało się, że facet od papierosów ma uliczny zespolik, który
gra w parku za datki, a jednocześnie wymienia z przechodniami nie-
duże kopertki.

– Czym handlujesz? – zapytałam.

– Niczym nie handluję, skarbie – zaprzeczył z dobroduszym
uśmiechem. – Jak się nazywasz?

– Jak się nazywam? – roześmiała się. Zabrzmiło to, jakby miała wybór. I wtedy zdałam sobie sprawę, że faktycznie mam. – Ee, Monique.

– Siadaj, Monique, zaśpiewamy pioseneczkę o Monique. Biorze moje fajki, kradnie mi serce. – Z kieszeni czarnego welnianego płaszcza młody człowiek wyjął harmonijkę, a jego przyjaciel wziął do ręki gitarę odłożoną na ziemię i przerzucił przez ramię pasek we wszystkich kolorach tęczy. Usadawiłam się na metalowej barierze i słuchałam, gdy ta dwójka improwizowała piosenkę o „Monique, tak pięknej, że świat im znikł”. Zachichotałam. Może na nigdy w życiu nie siedziałaby w parku z handlarzami narkotyków, którzy układają o niej piosenki. Ale Monique dosyć się to podobało.

– Przyjmuję zamówienia, Monique – powiedział mój jamaicki Romeo. – Na przykład: wynieś śmieci, kochanie. Pocałuj mnie tu, pocałuj mnie tam. Zmień naszemu maleństwu pieluszkę. Kocham mnie całą noc, najdroższy.

Romeo palił coś bardzo mocnego, ale nie mnie to nie obchodziło. Widać było, że to nieszkodliwy muzyk, który wiązał koniec z końcem, handlując odrobiną trawy. Poza tym siedzieliśmy w środku pełnego ludzi parku. Mogło mnie spotkać najwyżej to, że zostanie aresztowana.

– Na moje oko wyglądasz na dziewczynę Beatlesów, Monique. Lubisz tych Beatlesów? – zapytał Romeo, a jego przyjaciel ryknął *A Hard Day's Night*, udając, że śpiewa dla mnie serenadę, tak że stałam się czymś w rodzaju teatralnego rekwizytu, a ludzie tymczasem wrzucali monety do pudła na gitarę.

– Jesteś muzykiem, Monique? – zapytał Scooby, gitarzysta.

– Muzykiem? Nie. Inżynierem.

– Postukujesz stopą i ruszasz ustami, jakbyś chciała grać z zespołem, Monique. Chcesz pograć z Romeo i ze mną? – Zdecydowanie zaprzeczyłam głową. – Twoja głowa kręci się na nie, ale twoje stopy stukają na tak. Którą piosenkę lubisz? Zagramy, a ty możesz nucić. – Z kieszeni płaszcza wyjął paleczki. – Stukaj nimi o plot, będziesz perkusistką.

Kiedy gitara rozbrzmiała pierwszymi akordami *Across the Universe* Johna Lennona, gardło mi się ścisnęło. Moja mama śpiewała tę piosenkę nam, dzieciakom, prawie co wieczór przed snem. Znałam każde zainspirowane kwasem słowo, włącznie z fragmentem w sanskrycie, w którym większość ludzi myli tekst albo belkocze bez sensu aż do „om”. Jako Monique byłam wolna i zaczęłam śpiewać, aż Scooby się ze mną zgrał.

„*Nic nie zmieni mojego świata...*”

Połączenie muzyki Beatlesów i Greenwich Village przyciągnęło ludzi do naszego zakątka parku i zapoczątkowało przyjemny deszcz monet. Wpatrywałam się w ziemię, żeby zapamiętać o patrzących ludziach, i starałam się schronić w słowach tej pięknej piosenki i jeszcze piękniejszego wspomnienia.

Podobnie jak mama uwielbiała śpiewać. Był to mój jedyny sposób, żeby zapamiętać o świecie i dotrzeć do własnego wnętrza. Pewnie muzyka na wszystkich tak działa, ale śpiew to dla mnie szczególnie wspomnienie o matce, która miała jeden z najbardziej oszałamiających głosów, jakie kiedykolwiek istniały. Była klasycznie wyszkoloną wokalistką i wszyscy się spodziewali, że będzie śpiewać dla Metropolitan Opera albo w innym, równie imponującym miejscu. Zamiast tego śpiewała kolysanki bandzie hipisowskich dzieci. Ja śpiewałam pod prysznicem. Śpiewałam w samochodzie. Ale tej nocy w parku pierwszy raz ktokolwiek słyszał mój głos.

– Monique, niezłe masz płuca, kochanie. – Mój Romeo się zaśmiał. – Ludzie są tobą zachwyceni. – Wskazał w stronę tłumu.

– Och, chcę trawy – odparłam lekceważąco.

Gdy przeżywałam na nowo ostanie święta, jedyną publiczność stanowił Ocean Spokojny, cicho nagradzający mój występ uderzeniami fal. Uniosłam ręce nad głowę.

– Dziękuję. Dziękuję, Coronado. Jesteś wspaniałe!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Greta dała mi na Gwiazdkę i urodziny dwa prezenty – poradniki. „Poznanie siebie: poradnik, jak odkryć samą siebie” i „Jak odnaleźć drogę do duszy”.

– Proszę, przyjmij je z taką intencją, z jaką ci je daję – powiedziała na wpół przepraszająco, kiedy rozpakowywałam książki. Przynajmniej miała tyle wyczucia, żeby dać mi je na osobności i nie upokarzać na oczach swojej cudownie przystosowanej rodziny. Oni z pewnością wybraliby tytuły w rodzaju „Być idealnym w świecie dalekim od doskonałości” i „Jesteśmy w porządku, a oni nie”. Greta się roześmiała, słysząc moją charakterystykę własnej rodziny.

– Każda rodzina ma swoje problemy – zapewniła. – Jestem niezupełnie taką córką, jakiej oczekiwali moi rodzice.

Rodzina Grety nie sprawiała wrażenia przesadnie rozczarowanej tym, co z niej wyrosło. Wzniesiono co najmniej pół tuzina toastów, żeby uczcić jej powrót do San Diego i zerwanie. Greta wyglądała na zadowoloną, kiedy padło imię „Terry”. Wyglądała, jakby oddech uwiązł jej w płucach i rzuciła matce błagalne spojrzenie, żeby zmienić temat.

Minął już ponad miesiąc, odkąd Greta wróciła z Teksasu, a ja wciąż nie miałam pojęcia, co poszło aż tak źle, że musiała wyjechać. Zgadywałam, że Terry nie chciał się z nią ożenić i po trzech spędzonych wspólnie latach prawdopodobnie uświadomiła sobie, iż nigdy do tego nie dojdzie. Gdybyśmy mieli z Adamem tak długą historię związaną z jednym miastem, byłoby mi ciężko tam zostać, wśród miejsc, które stale przypominałyby, że byliśmy w nich razem, i o rzeczach, które razem robiliśmy. No i oczywiście znajdowałoby się tam najgorsze przypomnienie ze wszystkich – on sam.

Po kolacji usiedliśmy przed skromnie i gustownie przystrojonym świątecznym drzewkiem, udekorowanym małąkimi białymi lampkami i wykwintnymi szklanymi kulami ukrytymi wśród gałęzi.

Plomienie w kominku zaczęły przygasać, a pogawędki przycichły chwilami milkły. Pokój wypełniała muzyka z płyty *A Very Perry Christmas*, a matka Greta wręczyła każdemu po kubku przyprawionego cydru, żeby „wygnać chłód z kości”, jak stwierdziła ze śmiechem.

– Czy nie myślałaś nigdy o tym, żeby pograć znów w piłkę nożną? – zapytała niespodziewanie Greta.

Zaśmiałam się.

– Jeżeli to, co wyprawiałam w szkole średniej, nazywasz grą, to nie.

– Nie byłaś aż taka zła. – Szturchnęła mnie żartobliwie.

Grałam w szkole jako drugi rezerwowy obrońca i te trzy razy, kiedy faktycznie weszłam na boisko podczas meczu, przeciwnicy przemknęli tuż obok mnie. Czasami traciłam równowagę i przewracałam się, tylko patrząc, jak mijają mnie inni gracze. Całe to udawanie, że chce się biec tędy, a potem przebijanie się tamtędy, przypawało mi o zawroty głowy. Nasza szkoła znajdowała miejsce w drużynie sportowej dla każdej dziewczynki, która chciała grać, ponieważ dodatkowe zajęcia dobrze wyglądały w podaniach o przyjęcie do college'u. Greta była naszym pierwszym bramkarzem. Prawdę mówiąc, kilka college'ów próbowało ją rekrutować i dzięki grze w piłkę dostała pełne stypendium.

– A czemu pytasz?

– Przyłączam się do żeńskiej ligi i myślałam, że może też byś chciała znów się w to zaangażować. Mogłoby ci to wyjść na zdrowie.

– Lepsze zdrowie psychiczne dzięki piłce nożnej? – żartowałam.

– Cóż, gole są lepszym celem niż posłubienie nieznanego – odpowiedziała Greta. – Poważnie, będzie fajnie. Poznasz mile kobiety, trochę potrenujesz. Zawsze mówisz, że nie masz życia. To je miej. To zajęcia towarzyskie. Nikt nie oczekuje, że zostaniesz gwiazdą.

– Sama nie wiem – odparłam wymijająco.

– Kiedy się zapisywałam, kobieta z drużyny powiedziała, że oprócz regularnych meczów mają spotkania towarzyskie dla kobiet, które z różnych powodów nie mogą przyłączyć się do drużyny. Czemu nie spróbować?

Zmarszczyłam nos.

– Popatrz, jak grasz.

– Przestań patrzeć i zacznij działać. Czy nie o to miało chodzić w całym tym pomysle z emeryturą?

Piłka nożna brzmiała równie zachęcająco jak strzyżenie trawniaka zębami, ale z kilku powodów zgodziłam się zagrać w meczu towarzyskim w najbliższą sobotę. Mogłam w ten sposób spalić kilkadziesiąt kalorii. Chciałam pozawierać nowe przyjaźnie. Ale prawdziwy powód był taki, że mogłam wykorzystać to jako zabezpieczenie przed Gretą. A raczej uniemożliwić jej wykorzystanie odmowy przeciwko mnie. Gdybym odmówiła, prawie na pewno przywołałyby to jako przykład mojej niechęci, by popracować nad własnym życiem. Gdybym poszła na jej mecz, nie mogłaby twierdzić, że skupiam się wyłącznie na Adamie. Spojrzałam na Gretę, oczekującą odpowiedzi, i przepelniło mnie poczucie winy. Co za gówniana ze mnie przyjaciółka, wykorzystuję towarzyski mecz w piłkę, żeby zdobyć przewagę. Nieważne z jakiego powodu, ale dla Greta miało znaczenie, że byśmy znów razem grały w piłkę. Ten jeden raz mogłam się napiąć.

– Dobrze, ale lepiej, żeby wiedziały, jaka jestem beznadziejna – odparłam.

– Genialnie! – Klasnęła w ręce. – Będzie tak zabawnie.

– I będą wiedziały, że jestem do niczego, dobrze?

– Mona, powiem im, że jesteś do niczego, zadowolona?

– Jeszcze nie.

Wpelniałam do łózka o północy i miałam poważny kłopot z zaśnięciem. Przewracałam się z pleców na lewy bok, potem na prawy. Kilka minut spędziłam na brzuchu, zanim uznałam, że problemem może być temperatura. Kiedy tylko otworzyłam okno, zdecydowałam, że należy je zamknąć. Doszłam do wniosku, że może po prostu nie jestem jeszcze zmęczona. Przeleciałam kilka stron popularnych poradników psychologicznych, które Greta wybrała dla mojej zagubionej duszy. Jak odnaleźć drogę do duszy. Dajcie spokój!

Zbyt wiele współczesnych kobiet szuka dziś uczucia pełni poza sobą. Nie zdają sobie jeszcze sprawy, że już stanowią

pełnię i że dana nam przez Boga pełnia może zostać zaktualizowana tylko od wewnątrz. Tyle rzeczy odwraca naszą uwagę od własnego ja. A jednak gdybyśmy poświęciły obserwacji samych siebie tyle czasu, ile centrom handlowym, barom, pracy i umiłowaniu się na randki, odkryłybyśmy, że nie potrzebujemy wszystkich tych zewnętrznych bodźców, żeby dopełnić nasze życie. Bo już jesteśmy kompletne. Prawda jest taka, że poszukując szczęścia, łatwiej patrzeć poza siebie. Prawdziwie ciężka praca to przyjrzeć się, co możemy zrobić, żeby uczynić nasze życie lepszym. Najciężiej jest naprawdę sięgnąć w głąb i zdać sobie sprawę, czego nam brakuje, co sprawia, że szukamy potwierdzenia w źródłach zewnętrznych. Im bardziej kobiety wyglądają poza siebie, tym bardziej powinny szukać w sobie.

Ale nuda! Gdyby intencja Grety była bardziej dosadna, rozbiłabym sobie o nią nos.

Zalogowałam się do internetu, żeby sprawdzić, co znajde, kiedy wpiszę do wyszukiwarki nazwisko Adama. W dziesięć sekund miałam przed oczyma tysiące odnośników do Adama P. Zieglera. Zachichotałam, czując się niemal winna, jakby przypadkiem mignęło mi gdzieś jego nagie ciało. Nie mogłam powstrzymać szerokiego uśmiechu na widok jego nazwiska pogrubionego w każdym widzianym wersie.

– Zobaczmy, gdzie byłeś przez całe moje życie – rzuciłam w pustkę.

– Wygłosił wykład o ustawie Kongresu na temat korporacyjnego audytu, odpowiedzialności i przejrzystości – czytałam dalej. – „Zgon i podatki: porady dla licencjonowanych księgowych wypełniających formularz 706 w imieniu zmarłych”. – Zaczęłam się zastanawiać, czy będziemy musieli w tym roku wypełnić coś takiego dla babci.

– O mój Boże, to takie słodkie. „Widziany na ulicy. Mówi: «Stawiam na wygodę przed modą». Czym kieruje się przy wyborze ubrań? Rozsądkiem”. Jest taki bezpretensjonalny. – Przewinęłam ekran dalej.

– Oo, napisał artykuł, w którym chwali wprowadzone przez Busha cięcia podatków dla klasy średniej. – Przeczytałam kilka akapitów. – Hm, ktoś musi uświadomić mojemu ukochanemu, co ozna-

cza klasa średnia. – Uśmiechnęłam się. Przynajmniej ma własne zdanie i nie boi się go publicznie ujawnić. Babcia też popierała republikanów, pozostała idealnie cudowna.

– Stanford, to wiedziałam z dyplomu, który wisi u niego w biurze. – Potem zaskoczenie. – „O swoim hojnym wsparciu dla Stowarzyszenia Muzyki Kameralnej San Diego Adam P. Ziegler mówi, że obowiązkiem sponsorów sztuki jest dawać tej znakomitej organizacji tyle, ile mogą. «Bez muzyki nasza kultura staje się uboga i bezdusna, a ludzie po prostu wegetują, nie udaje się im żyć». – O rany. Trochę dramatyczne, ale jaka namiętność wobec muzyki. Kto by pomyślał?

Z komputera wydobył się dwutonowy dźwięk dzwonka, jakby na znak przybycia wróżki. W rogu ekranu pojawiła się informacja, że mam wiadomość od MDog2@aol.com i pytanie, czy chcę ją odebrać.

– Ee, dobrze – powiedziałam, zanim zdałam sobie sprawę, że muszę zareagować za pomocą klawiatury.

Hej. Co robisz przy komputerze w noc Bożego Narodzenia?

Mike? – zapytałam.

Tak, przepraszam. Dołączyłem cię do listy kontaktów, więc mogę podglądać przyjaciół, kiedy zmęczy mnie praca online.

Och. Sama też trochę pracowałam. Jak ci minęły święta?

Przećniętne, a tobie?

W porządku. Dałam się wrobić w grę w piłkę nożną w następny weekend, co mnie niespecjalnie bawi, ale poza tym nic ciekawego.

Grasz w piłkę?

Jestem beznadziejna, ale przyjaciółka chce, żebyśmy grała.

Przyjaciółka? Piłka? Czyżby poczta zgubiła moje zaproszenie na tegoroczny Bal Lesbijek?

Myślisz, że bym nie chciała? Nie musiałabym wtedy polegać na takich jak ty! Wyobraź sobie, że ci płacę, żebyś mi pokazał, jak poderwać dziewczynę! Kiedy widzę, jak świetnie sobie radzisz z utrzymaniem kobiety przy sobie?

Ha! Czytałaś styczniowy felieton.

Czytałam wszystkie.

*Jestem pod wrażeniem.
Cóż, chciałam wiedzieć, co kupuję.
Silne ramiona i zdrowy zestaw zębów.
I ego, które nigdy nie odpuszcza.
To się nazywa wytrwałość i wierz mi, powiniś ją dołączyć do swojej listy.*

*Jesteś okropny!!!
Potrzebna ci solidna porcja okropności. Hej, zapisałaś się na ten kurs?
Nie rozbieram się!
Zaczekaj.*

Czekałam, gdy tymczasem Mike odwiedzał łazienkę albo sięgał po piwo.

*OK, już jestem. Zaznacz sobie w kalendarzu 8 stycznia.
Po co?
Kurs striptizu. Zapisałem cię online.
Nie mogę!!!*

Za co mi, do cholery, płacisz, jeżeli nie chcesz korzystać z moich rad? Powiedziałaś, że jesteś Claudią Schiffer, żeby zwrócić na siebie uwagę, potem prawie zabarykadowałaś drzwi, żebym został twoim konsultantem. Zrealizowałem twój czek. Skorzystaj z mojej rady. Nie jest tania.

Rozbawiła mnie ta szelmowska perswazja. „Zrealizowałem twój czek”. Zachichotałam.

*OK. Ale pozwól, że poważnie przemyślę ten kurs striptizu.
To tylko jeden wieczór, Mona! Trzy godziny.
Tyle chyba wytrzymam. Naprawdę myślisz, że mi to pomoże?
Oczywiście, muszę mieć pełną relację ze wszystkiego, co się wydarzy na zajęciach. Naturalnie tylko po to, żeby lepiej wykonywać swoją pracę.*

*Muszę się trochę przespać. Prawie druga.
Dobranoc. Wesolych Świąt.
Dobranoc, Pies.*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego ranka trawa lśniła od rosy, a słońce przebijało przez delikatną mgłę. Uwielbiam San Diego, gdzie najpoważniejsze zastrzeżenie do pogody to przesadna jaskrawość słońca i trochę chłodu w styczniu.

Siedem kobiet, wliczając Gretę, stało w kręgu, podając sobie neonowo żółtą piłkę do nogi. Facet w koszulce rugbisty mocował siatkę do bramki, krzycząc na dwa psy, które gonily się wokół boiska. Zbliżając się do grupy, nie słyszałam, co dokładnie mówiły kobiety, ale kadencja i ton wskazywały na sportowe przycinki i chojrakowanie. Takie przyjacielskie docinki między koleżankami. Kilka z kobiet nosiło sportowe staniki, a jedna miała najbardziej idealnie sklejony brzuch, jaki widziałam. Perfekcja przekraczająca ludzkie możliwości. Jak na plakatach przedstawiających umięśnienie człowieka w klasie do biologii w szkole średniej.

Podeszłam z przeprosinami. Za spóźnienie. Za to, że jestem do niczego. Że nie mam korków.

– Hej, nie przejmuj się. Dzisiaj po prostu pokopiemy piłkę – rzuciła ta od pokazowego brzucha, Brooke. – Zaczynaj – zachęciła.

Spróbowałam podać piłkę do Grety, ale poleciała w stronę Lucy. Plusem podawania sobie piłki w kręgu było, że nikt nie miał pewności, do kogo celowała, i z założenia zawsze trafiałam mniej więcej w czymś kierunku.

Podczas meczu Brooke biegła samotnie po boisku, więc podążałam za nią jak cień z rozpaczliwą nadzieją, że nigdy nie poda mi piłki. Oczywiście podała. Poleciała prosto do mnie i sama siebie zaskoczyłam, zatrzymując ją w locie stopą i przejmując kontrolę. Miałam przed sobą puste boisko i zaczęłam dryblować najszybciej, jak potrafiłam. Pełnym gazem biegłam do celu i czułam czystą ekscytację, jaką czerpie się z możliwości zwycięstwa. Widziałam samą

siebie przy siatce, mój strzał ominął bramkarkę. Widziałam, jak truskuje w kierunku mojego potężnego jak z armaty strzału i wylądowała na trawie tuż po tym, jak piłka musnęła czubki jej rękawic. Widziałam, jak drużyna znosi mnie z boiska na ramionach. Widziałam mikrofon i kamerę telewizyjną przy mojej twarzy z pytaniem: „Mona Warren, właśnie wygrała Puchar Świata. Co masz zamiar teraz zrobić?”. Widziałam siebie z idealnymi mięśniami brzucha, jak robię miny do kamer. „Jadę do Disneylandu!”.

Nie widziałam, jednak Jenny gnającej w moim kierunku, żeby podkraść mi piłkę niecały metr od miejsca, gdzie weszłam w jej posiadanie. Zderzyliśmy się ramionami, w wyniku czego z poziomu trawy patrzyłam na Jennę biegnącą do celu. Chociaż grałam w obronę, nie mogłam zostać na swoim polu. To była sprawa osobista. Najszybciej jak mogłam pobiegłam w jej kierunku i próbowałam przechwycić marzenie, które tak okrutnie mi odebrała. Determinacja i umiejętności nie szły jednak w parze, więc skończyło się tym, że poślizgnęłam się i wpadłam na plecy Jenny, a potem wywróciłam się na trawę i zdarłam całą wierzchnią warstwę skóry z prawego kolana. Była to jedna z tych kontuzji, których nikt nie widzi, ale boli jak diabli. Kolano wyglądało na tylko nieco podrażnione, z cienkim jak włos smużkami krwi płynącymi po łydce. W wyniku upadku zniknęła skóra chroniąca moją nogę przed kontaktem z żywiołami. Czysta woda i świeże powietrze działały na nią jak kwas, którym zdziera się lakier z samochodu. Niemal niewidzialne czubki żdźbeł trawy cięły jak noże.

Po strzeleniu gola Jenna wróciła i pomogła mi wstać z ziemi, podała mi rękę i solidnie pociągnęła.

– Masz sporo energii, to ci muszę przyznać, ale w prawdziwym meczu dostalabyś za to upomnienie – powiedziała.

„Kociaki z wykopem” wybaczyły mi liczne nielegalne zagrania, zostałam sklasyfikowana jako nieudolna przyjaciółka Greta, która może awaryjnie zagrać w nic nieznaczącym meczu towarzyskim. Nie byłam specjalnie zaskoczona, kiedy jedyne otrzymane od zespołu zaproszenie dotyczyło kibicowania im podczas sezonu. No i przyłączyłam się do nich na kilka pów po meczu.

– Za Monę – Greta uniosła swój kufel z piwem.

– Za Monę – przyłączyły się koleżanki z drużyny.

– Nawet nie wiecie, z jakiej okazji wznoszę ten toast, wy pijaczki. Dajcie mi skończyć, potem wypijemy.

– Zdrowie, zdrowie – wrzasnęła Brooke. – Za pijacką cierpliwość.

– No więc pewnie nie uwierzycie, ale moja droga przyjaciółka Mona nie chciała dzisiaj pograć w nogę.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– Cóż, na boisku z pewnością ochota ją aż przepelniała – z chichotem zauważyła Jenna.

– No dobra, nie jestem sportowcem – broniłam się z udawaną irytacją.

– Nie zrozum mnie źle, dziewczyno. Masz duszę sportowca.

Brooke parsknęła śmiechem przez nos.

– Tylko nie nogi.

– Tak czy owak – Greta przeciągała słowa, żeby skupić na sobie uwagę – Mona spróbowała czegoś nowego. Wyszła nieco poza swoje wygodne życie i jestem z niej bardzo dumna. – Uniosła kufel, pokazując resztki, że teraz mogą przyłączyć się do toastu.

– I nie zapomnijmy o naszej najnowszej łasce na bramce. – Mary Ellen uniosła kufel. – Miałas parę ładnych obron, Greta. Dobrze się to zapowiada, mala!

Greta udawała zakłopotanie, przykładając dłoń do piersi i robiąc minę „kto, ja?”. Zatrzepotała rękami, potem strzeliła palcami.

– Przesadzasz. Puściłam o jednego gola za dużo. – Tak naprawdę umknął jej wyłącznie ten jeden.

– Hej, Mona – Jenna zmieniła temat. – Chciałam cię zapytać, czy uprawiałaś kiedyś boks?

Skinęła głową, niewzruszona moim zaskoczeniem.

– Tak, ciebie pytam.

– Co? Widziałas mnie dzisiaj na boisku? Niespecjalnie się nadaję, żeby kopać ludzi po tyłkach.

– O tak, niezła z ciebie wojowniczką – odparła Jenna.

Brooke nie mogła sobie odmówić.

– Po tyłkach owszem, ale nie w piłkę.

– Nie, poważnie, popchnęłaś mnie za dwadzieścia razy – Po wiedziała Jenna.

– Taa, mnie też – włączyła się Mary Ellen. – A byliśmy w jednej drużynie.

– Strasznie przepraszam!

– Nie ma za co – zbagatelizowała sprawę machnięciem ręki. Poza tobą nikt nie ucierpiał. Ciekawe, czy by ci się spodobało, gdybyś tak wyszła na salę i solidnie poznęcała się nad workiem treningowym.

– Wątpię.

– E, nie deklaruje się tak szybko. Spróbuj. To świetne ćwiczenie. Idź do dowolnej sali gimnastycznej i zobacz lekcje boksu, dziewczęta. Dziesiąt procent uczestniczek to kobiety.

– Pomyślę o tym – skłamałam. – Dzięki, że pozwoliłyście mi dzisiaj pograć. Nieźle się bawiłam.

Tego wieczoru ruszyłam na plażę, żeby trochę odetchnąć i popatrzeć na jeden z pierwszych w nowym roku zachodów słońca. Uznałam, że przy takiej pogodzie na niebie będzie rozrzucona fioletowa wata cukrowa, ale byłabym równie usatysfakcjonowana, gdyby słońce tonęło w powodzi płomieni, a wszyscy na plaży zatrzymali się i podziwiali, jak ostatnie skrawki złota giną za Pacyfikiem. Postanowiłam nie wchodzić pod prysznic, w pewnym sensie rozkoszowałam się brudnymi śladami na ciele, żdźbłami trawy zwisającymi z mojego końskiego ogona.

– Dobry wieczór, panienko Mono – Przed domem rozległ się głęboki męski głos. Odwróciłam się od zamykanej właśnie bramy, żeby zobaczyć czuprynę siwych włosów i zielony kardigan. Przyjaciół babci, kapitan John. – Co za uroczy wieczór.

– Tak, uroczy. Czy pan i pani Bower mieliście udane święta?

Zmarszczył brwi.

– Nie słyszałaś.

Potrząsnęłam głową.

– Anne zmarła we wrześnie, moja droga. Przykro mi.

– O mój Boże! To mnie jest przykro. Proszę przyjąć moje kondolencje. Gdybym słyszała, z pewnością przyszłabym złożyć uszanowanie zmarłej. Tak mi przykro z powodu pańskiej straty.

– Dziękuję, moja droga. Miała dobre życie i spędziłam razem wiele udanych lat. Musimy dziękować dobremu Bogu za czas, jaki przeżyliśmy z naszymi ukochanymi. – Wyglądał starszej, niż pamiętałam. – Miło było cię zobaczyć, Mono. Szczęśliwego Nowego Roku.

– Tak, szczęśliwego... pana też miło było widzieć.

Kiedy wróciłam do domu, migąło światelko na sekretarce.

– Masz dwie nowe wiadomości – powiedział mój elektroniczny przyjaciel.

– Cześć, to ja. Dzięki, że byłaś dzisiaj taka dzielna. Wiem, że nie miałaś ochoty grać w piłkę, ale zrobiłaś to dla mnie i chciałam powiedzieć, że naprawdę to doceniam. Jesteś wspaniała, Mona, i tak się cieszę, że odnowiliśmy kontakt. A zmieniając temat, miałam zamiar zapytać, co się stało ze Zwierzakiem. Dostał szalu, kiedy się zorientował, że nie jesteś Claudią Schiffer? Nawiasem mówiąc, uważam, że jesteś równie ładna jak... – piip.

Moja sekretarka automatycznie przerywa wypowiedź, zanim ktoś zdąży skończyć kłamstwo. Musiałam dopłacić parę centów ekstra za tę usługę, ale uznałam, że warto było.

– Hej, Mona. Tu Mike. Muszę pójść z tobą na ten kurs jutro wieczorem i ce, cię nadzorować. No wiesz, żebyś czuła przyjacielskie wsparcie, ha. Zeby cię wesprzeć w tej trzygodzinnej potrzebie. Nie, poważnie, powodzenia. Zrób dla mnie masę notatek. Serio. Masę notatek, bo będę chciał usłyszeć o każdym szczególe, chwytasz? Wiem – piip.

Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer. Jeden dzwonek. Dwa. Trzy.

– Halo. – Odebrał.

– Co wiesz?

– Co?

– Twoja wiadomość. Przerwało ci zaraz po tym, gdy powiedziałeś „wiem”. Co wiesz?

– O, hej. – Zorientowałam się, że dopiero teraz zarejestrowałam mój głos. – Słuchaj, to nie najlepszy moment. Niedługo zadzwonię, dobrze?

– O, jasne. Nie ma sprawy. Pogadamy kiedy indziej. Nie ma problemu. Wróć do tego, czym się zajmowałaś. – Odłożyłam słuchawkę. Albo kim. Biedna kobieta, pomyślałam, wyobrażając sobie wyciągnięty obok niego deser tygodnia. Czy ma chociaż blade pojęcie, w co się pakuje z Psem?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Studio baletowe usadowiło się w Pacific Beach, w uliczce odchodzącej od głównej ulicy, obramowanej modnymi barami, sklepami z ekskluzywnymi ciuchami i stylowymi restauracjami. Spóźniona dziesięć minut wbiegłam po schodach do pachnącego sauną białego holu, gdzie chuda kobieta z włosami ściągniętymi w czarny kok siedziała za biurkiem recepcjonistki. Trzy kobiety łabędzie w strojach do ćwiczeń i pointach stały w grupce przy biurku, wyciągając szczuple ramiona w kierunku własnych wydłużonych stóp. Walenie moich tenisówek obwieściło przybycie intruza, zanim jeszcze weszłam na schody. Było oczywiste, że z moim kucykiem i w spodniach od dresu, z butami na wysokich obcasach trzymanymi za paski i dyndającymi w prawej ręce nie przyszedłam na lekcję baletu, ale wciąż czułam opór przed podaniem powodu wejścia na ich teren.

– Przyszedłam na eee, zajęcia – oznajmiłam ogarnięta falą zakłopotania.

– Taniec egzotyczny? – Koczek nabral animuszu, wymieniła rozbawione spojrzenia z pozostałymi baletnicami.

– Vicki idzie na te zajęcia – powiedziała jedna z nich do drugiej. – Muszę ją zapytać, co o tym sądzi.

– Tędy – Koczek wskazał w głąb korytarza.

Skręciłam za róg i zajrzałam przez nieduże okno. Kobiety siedziały na podłodze w kręgu, rozmawiając, zaplatając włosy, śmiejąc się. Przyszłe striptizerki w siostrzanej komitywie. Jakieś wariatwo. Rozeczrzałam się, żeby sprawdzić, gdzie znajdę najbliższe wyjście, ale musiałabym znowu minąć Jezioro łabędzie. Mogłam sobie wyobrazić, jak głośno chichoczą, kiedy przemykam obok z oczami pełnymi łez, trzymając buty na dziesięciocentymetrowych platformach.

Już zakup tych butów w sobotę był wystarczającym upokorzeniem. Kiedy elegancka starsza sprzedawczyni w sklepie Neiman

Marcus zapytała, czy może mi pomóc, przyznałam, że mam kłopot ze znalezieniem marki butów, które polecono mi przynieść na zajęcia.

– Nidy nie słyszałam o tej linii, ale muszę znaleźć buty CMP – wyjaśniłam.

Jej twarz z miejsca zbielała tak mocno, że nabrała koloru je dwabnej apaszki, którą miała zawiązaną wokół obwisłej szyi. Położyła mi rękę na ramieniu i odwróciła tak, że obie stałyśmy plecami do sklepu.

– Ktoś sobie z ciebie zażartował, moja droga – powiedziała.

– Nie, wcale nie – odparłam. – Idę na zajęcia i powiedziano mi, że mam przynieść buty CMP.

– Nie wiem, na jakie zajęcia się wybierasz, moja droga, ale zapewniam, że Neiman Marcus nie ma tego rodzaju obuwia. Radzę spróbować w Szafie Colette w śródmieściu.

U Colette handlowano nie tylko butami „Chodź Mnie Przelecieć”, ale też skąpą bielizną i akcesoriami, które dobitnie przekazywały mniej więcej to samo zaproszenie. Drzwi studia baletowego się otworzyły i napłynęła fala śmiechu. Jak zwykle nie załapałam się na żart.

– Och, cześć! – Nauczycielka pokiwała do mnie, typ miodowej blondynki, kapitana drużyny cheerleaderek. – Właśnie zaczynamy. Siadaj. Masz na imię Mona, prawda?

– A czemu? – wymknęło mi się. Wystarczająco fatalne było już to, że Mike zapisał mnie na zajęcia. Czyżby zadzwonił z wyprzedzeniem i opisał mnie instruktorce? Pewnie usiłował zrobić na niej wrażenie swoim zachowaniem „na wrażliwego”. Już go słyszałam: „Moja droga słodka nieciekawka i niezgrabna przyjaciółka weźmie udział w zajęciach. Proszę ją traktować delikatnie”. Rozwścieczyła mnie ta myśl.

– Przepraszam, co powiedziałaś? – zapytała Tabitha. Było dla mnie jasne, dlaczego odniosła sukces jako striptizerka. Nic tylko wyglądała cudownie, ale sprawiała wrażenie szczerze uradowanej, że ze mną rozmawia. O mało nie wręczyłam jej dwudziestki, żeby tylko nie przestawała na mnie patrzeć.

– Och, ee, zastanawiałam się tylko, czemu powiedziałaś, że mam na imię Mona. Czy, ee, ktoś ci powiedział, że przyjdę?

Jej twarz rozjaśnił zwycięski uśmiech.

– Tak, lista uczestniczek, kochanie! – Tabitha uniosła podkładkę. – Twoje nazwisko to jedyne, którego jeszcze nie odznaczyłam. Siadaj w kręgu. Zaczęliśmy od przedstawiania się i tego, czego mamy nadzieję dziś się nauczyć.

Usiadłam na drewnianej podłodze w otoczeniu koleżanek z zajęć. Na frontowej ścianie sali umieszczono lustro, z tyłu baletową poręcz. Wepchnięta w kąt stała, jak się później dowiedziałam, rura do tańca. Z ulgą przyjął fakt, że uczestniczki zajęć nie przypominają dziewczyn z kartek „Playboya”. Ponadśędziestoletnia kobieta przedstawiła się jako Myra i wywołała wesołość w kręgu, kiedy oznajmiła, że wzięcie tej lekcji to ostatnia szansa przed wypisaniem dla jej męża recepty na viagrę. Na zbyt obszernej koszulce miała rysunek kota siedzącego na stosie książek. „Taka masa książek, tak mało czasu” – lamentował kot. Wszystkie byłyśmy konspiratorkami. Powiernicami tajemnic. Z pewnością nikt z klubu czytelniczego Myry nie wiedział, że poszła na lekcję striptizu. Kiedy szef jej męża pytał, czy mają jakieś szczególne plany na weekend, z pewnością nie uzyskał odpowiedzi, że jego podwładny ma zamiar obejrzeć pierwszy striptiz swojej żony w nadziei, że pomoże mu to wyleczyć impotencję.

Kelly nosiła czarną grzywkę w stylu Betty Paige i liczne tatuaże na ramionach. Jasny podkład podkreślał ciężką czerń eyelinera na jej górnych powiekach. Żując świeży kawałek juicy fruit, Kelly oznajmiła, że za trzy tygodnie wychodzi za mąż i chce zaskoczyć męża w noc poślubną. „Ach” – słodko westchnęły kobiety, jakby właśnie sprzedała swoje włosy, żeby zapłacić za łańcuszek do zegarka dla niego.

Pod grzywą splecionych brązowych kosmyków ukrywała się Olivia, postawna kobieta, która oświadczyła, że już szósty raz przyszła na zajęcia.

– Jestem uzależniona – przyznała. Powstrzymałam się przed zaintonowaniem wraz z grupą „cześć Olivio”. Przez ostatnie trzy lata Olivia pracowała w firmie metalurgicznej produkującej rury do klubów ze striptizem. Dwa lata temu zastąpiła chłopaka, który zajmował się dostawami, i zafascynowała ją klubowa scena.

– To był zakazany świat seksownych kobiet i zaginionych facetów, gdzie żadne zasady z zewnętrznego świata nie mają zastosowania. Wciągnęło mnie od pierwszej chwili.

Fern dobiegała czterdziestki i miała twarz zdeklarowanej palestinianki, jednej z tych, które wyglądają, jakby paliły, nawet kiedy papieros nie zwisa im z suchych warg. Jak mogłaby wyglądać Cheryl, gdyby nie korzystała z luksusów sławy. Jej długie, wściekle kręcone włosy krzyczały: „Pracowałam jako barmanka w Reno o rok za długo”, a brwi miała tak mocno wyskubane, że wyglądały na zbyt przerażone, by choć spróbować odrosnąć. Fern oznajmiła, że mąż obiecał jej nie chodzić tak często do klubów ze striptizem, jeżeli nauczy się dla niego tańczyć. Nawet kupił wyjątkowo duży stół do kawy z wyjomowaną rurą pośrodku.

– I czy to nie był genialny pomysł? – zapytała Olivia, która szybko dała się poznać jako najwyższej klasy specjalistka od wszystkich, co egzotyczne.

W trakcie wieczoru biedna Tabitha nie mogła wygłosić dwóch zdań bez piskliwego wtrącenia się Olivii na temat jej ulubionej muzyki do striptizu, jej dościa w sieci do butów na przezroczystych platformach i jej demonstracji ruchu biodrami.

– Kocham tańczyć. Kocham się kochać i kocham czuć się seksownie – powiedziała Latynoska w średnim wieku, która, jak sobie wyobraziłam, w ciągu dnia prowadziła rodzinną restaurację. – Kiedy usłyszałam o tych zajęciach, powiedziałam mojemu kochaninowi, że musimy to zrobić razem – ciągnęła Maria, wskazując na kobietę obok.

Razem? Ale nie wpuszczają tu mężczyzn – ooooooch, lesbijka. Teraz rozumiem. I lesbijką musiała być także Ginny, kobieta obok, która wyglądała na zawstydzoną.

Vicki jako jedyna w grupie naprawdę chciała zostać striptizerką. Ciekawe, czy wiedziały o tym jej koleżanki z baletu.

– Całe życie tańczyć, ale nigdy nie udało mi się przyłączyć do baletu. – Wskazała na swoje piersi wielkości melonów. Wszystkie się roześmiałyśmy, trochę zazdroszcząc, że ma taki problem. – Tańczę z jazzową grupą tańca nowoczesnego, ale placa jest kompletnie

gówniana, więc potrzebny mi jakiś dodatek – wyjaśniła. Vicki wyglądała dokładnie tak, jak powinna prezentować się striptizerka, łącznie z wygiętymi hollywoodzkimi brwiami i platynowymi włosami. W stylu Paris Hilton, nie przekraczała cienkiej granicy między „sexy” a „tania”.

– Mam trójkę dzieciaków poniżej sześciu lat i muszę trochę oczyścić sytuację w sypialni albo moje życie seksualne będzie skończonym – oświadczyła kobieta wyglądająca na wyczerpaną.

– A ty, Mona? – zapytała Tabitha.

– Och, ee, no dobra – wyjąkałam z nadzieją, że moje ciało będzie się poruszać płynniej niż usta. – Chyba po prostu chcę nawiązać kontakt z tym, no wiecie, drugą stroną mojego ja.

– Twoją nieodkrytą seksualnością – podsunęła Tabitha.

– Ee, tak, chyba. – Co za upokorzenie, z miejsca zauważyła, jak nieodkryta była moja seksualność. Na pierwszy rzut oka widać, że jestem równie pociągająca jak beczulka starego ciepłego piwa.

– W każdej z nas tkwi seksualna bogini, która czeka, żebyśmy z nią nawiązały kontakt – oświadczyła Tabitha, nie gasząc tysięcawotowego uśmiechu. – Dziesięć lat temu wszyscy mówili o wewnętrznym dziecku i świetnie, ale współczesne kobiety straciły kontakt z siłą własnej seksualności, ponieważ chcą być oceniane na podstawie treści, a nie formy. Nie zrozumcie mnie źle. Z całego serca popieram treść, ale popieranie treści nie musi oznaczać poświęcenia naszego stylu, naszej seksualności, tego wyjątkowego czegoś, co sprawia, że kiedy wchodzimy, w pokoju robi się jaśniej.

– Pewności – dodała Olivia. Minęło całych czterdzieści sekund, odkąd rzuciła ostatnią perełkę mądrości.

– Szwungu – ciągnęła Tabitha. – Tańczyć zaledwie piętnaście godzin tygodniowo, ale przez resztę czasu zawsze korzystam z tego, czego nauczyłam się w klubach. Kiedy ruszam w świat, wykorzystuję te same umiejętności co na scenie. Bez znaczenia, czy jestem w supermarkecie, u dentysty, czy w kościele.

Kościoła?!

– W kościele? – ubiegła mnie Yvette. – Do jakiego kościoła należysz?

– Katolickiego, kochanie – odparła Tabitha, jakby wykorzystywanie umiejętności tańca egzotycznego podczas przyjmowania komunii świętej było najzwyczajszą rzeczą na świecie.

Yvette naciskała.

– Co takiego robisz w kościele, czego się nauczyłaś w klubie ze striptizem? Nie chcę nikogo obrazić ani nic, jestem tylko ciekawa, co takiego uchodzi heteroseksualnym kobietom, podczas gdy moja lesbijska dupa musi tkwić za zamkniętymi drzwiami.

– Chodzi raczej o to, jak się czuję, jak się zachowuję, a nie o to, co robię – wyjaśniła Tabitha.

– Co takiego robisz? Paradujesz przejściem do ołtarza albo robisz słodkie oczy do księdza czy co?

– Oczywiście, że nie, głuptasie!

– Kłękasz przy ołtarzu w prowokujący sposób i tak dalej?

– Jesteś rozkoszna! – entuzjastycznie wykrzyknęła Tabitha.

Wskazała na wysadzany diamentami krzyżyk, który zwieszał się jej z szyi. – Posłuchaj. Ten krzyżyk dostałam w prezencie od innej tancerki, która, jak ja, jest w najwyższym stopniu uduchowiona. Powie działa coś, czego do dziś nie zapomniałam.

Dzięki temu, że zostało powiedziane wczoraj.

– Kicia powiedziała, że ten krzyżyk przedstawia to, co duchowe i zmysłowe, a tam, gdzie przecinają się jego ramiona, spotykają się siły.

Niech jej będzie na zdrowie.

– Środkowa część to kwadrat, który, jak o tym pomyśleć, jest raczej potężny, ponieważ są tylko dwie siły, które się spotykają, żeby stworzyć czworoboczny kształt, więc to jakby duchowość i zmysłowość podwojone, kiedy są razem.

Wspaniałe ciało maruje się dla imbecyli.

– Niektórzy ludzie są misjonarzami i jeżdżą do biednych miejsc rozdawać jedzenie i to taka piękna rzecz. Tancerki zajmują jakby pozycję seksualnych misjonarek.

Gna słów niezamierzona, tego jestem pewna.

– Dają światu pozytywną energię seksualną i naprawdę uszczęśliwiają ludzi. Te zajęcia dotyczą czegoś o wiele ważniejszego niż

striptiz. Chodzi o życie i dzielenie się swoimi zdolnościami. – Część mnie uważała, że Tabitha to rozkoszne, choć śmieszne dziecko pobłogosławione genialnym ciałem, które rozpaczywie stara się podciągnąć duchowy przekaz do wyciągania forsy od napalonych faceci. Druga część mojego umysłu niechętnie przyznawała, że może i coś w tym jest. Całe to skrzyżowanie duchowości i zmysłowości tworzące podwójnie czarodziejską superhipersilę Jezusa było nieco przesadzone, ale koncepcja, że człowiek może stanowić spójną całość, pozostać czystym i dobrym, jednocześnie nie tracąc intensywnego kontaktu z własną seksualnością, to było coś, czego wcześniej nie brałam pod uwagę.

– Życie to striptiz – dodała Olivia, która naprawdę już wkrótce powinna się zamknąć.

– Myślałam, że kabaret – palnęła Kelly, najmniej na nią odporna.

Tabitha zachowywała się, jakby nie słyszała ani słowa. Przypomniała mi się scena z *Legalnej blondynki*, gdzie Elle uczy swoją fryzjerkę, jak się „nagiąć i odbić”. Tabitha postępowała zgodnie z zasadą zignoruj i rób swoje, do czego z pewnością musiała się uciekać, gdy lubieżni mężczyźni chcieli od niej czegoś więcej niż tańca. Kipiąc entuzjazmem, Tabitha wręczyła każdej z nas plan zajęć.

– Zaczniemy od wejścia i kroku, potem przejdziemy do ruchu biodrami, potrząśnięcia pośladkami, pełzania, zsuwania i współpracy z ręką. Wszystkie gotowe podgrzać atmosferę i zgarnąć parę baksów?!

Co zrobiliby Jezus?

– Zaczynamy! – wrzasnęła Olivia.

Tabitha podeszła do odtwarzacza CD, ale zanim włączyła ostry, transowy rap, ustawiła nas przez lustrem w jednej linii jak girlsy z chóru.

– O mężczyznach w klubach ze striptizem musicie wiedzieć jedno: wyszły z was dusze, jeżeli im na to pozwolicie. Większość nie ma takiego zamiaru, taka jest specyfika tego biznesu. Są tam, żeby czerpać przyjemność, a wy, żeby ją dawać, ale jeśli nie będziecie się starannie pilnować, odbiorą wam coś cennego. – Zrobiła pauzę, żeby jej słowa się utrwaliły, zapominając, że z wyjątkiem Vicki żadna z nas nie zamierzała tańczyć profesjonalnie. – Kolejna rzecz: na każdy

sprzedany taniec przypada pięciu facetów, którzy wam odmówią, i to główniane uczucie. Nie ma znaczenia, jakie jesteście śliczne czy seksowne, większość z nich ma za mało kasy, żeby wyskoczyć z paru dolarów na taniec. Nie chodzi o was, chodzi o nich. To zupełnie proste. Nie możecie odbierać tego osobiście, bo się wykończycie. Przez tańcem odprawiam drobny rytuał – dodala żywo. – Śpiewam sobie w przebieralni *Beautiful* Christiny Aguilery, zanim wyjdę. Patrzę na siebie w lustrze i śpiewam to na całe gardło. „Słowa nie mogą mnie zranić!” – zaczęła śpiewać. – A potem myślę o tym, co kupię za pieniądze, które na nich zarobię, i zanim wyjdę na scenę, zmieniam facetów w rzeczy, patrzę na meble, diamentowe kolczyki, cokolwiek! Może to brzmi trochę bezdusznie, ale ci faceci są tam, żeby brać, brać, brać i jeżeli nie będziecie się chronić, okaże się, że zostaliście, no cóż, wzięte. No więc! – Tabitha przywołała nas ruchem obu ramion. – Która się czuje seksowna?

Nie ja. Czulam się głupio i byłam zawstydzona, że wpatruję się we własne odbicie w linii przyszłych seksownych kociaków.

– Większość z was pewnie czuje się idiotycznie, że tu przyszła. Po co ja się zapisałam na te zajęcia, co? Mam rację? Czy mam rację? – Szmerek nerwowych śmiechów był pocieszający. – Nieważne, jak się czujecie, jesteście napuchnięte przed miesiączką, miałyście awanturę z chłopakiem, och, czy dziewczyną, macie wielkiego przyszcza na tyłku, nieważne, jak się czujecie, musicie wyjść z nastawieniem, że jesteście najseksowniejszymi laskami na tej planecie i ci faceci mają szczęście, że na was patrzają. Jeżeli potraficie to z siebie wyciągnąć, nieważne, ile macie lat ani jak wyglądacie, bo kiedy będziecie tańczyć, pójdzie dym.

– To takie prawdziwe – przyznała Olivia. – Nastawienie wszystko załatwia.

Vicki rzuciła w moją stronę spojrzenie pod tytułem „zawsze jedna taka się trafi, co?”. Udało mi się powstrzymać i nie spojrzalam za siebie, żeby sprawdzić, czy tak naprawdę zwracała się do jednej z tych ładnych dziewczyn.

Przed upływem drugiej godziny zajęć klasa zmieniła się w sioststrzany krąg porozumienia kręcących tyłkami lasek. Podczas pierw-

szego ćwiczenia „krok, obrót, przeciągniecie” zjednoczyła nas Violet, zalewając się łzami już na samym początku. Wszystkie rzuciłyśmy kuszące spojrzenia swoimi odbiciom w lustrze, kiedy zauważyłyśmy, że Violet pada na ziemię i rozpycha we łzach.

– Nie mogę – szlochala.

Kobiety z miejsca podbiegły i zgromadziły się obok ciasną grupę. Stripiz to umiejętność wyuczona, ale reagowanie na sytuacje kryzysowe stanowi drugą kobiecą naturę. Betty Paige, Cher z Reno i pani Viagra otoczyły Violet ramionami i powiedziały jej, jaka jest odważna i że potrafi pokazać samej sobie własny tyłczek w tym lustrze. W głowie słyszałam głos Mike’a: „Pozwól grupie lasek wziąć się do czegoś seksownego, a zrobią z tego wielki dramat uczuciowy”.

Kiedy Violet szlochala na podłodze studia baletowego, nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak ją poruszył widok własnej wypiętej piersi. Dwadzieścia minut później ja też byłam przerażona kruchością swojego wyobrażenia o sobie, gdy rozpaczliwie próbowałam być kimś, kim nie byłam – seksowną kobietą. W takim usiłowaniu jest coś przesywająco kruchoego. W samym tym pragnieniu. Każda z tych kobiet mogła mnie złamać jednym słowem. Kiedy Violet wstała z podłogi i wytarła nos rękawem koszuli, wszystkie jakby zostałyśmy przyjęte do tajnego stowarzyszenia. Właściwie nie wiedziałyśmy dlaczego, ale w każdej z nas ugruntowało się pragnienie sukcesu pozostałych.

Z każdym tanecznym ruchem czulam się, jakby ktoś odklejał kolejną warstwę starej tapety. Kręcenie biodrami było jak zrywanie płacht z eleganckim kwiatowym wzorem w jadalni babci. Powłóczyły ruch działał jak metalowa szpachelka usuwająca kolejną warstwę, wzór ze złotym wykończeniem pod kwiatami. Prowokacyjny obrót wokół rury był jak odrywanie boazerii ze ściany pamięci gołymi rękami. Pod spodem znajdowała się różowa aksamitna tapeta, krzykliwa jak w burdelu. W rzeczywistości nigdy nie ozdobiłabym ścian domu tak niegustownym pokryciem, ale część mnie pławiła się w jego wyrazistej seksualności. Przyznaję się do tego z wielką niechęcią, ale coś we mnie było zachwycone tanią i krzykliwą stroną seksu – ta moja część, która marzyła, żeby stworzyć w moim

ogromnym domu jeden pokój, który wyglądałby, jakby mieszkał w nim króliczek „Playboya”.

Nawet Olivia wkradła się w łaski grupy, kiedy pomogła killek z nas przy kręceniu biodrami. Położyła mi ręce na biodrach, pozwoliła nimi, jakby utrzymywały hula-hoop, i oznajmiła, że nauczenie się tego zajęło jej całe godziny. Vicki z miejsca opanowywała po mistrzowsku każdy ruch, ale brała samą siebie o wiele za poważnie, kusiła swoje odbicie w lustrze z zaciśniętymi ustami i zmrużonymi oczyma. Kiedy przesunęła rękoma przez włosy, potem po okrytych strojem do ćwiczeń firmy Danskin piersiach i kroczu, jej brak subtelności aż mną wstrząsnął.

– Przesadziłam? – zapytała z drżeniem niepewności w głosie i tym zdobyła moje serce.

– No... – zawałałam się. – Jesteś piękną kobietą. Nie musisz się tak bardzo wysilać. Moim zdaniem wypadłoby o wiele seksowniej, gdybyś zlagodziła całość o dwa, trzy tony.

Na egzaminie końcowym każda z uczennic musiała wykonać numer dla klasy. Tabitha przygasiła światła, przesunęła rurę na środek sali, nalala każdej z nas po kieliszku wina i wręczyła pełną garść pieniędzy do gry w Monopol. Tańczyłam jako ostatnia, co oznaczało możliwość wypicia dwóch kieliszków wina i zauważenia, że mimo ukończenia kursu tylko Vicki zasługiwała na prawdziwe pieniądze za taniec egzotyczny. Mimo ruchu biodrami równie seksownego jak przy ubijaniu masła ulubienicą klasy została Występna i Wyuzdana Violet. Grupa nagrodziła dzikimi brawami potknięcie się Violet w butach CMP na dziesięciocentymetrowych obcasach, kiedy to z miejsca straciła równowagę. Udatnie naśladowując głos kierowcy ciężarówki, Olivia krzyknęła: „Lubiem take niezdarne kobitki”. Roześmiałymy się. Vicki huknęła z południowym zaciąganiem: „Kobity są seksowne, jak się gibnom”.

Kiedy Tabitha pokazała, że teraz moja kolej, z miejsca wytrzymałam i podniecenie zmieniło się w przerażenie. Wskazałam na zegarek, że już przekroczyliśmy czas o pięć minut.

– Pora zatańczyć, kochanie – wyszeptęła. – A teraz mamy dla ciebie prawdziwe dzieło sztuki. Nie będziemy się musiały zastana-

wiać, czemu się uśmiechasz, kiedy zobaczysz cudowną i tajemniczą Monę Lisę. – Tabitha energicznie się odwróciła i wcisnęła przycisk „play” na odtwarzaczu. Rozpoznałam głos Mary J. Blige, zachęcającej „więc po prostu zatańcz dla mnie” i bezgłośnie udzieliłam sobie instrukcji. „Jesteś najseksowniejszym kociakiem na całej planecie, a te diamentowe kolczyki mają szczęście, że na ciebie patrzą”, powróżyłam w duchu. Zaczęłam od skromnego kołysania biodrami, potem kilka razy okręciłam się wokół rury, po czym zsunęłam się, oparta o nią plecami, jakbym miała ręce skute nad głową. Członkowie grupy wsparcia dla początkujących tancerek zaczęły pokrzykiwać z aprobatą i kiwać na mnie, żeby wetknąć mi pliki różowych dolarów za gumkę dresu. Winny szum w głowie szybko powrócił i poszłam na żywioł. Mona Lisa robiła pauzy we wszystkich właściwych momentach i miała na twarzy swój słynny enigmatyczny uśmiech, kiedy figlarne kładła ręce na moich okrytych koszulką piersiach. Podrzucęłam głową, żeby wprawić wysoko upięty koński ogon w ruch wirowy. Przesuwając dłoń z ud na kolana, robiłam skłony i udawałam, że moje pośladki polerują okno, tak jak wcześniej uczyła Tabitha. Kiedy usłyszałam, że piosenka dobiega końca, postanowiłam jako jedyna w klasie wykorzystać poddańczy, pełną ruch, którego się uczyliśmy. Wykonałam kilka drobnych kuszących gestów, zanim delikatnie ześliznęłam się w poddańczy pozę. Cóż, w każdym razie miało to wyjść delikatnie, ale skończyło się tym, że straciłam kontrolę nad ciałem i walnęłam kolanami o drewnianą podłogę.

– Cholera! – wrzasnęłam, czując, że wyładowałam na tym samym miejscu, gdzie zdarłam skórę podczas meczu. – Moje kolano, moje kolano, krew mi leci! – krzychałam. Niby-pieniądże pospadały na podłogę i tym razem to ja znalazłam się w centrum macierzyńskiego uścisku.

– Wszystko w porządku, kochanie? – podbiegła do mnie Tabitha. Zmęczona matka sięgnęła do torebki po zapasowe plasty.

Betty Paige roztarła mi dłońią plecy i kazała policzyć do dziesięciu.

Vicki powiedziała, że wyglądałam całkiem seksownie, dopóki nie zaczęłam wrzeszczeć z bólu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W naszą noc poślubną Adam przeniósł mnie przez próg apartamentu dla nowożeńców w hotelu Del Coronado. Położył na królewskich rozmiarów różowej aksamitnej kapie, gdzie w srebrnym wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana. Śmiałyśmy się bez powodu podnieceni tym, że jesteśmy razem, sami.

– Wybaczysz mi, jeżeli pouryvam te guziczki z twojej sukienki? – zapytał.

– Nie, proszę – odczuwałam się błagalnie, chociaż wstrząsnął mną dreszcz, że aż tak mu się spieszy, by mnie rozebrać. – Chcę zachować tę suknię dla naszej córki, żeby mogła ją włożyć w dniu ślubu.

– Dreczysz mnie, Mona. To coś musi mieć ze sto guziczków.

– To coś to dzieło sztuki, Adamie! I ma dokładnie sto czterdzieści dwa perłowe guziczki, które musisz rozpiąć swoimi niezgrabnymi paluchami, jeżeli mnie pragniesz – drażniłam się z nim.

– To ty jesteś dziełem sztuki. – Adam posadził mnie na brzegu łóżka i przesunął dłonią po włosach, które wymknęły mi się na szyję z koka w stylu „Śniadania u Tiffany’ego”. Zaczęłam oddychać z wysiłkiem, podczas gdy moje ciało osuwało się w ciepłą kąpiel intensywnych doznań.

– Jeden guzik – powiedział, gdy poczułam, że stanik sukni nieco się poluzował. – Drugi – oznajmił, rozpinając kolejny guziczek. Trzeci, czwarty i piąty dały mi uczucie, że moje ciało zostaje uwolnione. Najpierw dotyk powietrza na skórze, potem palce Adama z delikatną chirurgiczną precyzją rozdzielające pętelki i perełki. Za każdym razem, kiedy jego dłoń ujmowała kolejny guzik i przeciskała go przez pętelkę, czułam, jak nabrzmiewam i otwieram się w pożądanym, rozpaczliwym zaproszeniu. To była boska tortura.

A potem zadzwonił telefon.

– Kto mógłby dzwonić w naszą noc poślubną? – jęknęłam.

– Niech dzwoni – wyszeptał, zaczynając zsuwać rękaw z mojego ramienia.

Wtedy rozległ się drugi dzwonek.

– Zignoruj to, Mona.

Ponownie osunęłam się w swoją noc posłubną, idealną równowagę między oczekiwaniem a zaspokojeniem.

Po kilku sekundach sekretarka zawyla jak syrena.

– Cześć Mona Lisa – w pokoju ryknął głos Mike'a. – Dobrze się wczoraj bawiłaś, laseczko?

Dlaczego, do licha, Mike Dougherty dzwoni do mnie w moją noc posłubną?! Jak śmie dzwonić, domagając się intymnych szczegółów mojej pierwszej nocy z Adamem, kiedy ta wciąż jest w trakcie. I dlaczego, na Boga, miałby zostawiać taką wiadomość na sekretarce, kiedy wie, że jest ze mną Adam?! Zaraz. Nie ma automatycznej sekretarki w...

– Cholera! – Gwałtownie otworzyłam oczy. – Nawet we śnie nie mogę spędzić romantycznej nocy z Adamem. – Podniosłam słuchawkę wściekła na Mike'a, że przerwał mi marzenie. – Wypraszam sobie! – krzyknęłam do telefonu. – Usiłowałam spać!

– Oo – powiedział jak kompletny tępak, naprawdę brzmiał jak ktoś, kto chce zrobić wrażenie tępaka. – Przepraszam, czybym przypadkiem dodzwonił się do mojej byłej żony?

– Nie wiedziałam, że masz byłą żonę – odparłam nieco spokojniej, ale wciąż rozłoszczona. – Nigdy o niej nie piszesz.

– Taa, mam byłą, która ze swoim adwokatem wyczyściłaby mnie do zera, gdybym choć wyszeptał jej imię w konfesjonale – wyjaśnił Mike.

– Cóż, rozumiem dlaczego. Jesteś skończonym chamem skupionym wyłącznie na sobie!

– Skąd, do cholery, miałam wiedzieć, że jeszcze śpisz? Prawie dziewięć. Niektórzy z nas, ci pracujący, są na nogach już od wielu godzin – odciął się. – Chciałam wiedzieć, jakie masz wrażenia po wczorajszym wieczorze.

– Jasne, jasne. Taki jesteś zainteresowany, jak mi poszło na zaręczaniach, prawda? Tak się przejmujesz, jak sobie poradziłam, bo je-

steś po prostu troskliwy. Chcesz tylko usłyszeć o wszystkich tych seksownych nagich kobietach, które wczoraj widziałam. – Głosem tępaka szyderczo powtórzyłam jego prośbę: – „Rób notatki. Wszystko mi opowiedz”.

– Taka jesteś o poranku? To darmowa rada: nie pozwól, żeby twój chłopak poznał tę czarującą poranną osobowość. Potrzebna ci poważna porcja kawy albo valium czy coś.

Usiadłam na łóżku i odrzuciłam koce.

– Nie potrzebuję kawy, valium ani niczego. Przedwczoraj wieczorem zachowałam się po prostu po chamsku.

– O czym ty mówisz? – zapytał Mike.

– Zadzwoń, a ty mnie potraktowałeś jak jakiegoś intruza. W stylu „strasznie mi przykro, ale teraz moment nie jest odpowiedni. Zadzwoń do ciebie, kiedy mnie będzie pasowało. Mnie, centrum wszechświata”. – Z furią chodziłam po domu wielkimi krokami, całe szczęście, że boso, inaczej balabym się, iż usłyszy wściekle staccato obcasów w tle.

– Jesteś walnięta! – zachnął się Mike. – Pojęcia nie mam, o czym, do cholery, mówisz. Byłam zajęta. Powiedziałam, że to kiepski moment na rozmowę i że oddzwonię. Teraz oddzwania. W czym problem?

Pytanie zadziało jak policzek. Nie policzek wymierzony przez wroga, raczej trzepnięcie, jakie funduje kumpel, kiedy ci odbija. Tego rodzaju policzek, po którym wracasz do przytomności i stwierdzasz: „Dzięki, stary. Było mi to potrzebne”. Oczywiście nie mogłam wyjaśnić tego Mike'owi. Zabrnęłam w ślepy zaułek, teraz wyszłam na jedną z tych histerycznych bab, o których pisuje w swoich felietonach. Musiałam znaleźć wymówkę, którą zrozumie.

– Słuchaj Pies, przepraszam. Miałam sen erotyczny i zadzwoniłam dokładnie wtedy, kiedy miałam, no wiesz. Nie możesz winić dziewczyny, że po czymś takim jest lekko wkurzona.

– Och – przeżuł informację. – W porządku.

– W porządku jak „w porządku, załatwione”? Czy w porządku jak „w porządku, mniejsza z tym. Jesteś walnięta, ale nie chcę tego ciągnąć”?

- A jest jakaś różnica? - zapytał.

- Różnica polega na tym, że jedno znaczy „Och, w porządku, rozumiem, o co ci chodzi, i wszystko załatwione”, a drugie „Nie wiem, o czym gadasz, ale gówno mnie to obchodzi, więc powiem «w porządku», żebyśmy mogli zmienić temat i przejść do rzeczy, które naprawdę mnie interesują, na przykład czy kobiety na lekcji striptizu noszą stringi, czy były kompletnie nagie”.

- Ee, to pierwsze - odparł.

- Co pierwsze?

- Pierwsze, które mówiłaś. To, że chwytam, co mówisz, i wszystko gra.

- Na pewno?

- No dobra, drugie - spanikował Mike.

- Masz chociaż blade pojecie, o czym ja w ogóle mówię?!

Mike zaczął się śmiać.

- Słyszę cię, owszem, ale tak szczerze to, nie mam pojęcia, o czym mówisz. - W tym momencie też się roześmiałam. - Mona, jestem prosty chłopak. Ze mną takie tam „co miałaś na myśli przez to, co miałaś na myśli przez tamto” to strata czasu. Jeżeli mówię „w porządku”, przyjmij, że „w porządku”. Może to dobry moment, żebym zdradził ci prawdę o facetach numer dwa: naprawdę nie jesteśmy aż tak skomplikowani. Jeżeli mówimy, że jesteśmy głodni, to dlatego, że jesteśmy głodni. Jeżeli mówimy, że jesteśmy zmęczeni, to jesteśmy zmęczeni. Nie bawimy się we wszystkie te podteksty jak kobiety.

- A jaka jest pierwsza prawda? - zapytałam.

- Co?

- Mike, masz trzydziestosekundową pamięć? Pierwsza prawda o facetach. Twoim zdaniem druga jest taka, że jesteście prości jak drut. Jaka jest pierwsza?

- A, tak. Że przez większość czasu myślimy o seksie.

- W takim razie powinieneś zrozumieć, że nie spodobało mi się przerwanie snu erotycznego. - Kląnęłam na szezlong i zarzuciłam nogę na drewnianą poręcz.

- Niece. No więc o czym był ten sen?

- Nieważne. No więc kto to był wtedy wieczorem, kiedy dzwoniłam?

- Nieważne. Hej, Vicki mi mówiła, że przyszłaś wczoraj wieczorem. Twierdziła, że byłaś dosyć seksowna, Mona Lisa.

Kompletnie oklapłam na myśl, że Mike i Vicki rozmawiali o moich wyczynach na kursie striptizu. Z pewnością nieże się ubawili moim kosztem. Zaczęłam się zastanawiać, czy Vicki urządziła przedstawienie, pokazując, jaka byłam śmieszna. Zaczęłam się zastanawiać, czy powiedział jej, ile mu płacę. I skąd, do cholery, Mike w ogóle znał Vicki!

- Skąd, do cholery, w ogóle znasz Vicki? - zapytałam oskarżycielsko.

- Kurwa, znów się wpakowałam?

Komuś, kto by mnie obserwował, wydawałoby się, że nic nie robię. Siedziałam bez ruchu, nic nie mówiąc. Ten bezruch stanowił jednak centrum zrównoważonego napięcia dwóch przeciwstawnych sił. Część mnie czuła się wściekła, upokorzona i zdradzona z tego powodu, że Mike wysłał szpiega, by złożył raport na temat mojego zachowania na zajęciach ze striptizu. Miałam ochotę przedrzeć się przez linię telefoniczną, chwycić go za skórę na twarzy i walić jego głową o ścianę - wielokrotnie. Inna część nie chciała, aby wyszło, że nakręca mnie każdy drobiazg. Wystarczył już jeden występ przy okazji „co znaczy «w porządku?»”. Nie chciałam, by myślał, że każdy kontakt ze mną musi zaowocować konfliktem.

- Nie, chcę tylko wiedzieć, skąd znasz tę Vicki z lekcji tańca. Nie wspomniałaś, że kogoś tam znasz. Czy ona tam poszła żeby, no wiesz, mnie sprawdzić? I kto to w ogóle jest, twoja dziewczyna?

- Niece. Vicki to moja młodsza siostra. Powiedziałam jej o tej robocie dla ciebie w kwestii zakupów i włosów. Kiedy wspomniałam o nauce striptizu, stwierdziła, że to fajnie brzmi i zawsze myślała, że jako tancerka mogłaby bez wysiłku trochę zarobić. Więc powiedziałam jej, gdzie to jest, i okazuje się, że od wieków chodzi tam na lekcje baletu, a nie miała pojęcia o comiesięcznych striptizowych wieczorach. W każdym razie powiedziałam jej, że tam będziesz, ale ponieważ wydawała się onieśmielona tym pomysłem, poradziłam,

żeby siedziała cicho i nie mówiła, że mnie zna. Znowu jesteś na mnie wkurzona, prawda?

- Nie - odparłam i naprawdę nie byłam. - Miło, że o tym pomyślałaś. Prawie zwałam z tej lekcji, zanim w ogóle weszłam, więc cieszę się, że nie wiedziałam niczego o twojej siostrze. Naprawdę bym nie to zdenerwowała. A tak w ogóle, to co mówiła? Że wyglądałam jak idiotka? Nawiasem mówiąc, ona była naprawdę dobra. Naprawdę dobra. Ja nie. Powiedziała ci o tym?

- Nie, twierdziła, że byłaś słodka.

- Słodka? - Nie dałam się wziąć na plewy.

- Niezła - spróbował ponownie.

- Naprawdę?! - nakręciłam się. - Nigdy w życiu nie robiłam czegoś choćby z grubsza w tym stylu, więc oczywiście nie byłam taka dobra jak Vicki. Naprawdę użyła słowa „niezła”?

- Taa, powiedziała, że z początku sprawiałaś wrażenie trochę skrępowanej, ale kiedy sobie odpuściłaś i poszłaś na całość, wyglądałaś seksownie, to znaczy niezła.

- Nie, seksownie też jest w porządku - zapewniałam. - Naprawdę powiedziała „seksownie” czy to tylko twoja interpretacja?

- Hej, mam pomysł. Może przewieziesz swój psychotyczny tyłeczek przez most i pozwolisz, że sam ocenię. Naprawdę nie pamiętam, czy powiedziała niezła, a może „seksowna” albo „niezła i seksowna”. Kto wie? Człowiek musi sam się przekonać.

- A to słodkie - prychnęłam.

- Słodkie?! Słodkie?! - Naśladował mój głos. - Masz na myśli słodkie czy sprytne? Słodkie czy seksowne? Nie jestem pewien, czy „słodkie” mi odpowiada.

- Przerwało nam stukanie we frontowe drzwi.

- Cholera! To Greta - powiedziałam do Mike'a. - Muszę lecieć. Mam biegać, a nie jestem nawet ubrana.

- Mona Lisa, masz piątkę z zanęcania facetów, wiesz? Słuchaj, zadzwoni do mnie później pod numer telefonu Vicki. Mówi, że może zabrać cię na zakupy w ten weekend.

Zbiegając po schodach do drzwi, powitałam Gretę zawstydzona.

- Przepraszam za spóźnienie. Zaspałam. Mogę być gotowa za pięć minut.

- Nie ma sprawy. Nie spiesz się, Mona.

- Zgadnij, z kim właśnie rozmawiałam przez telefon? - krzyknęłam na dół.

- Ze swoim przyszłym mężem? - zapytała szycerco.

- Nie! Z Mikiem „Psem”. Zatrudniłam go. Jest moim doradcą.

- Zachichotałam. - I zgadnij, co robiłam wczoraj wieczorem?

- Powiedz mi - zawołała.

- Poszłam na lekcję tańca. - Wystawiłam głowę na schody, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy.

- Genialnie!

- Tańca egzotycznego - wyjaśniłam seksownym głosem Barry'ego White'a.

- Jezu Chryste - westchnęła.

- On to popiera. Serio, zaczekaj, aż ci powiem, co pewna striptizerka Kicia ma do powiedzenia na temat tańca egzotycznego jako drogi do duchowego oświecenia.

- Kicia? - Greta uniosła brwi.

- Kicia - potwierdziłam, schodząc. Miałam ochotę zjechać po poręczu na jednym poślądku.

- Więc Pies jest twoim doradcą, a Kicia instruktorką striptizu?

- Kicia nie była instruktorką. To przyjaciółka instruktorki.

- Chyba coś ci umyka. Pozwalasz, żeby banda domowych zwierzków kierowała twoim życiem. Nie wiem, czy starczy mi odwagi, żeby zapytać, co będzie dalej.

- Ee, może znów piłka nożna z „Kociakami z wykopem”?

- Uśmiechnęłam się.

- Ależ z ciebie spryciula. - Popędziła za mną, usiłując walnąć mnie ścierką do naczyń.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po siedmiu tygodniach Greta i ja przebiegaliśmy co drugi dzień dwa kilometry. W ostatnim tygodniu stycznia przestałam mieć wrażenie, że ktoś dźga mnie pod prawe żebro, jednocześnie pchając mi do głowy wacę. Po utracie czterech kilogramów zauważyłam też, że podczas biegania mój tyłek trzyma się reszty ciała, zamiast jak do tej pory podążać z tyłu na oddzielnym wózku. Greta nalegała, żebyśmy jadały niedzielny obiad w instytucie zdrowia przy Lemon Grove, gdzie chorzy na raka leczą się za pomocą perzu. W niedziele otwierają podwoje dla wszystkich chętnych na obiad. Greta najwyraźniej uważała, że posiłek za trzy dolary to prawdziwa okazja, ale kiedy się podaje surowe warzywa, „ser nasienny”, sok z perzu i jakiś cuchnący nawozem wywar pod nazwą Rejuvelac, ile można kazać ludziom płacić?

Ku wielkiemu rozczarowaniu cynicznej części mojego „ja” naprawdę polubiłam sok z perzu i zaczęłam zamawiać skrzynki trawy ze sklepu ze zdrową żywnością. Kupiłam sokowirówkę, a także mikser, by dochowywać wierności płynnym sałatkom.

Po bieganii zaprosiłam Gretę na sok.

– No więc zgadnij, dokąd się wybieram w ten weekend? – zagadnęłam, wkładając marchewkę do otworu w sokowirówce. Metalowe zęby zgrzytnęły z upodobaniem, zmiażdżyły marchewkę i wypłuły ze szczeliny porcyjną warzywną krew.

– W porządku, poddaję się. Dokąd się wybierasz w ten weekend?

– Siostra Mike’a zabiera mnie na zakupy.

– Więc teraz potrzebna ci konsultantka także w sprawie zakupów? Potrafisz o czymkolwiek zdecydować sama?

– Zapytała konsultantka w kwestiach zdrowia psychicznego – rzuciłam uszczypliwie, chcąc zmienić temat. – Greta, nawet nie masz Mike’a i Vicki. On jest w porządku, jeśli pominąć jego chojzowanie, a ona jest miła.

– Nie muszę poznawać Mike'a, żeby go znać. To klasyczny mi-zogin – oświadczyła.

– Czy tak właśnie traktujesz pacjentów? Klasyfikujesz ich jako konkretny typ i nie zadajesz sobie trudu, żeby poznać ich jako poszczególne osoby? – zapytałam.

– To bardzo odmienny typ relacji i wiesz o tym – powiedziała Greta. Widziałam, jak usilnie zastanawia się nad wytłumaczeniem. – Kiedy ludzie podejmują terapię, to dlatego, że chcą uzyskać wygląd w samych sobie i lepiej się zrozumieć. Mężczyzna, który poluje na wrażliwe kobiety, udając, że potrafi udzielić cennych rad w kwestii męskiego umysłu, to zwykły oszust.

– Mike wcale na mnie nie polował i nie uważam się za ofiarę oszusta, panno asyntenko Claudii Schiffer – odparłam z wielką satysfakcją.

Odkąd ucihła rozmowa, hałas sokowirówki wydawał się głośniejszy. Atmosfera nabrzmiała skrępowaniem. Gorączkowo szukałam słów, które pozwoliłyby przełamać milczenie między nami.

Greta powiedziała miękko:

– Przecież poszłabym z tobą na zakupy za darmo. Nie odpowiada ci mój gust w kwestii ubierania?

– Oczywiście, że tak! – skłamałam. Prawda jest taka, że Greta holduje klasycznemu stylowi profesjonalnemu, nawet kiedy nie pracuje. Do niej to pasuje, ale ja szukałam czegoś pomiędzy jej stylem a wystrzałową garderobą Vicki.

– Po prostu wygląda na to, że twoja przemiana dotyczy wyłącznie aparycji i w ogóle nie pracujesz nad swoim życiem wewnętrznym.

Zaskoczyłam siebie samą i Gretę, uderzając dłońmi w brązowy granitowy blat kuchenny.

– Przyglądam się sobie! Czy nie grałam z tobą w piłkę kilka tygodni temu? Czy nie przeczytałam tych gównianych psychologicznych książek dla mas, które mi kupiłaś, i nie przekopałam się przez górę bzdetów, żeby znaleźć tych kilka rzeczy, które były przydatne? Czy nie jem ogrodowych chwastów, bo powiedziałaś, że zdrowe ciało jest ważne dla zdrowia psychicznego? Co jeszcze mam zrobić, żeby ci pokazać, że tyle samo energii wkładam w zmianę swojego we-

wnętrznego „ja” jak w sprawy zewnętrzne?! Fakt, że chcę lepiej wyglądać i dodać swojej garderobie trochę fantazji, nie znaczy, że jestem płytka. Ty jesteś piękną kobietą. Możesz skupić na sobie całą męską uwagę, jakiej chcesz, po prostu stając w drzwiach. Ja nie. Znasz mnie od szesnastu lat. Wiesz, że wołę wtapiać się w tło. Ale teraz, pierwszy raz w życiu, chcę skupić na sobie uwagę, chcę tej uwagi od Adama Zieglera, mężczyzny, którego kocham. I powiem ci coś jeszcze, ja tę uwagę przyciągnę. Zamierzam zrobić wszystko, co będzie potrzebne, i zdobyć to, czego pragnę. Greta, szczerze cię kocham, ale nie będę przepraszać za to, co robię. Idę w ten weekend na zakupy i jeżeli Vicki mi powie, że w jakimś ciuchu wyglądam ładnie i seksownie, zamierzam go kupić. Na liłość boską, nikomu nie wyrządzę tym krzywdy. Nie robię niczego nielegalnego ani niemoralnego, więc proszę, raz na zawsze zejź z tego piedestału i przestań się zachowywać, jakbym dopuszczala się zdrady wobec samej siebie, kupując kilka nowych spódnic i parę ładnych topów.

Greta spojrziała na filiżankę z sokiem, który wylewał się na blat, bo jak szalona pchałam marchewki do sokowirówki, nie zwracając uwagi na efekty tych działań. Chwyciłam szmatkę i zaczęłam wycierać. Greta delikatnie położyła dłoń na mojej.

– W porządku – powiedziała. – Obiecuj mi tylko, że nie zagubisz samej siebie, próbując się stać kimś, kogo twoim zdaniem pragnie ktoś inny.

– Umowa stoi.

W zakupach z Vicki zachwyciło mnie to, że w najmniejszym stopniu nie czuła się zobowiązana, by stać i oglądać ciuchy w butik, jeśli z miejsca się zorientowała, że nic tam jej nie zainteresuje. Kiedy jestem w sklepie, mam wrażenie, że muszę obejrzeć kilka rzeczy i udać zainteresowanie, podczas gdy sprzedawczyni opowiada o artystycznym geniuszu projektanta. Nie Vicki. Ona nie ma nic przeciw temu, żeby wejść do środka i zawrócić w miejscu jak modelka na wybiegu.

W każdym sklepie wszystkie oczy podążały za monochromatyczną „drugą skórą” Vicki – obcisłymi różowymi dżinsami, kusem

różowym sweterkiem z paciorkami i różowymi butami na platformach, z kokardkami. Vicki podkradła się do ciuchów, przy których nawet bym się nie zatrzymała, dotykała tkaniny, a potem przykladała do piersi z olśniewającym uśmiechem oznaczającym pytanie, co o tym sądzić. Za sto dolarów za godzinę mogła liczyć na moją szczególną reakcję.

– Za mocno wycięta – odmawiałam.

– Za mocno? To? Zwariowałaś. Przymierz. Nie musisz tego kupować. – Taka była odpowiedź Vicki na wszystkie moje wątpliwości co do jej wyborów. Mówiłam, że za obcisła, odpowiadała „przymierz”. Uważałam, że za bardzo wyzywająca, mówiła „wrzuć ją na siebie na chybicka w przymierzalni”. Protestowałam, że kolory i wzory są zbyt wyraźne, Vicki twierdziła, że powinnam rzucić okiem na krzykliwy sweter.

– Mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie niewłaściwie, Vicki, ale nie chcę, żebyś zmieniła mnie w siebie. Masz mi pomóc odkryć własny styl.

– Och – powiedziała rozczarowana. Podczas naszej pierwszej godziny zakupów niczego nie kupiłam i bardzo chciała usłyszeć odgłos zamykanej kasy. – W porządku, pracuję z tobą nad twoim stylem i tak daleko, ale co miałaś na myśli, mówiąc, że nie chcesz wyglądać jak ja?

To był okropny moment, poczułam smak zwycięstwa, upuszczając trochę powietrza z ego tej ślicznej dziewczyny. Chodzi o to, że kobiety takie jak Vicki nigdy nie liczyły się z moim zdaniem. Nawet mnie o nic nie pytały. Muszę przyznać, że czułam się w pewnym sensie usprawiedliwiona, raniąc jej uczucia. Vicki zawsze była dla mnie miła, ale nagle jakby przestoczyła się w każdą z tych dziewczyn z Akademii, które nazywały mnie kujonką, dziwadłem, hipisowską ćpunką i lesbijką. A potem spojrzałam na nią, czekającą na moją odpowiedź, i Vicki znów była tylko sobą.

– Przepraszam – powiedziałam, gdy usiadłyśmy na jednej z drewnianych ławek przed Forever 21, sklepem zapchanym nastolatkami i kobietami w średnim wieku. – Wygląd wyraża to, kim ty jesteś, a ja chcę czegoś, co powie coś o mnie.

– O rany, Mona, ależ mi wciskasz gówno – neutralnie odparła Vicki. – Czemu mi nie powiesz, co naprawdę myślisz o moim stylu ubierania? Nie zranisz moich uczuć.

Czy już tego nie zrobiłam? I czemu mówiła mi, że nie zranię jej uczuć? Chodziło o to, że jestem tylko klientką, a nie prawdziwą przyjaciółką? O to, że jestem bez wyrazu, więc moje zdanie było tym samym bez znaczenia? A może po prostu błagała, żebym powiedziała to, co sama wiedziała – że jej sposób ubierania za bardzo manifestował rozpaczliwą potrzebę skupiania na sobie uwagi. Wzięłam głęboki wdech, zbierając się na odwagę.

– Vicki, jesteś bardzo seksowną kobietą. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Chodzi o to, że sposób, w jaki się ubierasz, krzyczy „za bardzo się staram”. W tym swetrze widać ci cały brzuch. I ten króliczek „Playboya” ze sztucznego diamentu, który zwisa ci z pępka. – Wzdrygnęłam się. – Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ludzie patrzyliby na ciebie nawet bez specjalnego zaproszenia. Proszę, nie zrozum mnie źle. Chcę tylko powiedzieć, że wystarczająco dobrze wyglądasz bez dodatkowych upiększeń. Widzisz te dziewczyny? – Wskazałam na grupkę nastolatek z wyprostowanymi sztucznie włosami i twarzami bez wyrazu. – One muszą się starać. Ty nie. Moim zdaniem byłabyś bardziej seksowna, gdybyś zdecydowała się na dość konserwatywny styl. Na przykład jak naprawdę seksowna pracownica bankowości inwestycyjnej w czarnym garniturze ze spodniami z szeroką nogawką i butach z kwadratowym czubkiem i frędzelkami.

– Chcę wyglądać jak kobieta – zaprotestowała.

– Możesz mi wierzyć, że bez względu na to, co włożysz, nikt nie weźmie cię za faceta. Obraziłam cię?

– Mona, zasadniczo mnie się nie da obrazić – zapewniła buńczucznie. – Myślałaś kiedyś o tym, żeby wyprostować włosy?

Pokręciłam głową, zastanawiając się, czy skończyłyśmy rozmowę o strojach Vicki.

– Mogę ci zadać pytanie? – Skinęła głową. – O co chodzi z całym tym różem?

Roześmiała się.

– Poszłam kiedyś do kolorystki, a ona uznała, że powinnam nosić tylko różowy.

– Poważnie?

– Tak, a czemu?

– Vicki, wyglądałabyś dobrze w każdym kolorze. Czy przy stylizacji nie powinni ci podać całej pory roku czy coś takiego, nie tylko jednego koloru?

Wzruszyła ramionami.

– Tak, chyba dostałam radę po przeceniu. Naprawdę myślisz, że dobrze bym wyglądała w każdym kolorze?

Czy naprawdę mogła tego nie wiedzieć? A może po prostu chciała to usłyszeć jeszcze raz? W każdym przypadku była tylko jedną możliwą odpowiedzią.

– Tak, Vicki, wyglądałabyś dobrze w ciemnej czerwieni.

Uśmiechnęła się i przygryzła wargę, a potem z prędkością kabiniera maszynowego zaczęła strzelać radami na temat urody.

– Masz bardzo ładny głęboki czekoladowy kolor włosów. Powinnyśmy cię zabrać na to japońskie prostowanie włosów. Hej, kiedy już kupimy ci nowe ciuchy, pójdziemy do sklepu MAC i poprosimy, żeby zrobili ci pełny makijaż, potem możemy zobaczyć, co powinnaś kupić, żeby się malować. Myślałaś kiedyś, żeby wyregulować sobie brwi?

Kilka chwil później przerzucaliśmy stroje u Ann Taylor. Kupiłam dopasowany czarny bawełniany sweter z białymi aplikacjami i spodnie do kompletu, trzy lniane topy zapinane na guziki, gustowną dzinsową spódnicę i parę ekstrawaganckich koturnów. Pod koniec dnia miałam pięć toreb na zakupy wypełnionych ubraniami, które seksownie podkreślały mój styl – nie styl Vicki. A ona kupiła kilka nowych kompletów ze spodniami, które pokazywały mniej ciała, a więcej Vicki. Porzuciła róż i z łatwością, której jej pozazdrościłam, zmieniła styl striptizerki na rzecz seksownej elegancji.

– Chcesz skoczyć do kina? – zaproponowała, gdy poszliśmy na parking w centrum handlowym, żeby zostawić zakupy, każda w barzeżniku własnego samochodu.

– Nieodpłatnie?

Vicki się uśmiechnęła.

– Zdecydowanie nieodpłatnie. Dobrze się dzisiaj bawiłam. Nie skasowałabym cię, gdybym nie musiała, ale brakuje mi gotówki, dlatego właśnie zajmuję się całą tą sprawą ze striptizem. Nie chcę, żebyś uważała, że nie jesteśmy przyjaciółkami czy coś. Trochę kiepsko się czuję, że biorę od ciebie pieniądze.

– Vicki, tak tylko zażartowałam. Pracowałam dla mnie i z przyjemnością ci za to zapłacę. Naprawdę chcesz się starać o pracę jako tancerka? – Zachichotałam nerwowo na myśl, że jedna z moich koleżanek z klasy zamierzała skorzystać ze swojego wysadanego sztucznyymi diamentami dyplomu.

– Jutro mam próbny występ. Menedżer powiedział, że bym przysła, rzuci na mnie okiem i jeśli spodoba mu się to, co zobaczy, muszę być gotowa, żeby z miejsca zatańczyć dla niego trzy numery z repertuaru.

– O rany. Może nasza klasa powinna się wybrać na wycieczkę w teren i któregoś wieczoru wpaść cię obejrzeć. – Trąciłam ją lokciem.

– Zakładając, że dostanę tę pracę – powiedziała, rzeczywiście niepewna.

– Zartujesz, prawda? – Uniosłam brwi i szeroko otworzyłam oczy, chcąc zasugerować, że jej wątpliwości są zupełnie bezpodstawne. – Szukają dokładnie kogoś takiego jak ty. Jesteś wspaniała, a do tego podlapałaś każdy taneczny ruch, jakbyś się z tym urodziła.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie mam rację i wypadnie na próbie śpiewajco. – Ale nie przyprowadzaj dziewczyn z klasy. Możesz sobie wyobrazić Olivię? – „E, przepraszam, ale przyniosłam własną płytę, do której dziewczyny mogłyby tańczyć. I jeżeli któraś zachorowała, to strasznie chętnie ją zastąpię”.

Zaśmiałyśmy się porozumiewawczo.

– Jestem całkiem pewna, że kobieca grupa byłaby mile widziana w klubie ze striptizem. Możesz to sobie wyobrazić? – Użyłam swojego najlepszego pijackiego głosu, który z jakiegoś powodu zabrzmiał jak głos Shreka.

– „No nie, moje panie. Najpierw Citadel, potem Augusta, a teraz kluby nocne? Może byśmy mogli z chłopakami zachować coś dla siebie, co?” – Zachichotałyśmy jak Wilma Flintstone i Betty Rubble, radośnie i z beztrudną pogardą wobec jaskiniowców, z którymi dzielimy tę planetę.

– A skoro mowa o szowinistycznych świniach, jak ci idzie z moim bratem?

– Jak na razie jedyne, co zrobił, to zapisał mnie na lekcję strip-tizu, co, muszę przyznać, nie było w sumie takim okropnym pomysłem. Miał rację, jeśli chodzi o nawiązanie kontaktu z inną stroną mojej osobowości. Mogę ci coś powiedzieć? – Kiwnęła głową. – Odkąd byłam na tej lekcji, mam najdziwniejsze sny i marzenia, nie tylko kiedy śpię. Przez jakieś dwa dni po zajęciach mogłam myśleć tylko o seksie.

– Rozumiem, że normalnie tak to nie wygląda. – Vicki się uśmiechnęła.

– Za słabo powiedziane.

– Posucha?

– Taa, jakieś szesnaście lat posuchy.

– Szesnaście lat?! – Gwałtownie wciągnęła powietrze. – Dlaczego? Masz najlepszy na świecie wibrator czy co?

– Tak naprawdę, to nigdy z nikim nie byłam blisko po moim pierwszym chłopaku. Nie mogłam jakoś... – urwałam.

– Złamał ci serce?

– Nie, umarł. Właściwie to zginął w wypadku. On i reszta mojej rodziny. Nikt nie przeżył. – Dziwnie się czułam, mówiąc o tym na głos.

– O rany! – Vicki musiała przyswoić sobie informację. – To okropne. Bo wiesz, o takich rzeczach się słyszy, ale nigdy nie spotkałam nikogo, kto... – teraz ona urwała. – Strasznie mi przykro, Mona. To okropne. – Zamilkła i zmarszczyła brwi. – Więc uprawiałaś seks z, przepraszam, jak miał na imię?

⁷ Citadel, akademii wojskowa w 1996 r. i Augusta, klub golfowy w 2002 r. jako pierwsze tego rodzaju instytucje w historii przyjęły w poczet członków kobiety.

Nie wymówiłam tego imienia, odkąd ostatni raz rozmawialiśmy.

– Todd – wyrwało mi się.

– Więc był seks z Toddem, on zginął, a ty od tamtej pory nie byłaś z facetem? – Skinęłam głową. – Mam nadzieję, że nie wyjdę na prostytutkę, ale chyba nie uważasz, że pieprzenie się z tobą jest zabójcze czy coś, prawda?

Wybuchnęłam śmiechem.

– Zabójcze pieprzenie?! O mój Boże, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś, Vicki!

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Wszyscy zawsze chodzą dookoła mnie na paluszkach, kiedy się dowiadują o... wiesz czym. Nikt mnie nigdy nie oskarżył o zabójcze pieprzenie! Genialne.

Vicki gładko zmieniła temat.

– Mona, mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiesz, ale nie przywiązuję się za bardzo do Mike'a, dobrze?

– Przywiązywać się? Łączy nas relacja zawodowa, to wszystko.

– Okej, wszystko jedno. Po prostu widziałam całkiem sporo dziewczyn, które dość paskudnie dostały od Mike'a w dupę. Nie żeby niektóre z nich na to nie zasługiwały, ale robisz wrażenie porządnego człowieka. Nie chcę, żeby cię zranił.

– Zranił? Mike jest moim pracownikiem. Nie mógłby mnie zranić, nawet gdyby próbował. Vicki, zatrudniałam go, żeby pomógł mi zrobić wrażenie na innym faciecie, pamiętasz?

– Okej, niepotrzebnie poruszyłam ten temat.

Gdy tego wieczoru wróciłam do domu, zastałam dwie wiadomości od Greta. W pierwszej pytała, jak mi poszło na zakupach, w drugiej przypominała o meczu „Kociaków” w następnym weekend.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Odejście wesołych panienek
– Mike „Pies” Dougherty

Dla wszystkich facetów nastął smutny dzień. Ostatnie wesołe panienki odeszły drogą prowadzącą do urzędów stanu cywilnego i wspólnych rachunków bieżących. Jakimś okrutnym zrządzeniem losu czy z powodu niedoskonałości natury nawet zatwardziałe imprezowe cichodajki zostały udomowione. Teraz i one chcą od facetów zaangażowania.

Cyberpornograficzne laski chcą poważnego związku ze swoimi podglądaczami. Dokąd zmierza ten świat?

Ostatnio zalogowałem się na swoje konto i zobaczyłem maila z pytaniem: „Chcesz zobaczyć, jak robią to napalone żury?”. Nie tak znów bardzo przypadkowo odpowiedź na to pytanie brzmiała „zdecydowanie tak”. Wiem, na czym polega pornografia. Pozwalają ci rzucić okiem, potem chcą, żebyś za ciężkie pieniądze przyłączył się do jakiegoś klubu. Żadnych niespodzianek.

Nie spodziewałem się, że nie będę mógł wylogować się z tej przeklętej strony po paru minutach. Jak w przypadku wielu innych związków w przeszłości gorączkowo klikałem „zakńcz”. Bez skutku. Napalona Zdzira nie chciała się zamknąć. Nie chciała sobie pójść. Nagle widzę podobizny kart kredytowych, które akceptuje. „Zakończ zadanie”, wałę. „Porzuć”, naciskam. „Wyjdź. Wyjdź. Wyjdź”. Nic z tego. Postanowiła zostać na dobre. Chce zaangażowania. Chce moich pieniędzy. Chce mnie przedstawić swoim zdzirowatym przyjaciółkom. Ostatecznie uznaję, że jedyne, co mi pozostało, to wcisnąć „control, alt, delete”. I wraz z resztą mojego systemu poszła

sobie Napalona Zdzira. Godzinę później znów się loguję i jak myślicie, kogo widzę? Zgadza się. To ona i armia jej e-zdzir natarczywie składają mi propozycje. Twierdzą, że chcą się tylko zabawić, ale wiem, o co im naprawdę chodzi – o długoterminowy związek z moją kartą Visa.

Skończyło się tym, że musiałem umieścić Napalona Zdzirę w filtrze spamu, co stanowi elektroniczną wersję sądowego zakazu zbliżania się do człowieka.

Czy świat kompletnie zwariował? Gdzie się podziały te wesołe panienki, które ukrywały się w magazynach pod łóżkiem po stronie mego taty? Te, które nie pisnęły nawet słówka, ale pozowały nago, żebym mógł się im poprzyglądać, a potem cicho zniknęły, kiedy miałem co innego do roboty?

Najtrudniejsze w tym wszystkim jest być może to, że zawsze wierzyłem, że pomodrzewczymy są w zasadzie takie jak my, faceci. Nie mówią dużo, a kiedy już to robią, gadają wyłącznie o nas i naszych fiutach. Nigdy nie oczekują od nas spełniania domowych obowiązków. Nie mają kotów. Zasadniczo to my z porządnymi damskimi ciałami. Kiedy spotyka się fantazja i rzeczywistość, kończą się marzenia i zaczynają koszmary. Nie możesz wziąć ponętnej kobiety z marzeń i dać jej walków do włosów i do ciasta, bo rzeczywistość kompletnie unicestwia fantazję. Oto równanie: Pamela Anderson plus zaangażowanie równa się Madge, ta z mydła Palmolive. Smutne, ale prawdziwe.

Musiałam jeszcze raz przeczytać kolumnę Mike'a po lunchu z Vicki. Czy ten facet upadł na głowę, kiedy był dzieckiem? Potem wypróbowałam coś rodem z poradników psychologicznych Grecy. Nigdy bym się jej do tego nie przyznała, ale w książkach, które dostałam na Gwiazdkę, znalazłam pewne interesujące ćwiczenia. Nie chodzi o to, że nie chcę dać Grecie możliwości, by okazała się pomocna. Po prostu gdyby wiedziała, że kupiłam cokolwiek z jej pochobelkotu, stałaby się nieznośna. Przygotowałyby dla mnie listę lektur i ze trzy zamiary na terapeutów. W internecie znalazłam

książkę o przykuwającym uwagę tytule *Poczuj strach i zrób to coś mimo wszystko!* Pierwszy raz w życiu przyszło mi do głowy, że możliwe jest pokojowe współistnienie strachu i działania. Zawsze uważałam, że muszę przezwyciężyć strach, zanim cokolwiek zrobię, ale zdaniem tego doktora Jeffersa powinnam zaakceptować swój strach, zamiast odganiać się od niego jak od stada much.

Nadszedł czas na telefon do Adama w sprawie rozliczenia podatków – idealny moment, by czuć strach i mimo wszystko to zrobić. Miałam tak silne mdłości, że zastanawiałam się, czy naprawdę będę wmotowotać. Chodząc po domu, przećwiczyłam, co dokładnie powiem.

– Halo Adam. Tu Mona Warren – trenowałam.

– Mona – umości się na krześle z uśmiechem – co u ciebie? Z przykrością dowiedziałem się o Caroline. Jak sobie bez niej radzisz?

– Dziękuję, Adamie. To naturalne, że jest mi ciężko. Fakt, że babcia miała osiemdziesiąt jeden lat i przeżyła tak wspaniałe życie, stanowi dla mnie wielką pociechę. Powiedz, czy będziesz musiał w tym roku wypełnić dla mnie formularz 706?

– Znasz się na rzeczy, Mona. Jestem pod wrażeniem, ale nie zaskoczony. Zawsze wydawałaś się rozumieć kwestie finansowe, które objaśniałem twojej babce. Jesteś naprawdę inteligentną kobietą.

– Nie za bardzo, Adamie.

– A to dlaczego?

– Bo zatajając to, co do ciebie czuję, pozwoliłam, żeby minęło siedem lat. Według moich kryteriów to całkiem niemądre.

– Och, Mono. Jestem w tobie zakochany od dnia, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, ale twoja babka zabroniła mi rozwijać relację z tobą za jej życia.

Nie wymyśliłam jeszcze, dlaczego babcia miałaby wysunąć tak idiotyczne żądanie, ale marzenie domagało się kontynuacji. W spełnieniu zakazanej miłości było coś szalenie romantycznego. Lata oddalenia zrodziły między nami namiętność podsycaną głodem. W tym momencie mojej wizji rzucamy słuchawki, wskakujemy do nadochodów i jedziemy do siebie, nie mogąc znieść rozdzielania ani chwili dłużej. Ponieważ on jedzie do Coronado, a ja zmierzam w stronę śródmieścia, zatrzymujemy się dokładnie pośrodku mostu.

Biegniemy do siebie w zwolnionym tempie z otwartymi, oczekującymi ramionami. On stylowo przeskakuje nad betonową barierą i obejmuje mnie, unosząc i okręcając moje wygięte w luk ciał, podczas gdy świeżo wyprostowane włosy wdzięcznie furkoczą w powietrze. Włączają się samochodowe klaksony i ludzie wiwatują. Adam delikatnie ujmuję moją twarz i głęboko patrzy mi w oczy.

– Wyjdź za mnie, Mono Warren. Uczyni mnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie i wyjdź za mnie.

– Tak. – Śmieję się, włosy powiewają mi na wietrze i ani razu nie przyklejają się do szminki. – Tak, Adamie Ziegler. Wyjdź za ciebie! Koronkowa linia kursywy zaczyna wypisywać „The End”.

– Biuro Adama Zieglera – zatrząbił nosowy damski głos, zatrzymując przesuwające się napisy.

– O, tak, dziękuję – wydusiłam. – Czy mogę mówić z Adamem?

– Czy mogę przekazać mu, w jakiej sprawie? – dopytywała się.

– O, tak. Proszę powiedzieć, że dzwoni Mona Warren. Muszę ustalić termin spotkania, żeby omówić sprawę swoich podatków.

– Nie potrzebuję pani spotkania. Prześle pani faksem albo mailem nasze kwestionariusze i załatwimy wszystko drogą elektroniczną.

Z pewnością ta mówiąca nosowym głosem kobieta nie miała pojęcia, że moje życie, moje przyszłe szczęście zależą od tego spotkania w sprawie podatków. Nie zdawała sobie sprawy, jaką paniką, cierpieniem i wściekłością wywołały jej słowa. Wzięłam głęboki wdech i przypomniałam sobie Gretę udającą asystentkę Claudii Schiffer. Musiała czuć choćby lekkie zdenerwowanie, a jednak to zrobiła. Poradzę sobie z tym telefonem, będę udawać, że należę do obsady filmu *Życie Mony*, gram rolę sprytną i pomyslową Gretę. Dodam do tego trochę pewności siebie Vicki i stworzę własną postać, która poradzi sobie w tej sytuacji znacznie lepiej niż zwykła stara Mona.

– Może pani przesłać mi mailem kwestionariusz, ale nalegam na spotkanie z panem Zieglerem. Zmarła moja babka i będzie musiał wypełnić w tym roku formularz 706.

– Może to zrobić, nie fatygując pani do biura. Nasz nowy menedżer zorganizował system, który pomaga nam zmaksymalizować

efektywność i oszczędzić cenny czas naszych klientów – zatrząbiła wyuczona odpowiedź.

Głęboko oddychać. Nie płakać.

– Proszę mnie przelączyć do pana Zieglera. I powiedzieć mu, że dzwoni Mona Warren. – Najtrudniejszym zadaniem było zachowanie po tym wszystkim milczenia. Chciałam przeprosić za swój ton osoby, której należą się specjalne względy. Chciałam się jej zwierzyć, że kocham Adama i chcę, żeby spotkanie w sprawie zeszłorocznych podatków było możliwie najbardziej nieefektywne. Zamiast tego milczałam i słuchałam, jak gęstnieje atmosfera, gdy obrażam recepcjonistkę.

– Dzień dobry, Mono. Co mogę dla ciebie zrobić? – To był On. Wiedział, że dzwonię i domagam się rozmowy z nim, a jednak uważał dzień za dobry. Na dźwięk jego głosu wymawiającego moje imię pozalowałam, że nie nagrywam tej rozmowy, mogłabym ją później odwarzać. Miał ciepłe i głębokie brzmienie z delikatnym leniwym prądem ostrzejszych nut, jak burza. I chciał wiedzieć, co może dla mnie zrobić. Poślubić mnie. Kochać na wieki. Wziąć udział w moim gwiazdkowym marzeniu, oświadczając, że ze mną życie jest cudowne. Zobaczyć ze mną świat. Być ojcem moich dzieci. Zestarzeć się ze mną. Przeżyć zalamanie, kiedy umrę, mając sto sześć lat, i podążyć za mną trzy dni później, żeby nasze wnuki mogły opowiadać przyszłym pokoleniom o największej miłosnej historii wszech czasów. Ale na początek wybacz mi, że zachowałam się jak suka wobec jego recepcjonistki.

– Dzień dobry, Adamie. Przepraszam, że byłam dość stanowcza, ale twoja sekretarka wydawała się nie rozumieć, że zawsze załatwiamy sprawy podatkowe osobiście.

– Jestem przekonany – powiedział – że spodoba ci się nasz nowy system, który...

– Domyślałem się, że z waszym nowym systemem jest szybciej, ale naprawdę czuję się pewniej, załatwiając sprawy w staroświecki sposób.

Rozumiesz, zatrudniając doradcę, dokonując przemiany samej siebie, spotykając się w sprawie podatków, wychodząc za mąż, po czym żyjąc długo i szczęśliwie.

Bez wahania odparł:

– Oczywiście, Mono. Nie ma problemu. Zawsze z przyjemnością się z tobą spotykam. Pozwól, że wezmę kalendarz. Zaczekajmy do piętnastego lutego, kiedy dotrą informacje o twoich dochodach.

– Tak długo? – W moim głosie zabrzmiało rozczarowanie. Próbując się zrehabilitować, powiedziałam: – To znaczy chciałam w tym roku zakończyć sprawy podatkowe naprawdę wcześniej.

– Chcesz jednak załatwić je jak należy, Mono. Wolę nie być zmuszony odwiedzać cię w więzieniu. – Przypomniała mi się scena z *Midnight Express*, kiedy dziewczyna osadzonego w tureckim więzieniu amerykańskiego turysty, który przemycił haszysz, przychodzi go odwiedzić i pokazuje piersi przez szklaną przegrodę w sali widzeń.

Sprowokowało mnie to do kolejnego chichotu nie w porę.

– W porządku, co powiesz na szesnastego? – zaproponowałam.

– Jak brźmi punkt dziesiąty? – zapytał Adam.

Jak symfonia. Jak wieczność. Niebiańsko.

– Frajnie – odparłam.

„Frajnie”? Czy właśnie powiedziałam „frajnie”? Właśnie dlatego zawsze usiłowałam być niewidzialna w towarzyskich układach. Bo mówię rzeczy w rodzaju „dziesiąta brźmi frajnie”.

– Załatwione. Zobaczymy się dokładnie o dziesiątej, szesnastego. Chcesz, żeby zadzwonić z potwierdzeniem?

Powstrzymałam się od śmiechu.

– Nie – odparłam spokojnie, uważając, żeby nie przesadzić z tą lakoniczną odpowiedzią. Odważyłam się mówić dalej. – Dziękuje. Mam to w kalendarzu. Nie zapomnę. Już się cieszę na nasze spotkanie.

Widzisz, jaka jestem odpowiedzialna? Nigdy nie zapomnę o twoich urodzinach, pralni chemicznej ani lekcjach pianina dla twoich dzieci.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam skakać wokół kuchni jak uczestnik teleturnieju, który wygrał główną nagrodę. Z mocno zachrypniętymi pięściami podskakiwałam w górę i w dół, kopiąc się w tyłek.

– Iiiiiiiyyyyy! – pisałam. – Zobaczę go. Tylko dwadzieścia jeden długich bolesnych dni stoi pomiędzy mną a Adamem Zieglerelem. Mogłabym umrzeć. Mogłabym umrzeć z podniecenia.

Wysłam na zalane słońcem podwórze i zadzwoniłam do Mike'a, który powiedział, że jest w drodze na salę gimnastyczną. Byłam taka szczęśliwa, że jego mecz boksinerski wydał mi się fascynujący. Mike wydał mi się księciem. Ptaki właśnie śpiewały moją ulubioną piosenkę, a motylek usiadł mi na ramieniu. Okej, może i nie, ale byłam w euforycznym nastroju, co powinno wyjaśnić, dlaczego moje następne oświadczenie zabrzmiało z takim przekonaniem.

– Zawsze chciałam spróbować boksu – rzuciłam.

– Co cię tak nakręciło? – zapytał Mike obojętnie.

– Cóż, jeżeli tylko takie zainteresowanie potrafisz udąć, to ci nie powiem – droczyłam się.

– Okej. Może pogadamy, kiedy wrócę z klubu? Możemy zaplanować nasze kolejne spotkanie i przejrzeć notatki, które porobiłem. Zaprotekowałam żartobliwie.

– Nie! Udawaj, że umierasz z ciekawości, czemu jestem taka szczęśliwa. Zapytaj mnie. Tym razem powiem, obiecuję.

Jego wahanie podziało na mnie deprymująco. Potem westchnął, tolerował mnie tylko z powodu pieniędzy.

– Dobra – trochę się mobilizowałam, a potem z nadmuchiwanym, sztuczny entuzjazmem reklamy radiowej kontynuowałam: – Rany, Mona! Co to za nowina? Ledwie mogę usiedzieć.

Okłapałam. Nowina wydała mi się trywialna.

– Nieważne.

– Kurwa, Mona. Powiedz mi albo nie. Nie mam nastroju, żeby dziś rano znosić kolejne damskie fochy.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Kto wie? – odparł. – Nigdy nie wiem, o czym mówicie.

– Może powinieneś wynająć mnie jako konsultantkę.

Brak reakcji.

– Nie, poważnie, Mike. Co się dzieje?

– Moja dziewczyna psoczy, że się ze mną nie „komunikuje”. Twierdzi, że jestem emocjonalnym skąpcem, sam nie wiem. Nie wiem, czego wy ode mnie chcecie. Mówię. Słucham. Komunikuję się.

– Nie wiedziałam, że wciąż masz dziewczynę. W felietonie napisałaś, że się wyprowadziła.

– No cóż, piszę to z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Takiżemnie szczęściarz, że znalazłem kogoś innego, kto mi miesza w głowie.

– Kogoś, kto mówi ci to samo co ta od wyprawdzki?

– Spadaj, Mona.

Rozłączyłam się.

– Nie, to ty spadaj, Mike – powiedziałam do głuchej linii. Wykręcałam numer gabinetu Greta. Automatyczna sekretarka.

– Cześć Greta, to ja. Zrobiłam to. Zadzwoń mi do Adama Zieglera i umówił się na spotkanie w sprawie podatków. Jestem nieprzytomnie podniecona. I zdenerwowana. W każdym razie zadzwon do mnie, kiedy będziesz mogła. Nie mogę się doczekać, żeby z tobą porozmawiać. Teraz to wszystko zaczyna wyglądać bardzo realnie i aż mnie skręca. Ups, dzwoni mi druga linia. Pogadamy później, słodka?

Kliknięcie.

Słodka?

– Hej – odezwał się Mike. Nie powiedziałam ani słowa. – Przypuszczam za tamto. Możemy o tym zapomnieć?

Uśmiechnęłam się mimo woli.

– Taa, możemy, ale musisz wiedzieć, że nie zgadzam się na takie traktowanie. Nie jestem wycieraczką, Mike'u Dougherty. Jestem osobą, która ma uczucia i naprawdę mnie zraniłeś, kiedy...

– Myślałem, że mamy o tym zapomnieć – powiedział.

– Mike. Gdybyś nie zauważył, jestem kobietą. *To jest puszczanie sprawy w niepamięć. W każdym razie jestem osobą, która ma uczucia i nie możesz mnie rugać, kiedy powiem coś, czego nie chcesz słyszeć. Myślisz, że chcę słyszeć, jaka to jestem nieseksowna? Że moje ciuchy są niemodne? Nie, ale słucham, bo z jakiegoś nieznanego powodu uważam, że możesz mieć dla mnie cenne rady. A ty możesz wysłuchać tego, co raz na jakiś czas mam do powiedzenia, jasne?*

O rany, wycofaj się, ty psychopatko. Potrzebujesz tego faceta. Jesteś li zrezygnuj, zostaniesz jak statek bez kapitana. Przeprós, zanim...

– W porządku.

W porządku?! W porządku w porządku? Czy w porządku, porzucam ciebie i ten temat, bo od jednego i drugiego chce mi się rzygać?

– W porządku – powiedziałam, po czym przygryzłam dolną wargę.

– Mówiłaś, że chcesz spróbować boksu? – zapytał Mike.

– Tak, a co?

– Bo właśnie dotarłam na miejsce i zgodnie z planem za piętnaście minut jest lekcja. Na te lekcje chodzą głównie laski, więc nie będziesz się czuła nie na miejscu ani nic z tych rzeczy. Może wpadniesz na zajęcia, a zanim skończysz, ja też skończę, będziemy mogli coś przegryźć i przejrzeć plan rozgrywki z twoim facetem.

Coś przegryźć. Plan rozgrywki z twoim facetem. Mówił do mnie, jakbym była jednym z chłopaków. Zobaczę Mike'a od strony, od jakiej nie widują go inne kobiety. A może widują?

Podał mi instrukcje i ruszyłam na lekcję boksu w jego klubie sportowym, rzecz jednocześnie podniecająca i przerażająca. Kiedy dotarłam, Tio, instruktor, dał mi jaskrawoczerwone rękawice i zaprowadził do sali z sześcioma innymi wojowniczkami. Zobaczyłam swoje odbicie i zachichotałam. Pomyślałam, że ktoś powinien mi zrobić zdjęcie i powiesić w pizzerii.

Kiedy za pierwszym razem rękawica trafiła w worek, poczułam, jakby część mnie się włączyła, weszła na wyższy bieg. Chwyliłam metalowy pręt we wnętrzu rękawicy i wyrzuciłam pięść z siłą, która mnie przestraszyła. Zalał mnie gniew. Kiedy wchodziłam w kontakt z workiem, fala wstrząsu wędrowała przez rękę, potem w górę ramieniem i przez całe ciało. Reakcja na uderzenie pędziła przez całe moje „ja”. Podałam się wybuchowi złości i poczułam wściekłość na worek treningowy. Zrobiłam krok w tył i wymierzyłam następny cios, tym razem za prawym hakiem z miejsca poszedł lewy.

– A masz, ty bezużyteczny worku gówna – wyszeptalam przez zacisnięte zęby.

Wepchnęłam podbródek w pierś i zaczęłam przysuwać się i oddalać, jakbym usiłowała uniknąć ciosu ze strony worka. Łomot uderzenia był tak czysty, że zadziałał upajająco, uzależniał jak narkotyk. Kiedy tylko słyszałam kłasnienie ciosu, z miejsca potrzebne mi było następne. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu przepelniona szaleńczą nienawiścią do worka treningowego weszłam w stan podobny

do transu i nie mam pojęcia, ile czasu minęło, zanim usłyszałam komentarz Tio.

– Jesteś urodzoną wojowniczką – oświadczył. – Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem, jesteś nowa?

– Jestem gościem – odparłam, nie przestając atakować worka. Wiedziałam, że zajęcia trwają pół godziny, a ten worek treningowy zasłużył, żeby mu porządnie skopać dupę. – Mój przyjaciel Mike przychodzi tu na trening. – Łup.

– Dajesz czadu – oznajmił.

W tym momencie przeprosiłam i wybiegłam do szatni. Gorąco szukałam miejsca, gdzie mogłabym być sama, ale w szatni i pod prysznicami pełno było nagich kobiet. Pomyślałam, żeby wskoczyć w ubrani do basenu, bo mogłabym wrzeszczeć pod wodą na całe gardło, ale wiedziałam, że Mike miałby kłopoty z powodu przyprawienia wariatki. Wreszcie zobaczyłam, że sauna jest pusta, wbiegłam tam, ukryłam twarz w dłoniach i rozszlochałam się. – Pięć minut – obiecałam sobie łzawo. – Pięć minut płaczu i koniec.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Po prostu się uspokój i powiedz nam, co się stało, Mona. Potem wysłuchamy wersji Teddy'ego.

– Wersji Teddy'ego? Teddy nie ma żadnej wersji tej historii! – wrzasnęłam. – Ten mały gówniarz po prostu uciął mi połowę kucyka. Moich włosów nie ma! Jaką wersję opowieści ma Teddy?

Miałam dwanaście lat i właśnie zaczęłam dbać o swoją powierzchowność. Dziewięcioletnie diabeł Jacqueline i Freddy'ego postanowiło poeksperymentować z nożyczkami na mojej śpiącej głowie i zоставiło mnie ze sterczącymi sztywno tuż nad uchem włosami długości tych na szczotce. Nie mogłyśmy robić sobie makijażu, używać lakieru do paznokci ani nosić modnych ciuchów. Nie miałam prenumeraty „Seventeen”. Nikt z nas nie miał nawet aparatu na zębach. Jedyne, na co mogłyśmy liczyć, to ładne włosy i najbardziej ze wszystkiego chciałam mieć długie falujące włosy, żeby Francesca mogła je zapleść jak u Bo Derek w *10*. Nie pozwolono mi obejrzeć samego filmu, ale podczas pobytu w mieście zobaczyłam plakat znany każdemu Amerykaninowi – podobiznę Bo Derek biegnącej plażą z dziesiątkami zakończonych koralikami warkoczyków otaczających jej wyrazistą twarz. Kiedy zaczęli wyświetlać ten film, miałam włosy obcięte na krótko, ale przysięgałam sobie, że zapuszczę je do takiej długości, aby dały się zapleść. Trzy lata później były właśnie odpowiednio długie do zaplatania – dopóki Teddy nie postanowił mi zafundować połowicznego irokeza.

– Zobaczymy, co ma do powiedzenia Teddy, Mona. Najpierw powiedz nam, co się stało z twojego punktu widzenia – poprosił mój ojciec głosem tak spokojnym, że budził wściekłość. Jego córka została podlega zaatakowana. Czemu nie był tym zdenerwowany? Ta dyplomacja miała służyć tolerancji, ale wywołała efekt wprost przeciwny. Nienawidziłam go za tę pasywną postawę i rozważanie koncepcji, że samsonowska zbrodnia może mieć dwie strony.

– Z mojego punktu widzenia? Okej, śpię, a potem słyszę, że ktoś odcina mi włosy. Otwieram oczy i Teddy trzyma w jednej ręce nożyczki, a w drugiej wielki pęk moich włosów. Koniec historii.

– Czy wtedy uderzyłaś Teddy'ego? – zapytała Jacqueline siedząca na krześle zrobionym z poskręcanych gałęzi.

– Nie uderzyłam go, tylko odepchnęłam – zaprotestowałam. – Obcinał mi włosy!

– Uderzyła mnie – poprawił Teddy.

– Nie uderzyłam cię, ty mały potworze, ale gdybym to zrobiła, kto mógłby mieć pretensje?

– Wychodzi na to, że mogłaś go uderzyć, Mona – uznał mój ojciec z oczami przepelnionymi rozczarowaniem. – Czy uderzyłaś Teddy'ego?

– Obciął mi włosy! Nie uderzyłam go. Odepchnęłam go, ale jeździ...

– Uderzyła mnie – ponownie oznajmił niechlujny smarkacz. Spojrzałam na jego buzię, zasychające wokół nosa gile, przejrzyste niebieskie oczy i usta jak rodzyнки, które uparcie formułowały to samo zdanie. – Uderzyła mnie.

– Nie uderzyłam, ale miałabym pełne prawo. Czemu nikogo nie obchodzi, że ten mały gnojek obciął mi włosy bez powodu?!

Jacqueline poprosiła, żebym się nie wyrażała przy jej synu. Mój ojciec powiedział, że Teddy miał powód, aby obciąć mi włosy, tylko niewłaściwy. Na mnie, jako na starszej, spoczywała odpowiedzialność za należyte zachowanie, oświadczył. – Bicie nigdy, nigdy nie jest w porządku – zaczął drażniącym łagodnym głosem. – Przywieźliśmy was, dzieci, tutaj, żeby trzymać was z dala od brutalności zewnętrznego świata. Staramy się tu stworzyć miejsce harmonii, pokoju i miłości, nie strefę działań wojennych.

– To nie w naszym stylu, Mona! – oznajmiła Jacqueline. – Nie kłniemy i nie bijemy dzieci.

– Ale obcinamy sobie włosy?! Dlaczego tylko ja jestem w tarapatkach?

Nawet w chwili, gdy wypowiedziałam te słowa, miałam pewność, że w naszym prywatnym Woodstocku nie ma czegoś takiego

jak tarapaty. Teddy'emu i mnie kazano pójść razem na spacer do lasu i omówić to, co nas dzieli. Jak na ironię dorośli wyznaczyli nam najcięższą karę, jaką można sobie wyobrazić. Poinstruowano nas, że mamy omówić nasze uczucia dotyczące „konfliktu”, zrozumieć, co wywołało w Teddym pragnienie obcięcia moich włosów, i zastanowić się, jak można było rozegrać całą sprawę inaczej. Podczas tego marszu pokoju Teddy i ja przelaliśmy milczenie, przeszliśmy mniej niż pół kilometra. On oświadczył, że zamierza obciąć mi resztę włosów, kiedy się położę spać. Potem rzucaliśmy w siebie kamieniami przez pół godziny, zanim uzgodniliśmy, iż będziemy udawać, że omówiliśmy problem, by móc wrócić do domu i zjeść na lunch.

Wyszłam z klubowej sauny i oplukałam twarz zimną wodą gotową wrócić na lekcję boksu. Serce waliło mi z pożądania, kiedy stanęłam w rogu i zobaczyłam czekający na mnie szary worek.

– Gotowy na lańsko? – zapytałam, uśmiechając się złośliwie.

Na lunchu Mike zapytał, czemu byłam taka podniecona, gdy rozmawialiśmy rano przez telefon. Powiedziałam mu, że ustaliłam spotkanie w sprawie podatków z moim przyszłym mężem, moją drugą połową.

– Zbierzmy do kupy nasz plan – zaproponował Mike, zaczynając pakować sobie do ust potwornie wielką kanapkę z indykiem. – A przy okazji, wyglądasz świetnie – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Te nowe ciuchy dobrze ci robią. I chyba zrzuciłaś parę kilogramów.

– Tak! Na razie cztery. A zauważyłaś jeszcze jakąś zmianę?

– Proste włosy.

– Tak. – Ożywiłam się. – Nie mogę uwierzyć, że zauważyłaś.

– Vicki mi mówiła, że się na to decydujesz. Dobrze wygląda. –

Otarał usta serwetką i pociągnął największy lyk oranżady, jakiego pochłonięcia byłam świadkiem.

– Naprawdę ją lubię. – Uśmiechnęłam się.

– Taa, ona ciebie też. Mimo że odesłała ją do domu ubraną jak cholerna waszyngtońska lobbystka.

– Uważam, że świetnie wygląda w garniturze. Hej, a dostała... czy wiedziałeś, że wybiera się na rozmowę w sprawie pracy w ee, tym...

- W klubie? - pomógł mi Mike. Skinęłam głową. - Tak, wiem, ale nie jestem zachwycony, że moja młodsza siostra ma się rozbić.

- Jak to? - zapytałam.

- Bywałam w klubach ze striptizem. Wiem, jak się zachowują faceci, kiedy tam idą. Jestem facetem, pamiętasz?

- Mike? - Nachyliłam się w jego stronę, zniżając głos, chcąc doczekać się z jego strony pozwolenia, żeby mówić dalej. Nic z tego, żul.

Udałam irytację.

- Co?

- Nie mogę przestać się zastanawiać, czy jest w tobie coś więcej.

- Więcej niż co?

- Więcej niż „jestem fiutem, który nie rozumie kobiecych zagrywek”. Jakoś nie mogę przestać myśleć, że może pod tym wszystkim jest ktoś, no nie wiem, prawdziwy.

- Niee - machnął ręką. - Z grubsza o to właśnie chodzi. Każda kobieta, którą kiedykolwiek znałem - oprócz mojej mamy - pyta o to samo, ale naprawdę taki jestem, Mona. Nie ma pod spodem Pana Wrażliwego. Wiesz co, jeżeli mógłbym nauczyć cię jednej rzeczy, która naprawdę wyróżniałaby cię spośród reszty, to rezygnacji z całej tej procedury „odkrywania”. Faceci nie znoszą tego gówna. Wszyscy słyszeliśmy to tysiące razy.

- Naśladowując kobiecy głos, ciągnął: - „Otwórz się emocjonalnie, zdejmij maskę, nie musisz się bać pokazać mi prawdziwego siebie”. To trochę wkurzające, prawdę mówiąc. Większość lasek wydaje się myśleć, że istnieje całe to życie emocjonalne, którym faceci obawiają się dzielić, ale fakty są takie, że w naszym przypadku widzisz to, co masz. Wyróżnij się trochę, Mona, i bądź fajną dziewczyną, która nie bawi się w takie gówno. Wierz mi, genetycznie jesteście do tego zdolne, bo znam parę lasek, które nie urządzają tych poszukiwań złota. Vicki tego nie robi. Moja mama też nie. Jednak większość z was owszem i szczerze ci powiem, to działa odstrasza. Bądź tą zaciętą laską, którą widziałem dzisiaj na sali gimnastycznej. Tą wyluzowaną, która nie wykonuje hiperanalizy każdego gówna i nie doszukuje się we wszystkim głęboko ukrytych znaczeń.

- Obserwowałaś mnie na sali?

- O tak. Wyglądałaś na nieźle zaangażowaną. - Uśmiechnął się i położył dłoń na mojej, jak zawsze robi to Greta. - Powiedz mi, Mona, czy to byłaś prawdziwa ty?

- Bardzo śmieszne. - Odsunęłam rękę.

- Otwórz się. - Odchylił głowę i mówił miękko, drażniąc się ze mną.

- Porządny mężczyzna może ci pomóc przebić się przez tę wściekłość i dotrzeć do prawdziwej Mony. Delikatnej, wrażliwej Mony, która po prostu boi się kochać.

O mój Boże, on ma rację. Rzygać się od tego chce.

Wypaliłam:

- Delikatna i wrażliwa Mona całe życie obawiała się cokolwiek zrobić. Muszę być Moną twardą i silną. Nową, ulepszoną Moną, która, zapewniam, nigdy więcej nie zapyta o prawdziwego ciebie.

- Zuch dziewczyna!

- Bo tak naprawdę gówno mnie to obchodzi. - Roześmiałam się. - Jesteś moim pracownikiem, masz służyć mnie i moim potrzebom.

- Jeszcze lepiej. - Obiema rękoma przybił mi piątkę ponad stolikiem. Zaśmiał się, przycisnął dłoń do serca i otarł udawaną łzę. - Czasami naprawdę mam wrażenie, że zmieniam coś na tym świecie.

- Och, przestań! - Walnęłam go żartobliwie.

Kiedy kelnerka przyniosła rachunek, uświadomiłam sobie, że nie omówiliśmy strategii postępowania podczas mojego pierwszego spotkania z Adamem.

- Hej, Pies, lunch dostarczył mi niezłych danych, ale naprawdę muszę ułożyć plan gry na to spotkanie podatkowe. Możesz zostać dodatkowych piętnaście minut?

- Chodźmy gdzie indziej - zaproponował. - Grataś kiedyś w piłkarzyki?

- Nigdy w życiu nie przegrałam meczu. - Skrzyżowałam ramiona i uniosłam brwi, rzucając mu wyzwanie.

- Przygotuj się na ten pierwszy raz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Freddy i Jacqueline kupili stół do gry w piłkarzyki dla nas, dzieciaków, kiedy wszyscy zobowiązaliśmy się pisemnie, że nie będzie kłótni o to, kto ma ze stołu korzystać, zapisywania wyników i szyderstw przy przegranej. Zasady oczywiście poszły w zapomnienie od razu po pierwszym tygodniu. Kiedy my, nastolatki, graliśmy, piłka walila z siłą fajerwerków. Trzask, strzały – to było orzeźwiająca.

Todd wyjaśnił nam, jak korzystać z geometrii, żeby wygrywać, naszkicował kierunki, w których należało wystrzelić piłkę na środek stołu, żeby rykoszetowała wprost do bramki. Wyjaśnił, że trafienie we właściwe miejsce jest trudne, ale jeśli uda się umieścić tam piłkę, kąt nigdy nie zawiedzie.

Mike uklonił się w pas, na znak, że oddaje mi pierwszy strzał. Kiedy chwyciłam rączkę, poczułam, jak znajomy chłodny powiew napływa znad stołu. Obok stało kilkoro dzieciaków i położyli drobne na brzegu stołu, żeby zarezerwować sobie następną grę. Kakofonia automatów do gry była rozpraszająca, ale i działała energetyzująco. Udawałam, że wszystkie dzwonki, syreny i brzęczyki rozbrzmiewają tylko dla mnie – taki prywatny doping.

Kiedy powiedziałam Mike'owi, że nigdy nie przegrałam, nie kłamałam. Jednak nie grałam od szesnastu lat. Babcie trudno byłoby uznać za miłośniczkę automatów do gry, a Greta kochała „prawdziwy sport” zbyt mocno, żeby ulegać mojej słabości do meczów „na niby”. Minęło sporo czasu, ale kiedy chwyciłam rączkę, fala adrenaliny była znajoma jak dotyk zimnej wody. Mój pierwszy strzał przedarł się przez obronę Mike'a i w nagrodę usłyszałam huk piłki wpadającej do bramki. Świs. Stukot piłki, która usiłowała umknąć nieuniknionemu przeznaczeniu. Głuchy huk zwycięstwa, gdy piłka uderza w dno łuzi zwrótej.

– Szczęśliwy strzał – powiedział Mike, że świsłem posyłając piłkę ponownie w moją stronę. Opadająca intonacja zabrzmiała jak aplauz. Moja dłoń gwałtownie obróciła rączką, chwytając strzał, a potem wróciła na miejsce, żeby chronić bramkę. Mike z miejsca wyłapał ten strzał pod kątem i znalazł sposób obrony. Zmieniłam stronę i zaczęłam celować w lewą bandę stołu. Łup. Gol.

– Jestem świetna! – wrzasnęłam, trzymając ręce nad głową, piszcząc i wykonując krótki taniec zwycięstwa.

Szuuu. Łubudu. Mike umieścił piłkę dokładnie w mojej bramce, podczas gdy trzymałam ręce nad głową.

– Hej! – zawołałam. – Nie możesz tak robić! Musisz zapytać, czy jestem gotowa, zanim strzelisz.

– Nie muszę – zaprzeczył. – No dalej, strzelaj.

– Oszukujesz. Widziałeś, że nie jestem przygotowana na atak. To było zupełnie nie fair.

– Hej, byłaś zajęta świętowaniem, więc wykorzystałem okazję. Tak się w to gra. No dalej, strzelaj. Tu się gra na czas.

Zacisnęłam zęby. Świsł. Klap. Punkt. Przytrzymałam linię obrony tuż przed bramką, odchyliłam się i wykonałam obrót biodrami, lewą ręką wywijając nad głową.

– Jestem świetna! – Podjęłam taniec.

– Hej, ładne ruchy biodrami. Nauczyłaś się tego na kursie striptizu?

– Ależ oczywiście – przyznałam, po czym zanucilałam: – Jestem świetna i mniejsza z tym, co kto mówi.

– Potrafisz pociągnąć melodię, Mona Lisa. – Mike się uśmiechnął.

– Pies, rusz się i strzelaj. Tu się gra na czas i chcę mieć ładny wynik z dużym zapasem, żebyś nie mógł jęczeć i kwękać, jak to prawie mnie pokonałeś. Chcę, żeby to było oczywiste: kiedy masz do czynienia z piłkarzykami i Moną Warren, jesteś bez szans!

W niedzielę rano Vicki wpadła po mnie do domu, żeby zabrać mnie na mecz „Kociaków”, w którym Greta miała wystąpić jako bramkarka. Mike oświadczył, że się „postara” dotrzeć, ale dziewięćta w weekend to jak dla niego strasznie wcześnie. Vicki stanęła na

progu i obrzuciła wzrokiem foyer, szczeka jej opadła. Dokonując w duchu oceny sytuacji, wydusiła:

– To twoje?

– Nie, jestem tu guwernantką – odparłam z, jak sądziłam, wyraznym sarkazmem. Kiedy wzięła moją wypowiedź za dobrą monetę, musiałam się poprawić. – Zartuję, oczywiście, że to mój dom. Należał do babci, ale teraz jest mój.

– Do babci. – Ponownie się rozejrzała. – W porządku, to ma sens.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– Ee, bez obrazy. Nie zrozum mnie źle, to uroczę gniazdko. Ma tylko, no wiesz, klimat jak dla starszej osoby. Na pewno niedługo urzędzisz się po swojemu. – Zauważyła moją reakcję i przeprosiła za to, co, jak sądziła, mnie uraziło. – Przepraszam, nie powinienam była tego mówić. To miejsce jest piękne, naprawdę. Bardzo eleganckie.

– Wszystko w porządku – zapewniłam Vicki. – Myślałam, żeby urzędzić się na nowo. Może to zabrzmiało dziwnie, ale czuję, że zmiany byłyby jakiegoś nieojoalnego. Jakbym wymazywała pamięć o mojej babci z jej własnego domu.

Vicki weszła i usiadła po tej samej stronie kanapy, którą tuż przed świętami zajął jej brat.

– Nie, Mona. Ale ona umarła i zostawiła to tobie. Czyli możesz tu zrobić, co zechcesz. Pewnie chciałaby, żebyś urzędziła się tu po swojemu. – Rozejrzała się po pokoju. – Jezu, Mona. Wiesz, co bym dała, żeby mieć takie mieszkanie?

Ludzie zawsze zadają to pytanie i nie mają pojęcia, o czym mówią. Gdyby Vicki wiedziała, ile tak naprawdę kosztował mnie ten dom, wątpię, czy chciałaby zamienić się na mieszkanie.

– Co byś dała? – zapytałam.

– Wiele! – Rozśmieszyła ją niedorzeczność odpowiedzi.

– Na przykład? Co byś oddała, żeby mieć taki dom? Rodziców? Dwóch braci? Pierwszą miłość? Własną młodość?

– Taa, zdecydowanie pierwszą miłość – odparła. – Pieprzyć go, byłbym mogła mieć taki dom. Powiedziałam coś nie tak?

– Nie. – Poweselałam. – Jak ci idzie taniec?

– W porządku – wydusiła. – Właściwie nie tego się spodziewałam.

– A czego się spodziewałaś?

– Chyba myślałam, że faceci będą bardziej, no, że będą bardziej zwracać na mnie uwagę – przyznała. Uwielbiałam Vicki za tę otwartość. Nie tylko chętnie się przyznawała, że pożąda adoracji, nie bała się również wyznać, że ponosi porażkę na tym polu. – Czasami oglądają mecze i patrzą dosłownie poprzez moje praktycznie nagie ciało, kiedy tańczę. Mam ochotę powiedzieć: myślicie, że farbuję włosy, wyskubuję brwi, depiluję się, chodzę na solarium i nakładam szczię warstw błyszczki, żebyście mogli mnie ignorować?!

– Nie pozwól się ignorować, Dan – najchętniej jak umiałam, za cytowałam tekst Glenn Close z *Fatalnego zauroczenia*.

– Co? – zapytała Vicki.

– Nieważne, mów dalej.

– Faceci, którzy przychodzą, są przeważnie całkiem mili. – Ożywiła się. – Czasem napatoczy się jakiś palant, który chce cię uratować i „wyrwać z takiego życia”. – Zachichotała, najwyraźniej wspominając jakiegoś rycerza. – Co jakiś czas trafia się pijak z lepikami łapami. Trwa to tylko sekundę, zanim zostanie wykopany na zbity psyk, ale i tak jest wkurzające.

– Brzmi okropnie – przyznałam współczująco.

– Czasami – odparła pogodnie. – Ale kiedy indziej czuję, że mam władzę, moje ciało rzuca urok na facetów. Jakby cycki stanowiły magnesy przyciągające forsy. – Roześmiała się. – To zabrzmiało po wariacku, ale czasem czuję się jak bohaterka.

Głosem przerażonej panienki zwołałam:

– Ratunku, Naga Bohaterko! Bank został napadnięty przez uzbrojonych włamywaczy!

– No dobra, może nie jak bohaterka.

Podbiegłam do sofy uściskać Vicki.

– Nie, kochanie, ja tylko żartuję. Też się cieszę, że to cię łąduje pozytywnie. Naprawdę. Tak się tylko drażnię. Taki mam styl. – Kiedy wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że to prawda, ale świadomość samego faktu była dla mnie nowością. Nigdy nie

holdowałam stylowi „bliskość przez zniewagę”. W Nowym Jorku byłam tylko raz.

– Hej, jak to się stało, że gadamy? Powinnyśmy się ruszyć, bo spóźnimy się na mecz.

Dotarliśmy na boisko, kiedy mecz trwał nieco ponad kwadrans i rozłożyliśmy siedzenia obok Mike'a, który już tam był.

– Hej, myślałem, że mnie wystawiliście – powiedział, podnosząc kubek z kawą z zagłębienia w podłokietniku składanego krzesła. Greta nas zobaczyła i kiwnęła głową na przywitanie.

– Na pewno sam świetnie byś sobie poradził – rzuciłam, klepiąc jego plecy obciągnięte solidnie znoszoną bluzą. Kiedy przesunęłam palcami po niebieskiej bawełnie, uświadomiłam sobie z konsternacją, że dotyk ciała Mike'a przesuwającego się pod moją dłońią jest przyjemny. Zdecydowanie nie tylko jego plyn do tkanin marki Downy działał podniecająco na wszystkie moje linie papilarne.

Mike ma te ramiona, pomyślałam pozdliwie. Adam też ma mile ramiona i solidny zestaw wartości oraz uroczy rodzinę, w którą można wejść.

Prychnięcie Mike'a sprawiło, że gwałtownie wróciłam do rzeczywistości.

– Chyba sobie, żartujesz? Dwadzieścia dwie spocone lesbijki, które się szturchają i przepychają. Jest mi jak w niebie.

– Hej, facet, tam jest moja żona – odezwał się koleżka z brzuchem jak dynia i przerośniętą rozjaśnianą plerazą. – Ona nie jest żadną lesbijką.

– Rozchmurz się, stary – odpalił Mike. A potem, zerkając na żonę faceta na boisku, ciągnął: – Też by mi odwalilo, gdybym się z nią ożenił. – Vicki i ja przestraszyliśmy się, że mecz piłki nożnej zaraz zrobi się przesadnie europejski.

– Coś powiedział, facet?

Mike rozparł się na siedzeniu, uniósł okulary słoneczne i kontynuował:

– Powiedziałem, że gdyby to była moja żona...

– Stary! Pisziesz „Pieskie życie” w „Maksimum dla niego”!

Wszędzie bym cię poznał! – Mike kiwnął głową. – Zajebista kolumna. Czytam cię co miesiąc.

– Hej, dzięki, stary. – Wyciągnął rękę. Wykonali całe to absurdałne poklepywanie, obejmowanie i trącanie się ramionami, które ich zdaniem sprawiało, że fajnie wyglądali. – Nic złego nie miałem na myśl z tymi lesbijkami.

– Hej, niech cię czaszka o to nie boli, kolo. Myślisz, że sam bym nie chciał?

Vicki i ja przewróciłyśmy oczami.

– Zawsze się tak zachowywał? – zapytałam.

– Jak fiut? Tak – odparła Vicki trochę za głośno, na użytek innych widzów.

Fani „Celnych Lasek” zerwali się na nogi i zaczęli krzyczeć. Żółta koszulka podała piłkę do innej, ta wykonała strzał. Piłka otarła się o rękawice Grety i wpadła do bramki. Przez resztę meczu Mike i Facet z Plereszą bratali się przy piwie i amatorskich poradach trenerskich. Vicki i ja stałyśmy wrzeszcząc jak nastolatki na widok Ricky'ego Martina. Zaraziliśmy się piłkarską gorączką i to na poważnie. Vicki zachłannie obserwowała taktykę gry, podczas gdy mnie interesowało po prostu zwycięstwo „Kociaków”. Pod koniec pierwszej połowy wynik był dwa do jednego na rzecz „Kociaków”. Vicki i ja szalaliśmy, jak wariatki skandując „Ko-cia-ki!”, jakby to był okrzyk bojowy. Zwerbowałyśmy pół tuzina fanów, żeby się do nas przyłączyli, i bez powodzenia usiłowałyśmy zorganizować falę złożoną z dwudziestu osób. Reszta uznała, że jesteśmy nienormalne, kiedy wrzeszczałyśmy i ścisaliśmy się przy każdym gołu dla drużyny gospodarzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Splaw tę sukę

– *Pieskie życie, luty*

Luty to najgorętszy miesiąc w roku, ale pierwsze dwa tygodnie ciągną się facetom jak wieczne potępienie. Zaczyna się odliczanie przed walentynkami i kobiety na całym świecie strzępią sobie języki na temat „pięknych i wyjątkowych” planów, jakie robią ze swoimi chłopakami. Konkurencja zaczyna się robić ostra, tyle wam powiem. Jedna dziewczyna mówi, że jej chłopak wynajął całą restaurację tylko dla nich dwojga, potem druga wtrąca, że ją facet zabiera na kolację do Paryża. Po chwili trzecia świergoce, że jej chłopak kupuje pierścionek.

Normalnie powiedziałabym „i co z tego”. Kogo obchodzi, o czym laski gadają między sobą? Przeważnie to nieszkodliwe pogaduszki o skurczach przy mięsiwce i polerowaniu paznokci, ale kiedy zaczynają bitwę na facetów, rzecz nas dotyczy. Dotyczy, bo kiedy startuje romantyczny Super Puchar, zgadnijcie, kto jest jedynym przegranym? Mężczyźni! Nie mamy szans na wygraną, bo któraś z kobiet zawsze przesadzi, opowiadając, jakie to „piękne i wyjątkowe” były jej walentynki, a reszta rzuci się na was, narzekając na nędzne pudełko ciasteczek albo bukietek stokrotek. Te dyżurne prezenty nie zadowolą już sprawy. Od facetów oczekuje się, że będą twórcy. Kobiety stale podnoszą nam poprzeczkę wyżej i wyżej.

Mówię „dość”. Czas wyznaczyć granicę. W tym roku obrócimy kołem fortuny i urządzimy walentynki, jakich kobiety nigdy nie zapomną. Jest tylko jeden problem, rzecz się uda, pod warunkiem, że zrobimy to wszyscy razem, więc żeby mi żaden nie stchórzył, jasne? W tym roku kwiaty do śmietnika,

ciasteczka zjadasz sam i splawiasz tę sukę. Tak, dobrze widzisz – splawiasz sukę. Jeżeli każdy facet rzuci dziewczynę tuż przed albo w sam walentynkowy wieczór, ustawimy poprzeczkę dokładnie tam, gdzie powinna się znajdować – tuż nad ziemią (cholera, na ziemi!). To coś w rodzaju rozpoczęcia strajku. Nasz związek, oddział lokalny Związku Zawodowego Facetów, organizuje wyjście na znak protestu, bracia! Może zabrzmi to okrutnie i nieludzko, ale kierownictwo nadużywało władzy wystarczająco długo.

Już was słyszę. Pies, ale jeżeli rzucę dziewczynę, z kim się będę bzykał? Pies, ale ja dosyć lubię moją dziewczynę, nie jestem jeszcze gotowy, żeby ją rzucić. Albo naprawdę żalosz. Pies, jestem żonaty. Rozwikłałam te wątpliwości, zaczynając od końca. Jeżeli jesteś żonaty, oczywiście tak łatwo się jej nie pozbędziesz. A poza tym ktoś musi facetowi robić pranie, więc po prostu pomiń walentynkowy prezent. Podobnie żadnych kolacji i kartek. Musimy się trzymać razem i podobnie ostro potraktować żony i dziewczyny. Ponadto, nawet jeżeli lubisz swoją dziewczynę, i tak ją rzuc. Odzyskasz ją, jeżeli będziesz chciał. Po prostu zadzwoń kilka dni później i powiedz, że ci przykro, bałeś się własnych uczuć albo wygłosz dowolny inny bzdet, który jesteś w stanie sklecić. I w końcu: będziesz się znowu bzykał. Dopóki są w barach kobiety i leje się woda, będziesz się bzykał. Nie trać wiary.

A czemu splawiać sukę? Bo jeśli każda kobieta w Ameryce dostanie kosza w tegoroczne walentynki, jak myślicie, czyje goździki i wafelki będą w przyszłym roku robić furorę? One nie obniżą nam poprzeczki. Sami musimy to zrobić. Dla nas samych. Dla naszych przyszłych synów i ich potomków. Splaw tę sukę w imię lepszego jutra.

Pierwszy raz przeczytałam felieton Mike'a pod koniec stycznia, kiedy trafił do mojej skrzynki, ale musiałam do niego wrócić, gdy Mike zadzwonił tuż przed ósmą wieczorem w walentynki – parę minut po tym, jak rzuciła go nowa dziewczyna. Czytając artykuł pierwszy

raz, uznałam go po prostu za kolejny szowinistyczny wywód Mike'a, ale teraz naprawdę mnie zirytował. Nie tylko dlatego, że był niesympatyczny, kiepsko napisany i kompletnie pozbawiony humoru czy głębszej myśli, ale ponieważ nie stanowił odbicia Mike'a, jakiego znałam. Pies przysięgał, że z nim ma się to, co człowiek widzi, ale to, co widziałam, i to, co dostawałam, to były dwie zupełnie inne psy rasy.

Mike i ja gadaliśmy przez telefon, lamentując nad naszymi niepowodzeniami z plcią przeciwną. Moim problemem był brak okazji. Mike schrzanił wszystkie, jakie mu się trafiły. Dziś wieczorem dowiedział, że taka jest prawda.

Kelly, nowa kobieta, z którą spotykał się Mike, gotowała właśnie uroczą romantyczną kolację dla nich dwojga we własnym mieszkaniu. Wyobraziłam sobie, jak wyjmuje kury po kornwalijsku z piekarnika i delikatnie smaruje chrupiącą skórę sosem sojowym. Widziałam, jak sięga do szafki po kieliszki do wina, długie blond włosy swobodnie spływają po wygiętych w łuk plecach. Widziałam, jak narasta w niej podniecenie, kiedy wygina idealne ciało, paradując wokół nakrywanego stołu. Instynktownie robi „krok, obrót, przeciągnięcie” w butach CMP. Wyobraziłam sobie Kelly, jak podnosi sobie cycki, wyciskając z wonderbry siódme poty, kiedy dzwoni telefon i przyjaciółka czyta jej durną kolumnę Mike'a.

Powiedziałam Mike'owi, że nie winię Kelly za to, że go rzuciła, skoro miała pewność, że doświadczy tego samego losu nad posiłkiem przygotowanym w pocie czoła. Mike widział to inaczej. Wyjaśnił, że jego kolumna to rozrywka, nie doradztwo.

– Mike! – wrzasnęłam. – Doradzałeś tym facetom, żeby zaczęli strajk! Napisałeś, że stworzycie jakiś męski związek, który zaczyna strajk. Byłeś jak Norma Rae trzymająca nad głową transparent z przekreślonym sercem. Co gorsza, w swoich rozważaniach na temat tego, dlaczego kobiety opowiadają o walentynkowych prezentach, kompletnie nie miałeś racji. Nie chodzi o to, żeby się popisać, jak nam dokopałyśmy. Chodzi to, że was kochamy, i kiedy robicie dla nas różne uroczne rzeczy, pokazujecie, że i wy nas kochacie. Co jest złego w chęci opowiadania, jakiego ma się cudownego chłopaka czy męża? Co w tym złego, że ktoś chce wyrzycić z dachu,

że znalazł prawdziwego księcia? Szczerze mówiąc, Mike, czasami nie wiem, po co cię wynajęłam. Rzucasz same komunały na temat mężczyzn i kobiet, i podejrzewam, że wszelkie rady, jakie masz dla mnie co do Adama, będą równie bezużyteczne jak twoja kolumna dla czytelników.

– Wiem. – Westchnął. Miał głos człowieka zmęczonego życiem, jakie sam sobie wybrał, ale z pewnością było to z mojej strony wyłącznie myślenie życzeniowe. Na pewno był po prostu głodny i wkurzony, że czeka go wieczór bez seksu. – Wiem, wszystko spieprzyłem, ale dostrzegam też różnicę między prawdziwą poradą a humorystycznym felietonem. Kiedy przedstawię ci plan rozgrywków z twoim chłopakiem, będzie skuteczny, możesz mi wierzyć.

Sprawił wrażenie nieco przygnębionego, więc powstrzymałam się od uraczenia go radą co do przyszłych „humorystycznych felietonów” – żeby spróbował zamieścić w nich coś zabawnego. – No więc – zapytałam zamiast tego – co się stało z twoją byłą żoną? – Ułożyłam się wygodniej i podciągnęłam koldrę pod szyję.

– Rany, trochę odeszliśmy od tematu – odparł Mike.

– Właściwie nie. Zastanawiałam się nad tym, odkąd mi powiedziałeś, że byłeś żonaty. Co między wami zaszło? – Lekko się wycofując, dodałam: – To znaczy, miała przesadne oczekiwania co do walentynki?

Westchnął.

– Nie chcę się w tym grzebać, Mona. Co było, minęło.

– Nigdy nie mów tego głośno w obecności Greta. – Roześmiałam się.

– Kogo?

– Mojej przyjaciółki – przypominałam. – Bramkarki, pamiętasz?

– A, tej lesbijki? – wróciła mi pamięć.

– Greta nie jest lesbijką – odparłam energicznie.

– Jasne, racja. To *femme* – poprawił się.

– Co?

– *Femme, femme* – powtórzył niecierpliwie tonem, który sugerował pytanie, na jakim ja świecie żyję, skoro nigdy nie słyszałam tego określenia. – *Femme*. Ładna lesbijka. No wiesz, ta dziewczęca-

– O czym ty mówisz? Fakt, że Greta gra w piłkę, nie oznacza, że jest lesbijką.

Mike się roześmiał.

– Jak sobie życzysz, Mona Lisa. Z pewnością twojej przyjaciółce znany jest termin „wyparcie”. – Ponownie zduł śmiech, jakby mi współczuł, że nie potrafię zobaczyć tego, co dla reszty świata jest tak oczywiste.

– Po prostu unikasz odpowiedzi. Co się stało z twoją żoną?

Przez sześć lat był żonaty z kobietą imieniem Rachel, którą poznał w college’u. Miała ogniście rude włosy i zielone oczy, wyglądała jak klasyczna Irlandka.

– Z początku była naprawdę niesamowita. Pasowaliśmy do siebie pod każdym względem. Wychodziliśmy i wracaliśmy tak pograżeni w rozmowę, że przed wejściem do domu siedzieliśmy godzinę na podjeździe. Kiedyś o mało nas nie zabiłem, bo zapomniałem wyłączyć silnik. – Głos Mike’a się zmienił, gdy mówił o Rachel, był zdławiony, a wreszcie ucichł. Popędziłam go, żeby mówił dalej, i po kilku protestach przez kolejne dwie godziny opowiadał o wszystkim, co w niej kochał. Poznali się na kampusie, gdzie Mike pracował w studenckiej gazecie i napisał artykuł pod tytułem „Gdzie są nagie laski”. Jednym z takich miejsc były zajęcia ze sztuki, na które uczęszczała Rachel. Odrzucała ją pisanie na taki temat (Mike nie przyznał się do autorstwa artykułu), ale nie mogła się oprzeć chemii, która między nimi zadziałała. Wyobraziłam sobie, że twarda arogancja połączona z oczarowaniem jej osobą okazały się nieodparte. Ze swoimi aspiracjami (chciała tworzyć przedmioty ze szkła artystycznego) musiała być dla niego egzotycznym kąskiem. Dla niej Mike był jak, no cóż, hot dog.

– I co poszło nie tak? – zapytałam. – Zdradzałeś ją?

– Nie Mona. Nie zdradzałem – odparł tonem sugerującym, że to ona zblądziła.

– A ona?

Ciężko westchnął w potwierdzeniu.

– Taa jest – powiedział tylko, ale zabrzmiało to jak świst powietrza uciekającego z przeciętej opony w ciężarówce. – Uznała,

że jestem „emocjonalną próżnią”. Że się z nią niedostatecznie „działam”. Rozumiesz, facet ma problemy i nie chce zwałać ich żonie na głowę. To taka zbrodnia? Więc zapisuje nas na terapię dla par, która okazuje się katastrofą. Jakiś facet siedzi i pyta, co sądzę o tym, co Rachel mówi mi o naszych problemach. Więc odpowiadam „nie jest dobrze”. Chyba nie o to mu chodziło, bo Rachel przewraca oczyma, a on gapi się na mnie spojrzeniem pod tytułem „zła odpowiedź”. No więc mów dalej. „Chodzi mi o to, jakie to w panu budzi uczucia”. Więc mówię mu naprawdę powoli: „Że nie jest dobrze”. Na co on szczerze zniecierpliwiony: „Czy czuje się pan zraniony, odrzucony, smutny?”. Sam nie wiem, może powinienem był potwierdzić. Może to właśnie należało powiedzieć, ale przysięgam na Boga, czułem jedynie, że nie jest dobrze. Po trzech razach powiedziałam Rachel, że nie chcę tam więcej iść, bo moim zdaniem możemy sami załatwić swoje sprawy. Wydawało się, że jej to nie przeszkadza, ale oświadczyła, że zamierza chodzić dalej sama, co i mnie nie przeszkadzało. A potem, dziesięć miesięcy później, wraca do domu i mówi mi, że spotkała kogoś i zastanawia się, czy mnie nie zostawić.

– Zastanawia się? – zapytałam.

– Tak, twierdzi, że wciąż jest we mnie zakochana, ale nie dopuszczam jej do siebie i chce nawiązać kontakt z kimś innym. Jest samotna, mówi. A po chwili, tuż po tym, co mi powiedziała, dodaje: „Proszę, powiedz coś, co sprawi, że zostanę. Powiedz mi, że będzie inaczej. Powiedz, że postarasz się rozegrać to inaczej. Powiedz, że chcesz, żebym została”.

– Zrobiłeś to? – Przewróciłam się na brzuch, by wysłuchać reszty jego opowieści.

– Nie lubię, kiedy mi się mówi, co mam powiedzieć – uciął. – To fałsz i czułbym się jak idiota, mówiąc te głupoty, które zdaniem terapeuty Rachel powinienem wygłosić.

– Powiedziałeś cokolwiek?

– A co miałem mówić żonie, która mnie zdradza?

Czułam desperację Rachel próbującej wydobyć z Mike'a coś więcej. Masę razy mówiła mu, że się od siebie oddalają, a ona chce się zbliżyć. Całe lata czekała na poprawę sytuacji między nimi, ale

nie takiego się nie stało. A on nigdy nie próbował niczego poprawić. Wieszcie Rachel z rezygnacją pogodziła się bolesną nieuniknioną prawdą, że Mike nie kiwnie palcem, by ich związek dobrze funkcjonował. Nie wiedziała tylko, że on nie miał pojęcia, jak to zrobić. Kiedy błagała Mike'a, zachowywała się jak obcokrajowiec, który podchodzi i pyta o drogę w obcym języku. Gwałtownie szarpie cię za ramię, terkocze coś po hiszpańsku albo może po portugalsku czy włosku. Wiesz, że potrzebuje pomocy, ale za nic na świecie nie rozumiesz, co mówi.

– Czemu nie? Nie byłeś już w niej zakochany?

– Jasne, była moją żoną, oczywiście, że ją kochałem. Ale walił ją jakiś inny facet i podjęła decyzję, więc nic nie mogłem zrobić.

Mike najwyraźniej nie wiedział jednego: skoro Rachel błagała go, by powiedział to wszystko, musiała istnieć masa rzeczy, które zostawiła niewypowiedziane. Jak mógł nie rozumieć, że emocjonalne obnażanie się przed nim, gdy pozostawał obojętny, było dla Rachel upokarzające? Wyobraziłam sobie Mike'a wruszającego tymi szerokimi ramionami w odpowiedzi na jej pytanie, co poszło nie tak. Mike opowiada, jak to żona go zdradzała i zostawiła dla innego faceta, ale prawda jest taka, że to on zdradził Rachel, pozbawił ją intymności i zostawił w imię bezdusznej wygody męskiej izolacji.

– Boże, ależ z ciebie idiota! – zawołałam. – To prawdziwa tragedia romantyczna, w której twoja pusta głowa wywołuje wszystkie kłopoty. Wcale nie podjęła decyzji. Mogłeś zrobić całą masę rzeczy. Mogłeś po prostu powiedzieć, że się postarasz, a potem to zrobić.

– Nie. Wygrałbym może z sześć miesięcy, potem i tak by odezwał z tym facetem – uciął Mike. – Mona Lisa. – westchnął. – Jak to nie dzieje, że opowiadam ci więcej, niż chcesz?

– Bo możesz.

– Tylko tyle?

– Świetnie wiesz, że tak. I wiesz co? Moim zdaniem nigdy nie mówimy ludziom więcej, niż naprawdę chcemy.

– Robisz mi tu analizę, Mona Lisa.

– Mike?

– Tak.

– Z tego, co mi opowiedziałeś, wynika, że zostawiłeś ją na długo przedtem, nim miała romans.

– To właśnie mi powiedziała.

– Jesteś tym razem gotowy to usłyszeć?

– Nie wiem. Słuchaj, zanim kompletnie zamienimy się rolami i ty zostaniesz moim doradcą, powlokę swoją żalostną, skopaną w walentynki dupę, żeby coś zjeść, i walnę się do wyra.

Z radością, której nie powinnam czuć, uśmiechnęłam się na myśl, że tej nocy pójdzie do łóżka sam. Zanim zasnęłam, przeprowadziłam agitację na rzecz Adama Zieglera, entuzjastycznie katalogując wszystkie powody, dla których to on – nie Mike – był dla mnie idealnym partnerem życiowym. Fascynacja jest przelotna. Miłość trwała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mój żołądek został na parterze budynku mieszczącego biuro Adama, podczas gdy reszta wjechała windą na ósme piętro wykładanego Justrami śródmiejskiego wysokościowca. Recepcjonistka siedziała skromnie przy biurku od frontu, nucąc podczas zapelniania kopert, po czym uniosła głowę z masą białych jak wata cukrowa włosów.

– Dzień dobry – zabuczala nosowo. – W czym mogę pomóc?

– Mona Warren na spotkanie z Adamem Zieglarem. – Pożyczyłam sobie zagajenie Mike'a z czasów jego wizyty u Claudii Schiffer.

– A tak, panna Warren. – Uśmiechnęła się. – Zawiadomię pana Zieglera, że pani przyszła. – Powtórzyłam sobie w myślach, że mam paranoję i wcale nie uśmiechała się złośliwie ani z politowaniem, przekonana, że Adam to nie moja liga. Złożyłam wszystko na karb zmęczenia i zdenerwowania. A poza tym, uznałam, wyglądam ostatnio naprawdę nieźle. Nawet Mike przyznał, że odniosłam prawie pełny sukces w wykorzystaniu posiadanego potencjału, by zostać niezlą laską, zrzucając parę kilogramów, odświeżając garderobę i podmalowując nieco twarz. Dwa razy w tygodniu chodziłam na boks, dzięki czemu całkiem pozbyłam się tłuszczu z ramion i miałam ładnie wymodelowane bicepsy. Potrafiłam już teraz przetrwać całe zajęcia bez niewytłumaczalnych ataków płaczu, ale po ćwiczeniach wciąż jeszcze zakradałam się do sauny, żeby ronić łzy na gorące węgle. Ponieważ bałam się, że laserowe wybielanie zębów będzie bolesne, Vicki złożyła mi obietnicę: jeśli się na to zgodzę, sprawi mi pewną niespodziankę. Po czym dla uczczenia moich nowych białych zębów kupiła pompkę do warg, gadżet, który niepokojąco przypominał wziernik. Po dwóch pierwszych zakończonych kłóską próbach uruchomiłam go wreszcie, nie robiąc sobie siniaków. Umieszczałam wargi w ustniku, a one zostały wessane tak mocno, że musiałam przypominać dziobaka. Siła była tak potężna, że pompka

zassala nawet trochę śliny, co powinno mi było uświadomić, że czas zwolnić ssanie. Instrukcja zalecała dwie sekundy dla uzyskania „pełnych, zachęcających do pocałunku ust”, uznałam więc, że dziesięć uczyni mnie prawdziwą Angeliną Jolie. Zamiast tego wyglądałam jak finalistka konkursu jedzenia placzka z jagodami bez użycia rąk, a tym bardziej sztuczków.

Bezdiskusyjnie kochałam Gretę, ale uwielbiałam też Vicki, która bez zbędnych analiz akceptowała moją próżność. Nie czyniła automatycznego założenia, że skoro chcę poprawić swój wygląd, jestem płytką, załośnie nieświadomą swego życia wewnętrznego kobietą. Ceniłam też szczerość Vicki. Kiedy jej powiedziałam, że nie podobają mi się własne usta, darowała sobie przedstawienie pod tytułem „och nie, są urocze”. Zgodziła się ze mną od razu, nie bawiąc się nawet w wykonanie pro forma ogłędzin przed wygłoszeniem komentarza. Nawet nie spojrzała w moją stronę, kiedy wyznałam, że nienawidzę swoich ust. Nie musiała się odwracać, by powiedzieć „cóż, są wąskie”. A potem przekupila mnie pompką do warg.

Idąc za recepcjonistką do biura Adama, poprawiłam wypełnioną płynem podkładkę, która znów usiłowała wymknąć mi się ze statnika. Po przeznaczonym wyłącznie dla kobiet festiwalu filmów z Audrey Hepburn, który odbył się w moim salonie, Vicki podsunęła mi torbę z Victoria's Secret i poradziła:

– Włóż je sobie pod cycki i dodadzą cały jeden rozmiar. – Po czym mrugnęła. Zdecydowanie powiększały biust o rozmiar, ale wyglądało na to, że mają własny rozum i parę miejsc do odwiedzenia oraz rozliczne zobowiązania towarzyskie – nie mogły usiedzieć w moim statniku.

Drzwi do biura Adama się otworzyły i, przysięgam, zaśpiewał anielski chór. O czym ja myślałam, gapiąc się poządlivie na głupie ramiona Mike'a. Ten mężczyzna był przystojny i solidnie zbudowany. Gdybym powiedziała Adamowi, że muszę z nim porozmawiać, byłby do mojej dyspozycji, nie chroniłby tępo własnego męskiego ego. Podniósł wzrok znad papierów i uśmiechnął się radośnie, autentycznie szczęśliwy, że mnie widzi. Wstał, wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę, żeby uściśnąć moją.

– Miło cię widzieć, Mona. Siadaj, proszę.
Widział! I kto tu mówi o przyszłości.

Adam był niższy, niż zapamiętałam, ale sama nie mam posągowych kształtów, więc nie stanowiło to specjalnego problemu. Czernono-niebieski krawat w kratkę wyprzedził go o całe trzy sekundy. A jednak jego widok był niewiarygodnie kojący, jak widok oazy.

– Jak się miewasz, Mona? – zapytał, kiedy wrócił do biurka. – Jakies ekscytujące nowości w twoim życiu?

Żłóż mi propozycję.

– W grudniu zrezygnowałam z pracy – powiedziałam, w duchu instruując się, żeby oddychać powoli i spokojnie. *Wdech. Jestem najobscurniejszą kobietą na świecie i ma szczęście, że siedzi teraz naprzeciwko mnie za biurkiem. Wydech. Wdech. Jestem spokojna, jestem wyluzowana. Wydech.*

– To faktyczne nowina. Jakie masz plany na przyszłość?

Musiłam sobie przypomnieć, że to pytanie nie stanowi propozycji małżeństwa i nie powinnam rzucać się przez to gigantyczne mahoniowe biurko, by go pocałować.

– Nie jestem pewna, co będę robić – odparłam. *Brzmi dziwacznie, wymyśl coś.* – To znaczy oczywiście jestem strasznie zajęta jako wolontariuszka na rzecz różnych godnych celów. *Gadasz jak bogata staruszka.* – I imprezuję. *Imprezujesz? Co jest, masz szesnaście lat?* – To znaczy udzielałam się na imprezach politycznych.

– Starej dobrej partii republikańskiej, mam nadzieję? – Mrugnął.

– Oczywiście – wybelkotałam, modląc się, żeby nigdy nie dostała do niego informacja o mojej przynależności do Partii Zielonych. – A co u ciebie, Adamie? Miałaś udane walentynki? *Czy to nie przepaiste?!*

– Nie narzekam. Większą część poranka poświęciłam na próby wygrania w przeklętym radiu biletów na Ozzfest, ale bez skutku. *Wieszamowite, w jakim tempie sprzedają się te rzeczy* – powiedział, wskazując na zegarek, jakby wzmianka o czasie przypomniwała mu, że musi przyspieszyć załatwianie sprawy ze mną.

– Mam bilety na Ozzfest – wydusiłam w chwili paniki. – *Chcesz pójść?* – zapytałam, zastanawiając się, co to takiego Ozzfest,

do cholery, i skąd wytraszę wyprzedane bilety. – Po przyjacielsku. To nie musi być żadna randka ani nic podobnego.

Po sekundzie, która miała przesądzić o reszcie mojego życia, Adam uśmiechnął się i oznajmił, że z rozkoszą. Cóż, przynajmniej się zgodził. Miłość przyjdzie później.

– Ja, ee, ty, ee, chyba coś upuściłaś – mruknął Adam, gwałtownie wskazując na podkładkę pod biust, która jak żaba wyskoczyła mu ze stanika i wylądowała na jego biurku. Siedząc na wprost niego, w pełni świadoma, że jedną pierś mam znacząco mniejszą niż drugą, gorączkowo szukałam wytłumaczenia mniej upokarzającego niż prawda. Wypełniony żelam woreczek gapił się na mnie, szydził, śmiał się z uwiecznionej powodzeniem akcji ujawnienia rozmiarów B mojego oszustwa.

Po zbyt długiej pauzie wyjaśniłam, że to zimny kompres przepisany przez lekarza.

– Zmniejsza opuchliznę – oznajmiłam. – Mam infekcję piersi.

Infekcję piersi?! Co za potwornie nieseksowne stwierdzenie!

– Właściwie to kontuzja sportowa. Gram w nogę i piłka dość mocno trafiła mnie w cycek – wyjąkałam. *Natychmiast przestań mówić!* – W ten sposób ta się zainfekowała – wskazałam na lewą pierś. – Ale już jest prawie dobrze. Zimne kompresy bardzo mi pomogły. *Zamknij się, dziewczyno!*

Adam pogrążył się w moim zeznaniu podatkowym i litosciwie zmienił temat. – Jeżeli mam iść na koncert w samym środku sezonu rozliczeń podatkowych, lepiej zajmę się wypełnianiem twojego – powiedział. – Masz wszystkie zaświadczenia o dochodach?

Przejrzał papiery, obiecując, że zrobi, co dopuszczalne w granicach prawa, aby zmniejszyć moje zobowiązanie podatkowe.

– Powiem ci, że moim zdaniem to zbrodnia obciążać ludzi twojego pokroju tak wysokimi podatkami. Twój dziadek pomógł zbudować to miasto. Uważam, że ludzi, którzy dostarczają społeczeństwu miejsc pracy i tworzą lokalny system ekonomiczny, powinno się zostawić w spokoju, wiesz? Jeżeli dużo masz, to znaczy, że prawdopodobnie już dużo dałaś. – Z niedowierzaniem potrząsnął głową nad kwotą podatku, który miałam zapłacić.

– Och, w porządku. – Wypełniłam martwą ciszę, zastanawiając się, czemu mam wrażenie, jakby umizgiwał się do mnie Krajowy Komitet Partii Republikańskiej.

– Nie, naprawdę, ciężko pracowałaś na te pieniądze – mruknął Adam z twarzą schowaną w papierach.

– Cóż, odziedziczyłam je – przypomniałam. – I polisę na życie.

– W takim razie twój dziadek ciężko na nie pracował, w biznesie z rybą tuńczykiem.

– Pochodzisz ze wschodu, prawda?! – Z zachwytem wykorzystałam szansę na zmianę tematu.

– Przeprowadziłam się, kiedy miałem dwanaście lat. A czemu pytasz?

– Powiedziałeś „ryba tuńczyk” – wyjaśniłam. – Tak mówią ludzie ze wschodu. Zabawnie brzmi, bo oczywiście jest, że tuńczyk to ryba. Tutaj mówimy po prostu tuńczyk. Ryba pozostaje w dymie. *Milcząca ryba.*

Och Boże, odbierz mi wreszcie mowę.

– A więc tuńczyk – obojętnie powtórzył Adam. – W każdym razie poszukam sposobów, żeby pomóc ochronić twoje pieniądze, Mona. Musimy sobie pomagać. W to wierzę.

– Alleluja! – Roześmiałam się.

Popatrzył na mnie, nie rozumiejąc.

– Powiedziałeś „w to wierzę”, więc chciałam pozostać w stylu *Alleluja! Wierzę*. To taki żart – wymamrotałam. – Sama nie wiem, co mówię. Czasami po antybiotykach jestem trochę zakręcona. W porządku, wszystko już masz, więc chyba do zobaczenia w weekend na tym festiwalu Oz.

– Mike! – wrzasnęłam do komórki, kiedy tylko zobaczyłam prostokąt światła oznaczający wyjazd z garażu. – To ja, Mona Lisa. Zapadni, z kim mam randkę. – Odpowiedziała mi cisza. – Jesteś tam? Mike, wyjeżdżam z budynku Adama, gdzie właśnie zaprosił mnie na randkę. Randka! Słyszysz mnie?

– Słyszę prawie każde twoje słowo – chłodno odparł Mike. – Cóż o randce.

– Tak! – pisałam. – Autentyczna randka, o której potem opowiada się wnukom. Pierwsza randka reszty mojego życia. R-A-N-D-K-A z podwożeniem i kolacją. Mam tylko do ciebie jedno pytanie, co to jest Ozzfest?

– Idziesz na Ozzfest?! – Poziom entuzjazmu Mike'a dorównał teraz mojemu. – Bilety są wyprzedane.

– Moment – wpadłam mu w słowo, czując narastające zdenerwowanie. – Powiedz mi, kiedy to jest i jak się załatwia bilety.

– O cholera! – Roześmiał się. – To ty masz załatwić bilety? O co tu chodzi?

– Powiedziałam, że już mam te bilety, okej? Zaproponowałam, że mu odstąpię, ale nalegał, żebyśmy poszli razem i zjedli przedtem kolację. W jakimś cichym miejscu, powiedział, bo chce mieć czas, żeby mnie poznać – skłamałam.

– Powiedział, że chce cię poznać? Gada jak dziewczyna.

– Zamknij się! – uciłam. – Nie mogę się doczekać. Powiedz mi tylko, gdzie ta grupa gra i jak mogę załatwić bilety.

– To nie jest jeden zespół, Mona. Chodzi o jakieś dwadzieścia metalowych grup. Ozzy Osbourne, Metallica, Korn, Marilyn Manson, no wiesz.

– Nie, nie wiem. Dlatego pytam.

Mike się zaśmiał.

– Ozzfest jest w ten weekend i w tym momencie jedyna droga zdobycia biletów to konik albo eBay.

– Co to jest?

– Żartujesz? Nie słyszałaś o eBay? – zachichotał z niedowierzaniem. – Aukcje online? – Cisza. – eBay, eBay – powiedział, jakby powtarzanie mogło odświeżyć mi pamięć. – Nie słyszałaś o eBay? Nie wiesz, co to takiego Ozzfest. Mona Lisa, muszę cię o to zapytać, gdzieś ty się podziewała?

– Słuchaj, gdybym była taka światowa, nie potrzebowałabym cię, prawda? – rzuciłam żartobliwie. – Realizujesz moje czeka, więc odpowiedz na pytanie.

– Mona Lisa – Mike igrał z moją cierpliwością – muszę ci powiedzieć, że podoba mi się twoja nowa postawa.

Mike właśnie wyszedł spod prysznicza i wciąż miał mokre włosy, kiedy spotkał się ze mną w domu, żeby pokazać mi, jak zarejestrować się na eBay jako kupujący. Pachniał mydłem. Sięgając ponad moim ramieniem, żeby pokierować kursorem, pomógł mi rozpocząć tajemne cyberżycie jako MonaLisa31. Otworzył też dla mnie konto PayPal, żebyśmy mogła po prostu wklepać hasło „kasaMony” i pieniądze bezboleśnie powędrowałyby z mojej karty Visa do cyber handlarzy. Coś w niematerialnej naturze transakcji i te trzy kolejne stopnie między mną a gotówką nadały eBay delikatny posmak czegoś potajemnego i nacechowanego seksualnie. Coś jakby finansowy romans. PayPal robił to z Visa, która co miesiąc automatycznie robiła to z bankiem.

– Pięćset dolarów?! – zawołałam. – Chcą za te bilety pięćset dolarów?! Myślałam, że heavy metalu słucha banda ubogich przyczynatych nastolatków. Kto kupuje bilety za pięćset dolarów?

Jak chirurg przeprowadzający operację z użyciem mojej klawiatury Mike zachował pewną dłoń i spokojny głos.

– Sprawdźmy. – Obrócił kulką i zaczął klikać, żeby zobaczyć, kto licytuje bilety. Nagle miałam przed sobą listę wszystkich innych zakupów, jakich dokonały przyszczone gnójki i, co ważniejsze, widziałam, w jakim stylu licytują. – Masz na tej aukcji trzech snajperów – powiedział. Uniosłam brwi, jakbym chciała powiedzieć: „Jeśli nie wiedziałam, co to takiego eBay, z całą pewnością nie znam obowiązyającego żargonu”. – A tak, przepraszam. – Dobrze mnie zrozumiał. – Snajperzy zjawiają się w ostatniej chwili i przebijają wszystkich innych. Musisz być na miejscu, przy klawiaturze, gotowa przebić tych dupków.

Zachichotałam, a potem w duchu wymierzyłam sobie kopniaka za przelotną myśl, jak by to było czuć ciężar ciała Mike'a na moim.

Adam, Adam, Adam. Mike jest seksowny i podniecający, bez dwóch zdań. Zabawnie byłoby umawiać się z nim w college'u, ale na dłuższą metę jest dla ciebie kompletnie nieodpowiedni. Cholera, jest nieodpowiedni dla każdej kobiety, która zbliży się do niego emocjonalnie na odległość dwóch stóp. Mike: cudowna noc. Adam: cudowne życie.

Odczrząknęłam bez powodu.

– No dobra, ee, jak, ee, przebijam tych dupków? – Mike uśmiechnął się tak, jakby wiedział, że właśnie wyobraziłam sobie uczucie, którego doznałabym w momencie penetracji. – Coś mi stało w gardle. Skoczę po szklankę zimnej wody. Przynieść ci piwo przy okazji?

– Nie, dzięki. – Uśmiechnął się z satysfakcją. – Właściwie też bym się napił zimnej wody.

Wróciłam i zobaczyłam, że Mike stuka w moją klawiaturę. – Masz tu trzech głównych przeciwników. Nothingface jest bardzo szybki, ale nigdy nie dokonał zakupu powyżej dwustu dolarów, więc moim zdaniem wypada. Ci dwaj faceci, Metalman i XTC420, kupują masę heavymetalowego gówna i już wcześniej kupowali bilety online. – Umieściłam zimną wodę po stronie Mike'a, gdzie zostawił ją nietkniętą. – Musisz zrobić tak. Aukcja kończy się dziś wieczorem o jedenastej dwadzieścia trzy. Zaloguj się, zaliczuj za tysiąc dolarów o jedenastej dwadzieścia i potwierdź dokładnie, kiedy zegar w komputerze pokaże jedenastą dwadzieścia dwie. Nie zegar ścienny, jasne?

– Mam zapłacić tysiąc dolarów, żeby zobaczyć heavymetalowy koncert? – Oparłam głowę o ramię Mike'a. – Tak w ogóle, kto słyszał o republikańskim księgowym, który lubi heavy metal? Nie powinni czasem kochać Lawrence'a Welka i Franka Sinatra?

– Hej. – Mike poglądził mnie po głowie jak młodszą siostrę. – Ja jestem republikaninem. Ozzfest jest super, tak samo Frank.

– Tysiąc dolarów. – Udałam, że szlocham.

– Biedactwo. – Znów mnie poglądził, po czym sięgnął po swoją szklankę z wodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zgodnie z instrukcją znalazłam się tego wieczoru na eBay na aukcji biletów na Ozzfest równo z wybicciem jedenastej. Prawdę mówiąc, zalogowałam się o dziesiątej piętnaście i wdałam w aukcyjną wojnę o parę wysokich butów Aerosoles na koturnie, absolutnie rozkosznych, mimo że o rozmiar za dużych i w kolorze, który nie był mi potrzebny. Miałam już czarne kozaki, ale po czterdziestu minutach przeglądania niemal dwustu par butów kowbojskich, kozaczków dziecięcych i winylowych kozaków w stylu „These Boots Are Made for Walking”¹ byłam zachwycona, znajdując buty tak bliskie temu, czego naprawdę szukałam. Miałam zamiar postawić dwadzieścia pięć dolarów i zapomnieć o sprawie, ale kiedy tylko potwierdziłam kwotę, wyskoczyła wiadomość od eBay. „Twoja oferta została przebita przez innego licytanta”, poinformowano mnie. – Taa? A przez kogo? – zapytałam monitor. Pamiętałam, że Mike sprawdzał zakładkę o nazwie „historia licytacji”, więc weszłam tam, by odkryć, że jakaś mała złodziejka butów, jakaś dziewczka znana tam, by od Księżniczki zaczęła potyczkę o moje buty. Przeniosłam się z powrotem do działu licytacji i podwyższyłam stawkę do trzydziestu pięciu dolarów, po czym za parę sekund otrzymałam wiadomość od eBay, że ponownie zostałam przelicytowana. – Co?! – wrzasnęłam, rozwścieczona, po czym wróciłam do historii licytacji. – But-Księżniczka – wymamrotałam. Kiedy zostałam przebita po raz trzeci, złapałam się na tym, że krzyczę: – Zdychaj, Księżniczko, zdychaj! – Żadne buty nie były tak gorąco pożądane od czasów, gdy Czarownica z Zachodu polowała na biedną Dorotkę z powodu jej rubinowych trzewiczków. No tak, oczywiście Oz mi chodził po głowie. Jak za dotknięciem

¹ *These Boots Are Made for Walking*, płyta Nancy Sinatra z 1965 r.

czarodziejskiej różdżki usłyszałam dźwięk oznajmiający pojawienie się nowej wiadomości.

Jesteś grzeczną dziewczynką, Mona Lisa.

Mike?

A kto inny nazywa cię Mona Lisa?

Co robisz?

Zarabiam na swoje wynagrodzenie, upewniam się, że moja dziewczynka jest tam, gdzie powinna być. Jeszcze nie licytowałaś, prawda?

Nie, ale walczę z jakąś suką But-Księżniczką, która najwyraźniej nie ma nic innego do roboty i zaparkowała swój tyłek na eBayu, żeby przebijać mnie w sekundzie, kiedy próbuję kupić te słodkie buty do go-go. Ile razy licytuję, z miejsca mnie przebija. W sekundę. Jakby to była sprawa osobista. Jakby mi siedziała za plecami.

Ha!

Co za „ba”?

Wiesz, że tak naprawdę ona nie siedzi teraz przy komputerze, prawda?

To znaczy?

O rany, prawie wolę ci nie mówić.

Mów!!!!

Widzisz tę zakładkę, gdzie pytają, jaką cenę maksymalną chcesz licytować? Jej musi być wyższa niż to, co wpisujesz, więc eBay automatycznie cię zawiadamia, że o ile chcesz pozostać w grze, czas podnieść ofertę.

Och.

Nadal chcesz te kozaki?

Nie jestem pewna.

Są czarne?

Tak.

Skórzane?

Tak. Bądź pewna. Bardzo pewna.

Jak to?

Bardzo seksowne. Utrzymaj te dziewczę nosa przy końcu aukcji. Kiedy koniec?

Za dwa dni.

Mona Lisa!!! Zabieraj się stamtąd i kup swoje bilety na Ozfest. Przeszaj się opieprzać i wróć, kiedy tej pieprzonej babie zostanie dziesięć minut do zamknięcia. Niczego cię nie nawczyłem? Idź wlicytować Ozfest i potem wróć. Mam dla ciebie pomysł.

Zrobiłam wysokie przebicie na tysiąc dolarów, jak sugerował Mike, i kliknęłam na potwierdzenie dokładnie wtedy, gdy zegar na ekranie wskazał 23.22. Zamarłam, chłonąc świadomość, że taki delikatny ruch – kliknięcie – uruchomił moje nowe życie z Adamem.

Wygrałam!!!! Zdobyłam te bilety, Mike!!!!

Gratulacje. Ile zapłaciłaś?

Jak to? Postawiłam tysiąc dolarów, jak mówiłeś.

Musiałaś zapłacić całego tysiąka? Fatalnie.

Jak to? Nawet nie sprawdziłam. Zakładałam, że płacę tysiąc, który zaoferowałam.

Zaczekaj.

Po minucie wrócił z wieścią, że kupiłam bilety za siedemset pięćdziesiąt pięć dolarów. Zeskoczyłam z krzesła i puściłam się w taniec zwycięstwa uszczęśliwiona nie tylko faktem, że zdobyłam paszport do cudownego życia, ale zaoszczędziłam dwieście czterdzieści pięć dolarów!

Szczęśliwa?

Podniecona!!!!

Nie zapomnij kliknąć na instrukcję płatności, żeby zalać sprawę przed weekendem. Czternaście godzin heavy metalu. Rany, zazdrościsz.

Co?!

Co „co”?

Napisałeś czternaście godzin heavy metalu. Mówisz serio?

Bardzo. Powiedziałem ci, to dwadzieścia parę zespołów.

Dobry Boże, to masa heavy metalu do wchłonięcia. Ta jest. Hej, mam pomysł, o którym chcę ci powiedzieć. Myślałem o tym, jakie to było sprytne zagranie, powiedzieć twojemu chłopakowi, że kręci cię metal i tak dalej. Niewiele lasek tak ma. Więc myślę sobie, żeby może pociągnąć tę wersję z wyluzowaną heavy metalową laską?

Jestem przerażona.

Niech facet będzie przekonany, że masz interesującą przeszłość. Wiesz, taka ukryta dzikość. I tak sobie myślę, żebyś wyznała aktora, który odegra rolę gwiazdy rocka i „przypadkiem” natknęła się na was przed festiwalem, po czym zacznie opowiadać, jak razem szaleliście, a potem go rzuciłaś, i jaki nadal jest tym zalamany. Mówię ci, to genialny pomysł. Gdybym sam był z laską i jakiś obrońca Cbargersów albo basista z Grade 8 miał coś do mojej kobiety, pomyślałbym, że mam niezły tonar. Rzuciła go, ale leci na mnie. A to znaczy, że mam szczęście, skoro z nią jestem. Jasne?

Pomysł Mike'a, żeby zaszachować Adama gwiazdą rocka, uznałam za wstrętny, ale musiałam przyznać, że miał sens. Mike zaproponował, żebym poszła do miejskiej grupy teatralnej i zapłaciła parę stów jakiemuś facetowi, który zagadnie mnie w restauracji, w której Adam i ja będziemy przed Ozzfest.

Następnego dnia rano pojechałam do miasta wypisać czek za dwa bilety do piekła i znaleźć aktora, który zagra mojego zalamanego porzuconego eksa. Kiedy natknęłam się na Tima, sądziłam, że poleci mi innego aktora ze swojego zespołu, ale uznał, że z rozkoszą sam „zmierzy się z tym wyzwaniem”. Zastanawiałam się, co będzie stanowiło owo wyzwanie: przemiana niewinnego chłopca w metalowca czy udawanie, że złamalam mu serce. Tim tak zdecydowanie różnił się od wytatuowanego olbrzyma, od którego właśnie kupiłam bilety na Ozzfest, że miałam wątpliwości, czy zdoła przewyciężyć tę przeszkodę. Wyglądał na buraka, ale powiedziałam sobie, że to tylko kwestia dresu, który miał na sobie, i faktu, że oderwałam go od malowania dekoracji z napisem „Witamy w Bedford Falls”.

Tim zaczął zadawać absurdalne pytania na temat naszego fikcyjnego związku, w rodzaju jak długo byliśmy razem i czemu go rzuciłam.

– Słuchaj, nie musisz wdawać się w to wszystko w restauracji – zapewniałam go. – Masz podejść do stolika i wyraźnie dać do zrozumienia, że kiedyś ze sobą chodziliśmy i wcale ci nie przeszło, bo mnie się nie da zapomnieć.

– Mona, rozumiem, że nie będziemy omawiać naszej historii, ale jeśli mam być przekonujący, muszę znać te wszystkie dane, stworzyć jakies tło – wyjaśnił Tim. Im dłużej rozmawialiśmy, tym trudniej było mi uwierzyć, że uda mu się odegrać rolę nowego bębniarza Motograder. – Mona, chcę podejść do tej roli poważnie. Zależy ci, żeby zrobić wrażenie na tym facecie, więc chcę mieć pewność, że zagram wiarygodnie. Za jeden wieczór placisz mi więcej, niż dostanę na cały okres wystawiania naszej sztuki, a gram tam główną rolę.

Tim musiał wyczuć moje wahanie, bo zaproponował, że sam przeprowadzi „badania”.

– Może sam stworzę naszą historię i opracuję moją postać? Kiedy na ciebie wpadnę, po prostu pozwól mi przejąć paleczkę i nie zaprzeczaj niczemu, co powiem. Pamiętaj, nie protestuj, trzymaj się strategii „tak i”.

– Tak i?

– Mówię, że poznaliśmy się w muzeum. Nie zaprzeczasz, dodając „nie, to było na koncercie”. Mówisz „tak i to była miłość od pierwszego wejrzenia”. Chwytasz?

– Okej – potwierdziłam z wahaniem. – Możesz tylko zrobić coś z włosami?

– O to się nie martw, Mona. Będę bił metalem po oczach. Możesz mi wierzyć, w piątek wieczorem zostawię dres w domu. Podaj adres i resztę zostaw mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Ozzfest? Twierdziłaś kiedyś, że heavy metal to muzyka odpowiednia jako podkład do zbierania śmieci – przypomniała Greta. Jej tenisówki uderzały w chodnik w rytmie idealnie zgodnym z moimi.

– Cześć, Jack – pokiwała do starszego biegacza z psem. – Masz choćby z grubsza pojęcie, co za plugawe typy tam będą?

– Nie sądzę, żeby heavymetalowcy byli brudni – oznajmiłam z namysłem. – To chyba grundżowcy się nie myją.

– Zmierzam do tego, że ty do tych metalowców nie należysz. Nawet nie lubisz tego rodzaju muzyki.

– Może mi się spodoba – powiedziałam z nadzieją.

Adam nie wybrał na naszą pierwszą randkę restauracji w stylu „świecie i wino”, ale ponieważ byliśmy w drodze na Ozzfest, nie pasowałyby do naszych strojów. On włożył dżinsy i zwykły biały T-shirt z nadrukowanymi szkieletami-marionetkami, które pociągały się nawzajem za sznurki, ale z twarzą bez piercingu i owłosieniem na rękach, które sprawiało wrażenie uczesanego za pomocą grzebienia, wciąż wyglądał na księgowego. Vicki pożyczyła mi swoje podarte biodrówki i koszulkę z czaszką z czerwoną kokardką.

Kiedy dostaliśmy karty dań, do knajpki wtoczyło się naćpane dziewczadło w skórach mamroczące coś z absurdalnym akcentem, który przechodził z angielskiego na południowoafrykański i australijski. Czerwone włosy miało nasączone żelam i ułożone w mniej więcej dziesięć szpiców, tak że głowa przypominała średniowieczne narzędzie tortur. Koszula została najwyraźniej celowo rozdarta w kilku miejscach, bo poza tym była nowiutka, świeża i biała. Czarna skórzana kamizelka pasowała do zestawu piesszczoch, które sięgały aż do łokcia. Bóg jeden wie dlaczego, ale ten świr miał na bicepsie zmywalny tatuaż, który głosił „Halo, kotku”.

– Alo, czy to Mona? – wrzasnął kolczastogłowy przez szerokość knajpy. *Och Boże, niech to nie będzie...* – Tak myślałem, że to będzie ty, kwiatuśku – wybelkotai. Potykając się, Tim dotarł do stolika z ostentacją w stylu Arthura w wykonaniu Dudleya Moore'a. Kiedy przy nas stanął, wyciągnął ramiona, żeby mnie uściskać, usilnie starając się zaprezentować ślady po wkluciacz, którymi ozdobił ramiona. – Mona, Mona, Mona – powiedział głosem, którego brzmienie stanowczo wykluczało możliwość rozpoznania kogokolwiek z czasów obecnych, że nie wspomnę o przeszłości. Machnął ręką w stronę Adama i wysyczał: – Kto to, kurwa, jest, mój pierdolony następcu? *Och Boże, przestani!*

Adam zmarszczył brwi, potem spojrział na mnie pytająco i z troską.

– Adam Ziegler. – Wyciągnął dłoń. – Rozumiem, że jest pan znajomym Mony.

Tim wznosił głos o oktawę, przez co brzmiał jak postać z filmów Monty Pythona. – Znajomy?! Znajomy, taa? To ci powiedziała, stary? – Ręce mu się trzęsły nerwowo i mrugał do mnie obojętnie oczu.

Włączyłam się energicznie, żeby to przerwać i nadać sprawie inny kierunek. Musiałam powiedzieć Adamowi, że Tim jest szkolnym kolegą, byłym współpracownikiem czy kimś słabo znanym. – Adam, to...

– Trucizna – Tim opryskał nas śliną.

Trucizna?! Czy ten dupka właśnie przedstawił się jako Trucizna?!

– Ec, cześć Trucizna, miło cię poznać. – Adam podniósł się niezgrabnie. – Może usiądziesz? Chwiesz się na nogach.

– Od się – kurwa – pierdol, przyjacielu! – Tim odepchnął pomocną dłoń Adama.

Tak dla porządku, kiedy mówisz komuś, żeby się odpierdolił, to nie jest twoim przyjacielem. Idź sobie! Idź!

– Sorka, stary – Tim ciężko usadził swój obleczony skórą tyłek przy naszym stoliku. – Po prostu serce mi, kurwa, krwawi, jak widzę moją śliczną Monkę z innym gościem. Mógłbym se poderżnąć żyły, stary, z miejsca – groźnie machnął gładkim nożem do masła. – Ko-

chasz najpiękniejszą dziewczynę, która ci pokazuje, jakie, kurwa, fantastyczne może być życie, a potem cię zostawia z niczym oprócz wspomnień najlepszych czasów w życiu. – Tim rozsiadł się na krześle, jakby szykował się na długą noc. Nieuważnie wytarł nos ręką. Z prawdziwą przyjemnością zauważyłam, jak podskakuje przy pierwszym kontakcie z własną nabijaną ćwiekami piesszczochą.

– Mogę ci zaproponować chusteczkę, Trucizna? – zapytał Adam, sięgając do kieszeni spodni.

Czemu zwraca się do niego „Trucizna”, jakby to było całkiem normalne imię?!

– Chciałbym tylko, kurwa, miłość mojego życia z powrotem – rzucił. – Co powiesz, Mona? Te trzy lata to były najlepsze, kurwa, lata mojego życia. Może byśmy se dali znów szansę? Powiem chłopakom z Apteki Gowera, żeby przestali się do ciebie podwalać, chociaż trudno ich winić, ty seksowna bestio – mrugnął forsownie. – Apteka Gowera, stary. Słyszalesz o nas? Świeżusko wysła nasza pierwszy płyta!

Trzy lata?! Zespół o nazwie Apteka? Muzycy, którzy do mnie starują? Gdzie jest noż?

– To nie jest właściwy moment... Trucizna – imię wymamrotałam. – Miło było na ciebie wpaść, ale naprawdę musimy lecieć.

– Ozzfest? – zapytał. Pospiesznie skinęłam głową... – Uważaj na tę lasencę przed sceną, stary – mrugnął do Adama. – To kurwa!

– Okej – rzuciłam twardo. – Naprawdę musimy lecieć. Miło było cię zobaczyć... Trucizna. Czas zmykać.

Tim znowu mrugnął.

– Chwytam, słodziutka. Jakbyś kiedyś chciała skleić moje połamane serce, znasz numer. Tylko wykryć...

– No, świetnie! Do widzenia. Naprawdę musimy już iść.

Przy stoliku zjawiła się kelnerka.

– Zdecydowali się już państwo?

Tim wytoczył się z restauracji, gdy zamykały się za nim drzwi, zawołał: – Kocham cię Mona!

– Co za zaburzony facet – powiedział Adam.

– To muzyk – rzuciłam lekceważąco.

– Był cierpiący – Adam wydawał się szczerze poruszony. – Może powinniśmy byli mu pomóc. Widziałas te wklucia na jego rękach? Moim zdaniem jest uzależniony od narkotyków. Wszyscy na tym cierpimy, gdy ludzie tacy jak on nie są poddawani rehabilitacji. W to wierzę. Myślisz, że facet zarabia chociaż centa? – Potrząsnął głową. – Jest na zasłuku albo sprzedaje narkotyki dzieciom. A może jedno i drugie!

Objęłam głowę rękoma, rozpaczyliwie żałując, że się na to zgodziłam, nie precyzując jasno, czego oczekuję od Tima. Adam zupełnie nie wyglądał na człowieka, na którym zrobił wrażenie fakt, że umawiałam się z facetem z heavymetalowego zespołu. Wydałam mu się niebezpieczna w najgorszym możliwym znaczeniu tego słowa. – Używaliscie kiedykolwiek wspólnych igieł? – zapytał.

– Nie! Oczywiście, że nie. Byliśmy ze sobą bardzo przelotnie.

– Trucizna twierdził, że sześć lat.

Przestań tak go nazywać!

– Trzy – poprawiłam.

– Trzy lata to długo, Mona.

– To nie trwało trzy lata. Raczej trzy miesiące. Facet jest naprawdę. Miał omamy. Jest chory. Sam to stwierdziłeś. Pomówmy o czymś innym. Jak twoja rodzina? Czy nadal mają te...

– Robiłaś sobie test na AIDS?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Vicki była naprawdę niezła, szczerze zachwycona podniecającą świadomością, że jest oglądana, kochana, dostaje barwa. Inne dziewczyny wyglądały na wyczerpane ciągłym napięciem, ale Vicki najwyraźniej czerpała z tego energię. Być może dlatego, że trener wprowadził ją tylko na drugą połowę, ale zerwała z siebie koszulkę jak Brandi Chastain po Pucharze Świata i obiegała brzeg boiska, przybijając piątki trzydziestu czy coś kolo tego fanom „Kociaków z wykopem”. Wyglądało na to, że świetnie pasuje do drużyny. Obserwowałam inne zawodniczki, żeby sprawdzić, czy nowa wyzywająca środkowa spowoduje jakieś spojrzenia z ukosa albo przewracanie oczyma, ale chyba ładowała je jej kipiąca energia.

Po meczu Vicki, Greta i ja poszliśmy razem na kolację, drugi raz we trzy. Obiecałyśmy sobie, że tym razem się nie upijemy, i złożyliśmy uroczyste przyrzeczenie, że nie będzie żadnych filmów z Audrey Hepburn. Kilka miesięcy temu skończyłyśmy wyciągnięte na podłodze w moim salonie, oglądając jeden za drugim filmy Hepburn z *Rzymskimi wakacjami* na zakończenie. O północy szlochalam, że Gregory Peck pozwolił Audrey Hepburn odejść i o nią nie walczył. Vicki, potwornie cyniczna, gdy za dużo wypila, wybełkotała, że księżniczka i reporter należeli do dwóch różnych światów i nie było sensu mieć nadziei na szczęśliwe zakończenie.

– Nie było sensu?! – zapytałam tonem zapożyczonym od gwiazdy starego kina. – A co z miłością? Liczy się miłość, Vicki. Jak on może tak po prostu zrezygnować z prawdziwej miłości?

– A co miał robić, błagać ją, żeby zrezygnowała z życia księżniczki? Daj spokój. Bądź realistką, Mona.

Greta wszystko zapamiętywała, to się dało zauważyć. Fakt ten potwierdziła jej późniejsza diagnoza, że Vicki ma problemy z przywiązaniem, a ja z przeniesieniem. Lekarzu, lecz się sam, pomyślałam.

Gdybym tamtej nocy nie była pijana, nigdy nie wypaliłabym, że Vicki i Mike dzielą tę samą pulę genów.

– Wy, rodzina Doughertych, jesteście zimną bandą bez serca – palnęłam.

– To akurat prawda, ale nie ma nic wspólnego z pulą genów – Vicki się roześmiała. – Nie zauważyłaś, że Mike i ja wcale nie jesteśmy podobni? – Wyjaśniła mi, że Mike został adoptowany. Pożalowałam swojego komentarza o genach bezduszności, ale jak w większości innych przypadków po Vicki spłynęło to jak woda po kaczce. – Nie przesadzaj, Mona. Mike po prostu został adoptowany. Moi rodzice nie kupili go na czarnym rynku.

Kiedy kelnerka dotarła do naszego stolika, zajętego przez dwie pokryte plamami od trawy zawodniczki i mnie, zapytała, czy chciałbyśmy na początek coś do picia. Jednocześnie odmówiliśmy.

– A może jednak? Gdybyśmy poprzestali na jednej butelce? – zasugerowała Vicki, patrząc na nas w poszukiwaniu aprobaty.

– Ostatnim razem zrobiło się trochę za wesoło – przypomniała Greta.

– Weźmy jedną butelkę – poparłam sugestię Vicki co do zachowania umiaru zamiast abstinencji.

– Okej – postanowiliśmy jednogłośnie.

– Poprosimy jedną butelkę chianti – solo odezwała się Vicki. A potem, zwracając się do mnie, zapytała o randkę z Adamem w zeszłym tygodniu.

– A tak, mała miss metalu. – Greta się roześmiała. – Opowiedz nam o Ozzfest.

– Ujmę to tak: będziemy musieli opowiadać naszym wnukom o drugiej randce. Adam najwyraźniej świetnie się bawił, na całe gardło ryczał słowa, które ledwie mogłam zrozumieć. „Mówiłem, że kłamiesz!!!! Kopnęłaś w twarz miłością mnie. Szczurze z piekła... cholerne poplamione krwią gardło twoje”. Czemu ci faceci są tacy pełni złości, do licha?

– Chłopcy z przedmieścia zamieszkanego przez białą klasę średnią, którzy wyrosli na bogatych białych chłopców. – Vicki się roześmiała. – Wszyscy wkurzeni bez powodu.

– Sama jestem wkurzona, być może definitywnie ogłuchłam na lewe ucho! Najgorszy był ten dziwaczny aktor, którego wynajęłam, żeby udawał mojego byłego chłopaka – oświadczyłam. – Pomysł twojego brata. No więc wrzeszczał i klął, i tak się przejął rolą, że z pestek truskawek porobił sobie na rękach ślady udające strupki po wkłuciach.

– Fuuuuj! – stwierdziły razem.

– Skąd wiedziałaś, że to pestki z truskawek? – zapytała Vicki.

– W każdym razie jakieś nasionka, bo zaczęły odpadać i zobaczyłam maleńkie ślady po kleju tam, gdzie były fałszywe strupki. Adam mu współczuł. Uważał, że powinniśmy byli kupić mu coś do jedzenia. Oczywiście do chwili, kiedy Tim trochę za bardzo przejął się odgrywaniem zagubionego byłego w depresji. Kiedy wyszedł z knajpy, wrzucił przez okno kamień i wrzasnął „Pieniądze są w gazecie!” Nawet nie mieliśmy gazety.

– Co?! – Vicki była stropiona. – Co to w ogóle znaczy? Jakie pieniądze? Jaka gazeta?

– Kto wie?! Ten facet to kompletny świr. Muszę się teraz nieźle postarać, żeby zatrzeć złe wrażenie, jakie to zrobiło na Adamie. Wyobraźcie sobie, że tamten świr chce, żebym zapłaciła za wymianę szyby w knajpie?

– Widzisz, kochanie, leczenie czasem bywa przydatne. – Wyglądało na to, że Greta poczuła ulgę i nieźle się bawi. – Rozumiem więc, że zaliczyłaś kosztowną lekcję i porzucisz teraz ten swój nonsensowny plan?

– Oczywiście – zapewniłam. – Następnym razem, kiedy wynajmę aktora, dopilnuję, żeby omówić wszystko, co się ma wydarzyć. Następnym razem będziemy się sztywno trzymać scenariusza.

Kelnerka wróciła, żeby odkorkować naszą butelkę. Podała korek Vicki, która spojrzała na Gretę i na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Siedzę tu z dwiema bogatymi dziewczynami, a to mnie podają korek do powąchania”. Następnie odegrała swoją rolę najważniejszej osoby przy stole i zaaprobowała łyk, który został nalany. Kiedy kelnerka odezwała, Vicki nachyliła się nad stołem i wyszeptwała:

– Trafili pod kompletnie zły adres. Dla mnie dobre jest wszystko, co szumi w głowie.

Nasze dania wjechały na stół w chwili, gdy wyjaśniałam, jak zrobić wrażenie na Adamie podczas naszej następnej randki, demonstrując, że jestem porządną obywatelką.

– Nazwałam ten projekt „Dobry samarytanin” – zaczęłam. – Kiedy Tim zadzwonił, żeby poprosić o zapłatę za szybę, którą wybił, niemal dostałam szału. „Niby dlaczego posiadanie byłego chłopaka, który demoluje restaurację, miało zrobić wrażenie na Adamie?!” wrzasnęłam. „Dlaczego nazwanie mnie kurwą miało poprawić mój wizerunek?! Pomieszalo ci się w głowie, Tim. Ludzie, którzy szli na Ozzfest, uznali, że jesteś stuknięty. Masz pojęcie, jak trudno jest zrobić wrażenie psychicznie chorego na fanach heavy metalu?!” O dziwo, Tim był zaskoczony, że nie jestem zadowolona z jego występu i zaproponował, że następny epizod zagra całkiem gratisowo. Oczywiście odmówiłam, ale postanowiłam wykorzystać innego aktora z jego zespołu do spokojniejszego zadania.

Moje koleżanki skubały jedzenie, a ja opowiadałam o następnym wyczynie.

– W ten weekend idziemy z Adamem do zoo i kiedy tam będziemy, aktorka padnie na ziemię. Podbiegnę do niej, zrobię masaż serca i opanuję sytuację. Adam uzna mnie wtedy za kompetentną, odpowiedzialną i absolutnie zachwycającą. Co wy na to?

Vicki skinęła głową, unosząc brwi w aprobachie dla mojego neutralizującego własny obraz planu. Greta nie uważała pomysłu za dobry.

– Czemu nie możesz po prostu się z nim spotkać i zobaczyć, co z tego wyniknie? Skąd ta potrzeba, żeby zawsze i wszędzie urządzić przedstawienie? – Zwracając się do Vicki, ciągnęła: – Nie uważasz, że cały ten plan to próba przesadnego kontrolowania sytuacji?

– W każdym razie taki jest plan – rzuciłam, lekceważąc pytanie Greta. – Wygląda na to, że na boisku naprawdę dobrze się bawisz, Vick.

Nachyliła się do nas i wyszeptwała, że musi się poradzić. Menedżer „Plantacji wymarzonych dziewczyn” nie był, jak się okazało, zachwycony nową pozycją Vicki w drużynie piłki nożnej i poprosił, żeby z tego zrezygnowała. – Twierdzi, że siniaki na nogach nie są

wiekosowne – zaczęła. – Maskowałam je podkładem, ale spójrzcie tylko na to małeństwo. – Wstała, podwinęła szorty i odsłoniła ślad wielkości i barwy bakłażana na lewym pośladku. – Właściwie nie wiem, co powinnam zrobić. W ten sposób zarabiam na życie, ale uwielbiam grać w piłkę. W zeszłym tygodniu skręciłam kostkę i kompletnie nie mogłam sobie poradzić z wysokimi obcasami, a kto chce oglądać striptizerkę w obuwiu ortopedycznym?

– Wygląda na to, że masz dylemat. – Greta była w swoim terapeutycznym żywiole.

– Co powinnam zrobić? – zapytała ją Vicki.

– A co chcesz zrobić?

– Nie wiem. Chyba znaleźć lepszy podkład. – Vicki wzruszyła ramionami. – Myślę, że powinnam tańczyć najdłużej jak się da, bo mam przed sobą najwyżej cztery, pięć lat w tym zawodzie. Ale z drugiej strony, nie chcę czekać kolejnych czterech czy pięciu lat, żeby pograć w nogę. Nie wiem. Nie byłoby kłopotu, gdybym mogła tyle samo zarabiać gdzieś, gdzie nie potrzebuję mieć gładkiego tyłka.

– A w jakim innym zawodzie siebie widzisz? – zapytała Greta. Vicki oparła ściągnięte usta o pięść i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Tego dnia, kiedy poszłam z Moną na zakupy, czułam się naprawdę pozytywna. Czułam, że naprawdę zarabiam, pomagając jej w wyborze strojów, które wydobywają jej najlepsze cechy. Ale wiesz, co naprawdę chciałabym robić? – Przy ostatniej myśli natężenie głosu Vicki wzrosło. – Chciałabym przerobić twój uroczy domek. Nie wyobrażasz sobie, ile mam pomysłów na to miejsce. Ma taki potencjał, Mona.

– Kocham ten dom – powiedziała Greta, broniąc babcinego wystroju.

– Ja też go lubię, ale musisz przyznać, że jest nieco staroświecki. Może pozwoliłabyś mi zrobić jeden pokój? Może któryś z pokoi gościnnych na dole? Tak sobie myślałam, że ten maleńki, do którego wchodzi się po trzech schodkach, można by urządzić w stylu Czarnoksiężnika z krainy Oz. Na schodach położyć tęczwową chodnik, dywan naśladowujący żółtą ceglana drogę, narzutę na łóżko w maki

i wszędzie porobić rysunki na ścianach – kraj Manczkinów, Szmaragdowe Miasto w oddali, Dorotka i Toto przeskakują, kawalek domu w Kansas w rogu ze stopą czarownicy wystającą spod spodu, co sądzisz?

– Dom Mony jest uroczy taki, jaki jest. No i moim zdaniem wszystkie mamy dość Oza na jakiś czas – oświadczyła Greta.

– Mnie się podoba – skłamałam. Nie było to stuprocentowe kłamstwo. Podobało mi się ożywienie Vicki na myśl o ponownym urządzeniu mojego domu. Wiedziałam, że był już najwyższy czas zrobić coś, co uczyniłoby ten dom moim domem. – Nie jestem pewna, czy pasuje mi tematyka czarnoksiężnika z Oz, ale uważam, że można by urządzić pokoje gościnne w stylu filmowym. Może zatrudnię cię, żebyś zrobiła oba pokoje gościnne na dole?

Vicki skinęła głową ze zrozumieniem.

– A co powiesz na łazienkę w stylu *Psychozy*? – wałęsa.

– Łazienka z *Psychozy*? – pisała Greta. – Obie kompletnie oszalałyście. I mam odpowiednie kwalifikacje, żeby postawić tę diagnozę.

– Może opracuję w tym tygodniu różne koncepcje i porozmawiamy o nich przed naszą rozgrywką w przyszły weekend? – zapytała Vicki.

– Naszą w piłkę czy przed tą, kiedy „Mona ratuje świat”? – chciała wiedzieć Greta.

Numer widoczny na mojej komórce oznaczał, że dzwoni Mike.

– Hej. – Uśmiechnęłam się, odbierając. – Jem obiad z Gretą i twoją siostrą. Mogę później oddzwonić?

– Nic ważnego – powiedział. – Mam pomysł na twój następny szwindel.

– To żaden szwindel – zaprotestowałam. – To public relations.

– Jak tam sobie chcesz. Mam dla ciebie pomysł. Zadzwoń do mnie później. – Rozłączył się, nie mówiąc do widzenia.

Tego wieczoru przebrałam się w uroczą piżamę, którą kupiłam sobie na walentynki. Wybrałam numer Mike'a, a potem się rozłączyłam i opadłam na poduszki. Serce mi waliło jak bęben podczas ce-

remonii składania w ofierze dziewicy – mocno i w stałym rytmie. *Natychmiast przestań!* – rozkazałam sobie. – *Mike jest dla ciebie całkowicie i stuprocentowo nieodpowiedni. To Pies, który obesra cię od góry do dołu. Przywiążesz się do niego emocjonalnie, a on pozostanie nieosiągalny, po czym umrzesz z bólu. Adam to rozsądny wybór. Jest słodki, miły i solidny. Cudowne noce kontra cudowne życie – wybór jest prosty.*

A przynajmniej powinien taki być. Nie planowałam, że będę wolała Mike'a od Adama, i ta świadomość cholernie mnie irytowała. Byłam wściekła na siebie, bo narażałam własne przyszłe szczęście, ale jeszcze bardziej wściekła na Mike'a z powodów, których jakoś nie potrafiłam ustalić.

– Hej, Mona Lisa – powiedział, kiedy zebrałam siły i zadzwoniłam ponownie.

– Czego chciałeś? – zapytałam chłodno i obojętnie.

– Chciałem ci podsunąć pomysł dla twojego chłopaka. Za to dostaję tę wielką forę, zgadza się?

– W zupełności. Co to takiego?

– Czy coś się stało? – zapytał Mike. – Masz głos, jakbyś była wściekła.

Nie udawaj, że cię to obchodzi, ty bezduszne gównie. Wszyscy jesteście tacy sami, od Gregory Pecka poczynając, na tobie kończąc – kompletnie oderwani od własnych uczuć.

– Zupełnie nie – powiedziałam. – A coś powinno mnie martwić?

– Nie, chyba nie. W każdym razie, wymyśliłem, że kiedy znów zobaczysz się z tym gościem, powinnaś się zachowywać, jakbyś miała sport w małym palcu. Więc chcę cię trochę podszkolić w sportowym żargonie.

Widzisz, jak łatwo zmieniają temat? Żadnej wrażliwości. Kompletny brak wyczucia co do twojego samopoczucia. Myślisz, że w związku z nim byłoby inaczej? Daj spokój!

– Brzmi nieźle. Wal, stary.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

*Przyszła wiosna i w powietrzu czuje się miłość...
a może to zapach nawozu rozpylanego na trawnik mojego sąsiada.*

– Pieskie życie, marzec

Istnieje niewiele oznak pozwalających stwierdzić, że w San Diego nastala wiosna – zwierzęta w ogrodzie zoologicznym są w stanie ciągłego pobudzenia seksualnego. Drzewa u nas zawsze kwitną, ale tylko wiosną nasz goryl afrykański bzyka swoją partnerkę na oczach pierwszaków. W marcu to nie śnieg topnieje. To serce samicy orangutana, która z rozmarzeniem patrzy na swojego drzemającego towarzysza i myśli, że może – tylko może – naprawdę mu na niej zależy.

– Nie uważasz, że wiosna w San Diego jest cudowna? – zapytałam Adama, gdy jechaliśmy wagonikiem kolejki linowej Skyfari do basenu niedźwiedzi polarnych. – To znaczy San Diego jest piękne o każdej porze roku, ale wiosną miasto ma w sobie coś magicznego.

Jak to, że jesteś obok. Boże, człowiek wie, że coś jest nie tak, kiedy wewnętrzny monolog brzmi sztucznie.

Adam wzruszył ramionami.

– Cóż, nie znoszę się sprzeczać, ale nie podzielam twojej miłości do San Diego.

Co? Kto nie kocha San Diego?

Mówił dalej:

– Nie masz czasem dosyć tego, że zawsze jest słonecznie i pięknie?

Nigdy!

– Ee, czasami. Ale niekiedy pada. W listopadzie mieliśmy tę wielką burzę, pamiętasz? A w zeszłym tygodniu przez większość popołudnia było zachmurzenie.

– San Diego ma atmosferę małego miasteczka – ciągnął Adam. – To miasto z kompleksem niższości i szczerze mówiąc, powinno go mieć. W to wierzę. – Prychnął.

A potem powiedział coś, co kompletnie mnie nie zaskoczyło.

– Czasami mam wrażenie, że jeśli nie wydam się z tego miasta, to się załamie. Chcę się przeprowadzić w jakieś prawdziwe miejsce, na przykład do Tulsy.

Tulsa w stanie Oklahoma? A co to ma być za miejsce? Czekalam na Chicago, Nowy Jork, Los Angeles albo Paryż. Czy w Tulisie pogoda nie jest równie umiarkowana?

– Dlaczego Tulsa? – zapytałam, kiedy nasz wagonik zaczął się obniżać.

Gdy dochodziliśmy do basenu niedźwiedzi polarnych – gdzie Julie, wynajęta przeze mnie aktorka, miała zgodnie z planem dostać w samo południe ataku – Adam opowiedział mi o zjeździe, na który pojechał do Tulsy. Trzy dni nauki wykrywania oszustw oszczędnościowych i pożyczkowych, dziewięć posiłków z czerwonym mięsem i dzień na rodeo wspominał, jakby marzył o powrocie do nieba.

Zauważyłam Julie oglądając białego misia, który przyciskał do szklanej szyby ogromne purpurowe poduszki łap i robił dla niej koziołki do tyłu. Dyskretnie dała mi znak, że zostałam zauważona, a potem założyła włosy za ucho, sygnał oznaczający pytanie, czy jestem gotowa. Miałam kaszlnąć, raz na tak, dwa razy na nie. Była to taka grzeszna przyjemność, właściwie żalowałam, że nie mam powodu do dalszej sekretnej komunikacji. Może będę trenować drużynę Małej Ligi, do której będą należeć nasze, Adama i moje, dzieci i wykorzystamy tajemne znaki do porozumiewania się z graczami.

Kiedy zakaszlałam, Adam zapytał, czy dobrze się czuję. W tym momencie wiedziałam, że znajduję się u boku właściwego faceta.

– Nic mi nie jest. – Uśmiechnęłam się. – Ale tej kobiecie owszem! – Wskazałam na Julie, która upadła troszkę za wolno i wyładowała w pozie nieco seksowniejszej, niż wymagała sytuacja. Wystawiła biodro jak Mae West i autentycznie położyła sobie rękę na czole.

Podbiegłam do niej i oznajmiłam innym zwiędzającym, że wiem, jak się przeprowadza reanimację i pomogę uratować życie tej kobiecie. *Bo taka ze mnie prozdrowotna i dobra dziewczyna.*

– Proszę się cofnąć – zawolałam. – Potrafię ją zreanimować! – Ukłękłam obok bezwładnego ciała, podczas gdy tłum ludzi gromadził się, żeby popatrzeć. – Wpuście tu trochę powietrza. – Poszukiwałam na jej szyi tętna. Kiedy zbliżyłam twarz do leżącej, poczułam na ramieniu siłą dłoń.

– Jest pani lekarzem? – stanowczo zapytał mężczyzna o najciemniejszej skórze, jaką w życiu widziałam. Głowę miał ostrzyżoną, a zęby i oczy tak jasne, że oślepiające. Mówił tak rozkazującym głosem, że poczułam przerażenie.

– Ee, nie, nie jestem lekarzem.

Ale bawię się w doktora na randkach?

– Ja jestem – oświadczył, odsuwając mnie na bok. Poszukał u Julie pulsu i w tym momencie otworzyła oczy. Tłum zaklaskał.

– Co się stało? – zapytała Julie.

Doktor Parszywiec odwrócił się do mnie i wrzasnął:

– Miała puls i oddychała bez kłopotu. Tej kobiecie nie była potrzebna reanimacja!

– Ee, okej, przepraszam. – Skuliłam się jak dziecko upominane przez nauczyciela. Tłum jeszcze się nie rozszedł, więc kontynuował wykład, wykorzystując mnie jako przykład do wyjaśnienia, dlaczego amatorzy nie powinni podejmować tego rodzaju heroicznego wysiłków. – Każdy z dwucyfrowym IQ może zaliczyć kurs pierwszej pomocy, ale zanim zaczniecie przeprowadzać niepotrzebną reanimację, która mogła spowodować u tej kobiety poważne obrażenia, zapytajcie, czy jest w pobliżu lekarz! Właśnie po to studiujemy medycynę. – Zwrócił się do mnie i powtórzył: – Mogła jej pani poważnie zaszkodzić. Jestem pewien, że ma pani serce na właściwym miejscu, ale następnym razem proszę użyć głowy.

Gapie patrzyli na mnie tak, jakby Julie leżała na ziemi, bo skończyłam jej na plecach i zaczęłam dusić. Dwójka dzieci wykrzywiła się do mnie złośliwie. Jedna matka potrząsnęła głową z niesmakiem. Adam przez komórkę wzywał karetkę.

Osobą najbardziej na mnie rozszloczoną była jednak Julie, która następnego dnia zadzwoniła z wymówkami, że spędziła cztery godziny na izbie przyjęć w szpitalu na obserwacji, ponieważ obaj, doktor Parszywiec i Adam, uznali, że najlepiej będzie zachować ostrożność. – Nie mam ubezpieczenia zdrowotnego i zawiesili mi prawo jazdy, Mona! – szlochała. – Twierdzą, że mogą je odzyskać dopiero po pół roku „bez incydentów”. Jak mam się dostać na próby, Mona? Jak mam odbierać syna ze szkoły?!

Lekarze są tacy aroganccy. Moi rodzice mieli rację, kiedy narzekali, że lekarze uważają się za namaszczonych przez Boga. Pewnej strasznie deszczowej zimy czwórka dzieci poważnie się rozchorowała i byliśmy zmuszeni wezwać lekarza z Missouli, żeby je zbadal. Dwa tygodnie zup, ziółowych inhalacji i modlitw nie pomogły, więc wytoczyli poważne działo. Lekarz zrobił niewiele ponad to, że skrytykował nas za mieszkanie w takiej dużej grupie i o mało nie dostał szata, kiedy odkrył, że tylko połowa dzieci była szczepiona. Większości rozmowy nie słyszałam, ponieważ odbyła się za zamkniętymi drzwiami, ale wyraźnie przypominam sobie moją mamę mówiącą lekarzowi, że potrzebują wyłącznie jego porady medycznej, a nie komentarzy na temat stylu życia. Gdy zamknęła za nim frontowe drzwi, westchnęła.

– Co za arogancja. Chcemy walczyć z wirusem, a oni chcą walczyć z nami. Wszchemocny establishment medyczny wie, co jest najlepsze dla każdego.

Kiedy jechaliśmy z Adamem z powrotem do Coronado, nastawiłam w radiu transmisję z meczu studenckiej koszykówki.

– Kto twoim zdaniem wejdzie w tym roku do finałowej czwórki? – zapytałam.

– Fanka kosza? – Adam się uśmiechnął. Kiedy na niego spojrzalam, zobaczyłam człowieka, który nigdy nie opuści rodziny. Było coś bardzo atrakcyjnego w tym, że wydawał się tak mocno stąpać po ziemi. Nie popierałam wszystkiego, do czego był przywiązany, ale podobało mi się samo przywiązanie. Mike przypominał parę wodną. Ile razy usiłowałam pochwycić coś, co wydawało się w nim realne, zdawałam sobie sprawę, że niczego tam nie ma. Albo może i było

– jakaś mgła tak delikatna i tak szybko ulatująca, że nie mogłam jej poczuć ani przez sekundę.

– Nie ma to jak marcowe szaleństwo. – Zachichotałam nerwowo, recytując swoją bzdurną kwestię.

– Tak? – Adam wydawał się zadowolony. W tym wypadku Mike miał rację. Cud nad cudami, miał rację. Adam sprawiał wrażenie zachwyconego faktem, że wiem cokolwiek o koszykówce. – Które drużyny lubisz? – zapytał.

Wzięłam głęboki wdech, wiedząc, że tym razem sama jestem aktorką w roli głównej.

– Wszyscy kochają gigantów w rodzaju Duke i Arizony, ale ja popieram tych, którym rzadziej dopisuje szczęście. W tej chwili chyba Syracuse ma najlepszego debiutanta w kraju.

Na razie jest dobrze.

– Carmelo Anthony – Adam oszczędził mi konieczności przypominania sobie nazwiska.

– Nie można nie kochać faceta, który przy wzroście dwa metry i cztery centymetry jest dość szybki i dokładny, żeby grać na dwóch pozycjach, potrafi rzucić z pola i osobiste. Nie do zatrzymania pod koszem i umie rzucić za trzy – powiedziałam, mając nadzieję, że wyrecytowałam swoją kwestię tak, jak ją Mike zapisał.

Wydawało się, że Adam jest pod wrażeniem.

– Masz rację co do Syracuse, ale wiesz, że Jim Boeheim nie potrafi zdobyć się na poważne zwycięstwo.

Jim Boeheim?! Jim Boeheim?!

Wzruszyłam ramionami z nadzieją, że Adam porzuci całą tę rozmowę o Jimie Boeheimie.

– No proszę, Mona, wymień ostatni poważny mecz, który Boeheim wygrał.

Możemy porozmawiać o rekordzie Anthony'ego z liceum?

– Włóż, nie potrafisz żadnego wymienić, prawda? – zapytał Adam.

– Ee, cóż, to tylko jeden gracz – bąknęłam.

– Co?

– Ee, nie możesz oczekiwać, że jeden facet będzie odpowiedzialny za sukces całej drużyny – powiedziałam miękko.
– Mogę, jeżeli jest trenerem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Adam powiedział, że nasze dwie randki to były najlepsze randki, jakie miał w życiu. Zastanawiałam się, czy to tylko grzecznościowe stwierdzenie – bo jakim cudem mogłaby to być prawda? – ale wydawało się, że nie miał ukrytych celów, by mówić coś takiego. Nie potrzebował pożyczka pieniędzy. Nie naciskał na kontakty seksualne ze mną. Jeżeli Adam Ziegler miał coś na myśli, nie umiałam odkryć, co takiego. Wydawał się szczerze zachwycony, spędzając ze mną czas.

Ja natomiast po obu randkach obudziłam się wypalona. Adam stanowił bardzo trafny wybór, jeśli chodziło o znalezienie towarzysza życia, i na odległość czułam do niego ogromny pociąg, ale im więcej spędzałam z nim czasu, tym bardziej mnie nudził. Wszystkie iskry, które latały w powietrzu, były wynikiem moich gorączkowych, usilnych starań, żeby je wykrzesać. A jednak Adam wydawał się całkiem zadowolony i poprosił, żebyśmy znów zobaczyli się w następnym weekend. Zgodziłam się, działając automatycznie, ale myślałam o spotkaniu z wielką niechęcią. Mój opór częściowo brał się pewnie z faktu, że czułam się zmuszona przygotować jakieś kolejne wystąpienie promujące moją osobę. Inna część mnie wiedziała, że chodzi po prostu o uświadomienie sobie, że Adam nie przyprawia mojego serca o przyspieszone bicie tak, jak tego oczekiwałam.

W tamtym czasie moja mantra brzmiała, że namiętność to rzecz przelotna, ale im częściej ją powtarzałam, tym mniej w to wierzyłam. Coś w rodzaju odwrotnej medytacji oddalającej od wewnętrznego spokoju i zadowolenia, których tak rozpaczliwie szukałam. Myślałam o związku babci i dziadka i o tym, jak idealnie do siebie pasowali mimo pozorów bardzo formalnej, uprzejmej znajomości. Pamiętałam ojca, który chwycił matkę w tali za każdym razem, kiedy go mijala, przyciągał ją i całował w szyję. Wymierzała mu

zartobliwe ciosy i upominała, ale język jej ciała wyraźnie mówił o czystej przyjemności, którą czerpała z obopólnie odczuwanej atrakcyjności partnera. Ale chociaż ich namiętność przetrwała, oni sami nie. Wymyśliłam dla siebie nową, najbardziej pozytywną mantrę. Zamiast skupiać się na tym, że namiętność przemija, powtarzałam, że stabilność trwa. Trwa, lubiłam to słowo. Nie dałam Adamowi uczciwej szansy. Powinnam skupić się na wszystkich tych wspaniałych cechach, które na początku przyciągnęły mnie do niego.

Trzymałam się nadziei, że może pierwsze randki z Adamem wypadły błado z powodu ich lokalizacji. Już śmierć była lepsza niż Ozzfest i jak większość mieszkańców San Diego byłam wcześniej w zoo zaledwie cztery miliony razy i miałam powyżej uszu oglądania rogów i kopyt.

W zeszłym tygodniu Greta narzekala, że jej zamężne pacjentki biadola nad brakiem podniecenia w swoich związkach. Wywołujące dreszcz poszukiwania zostały zastąpione przyziernym udowowieniem.

– Zawsze myślą, że gdyby wyszły za kogoś innego, ich życie potoczyłoby się inaczej – parsknęła podczas jednego z naszych biegów po plaży. – Widuję kobiety, które wyszły za porządnych mężczyzn, głównianych mężczyzn, mężczyzn angażujących się w romanse, nudziarzy, alkoholików, i wszystkie myślą, że gdzieś tam jest ktoś, kto byłby dla nich lepszy. – Westchnęła. – Najwyraźniej uważają, że gdyby wyszły za byłego chłopaka albo księcia z bajki, ich całe życie okazałoby się bajką, a nie książką kucharską – rzuciła. – Nic dociera do nich, że gdyby nie wybrały aktualnego partnera, skończyłyby z tym samym facetem, tyle że ubranym w inne spodnie – powiedziała ze śmiechem.

Widząc, że nie nadążam, Greta wyjaśniła:

– Chodzi mi o to, że ludzie, których wybierasz w życiu, mają bardzo niewiele wspólnego z doświadczeniami, które zbierasz. Gdyby jedna z moich pacjentek nie była żoną Steve'a, alkoholika i dziwkarza, który ma kłopoty z nawiązywaniem bliskich relacji i paskudny charakter, byłaby żoną Paula, alkoholika i dziwkarza, który ma kłopoty z nawiązywaniem bliskich relacji i paskudny charakter.

Pamiętasz ten film z Gwyneth Paltrow, gdzie wsiada do pociągu i widzimy jej życie, jakie by było, gdyby wsiadała do innego pociągu zamiast tego, który przyjechał pięć minut później?

– *Przypadkowa dziewczyna.*

– Cóż, cała ta koncepcja, że jedna z drobnych rzeczy w rodzaju złapania późniejszego pociągu zmieniliby wynik całości, to kompletna bzdura.

– Ale Greta, ona ostatecznie spotyka tego samego faceta w szpitalu – przypomniałam. – Więc spóźnienie na pociąg zmieniło jej życie tylko na krótko. Było jej przeznaczone, że w jakiś sposób spotka tego faceta.

– Dokładnie o to mi chodzi – przyznała.

– Twierdziłaś chyba, że przesłanie tego filmu jest głupie.

– Może to nie był dobry przykład, ale przekonanie, że życie może być całkowicie odmienne z powodu tak drobnych zmian, jest fałszywe.

– Naprawdę? Bo w jednej z książek, które mi dałaś, napisano, że małe zmiany robią wielką różnicę.

– Brawo – zbyła mnie. – Czytałaś je. W każdym razie chciałabym napisać artykuł, opowiadanie czy coś takiego, gdzie mążatka zastanawia się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby wyszła za kogoś innego. A potem składa jej wizytę anioł i pokazuje, jak wyglądałoby to życie, gdyby nie poślubiła swojego okropnego męża. Potrafisz zgadnąć jak, Mona? Dokładnie tak samo, ale z innym okropnym mężem. Jej dzieci mają inne rysy, ale sprawiają te same problemy. Ma tę samą kaniapę, te same obrazy na ścianach i ten sam uśmiech na ślubnym zdjęciu.

– „Życie bez znaczenia”? – zasugerowałam tytuł.

– To nie jej życie nie ma znaczenia. Bez sensu jest siedzieć i zastanawiać się, co mogłoby być, ponieważ to, co mogłoby być, właśnie jest. Trawa po drugiej stronie plotu może wydawać się bardziej zielona, ale zasadniczo trawa to trawa.

– Moim zdaniem musisz nad tym popracować – powiedziałam.

Wracając myślami do teraźniejszości, zadałam sobie pytanie, czy przypadkiem sama nie cierpię na ten rodzaj emocjonalnej niedojrzałości, który Greta diagnozuje u swoich pacjentek. Może życie

po prostu jest ponure i liczy się nie znalezienie właściwego faceta, ale właściwego typu faceta. Adam był właściwym typem. Zainwestowałam w niego sporo energii i przekonałam samą siebie, że powinienam dać naszemu związkowi jeszcze jeden miesiąc, zanim podejmę decyzję, czy istnieje szansa na wspólną przyszłość. Ale chcąc się upewnić, że będę miała pełnoprawny udział w podjęciu takiej decyzji, postanowiłam zniwelować konsekwencje tego katastrofalnego wydarzenia w zoo. Gdyby Adam zadał sobie trud przemyślenia naszych randek, mógłby zdać sobie sprawę, że wcale nie były najlepsze w jego życiu. Mógł się zorientować, że jestem potencjalną zabójczynią o niejasnej przeszłości. Ale co do sportowego żargonu, Mike miał rację. Gdybym tylko nie schrzaniła wszystkiego tą fatalną gafą z Jimem Boenheimem. W kolejnej etiudzie służącej poprawie mojego wizerunku będzie mniej gadania i więcej działania – dobrej czystej pozbawionej brutalności akcji bez heavymetalowej ścieżki dźwiękowej.

Zadzwońilam do Tima, by sprawdzić, czy w jego zespole jest jakiś inny aktor, któremu przydałoby się trochę dodatkowej gotówki. Oczywiście znalazł się facet więcej niż chętny do krótkiego, acz dramatycznego występu na mojej następnej randce z Adamem. Jego rola: złodziej torebki. Moja: dziewczyna, która nie da sobie w kaszę dmuchać. Kiedy Toby wyrwie mi torebkę po naszym wyjściu z kina w sobotni wieczór, zacznę go gonić i odzyskam swoją własność z godnością. Adam zobaczy, że jestem kobietą, która naprawdę potrafi uratować sytuację.

W każdym razie taki był plan.

Pamiętam, że tuż przed ukończeniem przeze mnie liceum szliśmy z babcią w dół Ocean Boulevard, kiedy chudy dzieciak z szopy czarnych włosów i w za małej dzinsowej kurtce przepchnął się obok i wyrwał torebkę z prawej ręki babci. Bez chwili wahania rzuciła się za nim. Miała sześćdziesiąt osiem lat i ani przez chwilę nie zastanowiła się nad potencjalnym zagrożeniem związanym z pościgiem za przestępcą czy faktem, że w wyścigu między подростkiem a starszym obywatelem zwykle przegrywa starość. Rzuciła tylko: „Nikt nie zbiera mojej torebki” i pomknęła za nim jak strzała. Jako niezbyt by-

stry początkujący kryminalista dzieciak obejrzał się z niedowierzaniem na ścigającą go babcię i w sekundzie leżał jak długi na plecach nieprzytomny po zderzeniu z latarnią, na którą wpadł. Jak szalona kobieta babcia postawiła stopę na jego bezwładnym ciele i uniosła torebkę nad głowę. Wyobraźcie sobie to zdjęcie z wirującym jak na filmie tytułem w gazecie, który głosił „Miejscowa seniorka pomaga zwalczać przestępczość w Coronado”. W ciągu paru dni wieści o bohaterstwie babci rozniosły się po wyspie i wszyscy nazywali ją Siwą Błyskawicą. Chociaż kilka gazet, które opisywały wydarzenie, wygłosiło obowiązkowe ostrzeżenia: „Nie próbujcie tego w domu, dzieciaki”, było całkiem jasne, że wszyscy się zgadzają – babcia była super.

Nawet babcia częściowo się wycofała, kiedy po gwałtownym przyplwywie adrenaliny dotarło do niej, że zaryzykowała życie dla kilkuset dolarów i okularów na receptę.

Normalnie nie postąpiłabym tak bezmyślnie, Mona – wyjaśniła. – Ale ta społeczność wiele dla mnie znaczy i kiedy chłopak wyrwał mi torebkę, poczułam, jakby chciał odebrać mi Coronado, które kocham. Gdybym myślała rozsądnie, pozwoliłabym mu zabrać torebkę, ale w tamtej chwili myślałam o tym, że jestem okradana, rozpałała we mnie prawdziwy ogień. – Mimo tych tłumaczeń było dla mnie jasne, że sama babcia jest bardzo zadowolona ze świeżo uzyskanego statusu.

Nagrana przeze mnie kradzież torebki rozegrała się podobnie, tak samo miał miejsce upadek, ale niestety tym kimś, kto upadł, byłam ja. Ścigałam Toby'ego przez całych dziewięć metrów średmiejściowego chodnika w San Diego, kiedy upadłam, wykrzywiwszy nogę, w kostkę, i pozostało mi tylko przyglądać się Adamowi, który szybko dogania winowajcę. Kompletnie nieprzygotowany na rycerskie zachowanie i pościg Adama Toby biegł niezdarnie jak szkolny kujon uciekający przed chuliganem. (Mogłam trochę lepiej wybrać odwrotce tej roli). Po chwili leżał rozciągnięty na chodniku i dostawał wyciry. Pokuśtykałam w tamtą stronę, obserwując pięść Adama, która unoszą się i opada jak igła w przemysłowej maszynie do szycia, trafiając w biednego chłopaka.

– Przestań! – krzyknęłam – Może mieć broń. – To ostrzeżenie wywołało sapanie jakiegoś przechodnia, który szybko zanurkował w bok, żeby umknąć wyimaginowanemu pociskom Toby'ego.

Toby leżał na chodniku twarzą do ziemi przyciśnięty przez Adama kolanem, a ręce miał fachowo skrepowane krawatem mojego chłopaka. Kiedy Adam rzucił mi torebkę i mrugnął, wydał mi się dość seksowny, dopóki nie przypomniałam sobie, że właśnie stłukł na kwaśne jabłko Clarence'a, aniola z Teatru Miejskiego w Coronado. Znów przy użyciu cholernej komórki Adam zadzwonił pod 911 i czekaliśmy na przybycie policji.

Toby rzucił mi przerażone spojrzenie i starałam się zakomunikować mu niewerbalnie, że wszystkim się zajmę, chociaż, szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Po paru minutach uszliśmy syreny i czterech policjantów wyskoczyło z wozu z pałkami gotowymi do bicia, które biedny Toby już zaliczył.

– Panowie – poprosiłam żałośnie. – Naprawdę niewiele miałam w torebce. Nie możemy dać chłopakowi drugiej szansy? Nie chcę wnosić przeciw niemu oskarżenia.

– Nie ma tu pani nic do powiedzenia – oświadczył młodszy oficer o gładkich brązowych włosach i przerośniętym podbródku.

Toby spojrzal na mnie z przerażeniem. Ściągnięte pionowo brwi i usadowione pod nimi oczy jak paciorki sprawiały, że jego twarz wyglądała, jakby wymalowano na niej dwa wykrzykniki. Był spocony i miał, niestety, ślad krwi na wardze. Został skuty i wepchnięty do samochodu policyjnego. Gdy płakał, że krew mu leci, Adam składał zeznanie.

– Dokąd go zabieracie? – jęknęłam.

– Na posterunek – oświadczył oficer.

– Jaki posterunek? – krzyknęłam, kiedy zatrzaśnięto drzwi od strony pasażera.

– Posterunek policji, proszę pani.

Podbiegłam do okna kierowcy i zabębniłam w nie jak szalona.

– Który posterunek policji? – A potem mruklwym szeptem powiedziałam do policjanta: – Ho hy hest ho na ho hyląda. Hyląda na postehunek i hylko hyląśnieć.

– Co pani mówi? – zawołał.

Nachyliłam się i z odległości cała wyszeptalam:

– To nie jest to, na co wygląda. Przyjadę na posterunek i wszystko wyjaśnię, dobrze? Tak naprawdę to nie jest przestępca, tylko aktor.

– Chodź, Mona! – zawołał Adam. – Niech chłopaki zrobią, co do nich należy, podaruj sobie te żale. Dostanie to, na co zasługuje.

„Dostanie to, na co zasługuje”. „Dostanie to, na co zasługuje” nawiedzało mnie jak duch z przeszłości. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie to wcześniej słyszałam, ale słowa uderzyły mnie jako okrutne, karzące, całkowicie bez przebaczenia. Może dlatego, że takie były, w każdym razie wśczyły się we mnie i zraniły, trafiły w miejsce, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Oczywiście nie tak, jak zraniony został Toby, więc szybko skupiłam się na tym, jak zakończyć randkę i dotrzeć na posterunek, zanim aktor dorobi się karnetki policyjnej.

– Adam, trochę to mną wstrząsnęło. Myślę, że powinniśmy się już pożegnać – powiedziałam.

– W porządku, oczywiście. Odwiozę cię do domu i zrobię filiżankę herbaty.

Niespecjalnie interesował mnie seks z Adamem, ale zastanawiałam się, czemu nie naciska na bardziej fizyczny kontakt ze mną. Jak na razie na tych najwspanialszych randkach życia nie próbował mnie nawet pocałować. Nie spieszyło mi się do tych pocałunków, ale było trochę niepokojące, że owa niechęć wydawała się wzajemna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– No dobra, wyjaśnijmy to sobie – starszy pękaty policjant mówił wyłącznie prawą stroną ust. Westchnął dla efektu i kontynuował.

– Mówi pani, że ten facet wyrwał pani torebkę, ponieważ mu pani zapłaciła?

– Tak, oficerze Marman. – Gorliwie pokiwałam głową, z nadzieją, że odczytanie z plakietki jego nazwiska pomoże nam się porozumieć.

– I zrobiła to pani, bo chciała popisać się przed nowym chłopakiem? – Nie umiałam stwierdzić, czy był zdumiony, rozbawiony czy jedno i drugie po trosze.

– Tak, tak, dokładnie. – Wygięłam szyję, żeby zobaczyć policjanta siedzącego w dyspozytorni kilka stóp nade mną. Ściany miały błononiebieską barwę ekranu komputerowego, były niemal szare. Od samego patrzenia na surowe otoczenie, metalowe biurka i krzesła z twardego drewna ustawione na tle gołych ścian, od widoku pustki i zamknięcia czułam się, jakbym zrobiła coś złego. Trzy prostytutki i pijak mamrocący coś o tym, że Bob Dylan jest mordercą, siedzieli w korytarzu, czekając na sesję fotograficzną i zamknięcie na noc. Jedna z dziewczek rozwalila się na krzesle, ręce spletała na czerwonym topie z cekinami. Jej twarz wyrażała czyste i słusne oburzenie.

– Nie wiem, co sobie myślicie – powtarzała policjantom, którzy przyprowadzili ją i jej kumpelki. – To bzdury. Zrozum, koleżko, bzdury, kurwa. – Zdumiewało mnie jej całkowite przekonanie, że policja postąpiła z nią niewłaściwie, podczas gdy ja o mało nie postusiałam się w majtki od samego siedzenia na posterunku. A sądząc po zapachu, nie tylko ja jedna miałam taki problem.

– Pożałujecie, skurwysyny – warknęła inna prostytutka w wieczorowej sukni z zielonej lamy kończącej się na wysokości ud. – Załóżcie skurwysyny.

Czekałam, aż ta trzecia wstanie i zaśpiewa *She Works Hard for the Money*, po czym zdałam sobie sprawę, że trochę za bardzo przywykłam do postaci odgrywanych w moim życiu przez opłaconych aktorów.

– Zaczekaj moment, kotku – powiedział oficer Marman. Podniósł słuchawkę. – Musisz tu przyjść, Davy. Przyprawdź też Erniego i Burtę. Dzisiaj stanowczo mnie nie przebijecie. – W kilka sekund otoczyło mnie sześciu mundurowych. – W porządku, niech im pani powie to, co mnie.

– Gdzie jest Toby? – zapytałam.

– Kto? – chciał wiedzieć Marman.

– Toby, Toby, facet, który wyrwał mi torebkę. – Ogarnęła mnie panika na myśl, że go przenieśli – zagubiony w systemie sprawiedliwości po zaledwie czterdziestu pięciu minutach. W cholericę z Adamem i jego herbatą!

– Ma na myśli Placzka – powiedział Burt.

Och nie!

– Placzka?

Marman uśmiechnął się złośliwie.

– To niezupełnie zatwardziały kryminalista.

– Plakał?

– Od chwili, kiedy znalazł się w radiowozie – oznajmił inny policjant.

– Nalegam, żebyście panowie go wypuścili! – Tupnęłam nogą.

– Oooo, dziecko! – odezwała się dziwka numer trzy, śmiejąc się przez trzymaną w ustach gumę do żucia.

– Tak trzymaj! – rzuciła Zielona Suknia. – Nie daj sobie wciskać tego kitu. Zabieraj stąd swojego chłopa.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zdam sobie sprawę, że przez moją głupotę mieliście dziś panowie dodatkową pracę. Bardzo przepraszam, ale musicie zrozumieć, że myśl o moim droгим przyjacielu, wrażliwej duszy, łkającym w więziennej celi i nieznanym swego losu jest dla mnie po prostu nie do zniesienia. Musicie to panowie zrozumieć.

– Przecież go nie stłukliśmy ani nic z tych rzeczy – odezwał się Marman.

Wtrąciły się Czerwone Cekiny.

– Nie wierz w te bzdury, dziewczyno. Widzieliśmy tego chłopca i skopali mu dupę. Twój facet został, kurwa, wpięrzony do więzienia.

– Jestem pewna, że nie stała mu się krzywda, panowie. Jeżeli ktoś tu go skrzywdził, to ja i czuję się z tego powodu po prostu okropnie. Czy możecie go teraz przyprowadzić, a potem wyjaśnić całą historię pańskim kolegom?

Kiedy wprowadzili na korytarz Toby'ego, wyglądał jak po odsiedzeniu trzyletniego wyroku. Oklapnięte ciało wieńczyła głowa, która ważyła ze sto kilogramów, a przynajmniej tak to wyglądało, sądząc z tego, z jakim wysiłkiem próbował utrzymać ją prosto. Oczywiście miał podsiniażone i czerwone, a na widok przeciętej dolnej wargi ból współczucia dziabnął mnie w serce.

– Och Boże, Mona, nie masz pojęcia, co to była za noc. – Podbiegł do mnie z rozpostartymi ramionami. Przez chwilę myślałam, że może tylko udaje chęć uściskania mnie, żeby podejść dość blisko i chwycić mnie za gardło gołymi rękoma. Może była to autentyczna idliwość, a może lęk przed popełnieniem przestępstwa na posterunku policji w każdym razie, Toby uściskał mnie z całej siły, szlochając na moim ramieniu. – Nie masz pojęcia, co przeszedłem. Spójrz na moją wargę!

– Dobra, skończ tę śpiewkę, ptaszku. Proszę mówić, panno Warren.

– No cóż. – Niespokojnie przestąpiłam z nogi na nogę, gdy policjanci ucihli. – Siedem lat temu poznałam księgowego mojej babci. Właściwie był synem tego księgowego, sam właśnie został dyplomowanym księgowym i dołączył do rodzinnej firmy. W każdym razie był po prostu wspaniały. Pewny siebie, seksowny i absolutnie uroczy, moje całkowite przeciwieństwo. Spojrzałam na niego i pomyślałam, że to jest mężczyzna, którego poślubię. Babcia opowiedziała mi, że zna rodzinę Adama od lat i wszyscy jej członkowie są sobie niezwykle bliscy. Wystarczyło się rozejrzeć po biurze, żeby to zauważyć. Wszędzie widniały zdjęcia rodziny w komplecie, na przykład na jachcie, uśmiechniętej w słońcu, obejmującej się ramionami. Było

takie jedno zdjęcie Adama na koniu z sześciolletnią siostrzenicą, której brakowało obu jedynek i uśmiechającej się najszerzej, najpiękniej, jakimś uśmiechem, jaki widziałam. I inne, rodziców Adama, nie wiem, gdzie byli ani co robili, ale wyglądali na takich szczęśliwych, tak w sobie zakochanych. Pomyślałam: chcę być na jednym z tych zdjęć. Chcę do nich należeć. Rozejrzałam się po biurze uważnie i były tam wszystkie te rzeczy, pamiątki, przyciski do papierów i nie miałam pojęcia, skąd się tam wzięły, ale wyobraziłam sobie, że za każdym przedmiotem kryje się jakaś historia. Miały historię. Strukturę. Jakbyśmy wraz z babcią były dwiema kropelkami wody, a oni wielkim oceanem i chcieli, żebyśmy po prostu w niego wpadły. – Rozejrzałam się i teraz słuchały też dziwki. – Sama nie wiem, Adam po prostu wydał mi się idealny. Idealny kandydat na męża. Nie mam rodziny. – Słowa utknęły mi w gardle. – Oni, oni... zmarli wszyscy dawno temu i przez ostatnich piętnaście lat byliśmy tylko babcią i ja. A potem babcia zmarła w zeszłym roku i, i...

Marman przysunął krzesło i kazał mi usiąść. Inny policjant przyniósł szklankę wody.

– Czułam się taka... byłam taka samotna. I nagle wchodzę któregoś dnia do biura, a tam nam mówią, że mają kłopoty finansowe i pytają, kto chce odejść. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że nie trwa wiecznie, wszystko jest płynne, zmienia się i znika. I pomyślałam, że hej, nie robię się coraz młodsza i życie mnie omija. I jeśli jest coś, czego naprawdę pragnę, to uczucia, że gdzieś przynależę, że jestem czegoś częścią. Miłości. Chcę znów należeć do rodziny. – Przerwałam, żeby wytrzeć łzę, która wymknęła mi się, choć próbowałam ją powstrzymać.

– Więc pomyślałam, że jeśli chcę wyjść za Adama, powinnam dać z siebie wszystko i sprawić, żeby do tego doszło. W każdym razie, żeby skrócić całą historię, usiłowałam zrobić na nim wrażenie, pokazać, jakim wartościowym nabytkiem byłabym dla jego życia, ale wszystko co robię, źle wychodzi. Wynajęłam pewnego faceta, ale udawał mojego superzrozapconego byłego chłopaka, ale cóż, powiedzmy, że nie wypadło to dobrze. Potem próbowałam uratować kogoś życie, ale skończyło się tym, że tej biednej kobiecie zabrano

prawo jazdy. A teraz, zamiast wyjść na kobietę, która potrafi sama o siebie zadbać, gdy kradną jej torebkę, doprowadziłam do tego, że biedny Toby został pobity i aresztowany. – W tym momencie ukryłam twarz w dłoniach i się rozszlochałam.

– Uuch. – westchnął Marman. – Myślałam, że to będzie zabawna historia.

– Taa, to naprawdę smutne – uznał inny.

– Myślała pani kiedyś o tym, żeby może przygotować dla swojego chłopaka kolację? – zaproponował Marman.

– A może zrobić mu laskę? – zasugerowała Zielona Suknia Wieczorowa.

Toby wytarł nos rękawem.

– Albo zakochać się bez planowania wszystkiego z taką inżynierską precyzją.

Roześmiałam się.

– Co takiego? – zapytało kilka osób.

– Po prostu byłam inżynierem. Uważam, że to zabawne.

– Ooooh, dziecko, dziewczyna może wykonywać pracę mechaniczną, ale nie zmechanizuje serca! – zapewniła dziwka.

– W porządku, pani historia nie była taka zabawna, jak oczekiwale, ale wierzę pani. I wątpię, czy ten tu Placzek rąbnie więcej torebek, zgadza się? – Toby ugodowo potrząsnął głową. – Robi pani wrażenie milej dziewczyny. Mogę pani coś poradzić? Nie musi pani bawić się w zawodowego kaskadera, żeby facet się w pani zakochał. Moja żona palcem nie kiwnęła, żeby mnie złapać. I nadal nie specjalnego nie robi, a ją kocham. Albo się to wydarzy, albo nie, a jeśli nie, to znaczy, że to niewłaściwa osoba. – Czułam się, jakbym była jego nastoletnią córką, której tłumaczy, że jeśli nie podobam się chłopakowi, to jego strata. – Jest pani wspaniałą młodą damą, głyszy pani?

– A gdzie trochę uczucia dla Ruby? – Jedna z dziwek zaczęła się nabijać z Marmana.

– Ooooh, dziecko – odezwała się jej przyjaciółka. – Nigdzie się stąd dzisiaj nie wyrwiemy.

– Cela śmierci dla trzech kurw! – rzuciła Ruby ze śmiechem.

Nachyliłam się do Marmana i zapytałam, co się stanie z tymi kobietami. Wyjaśnił, że pewnie zostaną później wypuszczone za kaucją, którą wpłaci ich alfons, i dostaną lanie, że uszczuplają mu zyski. Albo alfons się nie pokaże i zostaną odesłane do Centrum Zatrzymań Kobiet Las Locinas. – Najpewniej jutro wieczorem wrócą na ulicę z pobitym okiem i spuchniętą wargą – oznajmił stanowczo zbyt obojętnie.

– Ile wynosi kaucja? – zapytałam.

– Nie myśl chyba pani...

– Ile?

– Dwa tysiąki za sztukę – powiedział. – Ma pani tyle pieniędzy?

– A mogę wypisać czek?

Oficer Marman się roześmiał.

– Panno Warren, wygląda pani na dobre dziecko, ale od niko- go nie przyjmujemy czeków. Słyszała pani o oszustach?

Czy słyszałam? Sama jestem oszustką.

– Proszę mi dać godzinę i wrócić, dobrze? Chodź, Tobę. Wracasz ze mną do Coronado.

Dalam Tobę'emu kilka setek ekstra za kłopoty, które miał tego wieczoru, wsadziłam do taksówki i wróciłam na posterunek, który wydał się teraz miłym miejscem niż godzinę wcześniej, gdy pierwszy raz tam weszłam. Kiedy już załatwiłam kaucję dla Ruby, Tiffani i Parfait, wręczyłam Marmanowi kopertę z pięcioma studolarowymi banknotami w środku.

– Proszę posłuchać – wyszeptalam. – To nie jest łapówka, okej? Po prostu dał mi pan bardzo dobrą radę i chcę panu podziękować. W tej kopercie jest nazwisko kobiety, która straciła prawo jazdy, ponieważ poprosiłam ją, by udawała omdlenie, żebym mogła ją ratować. W każdym razie nie ma żadnych powodów, żeby nie mogła prowadzić, więc gdyby pan mógł...

Marman chwycił kopertę i ją otworzył.

– To nie łapówka? – zapytał sceptycznie. – To za moją dobrą radę?

Skinęłam głową. Marman wyjął karteczkę z nazwiskiem Julie i wetknął do kieszeni koszuli, a potem oddał mi kopertę z pieniędz-

mi. – Panno Warren, to łapówka pierwszego stopnia. Nawet Zyg- montowi Freudowi nie zapłaciłaby pani takich pieniędzy za radę.

Mój konsultant dostaje znacznie więcej, a jest kompletnym idiotą.

– Ale... – spróbowałam.

– Panno Warren, po pierwsze nie mam nic do powiedzenia w sprawie nadzoru praw jazdy. Po drugie to, co powiedziałam, powiedziałam, bo wydaje się pani miłą dziewczyną. Miłą dziewczyną, która miała ciężkie życie i nie ma nikogo, kto mógłby jej powiedzieć, że każdy facet musiałby być wariatem, żeby się w niej nie zakochać. Nie dlatego, że potrafi zrobić przewrót do tyłu czy skakać przez obręcz, by dowieść, jaka jest wspaniała, ale dlatego, że jest dobra, żywcem i troszczy się o ludzi. Ponieważ jest ładna, twórcza, mądra i troszkę stuknięta. I kocha rodzinę. To się liczy, panno Warren. Wszystko to liczy się o wiele bardziej, niż pani myśli. To dlatego powiedziałam, co powiedziałam, a nie po to, żeby mi pani płaciła. Ludzie mówią sobie miłe rzeczy całkowicie bezpłatnie. Znam parę osób w drogówce. Zobaczę, co uda mi się zrobić dla pani przyjaciółki. Wydaje się nie w porządku, że nie może prowadzić. Jeśli przysięg- nie mi pani na... po prostu proszę mi dać słowo, że mówi pani prawdę, że tak naprawdę nie zemdlala, bo jeśli tak, rzeczywiście nie powinna prowadzić.

– Daję słowo – oświadczyłam mojemu zastępcemu na ten wie- czór ojcu.

– Nareszcie wolna! – Usłyszałam głos Ruby odbijający się echem w korytarzu. – Nareszcie wolna, nareszcie wolna. Dobry Bo- że! Wszzechmogący, nareszcie jestem wolna!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kiedy wróciłam do domu, spojrzalam na kubek z niedopitą zimną herbatą stojący na kuchennym blacie. Minęły zaledwie cztery godziny, odkąd wyszłam z domu, ale ten kubek z wyciśniętą torebką Telfeya leżącą na łyżeczce obok wyglądał jak relikwiarz przeszłego życia. Po wyjściu z posterunku zapłaciłam Ruby, Tiffani i Parfait, żeby zostały moimi dziewczkami na tę noc. Z początku przypuszczały, że chcę uprawiać z nimi seks, ku wielkiemu rozczarowaniu Parfait, która szybko oznajmiła, iż „nienawidzi lizania pipy”. Nie miałam ochoty na seks z żadną z tych kobiet – ani z kobietami w ogóle – ale nie mogłam przestać się zastanawiać, czemu myśl o seksie ze mną była tak odstręczająca dla dziewczki. Ku jej wielkiej uldze zabrałam wszystkie trzy na kolację i zapytałam każdą, co by zrobiły, gdyby nie musiały pracować na ulicy. Parfait i Tiffani nie wiedziały, ale Ruby powiedziała, że zostalaby tancerką, piosenkarką, modelką i szefową wytwórni muzycznej.

Podczas tego wieczoru w roli Richarda Gere'a z *Pretty Woman* czułam się chwilami jak życzliwy klient dodający Ruby otuchy próbami, żeby bardziej skupiła się na tym, czego chce od życia. Może byłam tylko podglądaczką, badałam gorszący świat ubogich prostytutek, jednocześnie pełna niesmaku i zaintrygowana ich niedolą. Czułam się winna, przejeżdżając przez most, który oddzielał naszą wyspę od reszty miasta i wracając do mojego życia z czystymi granitowymi blatami oraz kryształowymi wazonami.

Z automatycznej sekretarki mrugała do mnie czwórka, sygnalizując, że mam wiadomości.

Pip – *Cześć, tu Greta, chciałam ci przypomnieć o jutrzejszym poranku. Nie zapomnij, że potem mamy zespołowy brunch w Wielkiej Kuchni.*

Pip – *Faceci to fiuty – wywalila Vicki bez wstępu. – Jestem taka obkurczona, że mogłabym wrzeszczeć. W każdym razie znalazłam zupełnie*

niesamowite witrażowe okno w Architektonicznym Wybauwieniu. To profanacja w ogóle określać je mianem okna. To dzieło sztuki. W każdym razie kazalam je odłożyć, żebyś mogła rzucić na nie okiem po ju-trzejszej imprezie z lunchem. Mam nadzieję, że nie uznasz, że naciskam, ale jest po prostu idealne z...

Pip – *Mona Lisa, Mona Lisa, faceci cię wielbię* – bardzo pijany Mike śpiewał do telefonu, mając w podkładzie hasas sportowego ba-ru. – *Szukałem miłości w niewłaściwych miejscach, szukałem jej w nie-właściwych twarzach...* – odłożył słuchawkę, a dopiero potem nie-zgrabnie się rozłączył.

Pip – *Halo, Mona. Tu Adam. Dzwonię, żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku po dzisiejszym incydencie. Pewnie śpisz. Zadzwonię jutro. Wspaniale się dzisiaj bawiłem, nie licząc napadu. Na-prawdę jesteś prz zabawa.*

Z miejsca podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer z nadzie-ją, że nie jest za późno na telefon.

– Halo – odezwał się niepewnie.

– Obudziłam cię, prawda?

– Hej – powiedział zadowolony. – Nic, w porządku. Wszystko dobrze?

– Świetnie, chciałam tylko oddzwonić. Miałaś taki głos, jakbyś był, ee, w kłopotach.

– Masz na myśli pijany. Przepraszam za tamto. – Usłyszałam zaspany damski głos wołający Mike'a.

– Och, jesteś z kimś. Później porozmawiamy.

Mike zakrył słuchawkę, a potem wrócił do rozmowy.

– Nie przejmuj się. Zaczekaj chwilę – poprosił, a ja wyobrazi-łam sobie, że naciąga dres i opuszcza masę blond włosów na po-duszce obok. – Przejdę do drugiego pokoju.

– Nie, wszystko w porządku, nie chcę ci przerywać, ee, wieczo-ru – zająknęłam się.

– Powiedzieliśmy, żebyś się nie przejmowała. Moja przyjaciółka po prostu śpi.

– Dobra przyjaciółka? – zapytałam, usilnie starając się nie zdra-dzić z zazdrością.

– Nowa przyjaciółka – wyjaśnił nonszalancko.

Przesadnie wesoło powiedziałam:

– Wspaniale! To kiepska pora na rozmowę, więc może...

– Mona Lisa, jest pierwsza trzydziści. Nie dzwoniłabyś, gdyby to nie było ważne. O co chodzi? Jestem już w innym pokoju. Cały twój.

Cały mój?! Cały mój?! Właśnie uprawiałeś seks z nieznaną! Jak bardzo „cały mój” możesz być, ty pieprzony dupku, uganiając się za fa-ry do wosów?!

– Ee, okej. Chciałam tylko powiedzieć, że miałeś rację co do tej akcji z torebką. Nie poszło tak, jak planowałam.

– Mówiłem ci, że to pewna wtopa, Mona Lisa – mruknął. – Trzymaj się sportowych klimatów. Mówię ci, to najlepsza karta, jaką zagraliśmy. – Wyobraziłam sobie, jak opada na sofę, i zaczęłam się zastanawiać, jak może wyglądać jego dom. W nieumeblowanym po-za tym salonie głównym punktem był pewnie wielki płaski ekran te-lewizora. Może mała skórzana sofa tuż przed nim i funkcjonalny brzydki stolik na butelki z piwem i miski chipsów.

– Facetów nie kręci superbohaterstwo. Jedyne, co nas kręci w Wonder Woman, to jej łódka i niewidzialny samolot, jasne? Tak samo w Kobięcie-Kocie. Nawet nie wiem, czym się zajmuje, ale z pewnością świetnie wygląda w tym winylowym kostiumie. Może tego ci potrzeba, Mona. Zajmij się przebieganką.

– Mike, twoja siostra wybrała mi całą garderobę. Zająłam się przebieganką.

Roześmiał się.

– Pamiętam, że kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz, miałaś ten fartuch i drewniaki. Wyglądałaś jak postać z magazynu ogrodniczego.

– Mike, skup się. Co mam teraz zrobić? – Miałam nadzieję, że każe mi zapomnieć o Adamie i obieca, że dzisiejsza dziewczyna z baru to ostatnia jednonocna przygoda. W duchu błagałam, żeby powiedział mi coś słodkiego. W tym momencie przyjąłabym nawet pijacką serenadę, ale jego głos brzmiał kompletnie trzęźwo. Już się wyśpiewał.

– No dobra, widzę to tak: porobiłaś masę założeń na temat tego, czego twoim zdaniem ten facet chce od kobiety. Musisz się

zorientować, co naprawdę go nakręca. Co go bierze. Czym się zajmuje w wolnym czasie?

– Mike – wrzasnęłam. – To ty kazałeś mi mieć paskudną przeszłość. Plącę ci, żebyś nie musiała robić na jego temat żadnych założeń. Miałaś być moim doradcą!

– A ty miałaś być Claudią Schiffer. Nigdy nie twierdziłam, że znam jakąś wspaniałą drogę do męskiego umysłu. To ty mnie wybrałaś, bo uważałaś, że mógłbym ci pomóc. Nigdy nie twierdziłam, że na coś się przydam.

– Cóż, jesteś bezużyteczny! – krzyknęłam. Mięknąc, zapytałam, czy nadal by mi doradzał, gdybym mu nie płaciła.

– Nie znalazłbyś się.

Nie bądź taki typowy!!!!

– No dobrze, ale gdybyś już mnie znał i byłibyśmy przyjaciółmi, czy gadałbyś ze mną przez telefon, słuchał o moich problemach i doradzał? Czy chodzi ci tylko o pieniądze? To znaczy, gdybym cię zwolniła, czy nadal byłibyśmy przyjaciółmi?

– Zwalniasz mnie? – zapytał. Aż do tej chwili nie brałam tego pod uwagę, tylko zastanawiałam się, czy zainteresowanie Mike'a ma charakter czysto ekonomiczny. Istniał tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się na pewno, ale nie chodziło o zadanie mu tego pytania.

– Tak, Mike. Zwalniam cię.

– Rany. Dobra. Nie wiedziałem, że nie jesteś zadowolona z tego, jak się sprawy układają. Wydawało mi się, że wszystko w porządku. Kiedy to wynikło?

– Nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie – powiedziałam. – Nie chcę mieć wrażeń, że robisz wszystko dla pieniędzy. Za każdym razem, kiedy rozmawiamy, zastanawiam się, czy dzieje się tak wyłącznie dlatego, że ci płacę.

– Och. Nie wiedziałem, że tak myślisz. No więc dobrze, chyba koniec z wynagrodzeniem.

Powiedz, że to nieprawda! Powiedz, że uwielbiasz ze mną rozmawiać i wciąż będziesz częścią mojego życia, kiedy cię zwolnię.

– Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi? Nadal będę cię widywać? – zapytałam nieco zbyt rozpaczliwie.

– Zobaczymy się jutro na meczu – obiecał.

– Idziesz potem na brunch?

– Nie wiem, może. Zobaczę, jaki będę miał humor. – Ziewnął.

– Teraz zdaje mi się, że będę miał szczęście, jeżeli dotrę na ten mecz. Wracam do łóżka, Mona Lisa.

Do łóżka. Do łóżka. Do łóżka z NIA!

Umyłam twarz i zobaczyłam, jak tusz strumieniem płynie mi z oczu. Starannie wytarłam czarne bzy zmywaczem, którego użycie zaproponowała Vicki, żeby nie dorobiła się przedwczesnych zmarszczek. Pozbywając się fachowo nałożonego makijażu, zobaczyłam swoją prawdziwą twarz, wypraną z życia, wyciągniętą ze ścieków.

Obudziłam się w środku nocy i postanowiłam, że pójdę w kapciach do bazy marynarki. Dziś podejmę największe ryzyko w życiu i pokonam ścianę North Island w sytuacji, gdy naród dzieli ledwie dni od ogłoszenia wojny z Irakim. Wiedziałam, że jeśli wejdę do środka niewykryta, wszystko będzie dobrze. Może po prostu wejdę na paluszkach do magazynu i świnię łoda albo może zakradnę się do mezy, obiorę i pokroję ziemniaki, żeby zaskoczyły kucharzy gotowymi do smażenia na śniadanie. Bez znaczenia, co zrobię. Moim podstawowym celem było dostać się do środka w czasie zwiększonej czujności.

Lomot mojego ciała spadającego na trawę wewnątrz bazy uruchomił szereg reflektorów, które badały grunt, dopóki mnie nie wykryły. Wyglądałam zapewne jak oslepięta postać siedząca pod statkiem ufo.

– Ręce do góry, panno Warren – niewidoczny mężczyzna ryknął przez system nagłośnienia w bazie. – Proszę się nie ruszać albo będziemy zmuszeni strzelać.

Zanim się zorientowałam, siedziałam w pokoju przesłuchań bez majtek, paląc papierosa jak Sharon Stone w *Nagim instynkcie*. Z tą różnicą, że nikt nie wyglądał na szczególnie podnieconego ani nie czułam się seksownie z kępką trawy na lewym ramieniu.

– Panno Warren, wejście na teren amerykańskiej bazy wojskowej zasługuje na najwyższy wymiar kary.

– Najwyższy wymiar kary? – Zadrżałam, słysząc głos kapitana bez twarzy. – To znaczy karę śmierci?

– Dokładnie – potwierdził inny mundurowy.

– Ale ja nic nie zrobiłam, tylko próbowałam wejść do środka. Chciałam się tylko rozejrzeć, nie miałam zamiaru...

– Milczeć! – krzyknął kapitan. – Nie zwracać uwagi na mężczyznę za zasłoną.

Jaką zasłoną?

– Mniejsza o pani intencje, panno Warren. Dopuściła się pani zdrady przeciw rodzinemu krajowi i teraz dostanie pani to, na co pani zasługuje. – Na te słowa skuto mi ręce i poderwano z metalowego krzesła. Usiadłam i gwałtownie otworzyłam oczy, ratując się powrotem do przytomności.

– Dobry Boże – powiedziałam sama do siebie, ocierając wstępną potę z czoła. Serce wciąż jeszcze mi waliło, jakbym miała zostać pod eskortą odprowadzona do celi śmierci w bazie marynarki. Włączyłam światło i rozejrzałam się po pokoju, chciałam mieć pewność, że jestem bezpieczna we własnym łóżku. Ponownie opadłam na poduszki, powtarzając sobie bezgłośnie, że nie ma jak w domu. Zasnąłam przy wtórze głosu oficera Marmana: – Cały czas miałas na nogach rubinowe trzewiczki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Następnego dnia rano pojechaliśmy z Gretą do Vicki, żeby zabrać ją na mecz. Jej samochód się zepsuł i nie miała żadnego środka transportu, nie licząc przyjaciół i niezbyt efektywnego systemu komunikacji publicznej San Diego. Przez większość czasu klasa pracująca była dla mnie tylko pojęciem, tworem intelektualnym, a nie czymś, z czym osobiście mam styczność. Oczywiście wiedziałam, że istnieją ci, „którym gorzej się powiodło”, jak babcia nazywała ludzi dysponujących ograniczonymi środkami, ale to byli bezimienni anonimowi ludzie, dla których zbierałyśmy jedzenie na Boże Narodzenie. Albo, posuwając się o krok dalej, uczestniczyłyśmy w eleganckich lunchach w ogrodzie bądź pokazach kapeluszy na ich rzecz. Vicki nie znajdowała się na poziomie odbiorcy puskowanej żywności, ale jazda przez jej dzielnicę krańcowo kontrastowała z jazdą ulicami, którymi przejechaliśmy, by opuścić wyspę.

Chociaż w komunie byliśmy minimalistami, zawsze wiedziałam, że to raczej kwestia wyboru niż konieczności. Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo, komu zepsuł się samochód. Mechaniczna śmierć nie należała do życiowego cyklu wozów z Coronado. Wszyscy, których znałyśmy, posiadali zawsze stosunkowo nowe samochody, które dyskretnie zmieniali co kilka lat.

Przed domem Vicki minęłyśmy z Gretą dwójkę najwyraźniej pozostawionych bez opieki małych dzieci bawiących się zdalnie sterowanymi modelami samochodów. Cały kompleks mieszkalny stanowił morze zielonego betonu z giętymi kratami z żelaznych prętów odłamujących wszystkie okna. Z jednego z okien zwisała jaskrawoczerwona doniczka z kilkoma przegnitymi, zgiętymi beznadziejnie lodygami.

Zanim dotarłyśmy na pierwsze piętro budynku, usłyszałyśmy krzyki z mieszkania Vicki. Trudno było usłyszeć, o co dokładnie

klóć się Vicki i jej chłopak, ale bez trudu uchwyciliśmy sens dyskusji. On był przegrany, ona była dziwką. Kiedy zapukałam do drzwi, na wpół oczekiwałam, że otworzy je Marlon Brando w podkoszulku bez rękawów. Niestety, nie doczekałam się wyczyszczonej przez Hollywood wersji agresywnego kochanka.

W sekundzie zrozumiałam, dlaczego Vicki nigdy wcześniej nie wspominała o swoim chłopaku. Był odrażający, tak na oko, jak na ucho. Facet miał głowę w kształcie papai, która dojrzewa podczas długiej podróży na północ, serio. Oczy zaropiałe (o jedenastej przed południem), a twarz wyglądała na nieogoloną od czterech dni. Tyle samo czasu musiało upłynąć, odkąd ostatnio mył zęby, bo widziałam kawalki jedzenia i plamy po kawie oraz papierosach.

– Czego?! – zapytał.

– Zamknij się, ty fiucie! – krzyknęła Vicki. – To moje przyjaciółki. Idę grać w nogę, pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć? – warknął. Jego ramię pełniło funkcję łańcucha przy drzwiach, widziałyśmy zwisające spod pachy czarne włosy, które wystawały z podkoszulka. – Lepiej żebyś nie miała żadnych nowych siniaków, słyszysz? Ludzie myślą, że cię biję. – Vicki chwyciła korki z krzesła przy drzwiach i przepchnęła się obok.

– Gdzie mój buziaczek, Mio Hamm?

– Pocałuj mnie w dupę! – zawołała.

Cała nasza trójka milczała przez pierwszych dziesięć minut jazdy, po czym Greta i ja jednocześnie zaczęłyśmy wyrzucać z siebie pytania na temat chłopaka Vicki.

– Przepraszam, Vicki, ale ten facet jest ohydny. Masz tyle zalet, nie rozumiem, czemu jesteś z takim odrażającym typem – powiedziałam.

– To tymczasowe – odparła krótko. – Dopóki nie stanę na nogi. Greta nie oparła się odrobinie sarkazmu.

– Wygląda na faceta, który ci w tym pomoże.

– Jimmy nie jest taki zły.

– W porównaniu z czym? – zapytałam.

⁷ Mia Hamm, amerykańska zawodniczka piłkarska.

– Och, przestańcie. Nie wszystkie jedziemy na tym samym wózku. Mam strategię wyjścia. Jeżeli będę tańczyć, uda mi się wyprowadzić za jakies dwa albo trzy miesiące. Jimmy wie, że odchodzę, i dlatego jest na mnie wkurzony. Odkąd zaczęłam zarabiać, twierdzi, że nadzieram nosa. Mówi, że uważam się za zbyt dobrą dla niego.

– Bo tak właśnie jest, prawda?

– Co takiego? – Zmarszczyła brwi. Greta zajęła na parking przy boisku i wyłączyła silnik, ale żadna z nas nie wysiadła jeszcze z samochodu.

– Bo uważasz, że jesteś od niego lepsza, prawda? – zapytałam.

– Uważam, że to dupek – odparła.

– I wiesz, że jesteś lepsza niż taki dupek, zgadza się?

Bez namysłu zaczęłam nalegać, żeby Vicki wprowadziła się do mnie na kilka miesięcy, kiedy to będzie urzędowała sypialnie na dole.

– Nawet nie wracaj dzisiaj wieczorem do domu. Możemy pojechać do twojego mieszkania w poniedziałek rano, kiedy Paskudny będzie w pracy, i zabrać rzeczy. Zostaniesz u mnie, zrobisz ze pokoju na dole i będziesz dalej tańczyć, dopóki nie uzberasz jakiegoś zapasu gotówki.

Vicki się roześmiała.

– Co? – Greta odwróciła się do niej. – Uważam, że Mona ma rację. Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, jak wiele pięknych młodych kobiet, tak obiecujących i utalentowanych, kończy z mężczyznami, którzy zupełnie nie są ich warci. Musisz się stamtąd wyrwać, i to dziś. Ten facet to jeden wielki kłopot.

Skinęłam głową i bez dalszej dyskusji nalegałam, żeby Vicki natychmiast się wprowadziła. Nie bez pewnego poczucia winy, ale zaczęłam się obawiać o jej kompetencje w związku z zarządzaniem mojego domu z tak ograniczoną wiedzą na temat projektowania wnętrz. Nienawidziłam samej siebie za snobizm, ale w duchu trapiłam się, żeby pod jej ręką posiadłość moich dziadków, niemodna, ale niezaprzeczalnie królewska, nie zaczęła wyglądać, cóż, tandetnie.

Po najgorszej przegranej „Kociaków” w sezonie drużyna i jej przyjaciele zgromadzili się na przyjęciu w Wielkiej Kuchni. Jeden po drugim pozostali klienci Judy opuszczali knajpę i ruszali zająć się

swoimi sprawami. Ochrypla bogini wyloniła się z kuchni, żeby osobiście podać wszystkim kawę.

Mike sprawiał wrażenie zaskakująco wypoczętego, chociaż nie zjawiał się na meczu przed przerwą. Staralam się patrzeć na boisko i nie pozwalałam sobie na ustawiczne wykręcanie głowy, żeby sprawdzić, czy idzie, ale nie do końca udało mi się kontrolować tę potrzebę. Włosy miał jeszcze mokre, co oznaczało, że kiedy ja siedziałam na rozkładanym krześle i sumiennie dopingowałam jego siostrę, Mike najprawdopodobniej brał prysznic z NIA.

– Dzień dobry? – przypadkiem wyszło mi pytanie zamiast stwierdzenia, kiedy Mike się zjawiał.

– Hej, cześć, Mona Lisa. – Nachylił się, żeby pocałować mnie w policzek.

Tylko cześć, tak? Dzień niekoniecznie jest dla ciebie dobry, co? A może wszystko szło dobrze, dopóki nie uświadomiłeś sobie, że masz się pokazać na meczu i nie musiałeś oderwać się od NIEJ?

– Jaki wynik? – zapytał Mike.

Dla ciebie wszystko, dla mnie tyle co nic.

– Trzy do zera, przegrywamy – odparłam, pierwszy raz nie spuszczać oka z boiska.

– Fatalnie. – Oparł nóżki krzesła o ziemię i ciężko opadł na miejsce przy mnie.

Fatalne jest to, że kompletnie i bez reszty się w tobie zakochałam, podczas gdy nadajesz się tylko do złamania mi serca. Nie stać mnie na to, żeby się w tobie kochać. Po prostu nie mam emocjonalnych rezerw na takie przedsięwzięcie i to jest fatalne, nie fakt, że „Kociaki” są trzy gole do tyłu po pierwszej połowie!

– Tak, rzeczywiście fatalnie – odparłam.

– Hej, to tylko gra, dzieciaku, nie przejmuj się. – Kuksnął mnie w ramię. – Nie bierz tego tak poważnie.

Gra?! Dzieciaku?! Kuksańce?! Chciałam najpierw go zabić, a potem sobie popłakać.

W Wielkiej Kuchni Mike usadził swoje wypoczęte, pachnące świeżością „ja” na krześle obok.

– Co jesz, Mona Lisa?

Nic, bo mnie serce boli.

– Ee, chyba gotowane warzywa z tofu i brązowym ryżem. A ty?

– Jeszcze nie wiem – odparł, przeglądając menu.

Niezdecydowany dureń, nawet nie wie, co chce zjeść na śniadanie!

Kiedy Judy zebrała nasze zamówienia, Brooke stanęła u szczytu stołu i wzniosła toast za udany sezon piłkarski oraz nagrodziła każdą zawodniczkę wyjątkowym tytułem. Greta otrzymała tytuł „Muru” za wpuszczenie zaledwie dziesięciu goli w dwunastu meczach.

– Niestety cztery z nich padły dzisiaj – powiedziała Brooke, puszczając oko. – Ale i tak kochamy naszą chłopczycę z Tokio. – Vicki dostał się „Złotodziób Roku”, na który to tytuł zareagowała, zartobliwie rzucając pocałunki w tłum wokół stołu.

– Powodem, dla którego wymieniam tę dwójkę, jest nie tylko fakt, że Greta i Vicki wniosły do drużyny swoją miłość do piłki nożnej i sportowe umiejętności, ale także przyprowadziły dwójkę naszych najbardziej lojalnych fanów. – Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Mike’a i moją. – Kiedy w styczniu poznałyśmy Monę, zagrala z nami mecz towarzyski i powiedzmy, że miała sporo energii. Wiedziałyśmy, że będzie cennym nabytkiem dla każdej drużyny, o ile pozostanie z dala od boiska. – Grupa zaśmiała się dobrodusznie, a Mike poklepał mnie po plecach.

– Będziesz następny, koleżko – mruknęłam, uśmiechając się.

– W każdym razie Mona była obecna na wszystkich dwunastu meczach, co oznacza, że albo jest prawdziwą fanką „Kociaków”, albo – zrobiła pauzę dla większego efektu – czuje miętę do którejś z zawodniczek.

Wśród śmiechu tłumy Mike zaprezentował swój czysty zachwyty taką koncepcją, klepiąc się dłonią po sercu.

– Grupie w lesbijskiej piłce, to rozumiem.

– Zaraz się tobą zajmę. – Brooke rezydowała u szczytu stołu, trzymając się pod boki i kiwając głową jak uczestnik dyskusji panelowej. – Co sprawia, że mam szczególną przyjemność przyznać nagrodę specjalną naszej czołowej fance, Monie Warren, którą

jednogłośnie postanowiliśmy uczynić honorowym „Kociakiem z wykopem”. – Stół eksplodował ogólnym „Aaa” i aplauzem. Na szczęście, zanim zdążyłam się rozkleić, Brooke szybko przeniosła uwagę na Mike’a. – Teraz ty, Pies. – Znów oparła rękę na biodrze. – Miałymy co do ciebie wątpliwości, kiedy zjawileś się na pierwszym meczu Vicki i zaczęłaś gadać, że ta lesba, a tamta lesbijka. I Bóg jeden wie, że w tej swojej beznadziejnej kolumnie nie starasz się pozbyć wizerunku macho. Ale trzeba ci oddać jedno, Mike. Przychodzisz na mecze i jesteś prawdziwym fanem. – Zespół się roześmiał i poklwał twierdząco głowami. – Naprawdę jednak zdobyłeś moje serce, kiedy zjawileś się na meczu z twarzą wymalowaną na różowo.

– Hej, żeby się nosić na różowo, trzeba prawdziwego mężczyzny – Mike usiłował zbić ją z tropu.

– Raczej przegranego dupka – zawołała Vicki z drugiej strony stołu.

– Hej, to dowód przywiązania do drużyny – Mike się roześmiał. – Jestem facetem, który nie boi się zaangażowania. Ani makiżaju. Ani różu. Cholera, jestem homo – rzucił, osuwając się na siedzenie i udając zakłopotanie z powodu „ujawnienia”.

– Cóż, Mike – powiedziała Brooke z filmowym uśmiechem. – Ja też. – Mrugnęła. – I jako specjalny podarunek dla naszego najbardziej oddanego fana mam dla ciebie coś, na co czekałeś cały sezon. – Dramatycznie odrzuciła do tyłu długie czarne włosy i ostentacyjnie obeszła stół od strony Nadii, brunetki, naszej środkowej o anielskiej urodzie. Ujęła w dłonie pełne policzki Nadii, odwróciła się do Mike’a i zapytała, czy jest gotowy. Zanim przestał kiwać głową, Brooke nachyliła się i obdarzyła Nadię najbardziej namiętnym, pełnym uczucia pocałunkiem, jaki kiedykolwiek widziałam – w życiu i na celuloidzie.

Grupa zaczęła klaskać, ale Mike tylko patrzył, z ustami szeroko otwartymi z zachwytu. Brooke przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza, i mrugnęła do Mike’a. – Moja dziewczyna – oznajmiła pogodnie. – Co o tym sądzisz?

– Uważam, że sporty kobiece stanowią się niedoceniane – odparł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jakaś kobieta napisała do magazynu, że jestem zawodowym kobieciarzem. Chciała chyba, aby wypadło to obraźliwie, ale zastanawiam się teraz, czy mogę wszystkie te idiotyczne randki z kolacją odliczyć od podatku?

– *Pieskie życie, kwiecień*

Kwiecień upłynął w wirze randek z Adamem i pod znakiem remontu generalnego moich dwóch gościnnych sypialni i łazienki na dole. Vicki wybrała na ściany ciepłe pastelowe kolory, które ładnie komponowały się z kwiecistymi kapami na łóżka i zasłonami. Potrafiła wykorzystać każdy promień naturalnego światła, który trafił do wnętrza, a bez jej ingerencji pozostały niezauważony. Pokoje były jasne, ale nienarzucające się, jak ogród. W jakiś sposób bardziej osobiste niż typowe sypialnie gościnne.

Kupiliśmy witrażowe okno znalezione przez Vicki, ale nie wymyśliłyśmy jeszcze, gdzie je wstawić. Było ciemnoczerwone, pod zaokrąglonym szczytem piwnobrazowe paski otaczały fazowany na brzegach przezroczysty środek, idealnie na plantację, którą mój dom nie był. W każdym razie taka okazja trafia się raz w życiu, więc je zapamięaliśmy i umieściliśmy w garażu, jeszcze zanim przeniosłyśmy rzeczy Vicki z jej mieszkania tamtego wieczoru w marcu.

Z niechęcią muszę przyznać, że koncepcja łazienki w stylu Pyszczyki była tak kiczowata, że się sprawdziła. Vicki oprawiła w cieniutką czerwoną ramkę małą czarno-białą fotografię Janet Leigh krzyczącej pod prysznicem, umieszczoną na tle wiru wodnego. W głębokiej ramie umieściła kuchenny nóż. Znalazła też inne zdjęcie Janet Leigh przeliczającej zdefraudowane pieniądze – scena przed tą, w której bierze feralny prysznic – i jako to podłożyła

dziesięć dolarowych banknotów. Postrzępione brzegi wystawały ze wszystkich stron, dotykając takiej samej czerwonej ramki jak ta ze zdjęciem spod prysznicza. Zamówiła zasłonę do prysznicza, przezroczystą, z sylwetką Normana Batesa z ramieniem wyciągniętym nad głowę, gotowego do ataku. Postarała się o pokrycie na deskę sedesową i dywanik z wirem wodnym oraz ręcznie malowaną mydelniczkę z tym samym wzorem. W mydelniczce leżały czerwone mydelka, którym nadała kształt kropel krwi. Ręczniki były ciemnoczerwone i puszyste.

Adam nigdy w życiu by się tu nie wpasował, pomyślałam. Kiedy w następnym tygodniu zobaczył łazienkę inspirowaną *Psychozą*, uznał, że jest denerwująca. I to powiedział ten sam facet, który ozdobił własną łazienkę dla gości tapetą, zdjęciami i pamiątkowymi gadżetami drużyny futbolowej Oklahoma Sooners. Papier toaletowy odwijano się z ochraniacza na twarz z helmu Soonersów. Motywem przewodnim łazienki przy sypialni była żółta gumowa kacuszka. W przeciwieństwie do salonu łazienki Adama zdradzały pewne cechy jego osobowości. Problem polegał na tym, że niespecjalnie mnie ta osobowość pociągała.

Adam był bez wątpienia porządnym, uprzejmym człowiekiem, ale tak pozbawionym polotu, że ledwie mogłam to znieść. Kiedyś zapytał, czy chciałabym pójść na „długi romantyczny spacer o zachodzie słońca brzegiem plaży”, serio. Jasne, chciałabym pójść na taki spacer po plaży z kimś, kogo Kocham. Jasne, chciałabym, żeby rozmowa toczyła się gładko i bez wysiłku, tak żebyśmy oboje zerknęli na zegarki i zdziwili się, jakim sposobem minęły dwie godziny. Ale kto takie rzeczy planuje? Wszystko to brzmiało jak schematyczne, oklepane wersy reklamowej piosenki. Myśl o zamianie mojej nowej lokatorki na człowieka, którego planowałam mieć za męża, nie wydawała mi się porywająca. A jednak działając odruchowo, dalej umawiałam się z nim na randki, obawiając się powstania pustki w miejscu, na którym go postawiłam. To było nie w porządku, wiem. Ale nicnierobienie, podążanie z prądem, status quo wydawało się tak wygodne, że przekonałam samą siebie: potrzebuję więcej czasu, żeby moje serce dogoniło głowę.

Kiedy Vicki wykończyła łazienkę, strasznie nalegała, żebym wzięła w niej prysznic, więc powinnam była się domyślić, że coś knuje. Naiwnie założyłam, że po prostu jest podekscytowana prezentacją swojego dzieła, i przeżyłam szok, z wrzaskiem przerażenia włącznie, kiedy z prysznicza poleciała czerwona farba. Vicki zdarła zasłonę i trzymając rzeźniczy nóż, śmiała się szaleńczo.

– Mamusia mnie do tego zmusiła! – wrzeszczała.

– Zwariowałaś! – krzyknęłam, śmiejąc się. Vicki skakała dookoła jak dwunastolatka zachwycona własnym żarciem.

– Mono Warren, jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Po dwudziestu minutach odzyskałam normalny kolor i wszedłam w turbanie z ręcznika i szlafroku do salonu, gdzie natknęłam się na Vicki i Mike'a siedzących razem na kanapie. – O, hej, nie spodziewałam się was. – Nieuważnie dotknęłam zawoju na głowie i zaczęłam się zastanawiać, czy rozpuścił mi się tusz. – Czy twoja psychyczna siostra powiedziała ci, co mi właśnie zrobiła?

– Jak leci, Mona Lisa? – uśmiechnął się Mike.

– Dobrze. A u ciebie?

– Nieźle.

Vicki oceniła atmosferę skrępowania w pokoju, patrząc na Mike'a, potem badawczo przyglądając się mnie. W porównaniu z historycznym śmiechem w scenie prysznicowej tych kilka minut wcześniej cisza była wszechogarniająca. Ogluszająca. Niekończąca się. Po całej minucie Vicki wreszcie coś powiedziała.

– Napięcie jest tak wyczuwalne, że można by je kroić nożem. – Rozesmiała się tym skrzekliwym śmiechem, który wykorzystwała, udając Normana Batesa.

Mike zmusił się do chichotu. Z moich towarzysko niewydolnych ust wyrwało się „och”.

– Idź coś na siebie włożyć. Pozwól ci w spokoju odwiedzać siostrę.

Gdy wbiegałam na górę, usłyszałam, jak Mike mówi, że wpadł też zobaczyć się ze mną. Ale wiedziałam, że to tylko uprzejmość. Minęły dwa tygodnie od zakończenia naszej relacji biznesowej i nie

miałam od niego żadnych wieści. Żadnych telefonów. Żadnych wiadomości przez internet. Nieobecność gotówki prowadziła do nieobecności Mike'a.

Tego wieczoru postanowiłam naprawdę poświęcić się ułożeniu spraw z Adamem. Nie był podniecający, ale nadrabiał to solidnością, a dokładnie tego potrzebowałam do szczęśliwej przyszłości. Mike był jeszcze w domu, kiedy pobiegłam na górę do swojego pokoju i zadzwoniłam do Adama. Umówiliśmy się na pięć randek podczas najbliższych trzech tygodni, w tym na barbecue z jego rodziną w niedzielę wielkanocną. Wiedziałam, że jeśli nadszedł czas, że bym poznała rodzinę, Adam zaczyna myśleć o mnie poważnie.

Pięć randek bez jakichkolwiek starań z zakresu public relations, żeby poprawić mój wizerunek sprawiło, że czułam się jak surowe ziarno w beczce w gładzie ze zdrową żywnością. Rozpaczliwie potrzebowałam opakowania. Uroczego rysunekku na pudełku. Przynajmniej logo. Ale postanowiłam zastosować radę Grety i zdecydować się na wersję organiczną.

Adam zabrał mnie na pokaz *Wyjadania*, niezależnego filmu wyświetlanego na żaglu Gwiazdy Indii. Uznałam, że to pretensjonalne gadanie od rzeczy. Adam oznajmił, że ogląda go czwarty raz i w college'u ten film zmienił jego życie. Musiałam się roześmiać, kiedy oznajmił, że podoba mu się moja otwartość.

– Wiele kobiet nie wyraża swojego zdania, będąc w związku, ale ty zawsze mówisz, jak jest, Mona. To ważne, żeby być bezpośrednim. W to wierzę – pochwalił mnie.

O tak, szczerza i bezpośrednia Mona Warren. Krytyk filmowy. *Kompletna oszustka*. Choć Adam nie przejął się faktem, że jego ulubiony film wzbudził we mnie niesmak, mnie strasznie zirytowało, że wywarł na nim tak silne wrażenie jakis denerwujący, pseudo-psychologiczny, gówniany film. Komu mógł się podobać film w całości nakręcony z perspektywy miski czipsów na przyjęciu? Przez pierwsze pół godziny cały ekran zakrywały żółte i ciemnoniebieskie czipsy. Słyszeliśmy głosy gości na przyjęciu, szepczących sobie brudne małe sekrećki, seksualne propozycje i plotki podczas sięgania do miski z czipsami. Gdy ludzie je chwyтали, czipsy raz na jakiś czas się

unosily, ale trudno to uznać za podniecający zwrot akcji. I wreszcie ostatnie zasłaniające widok czipsy zostały wyjęte i widownia zobaczyła twarze ludzi, których głosy nauczyła się rozpoznawać. Ale wciąż widzieliśmy wszystko z dna cholernej miski czipsów! Kamera ani razu się nie poruszyła. Niedobrze mi się robiło od patrzenia na wielkie dłonie sięgające do miski, a potem w górę, na gigantyczne podbródki i nozdrza. Zakończenie trudno uznać za ekscytujące. Gospodyni powiedziała: „Och, proszę, skończyły się czipsy”, i ponownie napełniła miskę tymi ciemnoniebieskimi. I tyle. Koniec. Dospała czipsów. Co to, do cholery, w ogóle miało znaczyć?

W następnym tygodniu zabrałam Adama na pokaz instalacji, której, jak twierdził „nie chwycił”. Odkrył głębię znaczeń w filmiku o czipsach, ale nie dostrzegł niczego pięknego w układaniu mozaik z drobnitkich kawałków witrażowego szkła.

W tamten weekend odbyliśmy z Adamem przy kolacji wymuszoną rozmowę o naszych życiowych ambicjach. Zapytał, gdzie się widzę za pięć lat. *U twojego boku jako żona i w bliskim związku z dowolnym lekarzem, który może zapoznać mnie bliżej z antydepresantami*.

– Gdybyś mogła zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było? – ciągnął. Czułam się jak podczas rozmowy w sprawie pracy.

– Ee, nie wiem, jestem całkiem zadowolona z tego, kim jestem – skłamałam. *Gdybym tylko wiedziała, kto to taki*.

– Odświeżające! – Adam klepnął blat stolika. – Gdziekolwiek się obróć, kobiety w tym mieście robią sobie operacje plastyczne, biorą lekcje samorozwoju i tak dalej. Moim zdaniem tym panom za dobrze się powodzi. To właśnie oznaka kryzysu naszej kultury, szczególnie tutaj. Nie mamy prawdziwych problemów, więc musimy wymyślać różne głupstwa, którymi możemy się zająć. Samoocena, opadające powieki, nietolerancja laktozy. Na spotkaniu w zeszłym tygodniu jedna z kobiet stwierdziła, że jej *chi* straciło równowagę. – Roześmiał się. – Wyobrażasz sobie, jej *chi*? Chodziła na akupunkturę, żeby wróciło tam, gdzie powinno być. Jesteśmy bardzo zepsutym krajem, w to wierzę. Pojeżdż do Iraku i gwarantuję, że nikt nie narzeka na rozstrojone *chi*. Mają prawdziwe problemy do załatwienia.

Czulałam się winna, zastanawiając się, czy może równowaga mojego *chi* została zachwiana i na tym polega mój problem? Może cały czas potrzebowałam tylko lepszego *chi*.

W kolejny weekend zaprosiłam Adama na domowe chińskie jedzenie u mnie. Moje umiejętności kulinarne zwaliły go z nóg – przynajmniej do momentu, gdy zauważył w śmięciach pojemniki po jedzeniu na wynos.

Na rodzinnym przyjęciu wielkanocnym byłam zdecydowana pokazać mu, jak świetnie pasowałabym do klanu Zieglerów. Bez trudu dogadałam się z jego ojcem, który podzielał moją namiętność do muzyki, ale zdałam sobie sprawę, że muszę się zareklamować nie tylko jako dobry materiał na synową, ale również na matkę. Na podwórzu z tyłu bawiło się stadko dzieciaków poniżej dziesięciu lat. Grali w Toss Across*. Zamiast pokazać im, jaką byłabym świetną cicią, podekscytowana współzawodnictwem, w końcu krzyczałam na swoją drużynę, że „mają się skupić, bo będzie rzeźnia!”. Moja przyszła kuzynka Jeanette była naprawdę wdzięczna za stworzenie okazji do wyjaśnienia jej ośmioletniemu synowi, co to takiego rzeźnia.

Tego wieczoru wróciłam do domu i postanowiłam cofnąć się do pierwotnego planu odkrycia, co nakręca Adama. Zastanawiałam się, czemu tak usilnie staram się zrobić na nim wrażenie, skoro szczerze mówiąc, wcale nie byłam zachwycona naszą kompatybilnością. Zdecydowanie go lubiłam, a nawet jakaś część mnie kochała go jako istotę ludzką. Był naprawdę dobrym, porządnym człowiekiem, który świadomie nie skrzywdziłby nawet muchy. A jednak nic między nami nie zaiskrzyło.

Za następną myśl wymierzyłam sobie kopniaka – nie zaiskrzyło z Adamem, bo wcześniej zaiskrzyło z Mikiem. Mój wewnętrzny trener wziął górę. *Mike to gracz. Wykorzysta cię seksualnie, a potem wyrzuci jak starą gazetę. Spójrz tylko, jak traktuje kobiety. Poczytaj jego felietony! Potrzebujesz kogoś, kto zachowa przy tobie stały kurs. Potrzebna ci inwestycja długoterminowa, a nie zakup nowości pod wpływem impulsu.*

* Gra dla dzieci w wieku 6–8 lat.

Kiedy przekreśliłam klucz w zamku frontowych drzwi, usłyszałam głosy z telewizora.

– Vicki? – zawołałam? – Jesteś w domu?

– Mike też jest – odparła.

Cały pokój zamarł. Liście roślin się spięły. Powietrze przestało płynąć. Kwiaty wykręciły główki, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Miałam nadzieję, że mimo znieruchomienia moje walące serce pozostanie niezauważone.

– Hej – pokiwał do mnie.

– Hej – starałam się, żeby mój głos był mniej entuzjastyczny niż jego. – Dobrze się bawiliście na pikniku rodzinnym?

– Nasza rodzina jest stuknięta – oznajmiła Vicki, wyłączając telewizor. – Właśnie rozmawialiśmy, jacy wszyscy są popieprzeni. Tata jest jak sierzant, który musi wszystkim zarządzać. – Naśladowała jego surowy głos. – Nie przyciskaj hamburgerów, bo będą suche, Vicki. Mike, musisz się ostrzec. Marion, dość już dziś wypijaś.

Mike wzruszył ramionami.

– Mógłbym się ostrzec – przyznał. – A mama piła trochę więcej niż zwykle.

– Wszystko jedno. – Vicki się na niego zezłościła. – Dwie minuty temu powiedziałaś, że to ostanie święta, jakie z nimi spędzasz. A teraz te świry ci odpowiadają. Co jest?

Mike nie musiał odpowiadać na pytanie Vicki. Wiedziałam, co jest. To samo co zawsze, kiedy ktoś w mojej obecności zaczyna narzekać na rodzinę. Zdają sobie sprawę, że ja chciałabym mieć na kogo wyrzekać. Mike i ja rozmawialiśmy o moim pragnieniu przynależenia do rodziny czy choćby społeczności ludzi o wspólnych zainteresowaniach. Cholera, zapisałam się do klubu książki, gdybym uznała, że to przyniesie mi spokój związany z uczuciem autentycznej przynależności. Wystarczyłoby mi, że pokiwiają do mnie ludzie z bazy marketki. Mike to wiedział i poczuł się winny, narzekając na ojca, który przesadnie kontrolował grillowanie hamburgerów, podczas gdy mój zjechał z siedemnastoma osobami z oblodzonego klifu.

Planowałam popędzić do swojego pokoju, ale nie mogłam się zmusić do opuszczenia miejsca, w którym znajdował się Mike.

Usiadłam na krześle obok sofy zajętej przez nich i starałam się nie wypytywać o życie towarzyskie Mike'a, chociaż okropnie mnie korciło, by spytać, czy się z kimś widuje. A przede wszystkim, czy za mną tęskni. Na szczęście obecność Vicki powstrzymała mnie przed wyskoczeniem z czymś równie głupim. Gdyby Mike za mną tęsknił, toby zadzwonił, przypomniałam sobie. Nawet gdybym go o to zapytała, potwierdziłby, by nie zranić moich delikatnych uczuć biednej sierotki. Najwyraźniej facet nie wyrzynał sobie moich inicjałów widelcem na nadgarstku. Nie przyłączył się do grupy wsparcia dla samotnych facetów. Zajmował się po prostu swoimi sprawami kompletnie nieporuszony faktem, że zasadniczo zniknęłam z jego życia.

– No i jak tam pieskie życie? – Ze wszystkich sił starałam się nie pokazać swojej irytacji.

– Dostyc gówniane, prawdę mówiąc – odparł.

– Och, biedactwo. – Mój ton był znacznie bardziej sarkastyczny, niż wypadalo. – Przepraszam. Miałam po prostu ciężki dzień z Adamem.

– Nie rozumiem, czemu jesteś z tym facetem – włączyła się Vicki. – Jest taki nudny.

– Nie to co ekscytujący Jimmy – wypaliłam, wkurzona teraz na oboje Doughertych obecnych w moim domu. Westchnęłam i schowałam twarz w dłoniach. – Przepraszam was. Nie wiem, co we mnie dziś wstąpiło. Nie jestem sobą.

Takie chwile pełnej napięcia ciszy nie przeszkadzały Mike'owi, ale zawsze automatycznie ustawiły Vicki na tryb „działania pokojowe”. Ilekroć pojawialo się napięcie, żartowała albo zmieniała temat, by zmniejszyć ładunek emocjonalny. – Mike powiedział, że strasznie mu się podoba to, co zrobiliśmy z domem. – Vicki promieniała.

– Jasne. – Skinął głową. – Miło, że dałaś Vicki taką szansę. Mona Lisa.

– Szansa to odległa przeszłość. Ona ma talent – powiedziałam, jakby Vicki nie siedziała z nami w jednym pokoju. – Prawdę mówiąc, zamierzałam ją prosić, żeby urządziła cały dom. Dopóki tu jest, mogę równie dobrze zaprząć ją do roboty, prawda?

– O rany! – Vicki zerwała się z krzesła i mnie uściskała. – Jesteś dla mnie jak anioł stróż albo ktoś taki. – Jak nakręcona zaczęła liczyć na palcach pokoje i mamrotać coś o konieczności uzyskania licencji, kontaktu z doświadczonym projektantem. – Cały dom? Całość, tak?

Kiwnęłam głową, nie spuszczać oczu z Mike'a, który wpatrywał się we mnie z taką samą intensywnością. Patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy mieli zacząć się klócić albo całować.

– Cieszę się, że moja siostra była bardziej przydatna niż ja – powiedział Mike, przelamując ciszę.

– Byłeś bardzo pomocny – odparłam. – Tylko potem nie potrzebowałam już twojej pomocy.

– Skończyłaś ze mną, co?

– Dokładnie. – Zaciśnęłam zęby i powstrzymałam łzy, także te, które mogły dopiero szykować się do pojawienia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESIETY PIERWSZY

Choć wisiłam martwa na rzeźnickim haku, słyszałam każde słowo ubranych na biało rzeźników. Czulałam zimne powietrze chłodzonej trzciny. I czulałam zapach krwi z własnego ciała oraz innych ciał wokół mnie. Kuzynka Adama Jeanette przeszła obok i klepnęła mnie po rzyku, komentując, że ładnie się zgrilluję. Miała na nogach białe szpilki i w ozdobionej klejnotami dłoni trzymała zwinięty egzemplarz czasopisma edukacyjnego dla dzieci. Wskazując na mnie, oświadczyła:

– Dostała to, na co zasłużyła, ale co za wstyd dla tych niewinnych dzieci.

Pukanie do drzwi przywróciło mnie do przytomności. Vicki, wciąż jeszcze w piżamie, wskoczyła do mojego łóżka jak dziecko w poranek Bożego Narodzenia, które nie może się doczekać, żeby dzień się zaczął. Nawet wyglądała jak dziecko z dwoma kucykami opadającymi na różową górę od piżamy bez rękawów. Różowe fanelowe spodnie ozdabiały błękitne kokardki.

– No więc jeśli chodzi o urządzenie domu – zaczęła. – Chciałam zapytać cię o kilka rzeczy. – Kiwnęłam głową, żeby mówiła dalej. – Mogłybyśmy zrobić cały dom w jednym stylu, na przykład czysty i nowoczesny albo rustykalny czy jakoś tak. Albo mogłybyśmy trochę zamieszać i wybrać różne tematy dla różnych pokoi.

Mysł o tym, że można mieć w domu mieszankę stylów – i wszystko będzie pięknie do siebie pasować – wywołała moje głośnie westchnienie ulgi, chociaż Vicki nie miała pojęcia, jak wyzwalająca była jej prosta koncepcja.

– Za wcześnie na to? – zapytała.

– Nie. – Roześmiałam się. – Powinnyśmy były o tym porozmawiać już jakiś czas temu. – Vicki wyglądała na zmieszaną, pewnie dlatego, że dostała zielone światło na urządzenie domu niespełna dwanaście godzin wcześniej. – Różne tematy będą w porządku.

Będzie zabawnie – rozwiąlam niepewność Vicki wywołaną moim wcześniejszym komentarzem.

– Okej – powiedziała, wchodząc w rolę podeksycytowanej dekoratorki. Jej sylwetka zmieniła się, gdy chwyciła ołówek i notes z nocnego stolika. – Pomyślałam sobie, że skoro jesteś taką fanką filmów, mogłybyśmy urządzić salon w stylu twojego ulubionego starego filmu. Który jest twój ulubiony?

Bez namysłu oparłam:

– *To uspaniałe życie*. – Vicki ściągnęła brwi, usiłując sobie przypomnieć, jak wyglądały tamte dekoracje.

– Czy oni nie byli raczej biedni? – zapytała.

– Z klasy średniej. Tata George'a Bailey'a nie był za dobry w robieniu interesów – powiedziałam. – Na ich domu nie ma co się wzorować.

– Hm, dobra, a drugi ulubiony? Pomyśl o czymś z wykopem.

– *Przemigło z wiatrem*.

– Tara – rzuciłyśmy jednocześnie, jakby w tym samym momencie zapaliła się nam w głowach żarówka.

– O rany! To okno, to okno! – Vicki zaczęła wymachiwać rękoma. – Czy to okno, które kupiliśmy, nie jest idealne?! Urządziliśmy cały dół z południowym przepychem, marmurowe podłogi, wielkie palmy, pluszowe czerwone krzesła z jedwabnymi frędzlami. Podoba ci się?

– Genialne!

– Musisz mi dać trochę czasu na załatwienie licencji, żebyśmy mogła dostawać zniżkę dla projektantów. Albo mogę się umówić z kimś, kto już się tym zajmuje, i za użycie licencji oddać część moich zysków – myślała głośno. – O, nie muszę cię nudzić tymi szczegółami. Załatwię to. Jestem taka podniecona. Stworzę Tarę. Będziesz zachwycona, Mona. Zachwycona! – terkotała. Zerwała się i popędziła w stronę drzwi. – Tara – westchnęła z rozmarzeniem. – Jutro jest nowy dzień. – Przyłożyła rękę do czoła i opuściła pokój w tej dramatycznej pozie.

Udało mi się zamknąć oczy i nacieszyć chwilą spokoju, zanim usłyszałam dźwięk dzwonka i damskie głosy rozprawiające na dole

Greta pewnie by zemdlala z wrażenia, gdybym – choć raz – była ubrana i gotowa do biegania w chwili, gdy się pojawiła.

– Za sekundę będę na dole! – zawołałam.

Gdy znajomy brzeg Pacyfiku przewijał się obok, powiedziałam Grecie, że zamierzam wziąć lekcje śpiewu. Zawsze uwielbiałam te chwile, kiedy mama sadzała nas, dzieci, wokół pianina i prosiła, żebyśmy powtarzali nuty, które grała. Było to coś w stylu sceny z *Dziękuję muzyki*, kiedy Julie Andrews wozi dzieciaki von Trappa po całym Salzburgu, każdemu przypisując nutę, i śpiewa nacale gar-dło, że gdy zna się nuty, można zaśpiewać prawie wszystko. Mama grała sześć nut i powtarzałyśmy je po niej. Potem grała dłuższe sekwencje, aż byłam jedyną osobą, która z nią śpiewała. Po półgodzinie reszta dzieci traciła zainteresowanie, ale ja zawsze dosłownie zamęczałam mamę. W pewnym sensie był to jedyny sposób, żeby spędzić z nią trochę czasu sam na sam. Ale naprawdę to uwielbiałam. Największy spokój czułam, siedząc na ręcznie tkanych chodniku obok pianina mojej mamy i starannie powtarzając melodię piosenki, którą mi podgrywała. Teraz czasami, kiedy śpiewam sama pod prysznicem albo w samochodzie, własny głos brzmi mi głucho. Moim uszom brakuje pełni akompaniamentu mamy.

– Mam nadzieję, że nie chodzi znowu o zrobienie wrażenia na Adamie.

– Właściwie nie – odparłam, gdy morska bryza owiewała mi ciało. – Zawsze uwielbiałam śpiewać, ale nigdy nie zrobiłam z tym nic więcej. – Samo wypowiedzenie tych słów wywołało uśmiech na mojej twarzy. Miałam ochotę podskakiwać w czasie biegu. *Zawsze uwielbiałam śpiewać, ale nigdy nie zrobiłam z tym nic więcej. Ale teraz zrobię.*

– Czy ty właśnie podskoczyłaś? – Greta zachichotała.

– Nie. – Roześmiałam się, jakby zwariowała. *Podskoczyłam?*

– Mona, przed chwilą wykonałaś podskok wróżki – przekomarzyła się. Wyskoczyła w powietrze i zamachała rękoma, naśladując mnie. – Powiedz, skąd to frywolne nastawienie.

– Nie wiem – zaprzeczyłam radośnie. – Vicki urządziła na nowo dom, co jest dość podniecające. Dziś po południu mam pierwszą prywatną lekcję boksu, co, muszę wyznać, cieszy mnie trochę bardziej

niz powinno. Och, sama nie wiem, dobrze się czuję z powodu tej decyzji o lekcjach śpiewu. Czuję się, ee, chyba pełna nadziei. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się pełna nadziei.

Skłamałam. Dwukrotnie. Dokładnie pamiętałam, kiedy ostatnim razem czułam, że życie to prosta droga przede mną. Na tydzień przed wypadkiem, kiedy pierwszy raz pokonałam Todda w szachy po sześciu miesiącach ciągłych przegranych. Zanim oznajmiłam „szach-mat”, spojrzalam na stojący zegar z ciemnego drewna umieszczony w kącie dziennego pokoju. Było tuż przed północą i na niebie iskrzyły się gwiazdy oraz wąski skrawek księżyca. Powiedziałam sobie, że muszę zapamiętać ten moment. Świat stoi otworem przed dziewczyną, która za chwilę pokona genialnego chłopaka, uznałam w duchu. Czułam się tak, jakby pokonanie Todda w grze strategicznej, wymagającej inteligencji, włączyło mnie do tajemnego klubu ludzi mających wybitne osiągnięcia. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem, wiedząc, że mogę wszystko.

Drugie kłamstwo dotyczyło tego, że lekcje śpiewu nie miały zrobić wrażenia na Adamie. Stanowczo chciałam się nauczyć śpiewać, ale chciałam tego przez ostatnich piętnaście lat bez podejmowania żadnych działań. Do czasu, gdy ponownie sprawdziłam w internecie nazwisko Adama, co przypomniało mi o jego miłości do muzyki. „Magazyn Oszczędnościowo-Pożyczkowy” zamieścił dwustronicową charakterystykę imponującej kariery Adama, co uznałam za dziwne, bo był wciąż dosyć młody. W każdym razie powiedział reporterowi, że jego pierwszą miłością była Julie London, namiętna bluesowa piosenkarka, która występowała *Cry Me a River* z takim uczuciem, że rzeczywiście się popłakał. Pomyślałam, że jak dotąd nie dostrzegłam całego bogactwa osobowości Adama.

– Greta – powiedziałam, kiedy z biegu przeszliśmy w marsz.

– Tak.

– Jestem kompletną oszustką.

– Czemu tak mówisz?

Westchnęłam.

– Jedną z przyczyn, dla których chcę się nauczyć śpiewu, jest chęć zrobienia wrażenia na Adamie. To niejedyny powód, ale jest

pewnym czynnikiem. Chodzi o to, że byłaś tak bardzo przeciwna całej tej historii z Adamem, że prawie boję się mówić ci cokolwiek więcej, bo czuję, że będziesz mnie osądzać i uznasz za jakąś płytką manipulatorkę i idiotkę.

– Och – westchnęła smutno. – Zastanawiam się, czy moi pacjenci też się tak czują.

– Na pewno nie – pospiesznie zaprzeczyłam przeproszającym tonem. – To na pewno tylko ja i jak powiedziałam, to dlatego, że czuję się jak kompletna oszustka.

Greta wysunęła nogę i wykonała do niej skłon. Nie patrząc na mnie, oznajmiła:

– Do pewnego stopnia wszyscy jesteście oszustami.

– Czemu tak mówisz?

– Bo to prawda. Słuchaj, Mona. Przepraszam, jeżeli czułaś się przeze mnie osądzana. Naprawdę nie chciałam, żeby to tak wyszło. Świetnie, że bierzesz lekcje śpiewu, i boks też jest super. To wspomniały sposób, by przebić się przez własną wściekłość.

– Moją wściekłość?

– Tak, Mona. To normalne, że czujesz potężny gniew. Mój Boże, cała rodzina została ci odebrana w jednej chwili. Oczywiście, że jesteś zła.

– Nie, nie jestem! Jak mogłabym być na nich za to zła? Zginęli tragicznie, jak mogłabym być na nich zła?

– Za to że cię opuścili – odparła Greta.

– Nie opuścili mnie, zginęli w wypadku.

– Może nie jesteś zła na nich, ale musisz być zła na to, co się stało. Spędziłaś bez nich pół życia.

– Nigdy nie byłam bez nich. – Przelknęłam głośno ślinę, pełna winy, że przeżyłam. Pełna winy, że nie było mnie tam, gdzie powinna być tego dnia. Nie spędziłam bez nich ani jednego dnia. Ich brak zawsze był obecnością.

Przyjaciel babci, kapitan John, podbiegł do nas, machając rękoma, żeby ochłodzić spoconą twarz. Zatrzymał się, żeby złapać oddech.

– Dzień dobry, moje panie – powiedział.

– Dzień dobry, kapitanie. – Greta się uśmiechnęła.
 – Ładny ranek na bieg, nieprawdaż? – wydyszał John.
 – Tak, proszę pana. Rzeczywiście ładny. – Staralam się być uprzejma.

– Lepiej się ruszę. Żeby stare serce nie przestało stukać – powiedział, uświadamiając sobie własną niezręczność w chwili, gdy dotarło do niego, że babcia umarła z powodu niewydolności serca. – Przepraszam, Mona. Okropne, że coś takiego powiedziałem.

– Ależ nie. – Usiłowałam wyjść ze starej roli nadwrażliwca, wokół którego chodzi się na palcach. – Babcia z pewnością też by chciała, żeby jej serce nie przestało pukać, gdyby miała wybór. I na pewno byłaby szczęśliwa, widząc pana w dobrym zdrowiu. Naprawdę, nic się nie stało.

– Miłego dnia, moje panie. – John pobiegł dalej, wciąż żalując tego, co w jego mniemaniu należało uznać za gafę.

Stadko mew przeleciało w przejrzystym powietrzu i gwałtownie wylądowało na plaży, żeby wybierać kraby z muszli i zostawiać drobne ślady wzdłuż brzegu. Jak Adam mógł nie kochać San Diego? I czy teraz, kiedy wreszcie miałam jakieś życie, naprawdę chciałam je porzucić?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Clarence! Clarence! Pomóż mi, Clarence – krzyczał Tim, stojąc na scenie ze skrytem w miękkiej oprawie w jednej ręce, drugą, zwinęty w pieśń, grożąc niebu. – Zabierz mnie z powrotem. Zabierz mnie z powrotem. Nieważne, co się ze mną stanie. Zabierz mnie z powrotem do mojej żony i dzieci. Pomóż mi, Clarence, proszę! Proszę! Chcę znów żyć! Chcę znów żyć. Proszę, Boże, pozwól mi znów żyć. – Mój fikcyjny były chłopak, Truczna, błagał Boga o życie.

– Trochę przesadzone – odezwał się męski głos z widowni. – Ten sam poziom uczucia, bez całej tej przesady. – *Przynajmniej niczego teraz nie demoluje* – pomyślałam. – Spróbuj jeszcze raz.

Toby, niedoszły złodziej mojej torebki, został idealnie obsadzony jako wstydlivy anioł drugiej klasy.

– Widzisz, George, to naprawdę było wspaniałe życie – powiedział.

Chociaż uwielbiałam *It's a Wonderful Life*, sztuczność wypowiedzianych kwestii i sztywne ciała tej dwójki obrzydzały mi odbiór. I w ogóle, czemu Clarence był w tym momencie na scenie?! Kiedy George Bailey budzi się przy moście, Clarence jest już z powrotem w niebie.

– Gdzie ten cholerny dzwon?! – Reżyser wstał z krzesła i wrzasnął za kulisy. Nagle zza sceny zabrzmiał gong. – Dlaczego muszę czekać całą wieczność, żeby zabrzmiał dzwon?!

Niektóre małe niezależne grupy teatralne są zbyt nowoczesne i awangardowe, żeby zostały docenione w głównym nurcie. Ta była po prostu do niczego.

Ze swego miejsca na tyłach widowni oświadczyłam, że Clarence dostaje swoje skrzydła, dopiero gdy George znajduje się w domu z rodziną i przyjaciółmi, nie przy moście.

– Powinien być z tymi wszystkimi ludźmi, których życie odmienił. To wtedy okazuje się, że anioł zasługuje na skrzydła – oświadczyłam, jakbym należała do prywatnego oddziału dbającego o wierność wobec filmu Franka Capry.

– To ostatnia scena w filmie – ciągnęłam. – Rozlega się dźwięk dzwonka na choince i Zuzu mówi, że nauczyciel jej powiedział, że za każdym razem, kiedy dzwoni dzwonek, jakiś anioł właśnie zasłużył na skrzydła. Wtedy George mruga i mówi: „Zuch chłopak, Clarence. Zuch chłopak” i taki jest koniec. Po scenie przy moście jest jeszcze cały ten kawałek, kiedy George wraca do domu i wszyscy zaczynają wpadać z pieniędzmi, które zebrali. – Gdy wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie, wyraźnie uświadomiłam sobie własną fizyczność.

Nie czułam się zakłopotana własnym istnieniem jak kilka miesięcy temu. Nie popisywałam się, jak to często robi Vicki. Po prostu byłam świadoma swojej cygańskiej wyszywanej bluzki z krepy nad dżinsową spódnicą i niebieskich sandałów na koturnach. W prawej ręce trzymałam zwykły brązowy skórzany plecak, a w lewej ścisiskałam kwadratowe okulary słoneczne o bursztynowej barwie. Pierwszy raz odkąd pamiętam, nie czułam się skrępowana faktem, że ludzie na mnie patrzą. Nie czułam potrzeby przeproszenia ani wyjaśniania, czemu tam byłam. Odgarnęłam luźny kosmyk włosów z twarzy i stałam w milczeniu, podczas gdy reżyser zastanawiał się, kim jestem.

– To znaczy, może pan robić, co pan zechce, ale jeśli chce pan zachować wierność wobec oryginalnego scenariusza, powinien pan zaczekać, aż wróci do domu, zanim zadzwoni pan w ten dzwon.

Wykręcony na czerwonym aksamitnym teatralnym krześle reżyser wpatrywał się we mnie przez całą minutę. Miał ostre rysy, dzięki którym idealnie pasowałby do roli Pottera. (Aż do dnia premiery nie dowiedziałam się, że reżyser rzeczywiście obsadził się w tej roli). Wytrzymałam jego spojrzenie i skrzyżowałam ręce na piersi.

– Przemysłałabym też ten gon – dodałam w momencie chwilowego załamania pewnością; musiałam zapelnąć czymś tę martwą ciszę.

– Przemysłałaby pani? – zapytał, unosząc brew, jakby chciał się dowiedzieć, kim tak w ogóle jestem. – Skinęłam głową. – Czy ma pani dla mnie jeszcze jakieś inne sugestie, panno, panno...

– Mona. Mona Warren. Proszę mi wybaczyć najście. Nie wiedziałam, że macie próbę. Tęby powiedział, że o tej porze robicie przerwę na lunch.

– Mogę zapytać, kim pani jest i jakim cudem uważa się pani za osobę dość ważną, żeby wejść na moją próbę i narzucać swoją nieproszoną opinię w kwestii moich reżyserskich wyborów – rzucił złośliwie. Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu. Ja, Mona Warren, zostałam oskarżona o arogancję.

– Przepraszam. – Uśmiechnęłam się. – To po prostu mój ulubiony film wszech czasów i kiedy warknął pan na technicznych, że powinni zadzwonić wtedy dzwonkiem, nie mogłam się powstrzymać, żeby pana nie poprawić.

Jeśli można uznać, że cisza potrafi się zakrzusić, właśnie to zrobiła. W teatrze zapadło takie milczenie, jakbym właśnie dopuściła się śmiertelnej obrazy i miała zostać za to poćwiartowana.

– Jestem w pełni świadomy, gdzie pan Capra umieścił dźwięk dzwonu – odparł reżyser. – Ja dokonałem innego wyboru.

– O, hej Mona. – Julie szybkim krokiem wyszła zza kulis w czarno-białej koktajlowej sukience, z włosami zwinętymi jak u Mary Bailey. – Tak mi się zdawało, że cię słyszałam. – Osloniła oczy przed światłem i podziękowała mi za zdjęcie omdlewającej kłątwy z jej prawa jazdy.

– Nie ma o czym mówić, byłam ci to winna – odkrzyknęłam z przejęcia.

Reżyser puknął się w głowę, jakby oświeciła go jakaś myśl.

– Czy to jest ta szalona kobieta, która zatrudniła was, dzieciaki, do tych wszystkich epizodów? – Trójka aktorów w staromodnych ciuchach twierdząco pokiwała głowami. – To czemu od razu nie mówiliście? – Wstał, wyciągając rękę do uścisku. – Może zrobimy sobie teraz przerwę? Pękam z ciekawości, czego panna Warren chce tym razem od naszego wesołego zespołiku. Zapraszam. – Poklepał mnie obok siebie.

Julie, Tobi i nawet Tim zajęli miejsca dookoła i nachylili się, żeby usłyszeć, czemu wpadłam.

– Naprawdę chciałam tylko powiedzieć, że sprawa z prawem jazdy Julie jest załatwiona.

Z tym odrażającym, dziwnym akcentem Tim zapytał:

– Nadal nie zmieniasz zdania co do opłaty za to okno, kochana?

– Absolutnie nie! – Roześmiałam się. – Nie kazałam ci wrzucić cegły przez okno restauracji. Nie było żadnego powodu, żebyś to zrobił. – Odwróciłam się do reżysera. – Wiedział pan, że rzucił cegłą w okno restauracji, bo tak się zachowują gwiazdy rocka?

Julie aż się zachłysnęła, a potem zaśmiała.

– Tim! Powiedziałeś, że jej chłopak rzucił cegłę.

– W każdym razie mnie nieźle natłukł – rzucił Tobi, uprzedzając zarzut o przesadę, który mógłby zostać wysunięty w jego stronę.

– To prawda – przyznałam, patrząc na wyleczoną twarz Tobi'ego, wspominając świeże różowe blizny, które ochrzcił łzami.

– Podobny problem masz w tym przedstawieniu – powiedział reżyser do Tima. – Wpadasz nieprzygotowany, wyrzucasz z siebie dialog bez zrozumienia, przez co przeszła postać. Napisałeś historię jego życia, jak ci kazałem? Nie. Pomyślałeś, jaki był zły, że utknął w Bedford Falls, gdy przez całe dzieciństwo marzył o odkrywaniu świata? Nie. Masz jakieś pojęcie, kim byli ludzie, którzy ukształtowali jego życie? Nie. Jesteś leniwym aktorem, Tim, i dlatego próby idą tak potwornie kiepsko.

– O rany – powiedziałam do reżysera. – Naprawdę pan uważa, że aktor musi to wszystko wiedzieć?

– Ja to wiem – oświadczył. – Jak Tim ma zrozumieć swoją postać, jeśli nie poświęci czasu na zbadanie, skąd się wzięła?

– Powinien pan poznać moją przyjaciółkę Gretę.

– Dlaczego? – zapytał.

– Och, jest psychoterapeutką. Zawsze mówi rzeczy tego rodzaju. Rozpakował kanapkę i odgryzł zgrabny kęs.

– Czasami sam się czuję jak terapeuta – powiedział, mrugając do Julie. – A może coś jeszcze? – zapytał mnie z nadzieją.

– No, właściwie zdalam sobie sprawę, że pewnie mógłby mnie pan skierować we właściwą stronę. Chcę wziąć lekcje śpiewu. Zna pan kogoś, kto mógłby ze mną pracować? Jestem kompletną nowicjuszką, ale...

Wszyscy głośno się roześmiali z powodów dla mnie niezrozumiałych.

– Ollie jest tym człowiekiem – powiedział Tim. – Jeżeli uda ci się do niego dostać. On nie jest taki jak my, frajerzy rozpaczliwie potrzebujący gotówki.

– Cudownie! Jak mogę się skontaktować z tym Olliem?

– Już jest pani z nim w kontakcie – oznajmił reżyser, nachylając się do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu.

– Daje pan lekcje? – Zdziwiłam się, ale chwilę później zdalam sobie sprawę, że nie wiadomo dlaczego. Reżyser teatralny, który również uczy śpiewu. Logiczne.

– Cóż – zawahał się. – Plan mam dosyć napięty, ale zobaczmy, co da się zrobić. – Mówiąc to, przemieścił się do pianina przy scenie i zagrał kilka początkowych nut z *Can't Help Lovin' Dat Man* z *Showboat*. – Zanuć parę taktów, kochanie.

Po kilku pierwszych nutach zauważyłam, że głos mi drży, więc zamknęłam oczy i udawałam, iż jestem sama w samochodzie. Wyobraziłam sobie, że tak musi się czuć ptak, który szybuje po niebie, dreszcz spadania, potem swobodne wznoszenie się w powietrze. Przysięgam, naprawdę czułam wiatr rozwiewający mi włosy. Pamiętam, że czułam się, jakbym mogła śpiewać tę piosenkę jeszcze długo po tym, jak umilknie muzyka. Ale do tego nie doszło.

W teatrze zapanowała cisza, gdy Ollie raptownie przestał grać.

– Okej, dość już słyszałem – rzucił, wstając, żeby z powrotem zająć się próbą.

– Tak źle? – Ukryłam łzy.

Jak na komendę znów wszyscy się roześmiali.

– Tak źle? – zapytała Julie. – Żartujesz? Niby czego Ollie ma cię uczyć?

– Jest masa rzeczy do opanowania – rozległ się surowy głos reżysera. – Mona, jesteś utalentowana, nie zrozum mnie źle. Masz

jeden z najbardziej uroczych żeńskich głosów, jakie kiedykolwiek słyszałem, jeśli mam być szczerzy. Odpowiednie szkolenie i będziesz niesamowita.

– Niesamowita? – Rumieniec dało się wyczuć nawet w moim głosie.

– Moim zdaniem już jest niesamowita – oświadczyła Julie. – Czy nikt nigdy ci nie mówił, że masz wspaniały głos, Mona?

– Ee, nie – odparłam.

– Obojętny, kurwa, świat – sarkastycznie rzucił Ollie.

Roześmiałam się. – Nie, nie o to chodzi. Chyba nikt nigdy, ee, nie słyszał mojego głosu. To znaczy, kiedy śpiewam. Chyba tylko kilka osób.

Ollie bezceremonialnie wręczył mi swoją wizytówkę i powiedział, że jedyny wolny moment ma w poniedziałek wieczorem. Zatrzymałam się, żeby sprawdzić kalendarz.

– Może być. – Zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu naprawdę mogłam mieć jakieś kolidujące plany.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Kobiety twierdzą, że chcą wrażliwego faceta. Mówią też, że chcą faceta, który szczerze opowiada o swoich uczuciach. Uwaga, moje panie: te dwie rzeczy się wykluczają.

Pieskie życie, maj

Nienawidziłam siebie za okrążenie parkingu przed salą gimnastyczną, żeby sprawdzić, czy stoi tam samochód Mike'a, ale to zrobiłam. Dwa razy. Tak się złożyło, że w ciągu ostatnich tygodni Mike i ja mieliśmy zupełnie inne terminy zajęć. Widziałam go tylko dwukrotnie, kiedy odwiedzał Vicki, a poza tym zero kontaktu. Zachowywał się, bez dwóch zdań, jak kurwa – przyjaciel dostępny tylko za opłatą. Wkurzało mnie to, że zaczęłam mu ufać. Zaczęłam wierzyć, że rozmowy, które prowadziliśmy o jego życiu i rzadko uświadamianych uczuciach, były szczerze. Prychnęłam wkurzona na nas oboje. Na niego, że był taki śliski. Na siebie, bo uważałam, że nasza przyjaźń jest solidna, więc się na niej nie przejadę.

Przypominało to jazdę na łyżwach. Upokorzona musiałam przyznać, że zaczęłam czuć tę radosną wolność jazdy sportowej z partnerem, który prowadzi cię na zakręcie dość szybko, żeby serce waliło jak szalone. A jednak czujesz się bezpiecznie, bo twoja dłoń w rękawiczce znajduje się w mocnym uścisku jego dłoni. Ale rzeczywistość jest taka, że zaledwie kilka centymetrów od najmocniej zmrożonych obszarów na większości stawów znajdują się polacie cienkiego lodu, który się łamie i ludzie wpadają do przerębli.

Rozszadzała mnie wściekłość na Mike'a, co było idealnym stanem umysłu na lekcję boksu. Przebijając się w szatni, kątem oka zauważyłam swoje odbicie w lustrze. Z początku pomyślałam, że to ktoś inny, i powiedziałam sobie, że jeżeli nie zaprzestanę treningów,

całkiem niedługo będę w takiej dobrej formie. Potem zauważyłam, że ona i ja mamy identyczną bieliznę i zerkamy na siebie w dokładnie tym samym momencie. Uśmiechnęłam się do siebie, a moje odbicie powtórzyło uśmiech.

Weszłam do sali ćwiczeń, gdzie trener Tio wymierzał ciosy workom treningowym, czekając na mnie.

– Hej, dziewczyno – uśmiechnął się. – Gotowa skopać czyjś tyłek?

– Od urodzenia – sklamalam. A może faktycznie byłam gotowa od urodzenia, tylko gotowość zrobiła sobie objazd i dopiero teraz dobijała do głównej drogi, żeby do mnie wrócić.

Gdy uderzałam i uchylałam się przed workiem, Tio zapytał, czy jestem gotowa zacząć walki z ludźmi zamiast boksowania worka.

– Zrobiłaś się całkiem twarda, Mona. Może powinnaś sprawdzić, jak jest z tobą naprawdę? Walka bez broni to najwyższy sprawdzian, dziewczyno.

Jasne, mogłam sprać bezbronny worek z piaskiem, ale inna osoba – osoba posiadająca pięści i umiejętność uchylania się – to była całkiem inna historia. Nie przerywając zadawania ciosów, powiedziałam Tio, że to, jak dostałam w dupę do tej pory, wystarczy mi do końca życia.

– A czemu myślisz, że to ty dostałabyś w dupę? – zapytał. – Może sama porachowałabyś komuś kości. – Myśl o rachowaniu cudzych kości wcale nie była atrakcyjna. A jednak poczułam niewielki przypływ dumy na myśl, że Tio mógłby na mnie postawić w walce. – Mogłoby się tak zdarzyć. Jesteś urodzoną wojowniczką, dziewczyno. – Roześmiałam się, nie wiedząc, co powiedzieć. Uderzyłam trochę mocniej, stanowczo postanawiając utrzymać obraz wojownicy w oczach Tio.

– Hej, wiesz, kto o ciebie pytał? – Uśmiechnął się.

Mike?!

– O, kto? – starałam się mówić zwyczajnie, ale w duchu chwyciłam go za kołnierz i potrząsałam, krzycząc „Kto, kto?! Mów zaraz!”. Mógł to być tylko Mike, bo nie znałam tu nikogo innego oprócz ludzi w recepcji, którzy sprawdzali moją kartę członkowską.

– Ten koleś Pies – powiedział Tio.

Chór anielski zaśpiewał Alleluja. Naprawdę. Tylko ja jedna to dyszałam.

Spokojnie, spokojnie. Wszystko, co powiesz, dotrze do Mike'a.

– I jak mu leci?

Znakomicie. Wdech, wydech.

– Wygląda, że w porządku. Pytał, czy wciąż tu boksujesz. Powiedziałem mu, że jesteśmy umówieni na zajęcia w porze lunchu w każdy poniedziałek i czwartek.

– W porze lunchu?! – wrzasnęłam. – Moja lekcja jest o drugiej, Tio! To nie jest pora lunchu!

– Spokojnie, dziewczyno. Wtedy jem lunch. W czym problem?

– Nie ma problemu. – Odpuściłam trochę, widząc swoje odbicie; wyglądałam jak ktoś z reklamy paxilu*. – Po prostu nie powinienś tak długo czekać z lunchem. Możesz, ee, zgłodnieć.

Tio wykrzywił twarz, patrząc na mnie jak na stukniętą białą laskę, którą w istocie byłam. Wskazał na worek, przynaglając do podjęcia treningu.

– Mówił coś jeszcze?

– Kto? – zapytał.

Nie, no poważnie, facetom mózg wycieka przez penisy.

– Mike. Pies. Czy mówił coś jeszcze o mnie?

– Że cię rzadko widuje i zastanawiał się, co u ciebie. – Więc zapytał o to mojego trenera? Skoro Mike zastanawiał się, co u mnie, czemu nie podniósł słuchawki, nie zadzwonił i nie zapytał o to osobiście? Czemu nie wysłał e-maila? Czemu nie zapytał swojej siostry, która mieszka pod moim dachem? Co jest nie tak z tym durniem? I co ważniejsze, co jest nie tak ze mną, że mnie to obchodzi?!

– Rany, teraz nieźle działasz, dziewczyno – pochwalił Tio, gdy uderzałam w worek. – Uważaj na twarz. Chroń się – polecił. – Uderzasz dobrze, ale co chwila się odslaniaasz. Ręce wyżej, dziewczyno. Ręce wyżej.

Jadąc do domu, wykręciłam numer Mike'a, ale po trzecim sygnałe się rozłączyłam. Co niby miałam mu powiedzieć? Wybrałam

* Lek antydepresyjny i uspokajający.

numer do biura Adama i Pani Trąbalska od razu mnie do niego przelączyła.

– Witaj, Mona – powiedział Adam tonem oficjalnie przyjacielskim, poza który jak dotąd nie wyszliśmy. I nie tylko w zakresie rozmów. Spotykaliśmy się od dziesięciu tygodni i nie było żadnych oznak, że nasza relacja awansuje do miana seksualnej. Nie mogę powiedzieć, że bym czuła do niego wielki pociąg fizyczny, ale pełen szacunku pocałunek w policzek po każdej z naszych randek był taki cholernie obraźliwy. Zaprosiłam go na kawę w sobotni wieczór. Oświadczył, że nie pija nic z kofeiną po siódmej. Powiedziałam, że mam bezkofeinową, ale wyjaśnił, że ma wcześniej rano spotkanie – z Jezusem. Tak, Adam Ziegler urodził się jako żyd, ale trzy lata temu się ochrzcił i narodził ponownie.

Oczywiście dowiedziałam się o jego świeżym związku z Panem w najgorszym możliwym momencie. W sobotni wieczór jak idiotka zastosowałam ostatnią absurdalną radę Mike'a i próbowałam podnieść Adama, stwarzając wrażenie, że byłam kiedyś w związku z kobietą. Melanie, modelka prezentująca kostiumy kąpielowe Venus, która chciała być aktorką, została przez mnie wynajęta do odegrania roli Violet, flirtirary z Bedford Falls, która, gdyby nie narodził się George Bailey, zostałaby barową panią.

Znacznie bardziej subtelna niż toksyczny Tim Melanie wśliznęła się do restauracji, w której Adam i ja jedliśmy kolację, i rozświetliła nasz stół swoim oszalałym seksapilem. Jej wejściu powinna była towarzyszyć muzyka, jaka w starych kryminałach obwieszcza wejście młodego wampa. Melanie aluzjnie wspominała o naszym związku i przez chwilę marzyłam, żeby ktoś o tak wspaniałym wyglądzie – mężczyzna czy kobieta – był kiedykolwiek mną zainteresowany.

– Złamała mi serce, wiesz? – powiedziała Melanie do Adama. – Jestem stracona dla wszystkich innych kobiet. – Głowy wszystkich mężczyzn odwróciły się do naszego stolika z taką szybkością, że naprawdę usłyszałam świst. – Pozwolę ci cieszyć się kolacją Mona, ale chcę, żebyś wiedziała: moje życie bez ciebie nie jest takie samo.

Melanie w obcisłej czerwonej jedwabnej sukience życzyła mi wszystkiego najlepszego, namiętnie wydymając usta, i upomniała Adama, żeby o mnie dbał. Gdy odchodziła, wszyscy pozerali ją wzrokiem – falujące platynowe włosy, muskularne opalone plecy, idealnie zaokrąglone pośladki stanowiące większe odpowiedniki jej idealnie zaokrąglonych piersi. Goście w promieniu sześciu stolików byli seksualnie naladowani. Mężczyźni zamawiali ostrzygi. Kobiety pozajdliwie spoglądały na swoich towarzyszy, zmieniając zamówienia na krwisty befszyk. Frontowe okno restauracji zaparowało. Gdyby moje krzesło miało podłokietniki, zaczęłabym się o nie ocierać. Wyglądało na to, że wszyscy doznali zalewu hormonów. To jest wszyscy oprócz Adama, który oświadczył, że powinnam czuć się głęboko zawstydzona swoją przeszłością.

– Mona, bardzo się do ciebie przywiązałem, ale wyraźnie widzę, że jesteś dziś inną osobą, niż byłaś kiedyś – powiedział jak Ward Cleaver upominający Beavera⁸. – Czy możesz mnie zapewnić, że te lesbijki i narkomani to błędy młodości? – Skinęłam głową, zastanawiając się, kto oprócz Adama Zieglera i kongresmena Henry'ego Hyde'a używa określenia „błędy młodości”.

– W porządku. Mogę z tym żyć. W końcu gdyby sam był idealny, nigdy nie poznałbym Jezusa. Nic nie dzieje się bez powodu. W to wierzę.

Z początku się roześmiałam przekonana, że żartuje. Zdałam sobie sprawę, że tak nie jest, po jakichś czterech minutach jego boleśnie szczegółowej relacji, o tym jak Jezus osobiście złożył mu wizytę i służył jako duchowy położnik, pomagając mu narodzić się na nowo dla świata chrześcijaństwa.

– Cześć Adam – powiedziałam głośno do samochodowego telefonu. – Właśnie wyszłam z lekcji boksu i chciałam się przywitać i sprawdzić, co u ciebie.

– Wszystko w porządku, ale odezwę się za jakiś czas, dobrze? Czy to nagła sytuacja, czy może poczekać?

⁸Ward Cleaver, idealny ojciec Beavera, bohaterowie amerykańskiego serialu TV z lat 50.

– Oczywiście – odparłam. – Za parę minut będę w domu. – Odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, czemu w ogóle tkwię w tym związku. Tych kilka razy, kiedy chciałam z nim zerwać, ogarniała mnie panika na myśl, że to moja ostatnia szansa na stabilne, szczęśliwe życie małżeńskie. Dopóki Adam był mną zainteresowany, tkwiłam w przekonaniu, że trafiła mi się świetna partia, i jeżeli z niej zrezygnuję, będę żalować.

Gdy skręciłam w Alameda Avenue, zobaczyłam znajomy widok – ludzie z marynarki kiwali na niektóre samochody, żeby wjechały do bazy. Przyjrzeni się mojemu, potem zajęli następnym.

Sądziłam, że dom jest pusty, ale zobaczyłam, że Vicki zostawiła próbki tkanin i farb obok wydruków ze stron filmowych z internetu. Zrobione pismem Vicki notatki na temat Tary zajmowały mnóstwo kartek z dopiskami na marginesach i masą gwiazdek. Na dole każdej strony Vicki wypisała najbliższe terminy aukcji, wyprzedazy i nazwiska dilerów sztuki.

Przemknęła obok mnie w czerwonych wysokich butach do go-go i z plecakiem, wołając, że jest spóźniona do pracy.

– Jeżeli jeszcze raz się spóźnię, to mnie na serio wyleją!

– Kto przychodzi do klubu ze striptizem za piętnaście czwarta w poniedziałek? – zwróciłam się do jej oddalających się pleców.

– Faceci z futami. – Drzwi trzasnęły.

Sekretarka sztycherco oświadczyła, że nie ma dla mnie żadnych wiadomości, więc odtworzyłam sobie stare, żeby wypełnić czymś ciszę. Usiadłam przy pianinie i zagrałam parę nut. Wpatrzyłam się w milczący telefon. *Świetnie, nie dzwoń. Gówno mnie to obchodzi.*

Przypomniałam sobie słowa Tio: „Pies o ciebie pytał. Powiedziałem mu, że jesteśmy umówieni na zajęcia w porze lunchu...”

Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer. Nie musiałam go sobie przypominać.

– Mów do mnie – rzucił niedbale Mike. Jak mógł być taki zadowolony, kiedy ja tak rozpaczliwie za nim tęskniłam? Rozłączyłam się, ale telefon zadzwonił kilka sekund po tym, jak odłożyłam słuchawkę na widelki.

– Mona? – zagadnął. – Czemu się rozłączyłaś?

Pieprzona identyfikacja numeru!

– O, cześć Pies. Przepraszam. Ktoś stał przy drzwiach, więc musiałam się rozłączyć.

– Kto to był? – zapytał. Nie byłam pewna, czy zwyczajnie podtrzymuje rozmowę, czy chce złapać mnie na kłamstwie.

– Listonosz – odparłam.

– Listonosz dzwoni do drzwi?

– Czasem dwa razy – odparłam. Nie zareagował, więc się zorientowałam, że nie chwycił aluzji. *Tępak.*

– Więc po co dzwoniłaś?

– Tak sobie. Byłam dzisiaj w klubie i Tio mówił, że o mnie pytałeś, więc pomyślałam, że zadzwonię pogadać. Dawno nie mieliśmy okazji. Co u ciebie?

Zawahał się, zakłopotany, że Tio go wydał, jak sędzę.

– Nic specjalnego. Wiesz, to samo gówno, inny dzień.

Dziękuję, Panie Banalny.

– Jak ci idzie z twoimi chłopakami? – zapytał Mike. – Jak mu na imię, Aaron?

Sam dźwięk głosu Mike'a sprawił, że zachciało mi się płakać. Czemu do mnie nie zadzwonił? Czemu go nie obchodziło, że nie jesteśmy już przyjaciółmi? Założę się, że gdybym była Claudią Schiffer, warowałby pod moimi drzwiami następnego dnia. Niech szlag trafi cholerne, durne Pse Zasady.

– Adam. Ma na imię Adam – wydusiłam przez zaciśnięte zęby.

– Mike, możesz mi udzielić szczerzej odpowiedzi na pewne pytanie?

– Strzelaj.

– Byleś kiedyś naprawdę zakochany w kobiecie? – zapytałam.

– Nieważne, nieważne. Nie musimy rozmawiać o takich sprawach teraz, kiedy ci nie płacę. Chodzi tylko o to, że nie jestem pewna, czy to w Adamie jestem zakochana czy w wyobrażeniu Adama. Albo w kimś takim jak Adam. Albo kimś, za kogo uważałam Adama. Nawiasem mówiąc, to odrodzony chrześcijanin i dostał szalu z powodu seksownej lesbijki w moim poprzednim życiu.

Mike się roześmiał, a ja wyobraziłam sobie, jak siedzi w niebieskim fotelu, który zapewne posiada.

– Odrodzony chrześcijanin, który chodzi na Ozzfest?
 – Wiem, dziwaczne – zaśmiałam się. – Chodzi o to, że za każdym razem, kiedy zamierzam z nim zerwać, zaczynam się denerwować, że ten facet to moja ostatnia szansa. Wariactwo?

Powiedz mi, że ten jedyny raz, kiedy doświadczyłeś miłości, był ze mną.

– Mona, od początku uważałem, że to powalona sprawa. Ten facet to żadna ostatnia szansa, a nawet jeśli tak, spędziłabyś resztę życia jako żona świra.

– Fakt, że jest religijny nie oznacza, że to świr – broniłam swojego kiepskiego chłopaka.

– Chodzi mi o to, że nie kręci go historia laska z laską. Tacy powinni być pod kluczem.

– Bądź poważny, Mike. Skąd mam wiedzieć, czy jestem w kimś zakochana? – zapytałam.

– Zdecydowanie nie jesteś zakochana w tym faciecie, Mona Lisa.

– Dlaczego nie?

– Masz za dużo pytań. Albo jesteś zakochana, albo nie, i jeśli się wahasz, to nie jesteś.

– Ale ty jesteś facetem. Jesteś mniej skomplikowany niż kobiety.

– Bogu niech będą dzięki! – roześmiał się. – Mona, od trzech miesięcy próbujesz na siłę wsadzić jego kwadratowy kolek w swoją okrągłą dziurę.

– Nie bądź świnią!

– Wasz ślub oraz hollywoodzki happy end nie są przewidziane w kartach. Moim zdaniem nie lubisz tego faceta, a co dopiero mówić o miłości. Gdyby jutro zniknął, nawet byś o nim więcej nie pomyślała.

– Tęsknisz czasami za swoją byłą żoną? – zapytałam, tak naprawdę zastanawiając się, czy przez ostatnie tygodnie tęsknił za mną.

Głośno westchnął.

– Właściwie nie. Niespecjalnie. Kiedyś tęskniłem, ale co tu można poradzić, podjęła decyzję i się wyprowadziła. Wiesz, zadzwoniła do mnie jakiś rok temu i powiedziała, że zerwali z Panem Wrażliwym, i pytała, czy moglibyśmy spróbować jeszcze raz.

– Rany. I co jej powiedziałeś?

– Nie jesteśmy razem, prawda?

– Mogliście jeszcze raz spróbować i potem znów się rozstać.

– Nie, nie próbowaliśmy. Kiedy dziewczyna cię oszukuje, jest po kwiatach. Dokoła wyboru, a teraz ma to, na co zasłużyła.

– Nie wszystko jest takie czarno-białe, Mike.

– Czasami jest, Mona Lisa.

Brak wyrozumiałości Mike'a dla jego byłej żony tak mnie przynębiał, że nie miałam nawet ochoty wziąć do ręki najnowszy wybór lektur dostarczonego mi przez Gretę – *Rosół w puszcze dla duszy: dlaczego kobiety akceptują gotowe wyznaczniki kobiecości*. Adam stanowczo nie był mężczyzną dla mnie, ale Mike mnie przeraził. Wewnętrzny głos – który był bardzo podobny do głosu Greta – zapytał, czemu w ogóle tak rozpaczliwie poluję na mężczyznę? Czy to by była taka wielka tragedia, gdybym skończyła sama? Sama?! Odbierałam to słowo jak cios soplem lodu. Sama. „Ss” brzmiało jak syk węża, „amm” dźwięczało głucho jak dno lochu, końcowe „a” jak trzaśnięcie drzwiami, po którym następowała cisza. Sama. Przeraziła mnie samotność, chociaż dokładnie tak się czułam przez całe swoje dorosłe życie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Sala gimnastyczna w liceum była udekorowana czarnymi, szarymi i białymi balonami oraz bezbarwnymi serpentynami zwisającymi z sufitu. Piñata^{*} w kształcie osła kołysała się, kiedy sportowcy brutalnie walili w nią kijami. Zespół w bawelnianych smokingach udających aksamit kiepsko odgrywał Billy'ego Idola i Adama Anta, podczas gdy nadaktywna maszyna do produkcji baniek mydlanych wypełniała salę tysiącami mydlanych banieczek. Todd wrócił z Yale, żeby zabrać mnie na bal maturalny, i powiedział, że złapie dla mnie największą baniek na lasso.

– Gluptas – drażniłam się z nim. – Wtedy popękają. A poza tym wołę cię bez kowbojskiego lassa, mój indiański chłopczyku.

Vicki uderzyła mnie po rękach batem z próbek materiałów.

– Zadnego dotykania – rzuciła.

– Oddaj jej – przynaglił mnie Tio.

– Chodź, Mona, bo się spóźnimy – popędzała piętnastoletnia Jessica, naciągając czerwoną jedwabną sukienkę, którą pożyczyłam od Melanie, mojej wymyślonej lesbijskiej kochanki. – Zmienimy świat. Musimy już iść. Chodź, bo się spóźnimy.

– Dokąd idziemy? – zapytałam Jessicę.

– Na zlot. Chodź, Mona, wiem, że naprawdę nie jesteś chora. Nie chcesz nic ze mną robić, odkąd chodzisz z Toddem. Przynajmniej pojedź na zlot. Zmienimy coś. Znasz powiedzenie, że jeden człowiek może zmienić świat. Słuchasz mnie? Obudziła się? Śpisz? – A potem Vicki zapytała mnie o to samo. – Mona, chcesz spać tu na dole czy idziesz do siebie na górę? – Otworzyłam oczy i zobaczyłam pochyłony nad sobą czarny skórzany żakiet Vicki. Delikatnie mną potrząsała.

^{*} Ceramiczna kula z reguły wypełniona słodyczami, często ozdabiana kształtami zwierząt.

– Wszystko w porządku? – zapytała Vicki, widząc panikę na mojej twarzy. – Koszmar?

– Tylko dziwny sen – zapewniłam ją. Umyłam twarz w psychotycznej łazience, co, muszę przyznać, w środku nocy okazało się trochę niepokojące. Nie słyszałam niczego poza odgłosem wody płynącej z kranu i zastanawiałam się, czy zaniedbałam Jessicę z powodu Todda. Czy powinnam była tamtego dnia pojechać na zlot? Czy Francesca albo ja mogłyśmy zobaczyć nadjeżdżającą ciężarówkę o sekundę wcześniej niż mój ojciec i krzyknąć, co w efekcie zmieniłoby całą sytuację? A tak w ogóle, co się stało z Francescą?

Tęj nocy odpłynęłam w sen, wiedząc, że mogę znaleźć odpowiedź na tylko jedno z tych pytań. Co się stało z Francescą Greenwood? Jednego dnia pocieszyliśmy się w kuchni, a kilka dni później mieszkaliśmy w Coronado. Nawet nie pamiętałam, czy się z nią żegnałam.

Francesca wróciła do mnie we śnie i zapytała, czy może znów zapleść mi włosy. Usiadłam na podłodze, a ona na brzegu łóżka i przeczesywała mi włosy palcami.

– To była długa podróż, Mona. Powinnaś była przyjechać, by zobaczyć się ze mną, a nie zmuszać starą kobietę do podróży przez zachodnie stany – gderała czule. – Tęsknię za tobą, kochanie. Chciałabym móc posłuchać, jak ty i twoja mama razem śpiewacie. Tak bardzo tęsknię za nimi wszystkimi.

W tym momencie gwałtownie się obudziłam. Chociaż wiedziałam, że to absurd, rozejrzałam się po sypialni w poszukiwaniu Franceski i pomacałam swoje rozpuszczone włosy. Znów zasnęłam i śniło mi się, że jestem jednym z ogniw łańcucha ludzi ratujących braciszka George'a Bailey, Harry'ego, który wpadł do zamarniętego stawu.

Rolę porannego koguta odgrywała dla mnie Greta, stukając do drzwi i wołając, że pora na nasze bieganie. Popędziłam na dół w piżamie i z czarną maseczką na oczy odsuniętą na czoło.

– Masz pojęcie, jak długo stukaliśmy?

– Przepraszam, przepraszam. – Wciąż byłam skupiona na Francesce. Prawdopodobnie nadal żyła i mieszała w Montanie. –

Biegnijmy. Jak chcesz, to przygotuję dla nas sok warzywny, kiedy skończymy? – Moje oferty pokojowe skierowane do Greta zawsze obejmowały zdrową żywność albo napój. Z Vicki było dokładnie odwrotnie.

Przez większość czasu nie zauważałam zapachu Coronado, bo spędzałam na wyspie każdy dzień, ale podczas naszych biegów wyraźnie czułam czysty zapach oceanu. Nasza społeczność była jak wystrawiona do białości, nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam śmieci na ziemi czy zgniecioną puszkę po piwie rzuconą na piasek. Kiedy ludzie zamykają oczy i wyobrażają sobie raj, widzą Coronado. Nie zawsze tak uważałam. Kiedy samochód babci pierwszy raz minął most, uznałam to miejsce za groteskowo surrealistyczne. Przede wszystkim całe hrabstwo San Diego wydawało się szaleńczo jaskrawe. Żadnych chmur ani zagajników, żeby przefiltrować słońce. Każdy dom lśnił czystością. Trawniki wyglądały jak sztuczna trawa. Ludzie idący ulicą wydawali się tacy wypoczęci i przyjaźliści. Jakbyśmy wjechały na plan filmowy reklamy proszku do prania. Spodziewałam się, że za chwilę zobaczę kobiety w cytrynowych letnich sukienkach rozwieszające ładne czyste ubrania na sznurkach. A potem zdałam sobie sprawę, że ich służące prasują w domach męskie koszule świeżo wyjęte z suszarek.

– Greta, myślisz, że Coronado to najpiękniejsze miejsce na ziemi? – zapytałam, kiedy minęliśmy dom na Cape Cod, który jak się zorientowałam, wyznaczał odległość jednego kilometra.

– Powiem ci, że bije na głowę Teksas – przyznała ze śmiechem. – Wiesz, że mogliby mnie zlinczować za powiedzenie czegoś takiego w Dallas? Zgodnie z prawem. Zdaje się, że określają to jako zdradę stanu.

– Zdradę stanu Teksas?

– W Teksasie kupno samochodu, który mało pali, to też zdrada.

– Naprawdę było tak źle? – zapytałam. – Siedziałaś tam osiem lat. Moim zdaniem to dlatego, że złamano ci tam serce.

Westchnęła, jakby chciała przyznać mi rację.

– Nie wiem, czy złamano mi serce, czy po prostu poważnie rozczarował mnie rozwój sytuacji. – Milczałam, mając nadzieję,

że powie coś więcej. – Naprawdę chciałam, żeby wyszło z Terry'm, ale cóż, w ogóle nie mogliśmy się dogadać. Chciałam robić różne rzeczy i bywać wśród ludzi, a dla Terry'ego to było nudziarstwo. Z początku myślałam, że uzupełniamy się z powodu tych różnych charakterów, ale potem to jego samozadowolenie, ten kompletny brak motywacji zaczął mnie doprowadzać do szatu. – Drżący z gniewu głos Greta przepelniała frustracją.

– Tacy są faceci. Chcą tylko siedzieć cały dzień na kanapie i oglądać sport w telewizji. Zawsze to kobiety nakręcają wydarzenia towarzyskie.

Greta się roześmiała.

– No cóż, nie sprowadzałabym tego tak szybko do kwestii różnicy płci. A poza tym kiedy mama nastraszyła nas tym guzem, zrozumiałam, że...

– Jakim guzem? – Zatrzymałam się.

– Nie zatrzymuj się, kochanie. Niedobrze jest tak nagle stawać – upomniała mnie czule. – Nic się nie stało. Okazał się łagodny, ale doszłam do wniosku, że jeśli nie myślę poważnie o osiedleniu się i założeniu rodziny w Teksasie, powinnam wrócić w rodzinne strony i być blisko ludzi, których naprawdę kocham.

– Jak mogłaś zataić przede mną, że twoja mama była zagrożona rakiem? Czemu nie powiedziałaś mi o czymś tak ważnym?!

– Mama nie chciała, żeby ktoś wiedział, bo wtedy wszyscy zaczynają cię inaczej traktować – wyjaśniła. – Mówi cichszym głosem, kładą ci rękę na ramieniu, pochylają głowę na bok i pytają: „No i jak się czujesz?”. – Roześmiała się. – Potrafię to zrozumieć. Nie chciała stać się Brendą-pacjentką chorą na raka. Ani Brendą z guzem.

– Ja bym tego nie robiła.

– Nie chciałabyś, ale mogłoby ci samo wyjść. W każdym razie nic jej nie jest, więc nie ma potrzeby jej o tym wspominać.

Biegłyśmy w milczeniu kilka kolejnych kilometrów, aż w końcu Greta zapytała, czy mam ochotę na kawę... Powiedziałam, że pójdę z nią do Starbucks, ale kawę sobie podaruję. Chciałam zacząć planować wyjazd do Missouli.

– Powiedz, jeśli uważasz, że to wariacki pomysł – zaczęłam.

– Nie ma wariackich pomysłów, są tylko wariaci.

– Poważnie – ciągnęłam, podczas gdy szliśmy szybkim krokiem. Myślałam o tym, że od czasu wypadku nigdy nie byłam w Missouli. Nigdy potem nie widziałam Franceski. Nie pamiętam, żebym się z nią pożegnała. W każdym razie chcę sprawdzić w sieci, czy ona nadal tam mieszka, a jeśli tak, chcę pojechać ją odwiedzić. Myślisz, że to wariactwo?

Greta uznała pomysł za znakomity.

– Nie wiem, czemu nie zrobiłaś tego wcześniej, ale pewnie musiaś dojrzeć do tej decyzji. – Pchnęła drzwi do Starbucks i przywitała chłopaka o pogodnej twarzy z czarnymi jak smoła włosami i przeklutym łukiem brwiowym.

– Dzień dobry Teksaska Herbatko. – Uśmiech. – Dzień dobry Kawko z Chudym Mlekiem – powiedział do mnie.

Uśmiechnęłam się zaskoczona, że ktoś może być taki szczęśliwy, podając kawę.

– Wystarczy Mona. Co się stało z tamtym drugim facetem?

– Jakim drugim facetem? – zapytał. – Tylko ja tu jestem. – Mrugnął.

Kiedy wracałam do domu, spotkałam kapitana Johna tradycyjnie w odprasowanej koszuli z krótkimi rękawami. Dziś wybrał ciemnopomarańczową, która ładnie harmonizowała z jego białymi włosami i beżowymi szortami.

– Dzień dobry panu – powiedziałam.

– Dzień dobry, Mona – odparł bardziej radosny niż kiedykolwiek. – Rozmawiałem z bratem, który mieszka w Nowym Jorku, i zeszłej nocy mieli atak mrozu. Nawet miał warstwę lodu na przedniej szybie, ha!

– W maju? – Byłam zdumiona.

– Trudno uwierzyć, prawda?

– Wydaje się pan dzisiaj taki szczęśliwy. – Chyba naprawdę się zarumienił, kiedy zapytałam: – Nowa dziewczyna?

John wyraźnie oniemiał, słysząc moją sugestię, za którą szybko przeprosiłam.

– To było niestosowne, proszę mi wybaczyć. Babcia zmyłaby mi głowę za takie odzywki do pana.

– Wszystko w porządku, moja droga. Przepraszam, że tak zareagowałem.

– Nie, nie to moja wina, przepraszam. Należy się panu każda chwila szczęścia po tym, jak stracił pan żonę.

John westchnął, jakbym przeklula mu nowy balon napelniony helem. Ależ ja mam talent do strzelania gaf. Oto miły starszy pan wdowiec cieszy się porankiem, być może pierwszy raz w tym roku, a ja wszystko psuję. Kapitan przyłożył rękę do serca i spuścił głowę. *Czy jest w pobliżu lekarz?!*

– Dobrze się pan czuje?! – spanikowałam.

– W porządku – odparł ze smutkiem. – Chyba nie masz pojęcia, jak bardzo... powinienem trzymać starą gębę na kłódkę.

– Nie mam pojęcia, jak bardzo co? – zapytałam. – Chce pan gdzieś usiąść? Proszę pozwolić, że zrobię panu szklankę soku z marchwi. Jesteśmy pół przecznicy od mojego domu. – Otoczyłam go ramieniem i ruszyliśmy w tempie starszego pana. Przyglądałam się, jak szurają jego białe buty z miękką podeszwą i pierwszy raz zauważyłam, jakie duże ma uszy.

Kapitan John był jednym z niewielu mężczyzn, którzy zgodzili się wypić sok z marchwi, którym ich poczęstowałam. Przeprósili, żeby „umyć ręce”, zanim sobie przypomniałam, że zmierza w stronę koszmarnego dzielka Victorii Hitchcock.

– Dobry Boże w niebiesiech! – Przez zamknięte drzwi usłyszałam, jak gwałtownie łapie powietrze. – Oryginalna latryna – skomentował po powrocie.

– Nie podoba się panu?

– Zachwycająca. Jestem fanem sztuki filmowej – przyznał. – Twoja babcia i ja dosyć często jeździliśmy do miasta, żeby oglądać filmy.

– Hm – zrobiłam się podejrzliwa. – A czemu nie tu, na wyspie?

– Wiesz, jak ludzie gadają. – Machnął ręką. – Mężczyźni i kobiety nie przyjaźnili się tak otwarcie jak dzisiaj. Jeżeli dżentelmeni i dama byli przyjaciółmi, niemal na pewno istniał jakieś podtekst.

Nabrałam powietrza i zadałam pytanie, nad którym w tym czy innym momencie zastanawiali się wszyscy na wyspie. Czulałam się winna, bo nigdy nie przesłuchiwałam kapitana w taki sposób, gdyby babcia żyła, ale miałam wrażenie, że przyszedł tu coś mi wyznać o to było.

– A istniał jakiś, ee, podtekst między panem a babcią?

– Z Caroline? – wymówił jej imię w taki sposób, że coś musiało w tym być. Jakby trzymał w rękach delikatny przedmiot z kolekcji. *Z Caroline?* Wypowiedział to imię z taką czułością, że pewnie chodziło o miłość. Zastanawiałam się, jak kapitan wprowadzi w życie zasadę „Nie pytaj, nie mów” teraz, gdy zdecydowanie i niedelikatnie zadałam to pytanie. – Absolutnie nie – odparł niemal obłudnie, obserwując, jak składałam zlej sokowirówce marchewki w ofierze. Zawahał się na mgnienie. – Chociaż głęboko ją kochałem. – Jego oczy wypełniły się łzami. – Sądzę, że uczucie to było wzajemne.

Jego słowa przeniosły mnie w czasy, kiedy tu nie mieszkalam, ale wyobraziłam sobie babcię nakładającą szminkę i oglądającą sobie zęby, jak to zwykle robiła przed ważnym wyjściem. Nigdy nie miał pozmiać jej osobistych dziwactw tak jak mąż, a jednak prawdopodobnie był powodem wielu jej rytuałów odprawianych przed lustrem.

Wręczyłam mu wysoką szklankę soku i usadziłam przy kuchennym blacie.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć. Czy nie po to pan tu przyjechał, John? Czy nie chciał pan powiedzieć komuś, jak bardzo tęskni pan za moją babcią? Czy nie czuje się pan trochę winny, kiedy wszyscy pytają, jak radzi pan sobie bez Anne, podczas gdy pan kochał Caroline? Mnie może pan powiedzieć. Też ją kochałam. Obiecuję, że nie będę was osądzać. Nie wy pierwsi na świecie mieliście romans.

– Romans? – John się zachnął. – Nie mieliśmy żadnego roman- su. Znałem pani dziadka. Caroline i Anne były przyjaciółkami. Musiałam pani wiedzieć, że nigdy nawet nie trzymaliśmy się za ręce. To była przyjaźń, młoda damo.

– Przyjaźń, która byłaby czymś więcej, gdybyście oboje nie byli związani małżeńskimi przysięgami?

W tym momencie jego oczy napelniły się łzami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESIĄTY PIĄTY

Tego ranka kapitan John spędził u mnie dwie godziny, opowiadając o babci więcej, niż kiedykolwiek wiedziałam. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam babcię jako kobietę mającą potrzebę emocjonalnego i fizycznego kontaktu z mężczyzną. Nie chodzi tylko o to, że była moją starszą babcią, stworzyła też wokół siebie lodowy mur, przez który trudno było zajrzeć. Udało mi się dostrzec jej porzucenie humoru, ale widziałam też chłód, jaki prezentowała światu.

– Pani dziadek był dobrym człowiekiem – zaczął John. – Stworzył ten biznes od zera, z niczego. A w chwili, gdy zmarł, zatrudniał pięćset osób. – John mówił jak człowiek, który czuje się winny. – W związku z tym stale siedział w biurze i Caroline była bardzo samotna. Pewnego dnia przyszła dać coś Anne na jakiś dobroczynny lunch, który razem organizowały i cóż, Anne musiała zapomnieć, że się z nią umówiła albo coś ją zatrzymało, nie pamiętam. W każdym razie zaczęliśmy rozmawiać i wtedy pierwszy raz widziałem twoją babcię uśmiechniętą i chociaż było to niestosowne, powiedziałem jej, że ma śliczny uśmiech. – Sytuacja była w najwyższym stopniu niezręczna, przyciągania między nami nie dało się zignorować. Oboje próbowaliśmy to w sobie zabić, ale pewnego dnia wpadliśmy na siebie przypadkiem i po prostu jej oświadczyłem, że najwyższy czas oczyścić atmosferę. Pojechaliliśmy na długą przejażdżkę i wszystko sobie wyznaliśmy. Nawet nie wiesz, co to była za ulga. Dla nas obojga, jak sądzę. W każdym razie wiedzieliśmy, że nic z tym nie możemy zrobić, co było bardzo trudne, i, choć mówię to z niechęcią, myślę, że trudniejsze dla niej, bo ja wciąż bardzo kochałem Anne. Twój dziadek był dobrym człowiekiem, ale zawsze nieobecny. Caroline i ja jeździliśmy na nasze wyprawy i raz na jakiś czas wymykaliśmy się na film do miasta, co mnie idealnie odpowiadało, ale twoją babcię bardzo unieszczęśliwiała. Kiedy wracaliśmy na wyspę, ja szedłem do domu, do Anne.

Na Caroline nikt nie czekał. Jej dom był pusty, bo twój dziadek wracał dopiero przed dziesiątą, jedenastą wieczorem, czasami później. Wreszcie Caroline wpadła w głęboką depresję. Co jakiś czas prosiła, żebym więcej do niej nie dzwonił, ponieważ zbyt trudno jej widywać kochaną osobę, z którą może spędzać tak mało czasu. Zachowanie platonicznej relacji było trudne dla nas obojga. Caroline była uprzejma wobec Anne, ale widziałem jej zazdrość. Zresztą sama się do tego przyznała. – John westchnął i zapytał, czy ma mówić dalej.

Skinęłam głową.

– Miała poważną depresję. Caroline zaczęła nawet brać te leki na poprawę nastroju, żeby pomogły jej przetrwać ataki płaczu. Ta biedna kobieta spędzała w końcu całe dnie w łóżku. Nie wiedziałem, co robić. Mono, nienawidzę siebie za to, że stałem się przyczyną jej bólu. Chciałem spędzać z nią więcej czasu, ale byłem żonaty. Ona zamężna. Daję ci słowo, że nigdy nawet się nie całowaliśmy.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego dla Johna takie ważne jest wyjaśnienie, że on i babcia nigdy nie nawiązali relacji fizycznej, podczas gdy najwyraźniej przeżywali romans. Czemu się nie całować? Czemu nie uprawiać seksu? Kilka razy zapewnił mnie, że nie zhańbił mojej babki, a jednak zastanawiałam się, czy nie były to po prostu rycerskie próby ratowania reputacji babci. Powiedział, że starał się szanować życzenie babci, gdy z nim zrywała, ale po kilku tygodniach zawsze w końcu dzwoniła, mówiąc, że postara się lepiej rozdzielać pewne sprawy.

– Caroline męczyła się z tym wszystkim, dopóki się nie zjawiłaś, Mono – ciągnął. – Szczerze mówiąc, sadzę, że ją uratowałaś. Jakis tydzień po twoim przybyciu zadzwoniła i poprosiła, żebym więcej do niej nie telefonował. Anna i ja spędzaliśmy wakacje na rejsie, więc nie słyszałem o wypadku ani o twoim wprowadzeniu się, rozśmiałem się zatem i zapytałem, jak długo przetrwają tym razem świeże postanowienia noworoczne. Była zimna jak lód, jak nigdy do tej pory, i powtórzyła, że to naprawdę koniec. Oświadczyła, że ma nastoletnią wnuczkę pod swoim dachem i gdyby wszystko się wydało, nie mogłaby stanowić odpowiedniego przykładu dla ciebie. I rzeczywiście, Caroline nigdy więcej nie zadzwoniła. Nigdy więcej nie

obejrzelśmy razem filmu ani nie pojechalśmy na przejażdżkę. Widywaliśmy się i zawsze zachowywała się serdecznie. Czasami zdarzały się takie chwile, kiedy coś między nami iskrzyło, ale twoja babcia zawsze odwracała wzrok albo kończyła rozmowę. Potem całkowicie pograżyła się w „Oczyszczyć Coronado” i aż do rozwiązania całej sprawy tylko tym żyła.

John przerwał na widok mojej zdziwionej miny.

– „Oczyszczyć Coronado”? – zapytałam.

– Jestem zaskoczony, że nie pamiętasz. Jakis rok po twoim wprowadzeniu się do Caroline powstał plan otwarcia klubu ze strip-tezem na Orange Avenue w pobliżu bazy. Mieszkańcy denerwowali się, że tego rodzaju miejsce przyciągnie na naszą wyspę nieodpowiednie towarzystwo, ale Caroline wykonała lwią część pracy, lobbując w sprawie utrzymania tych ludzi poza Coronado.

Jak na znak dany przez reżysera do kuchni weszła Vicki w jedwabnej piżamie.

– O rany! – jęknęła na widok kapitana. – Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Przedstawiłam ich sobie, Johna jako starego przyjaciela rodziny i Vicki jako moją ulubioną zadomowioną dekoratorkę. *Vicki, to John, który miał sercową aferę z moją babcią. John, to Vicki. Tańczy facetem na kolanach.*

– Jest pani rzeczywiście kreatywną młodą damą – pochwalił John. – Interesujący wystrój łazienki.

Vicki z miejsca oświadczyła, że urządziła też dwa pokoje gościnne na dole i przygotowuje się do „taryfikacji” salonu. Z podniecenia zaczęła szybciej mówić.

– Mam pana oprowadzić i pokazać, co zamierzam zrobić? Mona chce, żeby to była niespodzianka, ale strasznie bym chciała pokazać komuś, kto ją zna, jak wszystko będzie wyglądało. Cóż, mój brat został oprowadzony i zna Monę, ale to się nie liczy, bo tak naprawdę nie był zainteresowany, więc nie doczekałam się oceny, której tak potrzebuję. I która mi się należy. – Zachichotała. John uprzejmie skinął głową, zachęcając Vicki, by wyciągnęła do niego rękę, jakby właśnie przyjął zaproszenie do pokoju dla VIP-ów.

Splukałam szklankę Johna, myśląc o tym, co właśnie opowiedział na temat babci Caroline. Nie rozumiałam, dlaczego nie jestem przerażona, że moja babcia przeżyła być może pozamałżeński związek, chociaż czułam przygnębienie na myśl, że przez wszystkie te lata była nieszczęśliwa. Nie miałam pewności, czy jestem zła na Johna, że sprawił babci tyle bólu, czy wdzięczna mu za szczęście, jakie jej dał, nawet jeśli tylko wydzielał je po kropli.

– Och, to wspaniale! – wykrzyknął John w gościnnej sypialni.

– Podoba się panu? – Vicki pożałowała pochwał.

– Zachwycające. W pani dotyku jest magia, Vicki. Z pewnością wie pani, jak ożywić sypialnię.

Zadrzałam. Chociaż rozmawiali o dekoracji wnętrza, ścieżka dźwiękowa rozmowy okazała się kłopotliwa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Kiedy wprowadziłam nazwisko Franceski do komputerowej wyszukiwarki, miałam nadzieję dowiedzieć się przynajmniej, czy jeszcze żyje. Okazało się, że jej nie doceniłam, ponieważ nazwisko Franceski pojawiło się w wynikach wyszukiwania ponad siedemset razy. Zastanawiałam się, czy istnieją inne Franceski Greenwood i rzeczywiście istniały, ale moja zajęła większość cyberprzestrzeni artykułami swojego autorstwa, w których sprzeciwiała się wojnie z Irakiem, zalecała medytację dla starszych obywateli i pisała o zbliżających się obchodach dwusetletnia wyprawy Lewisa i Clarka⁵⁶. Francesca należała do rady dyrektorów domu spokojnej starości Hunter's Glen, była prezydentem Ligi Starszych Kobiet i nawet zaszła dość wysoko w wyścigu o miejsce w radzie miasta w 1992 roku, ogłoszonym przez Clintona Rokiem Kobiety. W najnowszych tyradach stawiała w obronie Dixie Chicks⁵⁷, które potępiły prezydenta Busha, i zwracała się do miasta Missoula, żeby podczas obchodów rocznicowych uwydatniły rolę Sacagawea, szesnastoletniej matki, która była przewodniczką ekspedycji. „Jeżeli istnieje ktoś, czym zasługom poświęca się mniej uwag niż zasługom kobiet, to są to rdzenni Amerykanie. Wiem, powinniśmy się cieszyć, że umieszczono Sacagawea na nowej monecie dolarowej, ale ponieważ jest używana niewiele częściej niż srebrna dolarówka z Susan B. Anthony, powiedziałabym, że my w Missouli nadal jesteśmy coś winni tej dziewczynie”, wywodziła Francesca. Była o wiele bardziej żywa niż kiedykolwiek miałam nadzieję.

⁵⁶ Wyprawa Lewisa i Clarka – bogato udokumentowana podróż badawcza po terenach zachodnich Stanów Zjednoczonych (1804–1806).

⁵⁷ Dixie Chicks – teksaski zespół country. Na koncercie w Londynie w 2003 r. jego członkinie oświadczyły: „Wstydzimy się, że prezydent Stanów Zjednoczonych pochodzi z Teksasu”.

Usiadłam wygodnie na krześle i otworzyłam kolejne strony, które zawierały jej nazwisko, licząc, że natrafię na jej adres mailowy. Nie udało mi się znaleźć żadnych danych kontaktowych, ale dowiedziałam się czegoś więcej o tym, co robiła Francesca od czasu wypadku. Dwa lata temu należała do komitetu, który kierował czterema tysiącami ochotników budujących teren zabaw Smocza Jama obok nowej ręcznie rzeźbionej karuzeli. Jej kampania wyborcza do rady miasta koncentrowała się na spowolnieniu przemysłowej i mieszkalnej zabudowy Missouli i upiększeniu ścieżki spacerowej wzdłuż rzeki Clark Fork. „Na South Hills i Miller Creek jest za dużo domów”, powiedział reporterowi. Rzeka Clark Fork. South Hills i Miller Creek. Nazwy, których nie słyszałam, nie wymawiałam ani nie czytałam od piętnastu lat, wywołały burzę w moim sercu. Przebiegłam artykuł wzrokiem aż do końca, gdzie Francesca została opisana jako jedyna, która przeżyła „wypadek Magicznego Autobusu w 1987”. Jedyna? Od czasu artykułów Jasona Blaira z „New York Timesa” żadna dwulinijkowa charakterystyka nie była równie nierzetelna. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że wyobraziłam sobie swoje życie w komunie. Czy życie poza Coronado kiedykolwiek istniało?

Usłyszałam charakterystyczny dźwięk oznaczający nadejście wiadomości.

Znowu szukasz w necie porno, Mona Lisa?

Ta zwykła złośliwa uwaga sprawiła, że wiedziałam. Moje życie miało dokładnie taki przebieg, jak zapamiętałam, a było do tego stopnia niewarte zapamiętania, że zniknęły wielkie jego kawały. Mona Lisa, moje egzystencjalne potwierdzenie, że rzeczywiście tu byłam. Na widok mailowego adresu Mike'a poczułam taką ekstatyczną radość, że byłam wdzięczna za elektroniczną tarczę, którą zapewnia komunikacja przez internet. Doprawdy, nie potrzebowałam męskiego szwajcarskiego psa, który widzi, jak nawijam włosy na wskazujący palec

* Jason Blair, reporter „NY Timesa” w 2003 r. przyłapany na zmyślaniu faktów i publikowaniu ich jako prawdziwych.

i podciągam kolana do piersi. Co za szczęście, że technologiczna ostoja nie pozwalała, żeby mój chichot dotarł do uszu Mike'a.

Hej, nieznamy, napisałam, a potem wymazałam. Zbyt oskarżycielskie. Och, hej, co jest? Silenie się na niedbały ton. Zastanawiam się nad zwykłym „cześć”, kiedy zdałam sobie sprawę, że czas na odpowiedź zdecydowanie za bardzo się przeciągnął.

Nie spisz jeszcze o takie porze? – zapytał Mike. Spojrzałam na zegar i zobaczyłam, że jest wpół do trzeciej nad ranem.

Szukam pewnej kobiety w Missouli. Chyba chcę tam wrócić i ją odwiedzić. Nie byłam tam od wyjazdu.

To samo da się powiedzieć o każdym miejscu.

Co za inteligentna uwaga jak na tak wczesną porę. A ty czemu nie spisz? Nie musisz sprowadzać porządnych Amerykanów na złą drogę swoimi przemyśleniami na temat potęgi penisa?

Myszę o różnych rzeczach. Życiu i różnych gównach, które człowiek chciałby zrobić, gdyby dostał drugą szansę.

Kim jesteś i co zrobiłeś z moim przyjacielem Mikiem?!

Uroczę.

Ja też? – zapytałam flirtując.

Kim jesteś i co zrobiłaś z moją przyjaciółką Moną?

Ostatnio nie za dobry z ciebie przyjaciel.

Przepraszam. Byłem zajęty pracą.

Kogo to obchodzi?

Myslałem, że ciebie.

Nie, chodziło o to, że kogo obchodzą twoje wymówki.

Gdybyś chciał do mnie zadzwonić, to byś zadzwonił – wymazałam, zastępując to jednym: Nie.

Masa pisania jak na jedno: „Nie”.

Przepraszam, musiałam ustać po wodę.

Ikona w programie pokazywała, że piszesz.

To się myliła! No dobra, powiedz mi coś.

Co?

Po prostu opowiedz, co się z tobą działo. Co chcesz.

Dokładnie to miałam na myśli. Nie miałam żadnego planu, żadnego scenariusza dialogu, który powinniśmy przeprowadzić. Mógł mi opowiadać o nowych świecach do samochodu i siedziałabym przy komputerze do wschodu słońca. Kiedy Adam dzielił się ze mną swoimi nadziejami na przyszłość, robiłam w duchu listę zakupów.

Nie jestem pewien, co powiedzieć – napisał.

Czy ty w ogóle za mną tęsknisz? – Zaryzykowałam. Widziałam ikonkę wskazującą, że pisze. I pisze. I jeszcze pisze. To mogło być brutalne. Ile potrzeba czasu, żeby napisać...

Tak.

Osunęłam się na krzesło, czując jeszcze większą ulgę, że nie może mnie widzieć. Chciałam zapytać, czemu Mike pozwolił, żeby nasza przyjaźń osunęła się do poziomu, z którego musi za mną tęsknić, ale się powstrzymałam, żeby nie wyjść na wariatkę, którą w istocie byłam. Przeszukując mentalne archiwa w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym powiedzieć, niczego nie znalazłam.

Też za tobą tęsknię – wyznałam. – Ale nie musiałbyś za mną tęsknić, gdybyś podniósł tę cholerną słuchawkę i do mnie zadzwonił.

Przepraszam. To był szalony miesiąc w pracy. Poza tym mnie splawiłaś, pamiętasz?

Zakończyłam naszą relację biznesową, a nie splawiłam cię. Wielka różnica.

Więc opowiedz mi o tej kobiecie w Missouli, którą chcesz odwiedzić? Jest miłutka?

Ma prawie osiemdziesiątkę. Co mi o czymś przypomina: mam wrażenie, że twoja siostra niebezpiecznie podnieciła dziś rano dawnego chłopaka mojej babci. Takie rzeczy są normalne u was w rodzinie?

Kiedy chcesz ją odwiedzić?

Nie jestem pewna. A czemu pytasz?

Zastanawiam się, czy miałabyś ochotę na towarzysstwo.

Twoje?

Nie, Adama. Powinnaś go zabrać, żeby sprawdzić, jak się odniesie do twojej przeszłości i starszej pani w Missouli.

Och, nie sądzę, żeby go to obchodziło. Zbyt przyziemne.

Zartuj, ofiaro! Oczywiście, że moje.

Ostatnim razem, kiedy widziałam się z Adamem, powiedział mi, że jestem zdumiewająca. Zdumiewająca. Przez całe moje kompletnie niezrozumiałe życie nigdy nikogo nie wprawiałam w zdumienie. I oto przystojny, solidny mężczyzna – mężczyzna, dla którego zmieniłam swoje życie – mówi mi, że jestem zdumiewająca, a ja ledwie jestem w stanie wykrzesać z siebie dość entuzjazmu, żeby mu podziękować. Mike z kolei, mężczyzna, którego wybrałam dlatego, że reprezentował to, co najgorsze w męskiej formie życia, nazywa mnie ofiarą, a ja się rumienię.

Rozpaczliwie chciałam mu powiedzieć, że może pojechać ze mną do Missouli, ale ociągałam się z napisaniem tego. Może byłoby lepiej, gdybym odbyła tę podróż sama. Niepotrzebny mi był dodatkowy stres wywołany głupimi żarcikami Mike'a na temat pacyfki na Waterworks Hill i wyraźnie małymasteczkowego klimatu Missouli. Nie chciałam też, żeby Francesca uznała Mike'a za mojego chłopaka i w duchu zastanawiała się, w którym momencie włączyłam się w życie przeciętnych obywateli, tak pogardzane przez naszą rodzinę. Poza tym wizyta w Missouli może być dla mnie emocjonalnie przytłaczająca, to nie wysokogórski obóz wspinaczkowy, który pewnie wyobraża sobie Mike. Samotna wyprawa była zdecydowanie lepszym wyborem.

Okej – napisałam, potrzymałam chwilę palec nad klawiszem „wyslij”, a potem go nacisnęłam. Nie powinnam była tego napisać. Gdzie jest od-wyslij? Ten facet potrafi zniknąć z mojego życia, a potem się w nim pojawić, kiedy mu to pasuje. Absolutnie nie powinnam dzielić tak bardzo osobistego przeżycia jak ta podróż z typkiem pokroju Mike'a Dougherty'ego. Ten gnojek napisze pewnie felieton o wszystkich hipiskach, które przeleciał w Missouli. Czemu marnuję energię na faceta takiego jak Mike, kiedy jestem tak blisko zakończenia „a potem żyli długo i szczęśliwie” z Adamem?

Kiedy lecimy? – zapytał.

Zrobiłam rezerwację, żeby odwiedzić Missoulę w środku maja i wyjechać przed uroczystościami rocznicowymi. Chciałam zobaczyć miasto w jego zwykłym stanie, nie z turystami poubieranymi w dziewiętnastowieczne stroje, kapelusze z futra szopa i indiańskie ozdoby na głowę. To jakby ktoś z Nowego Orleanu urządził wielki powrót do domu w czasie Mardi Gras. Chciałam zobaczyć Missoulę taką, jak ją zapamiętałam, jeśli oczywiście da się coś takiego zrobić z pokoju w hotelu Sacagawea Inn.

Kiedy kilka dni później zadzwoniłam do Franceski, rozplakała się, gdy tylko jej powiedziałam, że to ja. Planowałam, że jej przypomnę, skąd mnie zna, chociaż teraz ta koncepcja wydaje się kompletnie absurdalna.

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz – rozszlochala się na dźwięk mojego głosu.

Dopóki tego nie powiedziała, nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, czemu nie utrzymywała z mną kontaktu przez wszystkie te lata. Na pewno znała adres i numer telefonu babci. Ale nasza pierwsza rozmowa po piętnastu latach nie wydała mi się odpowiednim momentem, żeby o to pytać.

– Opowiedz mi o swoim życiu, Mona – poprosiła Francesca, a ja poczułam przerażenie z powodu nieistniejącej listy moich osiągnięć. Oczekiwała pewnie, że jej opowiem o służbie w korpucie pokojku albo o tym, jak założyłam szkołę dla bezdomnych paralityków. Pożałowałam, że do niej zadzwoniłam. Pożałowałam, że zapowiedziałam swoją wizytę. Kochałam ją, oczywiście. Bałam się jednak, że nie zniosę nieuniknionego wyrazu rozczarowania na jej twarzy, kiedy się dowie, że nie odcisnęłam nawet najmniejszego śladu w świecie. Byłam przerażona, że zobaczę Francescę, bo chociaż nigdy wcześniej to do mnie nie dotarło, niewypowiedziane zobowiązanie nakazywało nam obu, żebyśmy czyniły dobro, którego tamci nie mogli uczynić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Czemu kobiety pytają, co znaczy wyraz twarzy mężczyzny? Nie nie znaczy. Kobiety. Najpierw narzekają, że nas za rzadko widują, a kiedy nas widują, starają się jak cholera, żebyśmy chcieli być gdzie indziej.

Pieskie życie, czerwiec

Tygodnie mijaly bez żadnych wstrząsających wydarzeń. Zaczęłam lekcje śpiewu z Oliem, trenowałam przed pierwszym meczem bokserkim zaplanowanym z inną dziewczyną wagi koguciej, też nowicjuszką, i przyglądałam się Vicki biegającej po domu z próbkami materiałów, podłóg i katalogami oświetlenia. Uzgadniałam z nią moje preferencje stylistyczne, ale wyglądało to wszystko trochę tak, jakbym obserwowała kogoś, kto planuje dla mnie przyjęcie niespodziankę. Była tak pogrążona w pracy, że czasami nie słyszała, jak wchodzi. Obserwowałam, jak sprężystym krokiem chodzi po domu z zestawem głośnomówiącym i rozmawia z Frederikiem, projektantem, z którym współpracowała. Kiedy się słuchało jej rozmów telefonicznych, było jasne, że stara się zostać jego protegowaną. Docierały do mnie tylko reakcje Vicki na to, co mówił Frederique, ale wydawało się, że zdobyła szacunek projektanta i była na dobrej drodze, by trafić pod jego dobrze opierzone skrzydła.

Odbylałam serię drętowych randek z Adamem. Nie mogłam zrozumieć, czemu wciąż się z nim umawiam, ale za każdym razem, kiedy prosił mnie o spotkanie, udawałam podniecenie i przyjmowałam zaproszenie. Greta orzekła, że boję się zrezygnować z tego, czego, jak sądzę, chcę, bo nie jestem całkiem pewna, czego chcę naprawdę. Mój pogląd na sprawę był mniej skomplikowany. Nasze role uległy całkowitemu odwróceniu. W zeszłym roku Adam miał niejasną świadomość mojego istnienia. Byłam dodatkiem do babci, osoby

należącej do grupy bogatych klientów jego ojca. Nawet od strony zawodowej nie prezentowałam się dla Adama interesująco, ponieważ chciał skierować uwagę firmy na obsługę rozwijających się rynków. Konkretnie technologicznych. Trudno uznać, że wypełnianie naszych zeznań podatkowych było dla niego fascynujące. Teraz wszystko to się zmieniło. Teraz on sprawiał wrażenie trafionego, zachwyconego, że jest ze mną. Podczas niektórych wieczorów patrzył mi w oczy tym odwiecznym spojrzeniem, które z takim trudem starałam się z niego wydobyć, i to mnie przerażało. Po części ponieważ wiedziałam, że zakochuje się w kobiecie, której podoba się Ozfest i która twierdziła, iż „zabilaby za bilety na playoffy”. Po części ponieważ wiedziałam, że wcześniej czy później Adam zechce przenieść naszą znajomość na inny poziom, a nie byłam całkiem pewna, czy zdołam się oprzeć temu, co zaproponuje. Bezsilność, którą czułam przez całe życie, miała swoje plusy. Nigdy nie zламаłam nikomu serca. Nigdy nie musiałam odrzucić żadnej propozycji. Nie mogłam znieść świadomości, że to ja opuszczę topór na szyję Adama, ponieważ Adam był mną. Jasne, nie urządził na moje konto przedstawień – chyba że jego zdaniem mandat za przekroczenie szybkości w ostatni weekend miał mu dodać uroku w moich oczach – ale wyraźnie chciał, żeby nasz związek się rozwijał. Nie potrafiłam z czystym sumieniem tego zniszczyć. Czytałam kiedyś powieść, w której kobieta znalazła nową żonę dla swojego męża, żeby móc odjechać od niego do innego mężczyzny bez poczucia winy. Może to właśnie zrobię – znajdę kogoś dla Adama. E, nie.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wychodzę na strasznie zarozumiałą. Mężczyźni byli rzucani już wcześniej i bez trudu dochodzili do siebie. Ogólnie rzecz biorąc, stają z powrotem na nogi w parę godzin, a nawet w parę minut, jeśli mogą piechotą dojść do baru napakowanego panienkami. Zdaję sobie sprawę, że chodziło tu – jak powiedziałaaby Greta – bardziej o mnie niż o Adama. A jednak świadomość tego nie pomagała mi przezwyciężyć paraliżu, który utrzymywał mnie w tym martwym, stęchłym i autentycznie nudnym związku.

Ta gorsza część mnie wiedziała, że trzymam się Adama, bo miło jest mieć kogoś, kto mnie adoruje. Mike i ja flirtowaliśmy, ale

wyobrażałam już sobie, co by się stało, gdybyśmy zaczęli umawiać się na randki. Wszystko byłoby cudownie ekscytujące przez jakieś dwa tygodnie, zanim Mike umieściłby (emocjonalnie) moją głowę na ścianie jako trofeum z polowania na laski i odszedł do następnej kobiety. Naczytałam się o facetach tego typu we wstępnym szkicu nowej książki Greta *Hej, to mój były w innych spodniach!*

Kiedy spotkałam się z Mikiem na lotnisku, pomyślałam sobie, że może nie jest takim parszywcem, jakim starał się być. Ubrany w ręcznie farbowany T-shirt i mocno znoszone dżinsy trzymał w ręku plecak i zamszową kurtkę, wyglądał, jakby usiłował wpasować się w klimat Missouli. – Hej, bracie, pokój, miłość i cały ten jazz. – Nachyliłam się, żeby pocałować go w policzek. W jednej chwili poczułam, że jest moim najlepszym przyjacielem.

– Wyglądam jak osioł? – zapytał, kiedy szukaliśmy miejsca w poczekalni przed bramką wejściową.

– Kochanie, jesteś osłem. – Uśmiechnęłam się. – Ale nie da się tego stwierdzić na oko. Wyglądasz dobrze. – Zaryzykowałam. – Wyglądasz słodziutko.

Kiedy zaczęliśmy podchodzić do lądowania w Missouli, czułam, że moje wnętrze to plastik w piekarniku. Wszystko się topiło, kurczyło i cuchnęło strachem, gdy przypominałam sobie, kiedy ostatni raz widziałam ten krajobraz. Mimo że się zmienił. Więcej dróg. Więcej samochodów po nich krążących. Więcej budynków i domów, ale to wciąż była Montana. Góry wznosiły ku niebu postrzępione wściekłe szczyty, które wyglądały, jakby mogły rozerwać człowieka na strzępy, zupełnie inaczej niż miękkie suche wzgórza San Diego.

– Jesteś gotowa, Mona Lisa? – zapytał Mike.

– Nie wiem – odparłam, żalując, że nie umiem wymyślić czegoś bardziej przenikliwego. Ale nie wiedziałam, a przenikliwość jeszcze mnie nie przeniknęła.

W drodze do Franceski, do domu spokojnej starości, czułam, jak lzy napływają mi do oczu na widok gęstych klonów, dębów, sosen i czarnych topoli. To właśnie się nie zmieniło, to były cechy charakterystyczne tego terenu. Czułam się, jakbym patrzyła na

dziecięce zdjęcie przyjaciela i rozpoznawała jego rysy. Kiedy oglądałam zdjęcia Greta ze Świętym Mikołajem, zawsze myślałam: „Znam ten nos, widzę te oczka. Widzę ją tam”. I widzę też moje miasto, ale wyrosnięte. Reserve Street poszerzyła się jak brzuch człowieka w średnim wieku. Costco, Home Depot i Wal-Mart zajmowały ziemię, przez którą pchałam taczkę w drodze na rynek w weekendy.

Hipisi – studenci uniwersytetu włożyli się po ulicach, poważnie dyskutując o polityce od lewicowej do bardziej lewicowej. Chłopcy z dreadami grali w zośkę, a ich dziewczyny z dziećmiakami w chustach zakładanych na ramię siedziały na trawie na wełnianych kocach. Westchnęłam z ulgą na widok parku, w którym więcej było gitar i latawców niż butów. Pewne rzeczy się nie zmieniają. Kawiarnia Loose Caboose, urządzona na wzór wagonu kolejowego, nie została pochłonięta przez Starbucks (którego, jak się później dowiedziałam, relegowano na tyły Barnes&Nobles).

Dla mnie jednak wszystkie zośki i latawce spadły na ziemię, a wagon z kawą zahamował z piskiem, kiedy zobaczyłam, że z Waterworks Hill usunięto pacyfkę. Podobnie jak to, co ów znak reprezentował, sam symbol pokoju stale niszczone, po czym za parę dni w tajemniczy sposób ponownie się pojawiał. Rada miasta uważała, że pacyfka na zbozczu wzgórze brzydko wygląda. Hipisi uważali, że wszędzie pasuje. Ale Francesca powiedziała nam później, że pacyfki nie ma na wzgórze już od lat.

Francesca czekała przy wejściu do Hunter's Glen w szedelkowym pomarańczowo-brązowym ponczu, które okrywało ją jak serweta. Centralny punkt jej postaci stanowiły długie białe włosy zebrane w koński ogon na karku. Nie byłam przygotowana na to, jak krucha wyda mi się Francesca na pierwszy rzut oka, ale wrażenie wywołane jej kościstymi łokciami i pomarszczonymi policzkami zniknęło, gdy otworzyła usta i wydała okrzyk czystej radości.

– Moja mała, moja dziewczynka! – Jej ramiona sięgały nieba jak ramiona Mojżesza rozdzielającego Morze Czerwone. Ujęła moją twarz w dłonie i ucałowała czoło, brodę, policzki i usta. – Niech ci się przyjrzy, mała – powiedziała, patrząc badawczo.

Gdyby Francesca należała do babć używających szminki, nie za wiele zostałoby jej do oglądania, ale ona zostawiła mi tylko polyskujące ślady balsamu do ust o zapachu mięty.

– Wiedziałam, że któregoś dnia mnie odnajdziesz. – Chwycałam jej rękę. – Chodźmy na górę, do mnie. Ty musisz być Mike. – Wyciągnęła do niego swoją cienką jak listek dłoń.

– Miło mi cię poznać, Francesco. Mona opowiedziała mi masę wspaniałych historii o tym, jak razem mieszkałyście.

O mój Boże. Słysząc, że jest zdegenerowany.

Francesca westchnęła ze smutkiem, a potem ruchem ręki pokazała, żebyśmy ruszyli do jej mieszkania. Szła powoli jak kapitan John, tylko nieznacznie unosząc stopy nad podłogę. Charakterystyczny dla starszych posuwisty krok.

– To były piękne czasy, wtedy w domu. Raj – powiedziała, kiwając głową nad tym, co niewypowiedziane.

Byliśmy z Mikiem w Missouli przez tydzień, a większość czasu spędziliśmy z Francescą, która wciąż jeszcze prowadziła samochód. Prawie krzyknęłam z radości, kiedy zobaczyłam, że miała jeszcze minibus volkswagena z naszymi rysunkami na bokach. Licznik pokazywał trochę ponad dwieście osiemdziesiąt dziewięć tysięcy kilometrów, ale może się zepsuł jak większość rzeczy w busie. Ciągnęło mnie do części z tęczą i serduszkami, które Jessica i ja namalowałyśmy, robiąc kropki korektorem. Przypomniałam sobie, jak Jessica z falującymi spletanymi rudymi włosami i piegowatą buzią stała obok mnie, pytając, kto w ogóle jeździ takimi głupimi busami.

– To był nasz autobus – powiedziała Francesca do Mike'a. – Małe grupki, wyprawy do kina i takie tam – ciągnęła.

– W ogóle nie chodziliśmy do kina! – zaprotestowałam.

– Twoja krótka pamięć lamie mi serce – oznajmiła Francesca. – Widzieliśmy razem w kinie *It's a Wonderful Life* najwyżej cztery tysiące razy. Jak myślisz, czemu twoja mama wyszła ten księżyc na pokryciu waszego sufitu? – *Księżyc? Myślałam, że to było słońce.* – Bez ustanku mówiłaś, że złapiesz księżyc na łące. Takie było z ciebie słodkie dziecko. Powiedzieliś, że tak bardzo nas kochasz, że złapiesz dla nas księżyc na łące. – Zwróciła się do Mike'a. – Strasznie

lubiała dramatyzować, wiesz? W każdym razie tylko ten jeden film grali w kinie przez pierwszy rok, kiedy tu mieszkaliśmy. Bóg jeden wie, czemu akurat go wybrali. Pewnie niczego innego nie udało się im ściągnąć. No i w każdy weekend, czy się waliło, czy paliło, Mona ładowała się do busa i przyłączała do tego, kto akurat jechał do kina.

Wiedziałam, co zobaczę z tyłu minibusu, więc unikałam patrze-
nia tam przez pierwsze trzy dni naszej wizyty, ale w końcu nie mogłam się oprzeć i zerknęłam. Usiadłam na żwirowym podejściu i zmierzałam się z widokiem odcisków dłoni, które, choć nigdy nam to nie przyszło do głowy, stały się czymś w rodzaju cmentarnego pomnika. Kiedy skończyliśmy ozdabiać autobusik, wszyscy zanurzyli dlonie w wiadrze z zieloną farbą i z tyłu samochodu zostawili swoje odciski.

– Który jest twój? – zapytał Mike, siadając obok. W odpowiedzi przykryłam dłoń swoją nieco mniejszy zielony ślad.

– Ten jest mojej najlepszej przyjaciółki Jessiki. – Przesunęłam rękę. – Tam tego chłopaka, który... – Nie mogłam dokończyć. Po twarzy spływał mi tusz i wytarłam nos w rękaw. Po kilku minutach spróbowałam sobie przypomnieć, które odciski dłoni należały do moich rodziców, młodszych braci Oscara i Davida, Franceski, Freddy'ego, Jacqueline, Asi, Morgana, Scotta, Lany, Leah, Mai, Karah, Lilac i Teddy'ego.

Zgrzyt żwiru obwieścił przybycie Franceski.

– Nie masz pojęcia, jak się musiałam napracować, żeby zdobyć ten autobusik, Mona, Nie jeżdżę nim zbyt często, więc nigdy nie zobaczę, jak się rozspuje. – Stała obok Mike'a i mnie, rozważając zajęcie miejsca na żwirze. – Pomożesz starszej damie się podnieść, prawda, Panie Męski? – żartobliwie zwróciła się do Mike'a.

Po pierwszej godzinie naszej wizyty Francesca i Mike byli związani nicią przyjaźni. Oświadczyła, że czytała jego rubrykę i że ani przez chwilę nie dała się nabrać.

– Jesteś bardzo zagubionym młodym człowiekiem, który ukrywa się za masą bezczelności, wiesz?

– Całkiem trafne podsumowanie – przyznał ze śmiechem, wzruszając ramionami.

Francesca rozpostarła spódnicę na żwirze i ciągnęła opowieść o minibusie.

– Był zarejestrowany na nazwisko twojego ojca, ale on zostawił wszystko tobie i, cóż, tobie. Byłaś nieletnia, nie mogłaś nim jeździć, więc musiałam kupić go od twojej babki, która nie ułatwiała mi sprawy. W każdym razie po dziewięciu miesiącach ostatecznie dokonała przeniesienia własności na moje nazwisko, ale nie bez licznych kłótni. Była taka zła na twojego ojca z powodu wypadku. I była zła na mnie. Ale ja kochałam ten busik z nagryzonymi przez wszystkie dzieciaki rysunkami i odciskami dłoni. Ten autobus to moja ściana pamięci.

– Czemu była zła na ciebie? – zapytałam Franceskę. – Czemu była zła na tatusia? – Słowo „tatus” nie opuściło moich ust od dnia wypadku. „Zrób im piekło, tatusiu”, powiedziałam, trochę żartując z ich bezskutecznych antynuklearnych wysiłków. Pokazał mi uniesione kciuki i powiedział, że mnie kocha, po czym zamknął drzwi szkolnego autobusu. Używałam słowa „ojciec”, mając na myśli czyjegoś ojca. Używałam nawet słowa „tata”, ale zawsze poprzedzonego określeniem „twój”. Słowa „tatus” nie wymawiałam od tylu lat, że niemal spodziewałam się, że utknie mi w gardle, jakby to była stara maszyna włączona po raz pierwszy od lat. Albo stary kran strzelający zardzewiałą wodą.

– Po prostu była zła, Mona – odparła Francesca. – Nie miała powodu złościć się na mnie i mimo tego, co wszyscy mówili, ten wypadek nie nastąpił z winy twojego ojca. Tamtego dnia warunki na drodze były okropne, ale kiedy zrobiło się zbyt ciężko, żeby jechać, znajdowali się w połowie drogi.

– Kto powiedział, że wypadek był z winy tatusia?

Francesca machnęła ręką, jakby odganiała powolne muchy sprzed twarzy.

– Niektórzy chcą znaleźć kogoś, kogo można obwinąć, kiedy wydarza się taka tragedia. Uważają, że jeżeli banda hipisów żyje w komunie, w grę muszą wchodzić narkotyki. Po mieście krążyło sporo plotek, na przykład, że był naćpany, wiesz, tego rodzaju gadanie, w jakie bawią się ludzie niemający nic do roboty.

Przesunęłam stopą po żwirze, żeby przerwać śmiertelną ciszę. Mike wstał, otrzepał dżinsy i powiedział, że się przejdzie.

– Powinnyscie chyba porozmawiać beze mnie – oświadczył.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Poniekąd chciałam, żeby Mike został i usłyszał, jak Francesca zaprzecza twierdzeniu, że mój ojciec ponosił jakąś odpowiedzialność za wypadek. Z drugiej strony czułam ulgę, że odchodzi, bo mogłby usłyszeć jakieś okropne rzeczy. Może Francesca potwierdzi tamte zarzuty? Jednak gdzieś w głębi ducha czułam ból, że Mike mnie zostawia, bo nie chce wiedzieć o mnie takich rzeczy. Lekcje striptizu, piłkarzyki i nocne mailowanie odpowiadały jego wrażliwości, ale postawiony twarzą w twarz z moim prawdziwym życiem – sprawami, o których nikt nie powinien wiedzieć – postanowił się nie mieszać. Chociaż myśl o zniknięciu Mike'a była niepokojąca, bardziej interesowało mnie to, co ujawniła – na razie częściowo – Francesca.

– A był? – zapytałam z wahaniem. – To znaczy naćpany?

– Był czysty, Mona. – Francesca przysunęła się do mnie i kościstymi palcami odgarnęła mi włosy z oczu. – Będziesz w stanie mnie podnieść, teraz, kiedy nie mamy Pana Umięśnionego do pomocy?

– Dam sobie radę – powiedziałam. – Naprawdę był czysty czy po prostu mówisz mi to, co chcę usłyszeć?

– Mona, czy ja kiedykolwiek powiedziałam coś komuś dlatego, że chciał to usłyszeć? Paliliśmy w domu masę trawy, ale mieliśmy pewne żelazne zasady. Nigdy nie paliliśmy przy dzieciach i upaleni nie prowadziliśmy ani nie obsługiwaliśmy sprzętu, który był na farmie. Większość z nas uważała te zasady za głupie, bo wszyscy tysiące razy jeździliśmy upaleni i nic się nie działo, a część z nas była zdania, że skoro palimy, nie powinniśmy ukrywać tego przed wami, dziećciakami. Twoja mama była jednak stanowcza i wszyscy się podporządkowaliśmy, ponieważ ją szanowaliśmy i chcieliśmy stworzyć miejsce, gdzie słyszy się każdy głos.

Usłyszałam siedemnaście głosów krzyczących z przerażenia.

– W każdym razie wstałam tego ranka o szóstej razem ze wszystkimi i nikt nie palił, a wiem, że Andy nie skręcałby jointa w autobusie z dziećmi, ale to nie powstrzymało spekulacji. Dziennikarze byli w swoim żywiole. Z miejsca znaleźli chwytliwą nazwę dla naszego szkolnego autobusu – magiczny autobus. Starannie się pilnowali, aby pisać, że zarzuty o prowadzeniu pod wpływem narkotyków były właśnie tym – zarzutami. Ale zrobili z tej historii aferę na cały kraj, z całym tym głupim gadaniem na temat naszych działań społecznych, palenia trawy i życia w komunie. Zupełnie jakby śmierć siedemnastu ludzkich istot im nie wystarczyła.

Francesca zorientowała się, że słyszę o tym wszystkim po raz pierwszy i zamilkła.

– Babcia nie powiedziała ci tego wszystkiego?

– Potrzaśnięłam głową.

– Nie twierdzą, że jestem zaskoczona, nie po tym, jak się tu zachowywała – podjęła. – Zrozumiałam, że każdy w inny sposób reaguje na tragedię, a sposobem twojej babci była najwyraźniej wściekłość, ale miałam nadzieję, że któregoś dnia wyjaśni ci, że te wszystkie doniesienia prasowe nie były prawdziwe.

– Nawet nie wiedziałam o doniesieniach w prasie – powiedziałam.

– Nigdy nie zapomnę tej kobiety. Weszła do naszego domu, jakby do niej należała, co właściwie nie było dalekie od prawdy, skoro pozyczyła nam sto tysięcy na budowę. Była wściekła na mnie za to tylko, że żyję. Nie wiele się odzywała, ale jej furia była jak tlenek węgla. Nie widać go, nie słychać, ale jest zabójczy. Zachowywała się tak przez jakieś czterdzieści minut, a potem dostała hysterii. Rzuciła się po domu, krzycząc, że jest obrażającą brudny, więc to cud, że wszyscy przeżyliśmy tak długo. Potem chwyciła zdjęcie twojego ojca i mamy i – nigdy tego nie zapomnę – wrzasnęła: „Mówiłam ci, żebyś nie wychodziła za tego włóczęgę!”, po czym rzuciła ramkę przez pokój i zaczęła krzyczeć: „Dostał to, na co zasłużył, ale te dzieci były niewinne”. Wreszcie padła na podłogę z płaczem, więc podeszłam ją pocieszyć, ale zaczęła wrzeszczeć także na mnie, że chciałam być lepszą matką dla was wszystkich i proszę, do czego to doprowadziło.

– O mój Boże – weszłam jej w słowo. – Jakie to okropne! Tak mi przykro, że coś podobnego powiedziała. Wiesz, że nie miała na myśli nic złego, prawda? Po prostu zła była na żaloba. Babcia była naprawdę cudowną osobą, Francesco. Wiem, że gdyby żyła, teraz by cię przeprosiła. Naprawdę. Po prostu wiem.

Francesca westchnęła przepaszając, teraz dopiero się dowiadując, że babcia nie żyje. Ciągnęła łagodniejszym głosem.

– Dzwoniłam do ciebie kilkanaście razy, Mona. Tak bardzo chciałam, żebyśmy pozostały w kontakcie. Parę pierwszych razy po prostu odkładała słuchawkę, gdy tylko słyszała moje nazwisko. Potem zaczęłyśmy się kontaktować przez prawników w sprawie minibusu i własności domu. Po jakimś czasie odpuściła. Pewnie nie wiedziała, co zrobić z tym starym śmieciem – wskazała na minibus. – Ostatnim razem, kiedy zadzwoniłam, gdzieś tak rok po twoim wyjeździe z Montany, była całkiem miła. Wreszcie żywciała. Ale wyjaśniła, że zaczynasz nowe życie, a moja w nim obecność zawsze byłaby bolesnym przypomnieniem przeszłości.

Musiałam sobie to wszystko przemyśleć. Gdzie byłam, kiedy babcia szalała po naszym wspólnym domu jak burza? Czemu nie słyszałam ani jednej wiadomości o tak zwanym magicznym autobusie? Gdzie byłam, kiedy dzwoniła Francesca?

A potem zdałam sobie sprawę, że najważniejsze chwile w życiu są właśnie tym. Chwilami. I jeżeli siedzisz na plaży, kiedy dzwoni telefon, przegapisz tę rozmowę. Tylko że moje życie jeszcze kilka miesięcy temu polegało na siedzeniu przy telefonie, a nie na spacerach po plaży. Jakim cudem tak wiele przeoczyłam, kiedy nie działo się nic innego?

Zanim wyjechaliśmy z Montany, Francesca powiedziała, że ma kilka moich rzeczy, które chce mi zwrócić.

– Mam wyjść? – zapytał Mike.

– Zostań – poprosiłam i powstrzymałam się od wdawania w detale. Nie dodałam: „Jeśli chcesz”. Gdyby wymknęło mi się: „Zostań na zawsze”, chybabym się zabiła. *Jeżeli zostanie, kocha mnie, a jeżeli wyjdzie, jesteśmy tylko przyjaciółmi*, w duchu zrywałam kolejne płatki.

– Okej. – Wzruszył ramionami. *Czemu musiał wzruszyć ramionami? Zastanawiałam się, ale nie zapytałam.*

Świetnie, wzruszaj sobie, czym chcesz. Nawet tego nie zauważ, bo nie należę do dziewczyn, które opisujesz w tej swojej rubryce!

– Czemu wzruszasz ramionami? – wyrwało mi się.

– Hę? – zapytał Mike. – Czemu co?

– Wzruszasz ramionami? Powiedziałeś „okej”, a potem wzruszyłeś ramionami, jakbyś nie był pewien czy co albo...

Francesca weszła mi w słowo, bez wątpienia ubolewając, że w kontaktach z ludźmi stałam się takim gluptasem.

– Może Michael pomoże mi przynieść karton z twoimi rzeczami z magazynu?

Dwadzieścia minut później usłyszałam zbliżające się głosy Franceski i Mike'a, a to, co za chwilę zobaczyłam, po prostu mną wstrząsnęło. Francesca przytrzymała drzwi dla Mike'a, który niósł oklejone taśmą zakurzone pudło z wypisanym na nim moim nazwiskiem. Moja przeszłość otwierała drzwi przyszłości, która obejmowała moją przeszłość.

Mike umieścił pudło na kuchennym stole i sięgnął do kieszeni dżinsów po szwajcarski scyzoryk, żeby przeciąć taśmę. Kiedy odginal kartonowe boki, poczułam znajomy zapach dymu z naszego kominka przebijający się przez piętnaście lat kurzu zebranego na pudle.

Pozółkły Iniany obrus z czerwonymi kwiatami wyszytymi wzdłuż brzegu. Pamiętam, jak przyglądałam się mamie, która haftowała te kwiaty na białym płótnie.

Boże oko z włóczki w kolorach tęczy, pamiętam, jak zrobiliśmy je z Jessicą w pierwszym tygodniu po wprowadzeniu się do domu.

Dziennik mojej matki.

Album ślubnych zdjęć rodziców, tak stary, że sam się otworzył na zdjęciu, gdzie patrzą na siebie, trzymając się za ręce na opadającym brzegu jakiegoś jeziora. Zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie się pobrali, chociaż wiedziałam, iż była to ceremonia na świeżym powietrzu przeprowadzona przez jednego z ich przyjaciół, który uzyskał licencję uprawniającą do udzielania ślubów. Wyglądało to na Montanę, ale pewnie mogło być wszędzie. Odwróciłam się

do Franceski, w chwili panicznego strachu zdając sobie sprawę, że jest prawdopodobnie ostatnią osobą na ziemi, która potrafi od ręki odpowiedzieć na to pytanie.

– Tutaj, w Butte – wyjaśniła, gdy zapytałam.

Niebieska płachta z wyszytymi złotem gwiazdami i księżycem sprawiła, że poczułam lzy.

– „Wasze wieczorne niebo” – powiedziałam miękko, pierwszy raz przypominając sobie, że z tymi właśnie słowami moja mama podarowała nam, dzieciom, ten materiał.

„Sufity zamykają w pulapce – oznajmiła. – Ale patrząc na wieczorne niebo, zawsze będziecie czuli się wolni”. Ta fałdzista dekoracja sufitu nigdy nie dawała mi uczucia jakiegoś szczególnego wyzwolenia, ale nie musiałam udawać, że tak było, i dzięki temu poczułam wolność teraz.

– Moja mama to zrobiła – wyjaśniłam Mike'owi. – Wisiało na suficie w dziecięcej sypialni, całe pofalowane, żebyśmy się czuli jak w chmurach. – Skinął głową.

Mike zapytał, czy może obejrzeć całość, i zaczął rozwijać materiał, chwytając go za brzeg i strzepując. Jednym stanowczym strzepnięciem Mike zakończył okres piętnastoletniej inercji. Ale ten sam wyzwalający ruch posłał w powietrze ceramiczny kubek, który zrobiłam dla Todda podczas naszej ostatniej zimy w domu. Francesca zapakowała delikatną glinę w sam środek materiału, żeby odizolować naczynie od reszty rzeczy w pudle. Jak na ironię dokładnie ta ochronna warstwa stała się przyczyną jego zniszczenia.

– Jasna cholera! – Mike jęknął, gdy zobaczył glazurowany na biało kubek lecący przez pomieszczenie i lądujący na podłodze. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że to tam jest. – Podniósł pięć kawałków, na które kubek pękł, i obejrzał je, leżące w jego dłoni. – Coś z tym robię – obiecał. – Pojadę do jakiejś pracowni ceramicznej na pewno skleją ten kubek tak, że będzie wyglądał jak nowy. Nawet nie będzie widać pęknięć po reperacji.

– W porządku – rzuciłam, nie wyjaśniając znaczenia kubka. Mike już dostatecznie kiepsko się z tym czuł. Powiedziałam mu, że wolę, żeby po prostu sam skleił kawałki. Nie chciałam, żeby kubek

wyglądał jak nowy. Chciałam widzieć rysy na namalowanym przez siebie kwiatku, rysy powstałe za sprawą mojego niezgrabnego poczwiergo Psa.

– Nie, pozwól, że naprawię go jak należy – upierał się.

– Możesz mi wierzyć: jeśli skleisz kubek, będzie odpowiednio naprawiony. Nie zamierzam z niego pić. – Nie powiedziałam, że strachu, by nie wyjść na przesadnie sentymentalną, że podoba mi się myśl o Mike'u, który zostawił swój ślad na pamiętce z mojej przeszłości. Jasne, ten ślad to pęknięcia, ale te cienkie rysy będą oznaczać pracę, jaką włoży w klejenie mojego potluczonego kubka swoimi niezgrabnymi paluchami, i to mnie kompletnie rozbroiło.

– Cholera, Mona. Czuję się okropnie. Mogę coś zrobić, żeby ci to jakoś wynagrodzić?

W tym momencie zgrabnie włączyła się przebiegła starsza pani.

– Jest coś, co oboje możecie zrobić dla mnie – powiedziała Francesca z uśmiechem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

– Mogą nas za to aresztować? – wyszeptał Mike, gdy wpełzliśmy na skały i zaczęliśmy się wspinać po nierównym terenie. Trzymał prosto mój plecak, którego zawartość grzechotała.

– Myślę, że uznano by to za wykroczenie – odszepnęłam w zimnym nocnym powietrzu. – Ale w Missouli nie czeka nas nic gorszego niż kajdanki. I pewnie mnóstwo ludzi wystąpiłoby w naszej obronie. Wyobrażasz sobie, zostalibyśmy ludowymi bohaterami?!

Mike potrząsnął puszką granatowej farby w sprayu i zerwał plastikowe zamknięcie.

– Mój tata był w marynarce, pamiętasz? Skopalby mi za to tyłek, Mona Lisa – szeptał Mike. – Wiesz, że robię to tylko dlatego, że kiepsko się czuję, bo stłukłem twój kubek. Wojna z Irakiem jest słuszną.

Kucnęliśmy, żeby się ukryć, i zaczęliśmy szukać dobrego czystego kawałka zbocza, który byłby widoczny w całym mieście. Odszepnęłam:

– Wojna się skończyła, ty idioto. A poza tym, skoro jesteś takim fanem Ameryki, powinieneś popierać ludzi, którzy wyrażają swoje poglądy polityczne.

– Strasznie mi przykro, że to powiem, Mona Lisa. – Mike powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. – To wandalizm, a nie jakieś cholerne działanie, które zmienia ludzkie poglądy. – Klęcząc, odwróciłam się w stronę Mike'a i położyłam rękę na biodrze, przybierając pozę żartobliwego napomnienia. – Nie zmienia! – bronił się Mike.

– Może popierający wojnę szaleniec w rodzaju twojego ojca nie spojrzy na naszą pacyfkę wymalowaną na górskim zboczu i nie zmieni zdania, ale zobaczy to masa ludzi, którzy są przeciwni atakom Busha na Irak – Koreę Północną, Sudan, Pakistan czy dokądkolwiek

zorganizuje następną krucjatę – i będą wiedzieli, że nie są sami. Zobaczą publiczną demonstrację istnienia ludzi myślących podobnie jak oni i zrozumieją, że ich działalność nie trafia w próżnię. Tak to w życiu jest, Mike. Tego właśnie trzeba, by czuć się spełnionym, wiedzieć, że nie jesteś sam i naprawdę robisz coś, co zmieni świat.

Potrząsnął puszką i zaczął malować. Zimne szare górskie zbocze ożywił pierwszy niebieski łuk, który rozrósł się w okrąg, a potem spokojnie został wypełniony przez Mike'a pokojem.

Następnego ranka, gdy w drodze na lotnisko zatrzymaliśmy na chwilę samochód, by podziwiać nasze dzieło, Mike żartował sobie z niego, ale widziałam, że czuje dumę z powodu tego aktu buntu. Wydał przesadnie mocne westchnienie i otarł udawaną łzę, patrząc na nasz prezent dla Franceski.

– I raz jeszcze w Missouli zapanował pokój – powiedział i odwrócił się w stronę miejsca pasażera, na którym siedziałam. Wyciągnął rękę, żebym przybiła mu piątkę, co też zrobiłam. Moja dłoń zmiękła w jego dłoni, a on otoczył ją palcami.

Dotarliśmy do San Diego po południu i Mike nalegał, że odprowadzi mnie do samochodu, który zostawiłam na lotniskowym parkingu.

– Jestem całkiem bezpieczna – roześmiałam się.

– Poniosę ci walizkę – zaproponował.

– Jest na kółkach, Mike. – Uśmiechnęłam się złośliwie, mając nadzieję, że po prostu przyzna się do chęci bycia ze mną. Chciałam, żeby skomentował ten incydent z przybijaniem piątki, które zmieniło się w trzymanie się za ręce. Chciałam, żeby coś powiedział, cokolwiek, o spędzonym razem tygodniu, ale on tylko oznajmił, że chce mi coś dać.

– Co? – Uśmiechnęłam się.

– Niespodzianka – powiedział Mike. Umieścił moją walizkę w bagażniku i zapytał, czy nie zostawił kurtki na tylnym siedzeniu.

– Mike, nie jeździłeś moim samochodem od czterech tygodni – przypomniałam.

– Mniej więcej wtedy ją zgubiłem. Możesz się rozejrzeć?

Czy ja mogę się rozejrzeć za jego kurtką?

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, skąd mi się bierze ta nadzieja na coś głębszego niż powierzchowna znajomość z Mikiem. Kiedy zlustrowałam tylne siedzenie w poszukiwaniu tej kurtki, Mike nie pamiętał już o niespodziance dla mnie. Pewnie chodziło o to, że umie bekając wypowiedzieć moje imię czy coś równie uroczego.

Wyjeżdżając z lotniska, zadzwoniłam do domu, by sprawdzić, czy zastanę Vicki. Powiedziała, że spróbuje wykończyć dom, gdy będziemy z Mikiem nieobecni. Po czterech dzwonekch usłyszałam własny głos, który prosił po pozostawieniu wiadomości, więc się rozłączyłam.

Wybrałam numer do biura Grety i zostałam przekierowana do poczty głosowej.

– Twój telefon jest dla mnie ważny i chcę z tobą rozmawiać, więc zostaw wiadomość, a na pewno oddzwonię, kiedy tylko będę mogła. – Troskliwa obojętność w głosie Grety wydawała się jeszcze wyraźniejsza po tygodniowej przerwie. W tej wiadomości czuło się przesadną troskę o niepewny stan psychiczny dzwoniącego.

Ponownie wybrałam numer i sekretarka od razu przełączyła rozmowę do Adama.

– Mona! – rozpromienił się przez telefon. – O rany, tęskniłem za tobą. Dlaczego nie zadzwoniłaś? – Nie mam pojęcia, dlaczego lekarze nie podejmują prób transplantacji osobowości. Wyobraźmy sobie przeniesienie tych wszystkich słodkich słów i miłych myśli od facetów, których nie da się określić mianem „nieodpartych”, i wypożyczenie w nie tych seksownych, którzy nie potrafili połączyć w całość dwóch myśli. To byłby prawdziwy przełom w chirurgii.

– Przepraszam. Byłam w Missouli taka zajęta, że nie miałam ani chwili na telefon – wyjaśniłam.

Kobiety powinny zdać sobie sprawę, że faceci, którzy twierdzą, że byli zbyt zajęci, by zadzwonić, mają na myśli to, że byli zbyt zajęci, by zadzwonić do nich. Nie chcą być brutalni, ale ile trwa rozmowa? Jeżeli chcą zadzwonić do jakiejś laski, to dzwonią. Kropka. Zawsze jestem w stanie znaleźć czas

na rozmowę z kimś, z kim chcę porozmawiać. Zajmuje to trzydzieści sekund i jeżeli jestem naprawdę zajęty, mogę jednocześnie robić coś innego, zadzwonić do niej z kibla i wyłączyć mikrofon, kiedy ona paple o swoim dniu. Zalatwiam telefon pod bastem „podtrzymywanie znajomości”, właściwie nie poświęcając na to czasu. Pomyślcie o tych wszystkich niezaplanowanych rzeczach, które potraficie wcisnąć w plan dnia, jeśli chcecie. Na przykład mija mi termin na oddanie tego artykułu, a jednak zdążyłem wyciąć włosy z nosa, spokojnie się wysrać i zmienić wkładki w butach pochłaniające pot. Moje panie, jeżeli facet twierdzi, że jest za bardzo zajęty, żeby zadzwonić, mówi, że tego typu zajęcia są bardziej pociągające niż rozmowa z wami.

Pieskie życie, czerwiec

Adam był niezrażony.

– Wszystko w porządku. Cieszę się, że bezpiecznie dotarłaś. Kiedy się zobaczymy?

– Mam randkę w ten weekend – przypomniał mi. – Pamiętasz o wieczorze karaoke z Gretą? – Siłiam się na nonszalancję, jakby to nie był mój pomysł i jakbym nie ćwiczyła z Olliem od tygodni. Plan był taki, że Ollie będzie w barze udawał nieznanego, który podejździe do naszego stolika i zapyta, czy któraś z pań nie zaśpiewałaby z nim w duecie. Ja oczywiście się nie zgłoszę, ale Vicki tak długo będzie mnie namawiać i prosić, aż w końcu niechętnie ulegnę. Potem Ollie i ja rzucimy publiczność – i Adama w szczególności – na kolana naszym starannie przećwiczoną przypadkowym duetem.

Byłoby znacznie lepiej, gdybym opracowała plan delikatnego zerwania z Adamem. Ale był takim miłym facetem, że nie dało się z nim zerwać bez poczucia winy z tego powodu. Vicki twierdziła, że jestem śmieszna – ludzie cały czas ze sobą zrywają bez takiego dramatyzowania. Ale w moim świecie inaczej to wyglądało. Jedyny chłopak, jakiego miałam, deklarował mi miłość, „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. A potem zginął w wypadku. Nie sądziłam, że moje zakończenie związku z Adamem go zabije. Czułam, że odrzucenie go

jest okrutne, a jednak wiedziałam też, jak nieładnie postępuję, trzymając go w odwodzie jako zabezpieczenie.

– A tak, karaoke – powiedział, nie kryjąc braku entuzjazmu.

– Myślałam, że kochasz muzykę.

– Karaoke to banda pijaków marzących o karierze, którzy falszywie zawodzą. To nie muzyka.

– Och. – Zaczęłam się zastanawiać, czy Ollie i ja zrobimy na nim wrażenie. – Możemy pójść gdzie indziej. – Ale nie chciałam iść nigdzie indziej. Jakies pięć minut po rozpoczęciu pierwszej lekcji z Olliem zdałam sobie sprawę, że nie uczę się śpiewu z myślą o tym, że bardziej spodobam się Adamowi. Robiłam to, bo uwielbiałam śpiewać, zawsze. Robiłam to, bo oddech, który wychodził ze mnie, zmieniał się w muzykę i łączył ze słowami, miał dla mnie moc. Czułam wolność, jaką miało mi dać tamto nocne niebo. To samo, co opisują narciarze i motocykliści, kiedy mówią o wietrze rozwiewającym włosy i wrażeniu, że rzeczywiście oderwą się od ziemi.

Adam oświadczył, że chce pójść na urządzany przez Vicki wieczór karaoke, ale chciałby spędzić też trochę czasu bez całej grupy. Z niechęcią zauważyłam, że nie traktuje tego spotkania jako okazji do poznania moich przyjaciół i zdobycia ich sympatii. Gdybym nadal była nim zainteresowana i zaprosiłby mnie, żeby poznała jego kumpli, możecie mi wierzyć, stanęłabym na głowie, aby ci faceci mnie zaakceptowali. Poznanie przyjaciół jest tak naprawdę wstępem do poznania rodziców. A w moim wypadku poznanie przyjaciół miało podwójne znaczenie. Adam potraktował taką okazję obojętnie i to było irytujące. Zastanawiałam się, czy szukam pretekstu, żeby się na niego zemścić i usprawiedliwić zerwanie.

– Słuchaj, jeżeli naprawdę nie chcesz iść... – zaczęłam.

– Chcę. Chcę poznać twoich przyjaciół, ale chcę też spędzić trochę czasu z tobą. Dawno się nie widzieliśmy. Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Chce uprawiać seks.

Chce zerwać.

Chce, żeby poznała jego przyjaciół.

Chce, żeby zbliżyła się do Jezusa.

Chce omówić moje zobowiązania podatkowe.

– Dobrze. Może w niedzielę rano zjemy brunch w Wielkiej Kuchni? – zapytałam, kalkulując wartość kaloryczną biszkoptów i sosu Judy. Jeżeli przebiegnę mniej więcej osiem dodatkowych kilometrów, uda mi się spalić pół porcji. Warto, uznałam.

– Okej, może być. Mam o drugiej spotkanie, do którego muszę się jeszcze przygotować, więc będę kończył. Zadzwoń do mnie później albo ja zadzwonię – powiedział słodko, ale zabrzmiało to jak groźba.

Gdy skręciłam w Alameda, zobaczyłam chłopców z marynarki kiwających na samochód przede mną. A potem zdałam sobie sprawę, że przede mną nie ma żadnego samochodu. Spojrzałam na prawo i tam też nie było żadnych wozów. Mój samochód stał, mrucząc silnikiem na znaku stopu, nieruchomy, gotowy ruszyć prosto przed siebie, do domu. Ale też trochę zaciekawiony, czemu ludzie z bazy kiwają, żebym podjechała do głównej bramy. Pokiwali na mnie ponownie i roześmiali się, widząc moje wahanie. Wskazałam na siebie i bezgłośnie zapytałam: „Ja?”. Jeden z żołnierzy wyglądał, jakby tracił cierpliwość i zaczął machać w stylu „wjeżdżaj albo nie, ale prześtań się opieprzać na środku skrzyżowania”.

I wtedy do mnie dotarło. W dolnym prawym rogu mojej przedniej szyby znajdowała się nieduża plakietka i chłopcy uważali, że jestem jedną z nich. Albo przynajmniej mam prawo tam być.

Zasałutowałam i wjechałam do bazy.

– Wprowadził mnie – powiedziałam głośno sama do siebie, uśmiechając się od ucha do ucha. – I co powiecie, Pies mnie wprowadził.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Gdy otworzyłam drzwi, gwałtownie zaatakował mnie temat z *Przemiętło z wiatrem*. Vicki wystąpiła w pełnym balowym rynsztunku piękności z Południa, nieco unowocześnionym, żeby pasował do jej osobistego stylu. Z pewnością przyzwoite damy z Tary zemdląby, widząc jej krótki falbaniasty top zestawiony z krynoliną – terytorium pomiędzy dzielił kolczyk w pępku z flagą konfederacji i tatuaż powyżej pośladków przedstawiający symbole jin i jang.

Najpierw zauważyłam pluszowy dywan w kolorze ciemnego burgunda na podłodze salonu kontrastujący z marmurową podłogą foyer. Na ściany grubo nałożono farbę w kolorze pergaminu z wyraźnie widoczną fakturą. W samym środku ściany wychodzącej na ogród Vicki umieściła to niekonwencjonalne okno w południowym stylu, które kupiliśmy po meczu „Kociaków”. Na każdym stoliku z ciemnego drewna stała różowa malowana lampa salonowa, z tych, które wyglądają jak podwójne kwiaty chryzantem. Półka nad kominem i stół jadalny zostały wyłożone tym samym szarym marmurem co foyer. W rogu stał manekin ubrany w długą suknię z tego samego materiału co zasłony.

Vicki wyciągnęła do mnie dłoń w białej rękawiczce i dygnęła.

– Powiedz mi, że jesteś zachwycona. Powiedz coś, bo szczerze mówiąc, moja droga, bardzo mnie to obchodzi.

– Jestem zachwycona – powiedziałam. I byłam.

Pisnęła i nagrodziła samą siebie oklaskami.

– Pozwól, że pokażę ci całownię. – Wyskoczyła z pokoju.

– Całownię? – zapytałam. Po obejrzeniu mojej małej biblioteki – a raczej miejsca, które dawniej było biblioteką – nie potrzebowałam dalszych wyjaśnień.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, ale zobaczyłam tę przeuroczą sofkę i reszta jakoś sama wyszła – powiedziała Vicki,

wskazując różową aksamitną kanapkę w kształcie kobiecych ust. Na ścianach oprawione w różowe ramy tłoczyły się plakaty filmowe przedstawiające słynne pocałunki. *Casablanca*. *Rzymskie wakacje*. *Niagara*. *Śniadanie u Tiffany'ego*. I oczywiście *Przemięło z wiatrem* i *It's a Wonderful Life*. Przed sofą w kształcie ust stał stolik do kawy o szklanym blacie spoczywającym na wykonanych z polerowanej stali nierdzewnej literach X i O*. W misce na słodycze z czerwonego szkła leżały czekoladowe całuski, ale moje dwa ulubione akcenty w tej rozkosznie niepraktycznej całowalni stanowiły replika Blarney Stone** w narożniku i manekin ucharakteryzowany na Jimiego Hendriksa, wspinający się po ścianie, żeby ucałować niebo.

– O mój Boże. – Podziwiałam transformację tego zakątka o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych.

– Podoba ci się butelka? – zapytała Vicki. Nie zauważyłam, że na drewnianej podstawie z ręcznie wypisanymi słowami: „całus”, „buziak”, „cmok” i „z jęczyzkiem”, zamontowała leżącą butelkę wina. – Obraca się, więc zawsze można się zabawzić. – Vicki promieniała. – Sama to wymyśliłam. Nikt inny nie ma prywatnej gry w butelkę. Chodź, pokażę ci resztę. – Za rękę poprowadziła mnie do następnego pokoju. – Trochę się różni od tego, o czym rozmawialiśmy – uprzedziła, gdy stanęliśmy pod drzwiami. – Ale powiedziałaś, że ulewy są kojące, więc... – dramatycznym gestem otworzyła drzwi.

Moją nową zapasową sypialnię mogę opisać tylko jako ulewę za zamkniętymi drzwiami. Ściany zostały pomalowane na ciemnoniebiesko-purpurowo, okna zabarwiono na ten sam kolor. Sufit pokrywały otwarte parasolki w zdecydowanych kolorach z metalicznym połyskiem. Okna przesłonięte były przejrzystymi białymi zasłonami. Łóżko zostało nakryte ciemnoniebieską koldrą, chyba najbardziej puszystą, jaką w życiu widziałam.

– Puchowa, trzykrotnie czyszczony puch – z dumą oznajmiła Vicki, wyjaśniając, że każda z ośmiu poduszek jest równie luksusowa.

* XO – amerykański skrót oznaczający „całuję”.

** Blarney Stone (Irlandia) – kamień, którego pocałowanie gwarantuje elokwencję.

wa. – A teraz popatrz. – Pstryknęła kontaktem, ale zamiast światła włączyła dźwięki burzy. Odgłos deszczu padającego na blaszany dach wypełnił pokój i nagle w oknie pojawiła się błyskawica. (Dopiero teraz zauważyłam, że to ślepe okno). Jej blask podświetlił parasolki na suficie, a zasłony lekko się wyduły poruszone przez wentylatory wmontowane w szybę. Już miałam skomentować urok tego miejsca, kiedy pokój wypełnił huk gromu.

– Fantastyczne! – wykrzyknęłam. – I jak sprytnie, że wybrałaś pokój gościny z kominkiem!

– Podoba ci się? – zapytała, ale już wiedziała, że tak.

Obeszliśmy resztę domu, a Vicki opowiadała mi o tym, gdzie kupiła każdy przedmiot i jak ewoluował każdy pokój. Uraczyła mnie opowieściami o tragarzach i wykonawcach i o tym, jak dokonała niemożliwego, zmieniając ten budynek w mój dom w nieco ponad tydzień. Powiedziała, że kiedy kończyła deszczowy pokój, przyszedł kapitan John i zatrudnił ją, żeby urządziła mu salon w stylu morskim.

– Myślisz, że mogłybyśmy urządzić parapetówkę i zaprosić twoich przyjaciół? Jak zobaczą, co tu zrobiłam, to może zatrudnią mnie, jeśli im się spodoba? – zapytała. – Po to uszyłam ci tę suknię z zasłon. – Zachichotała. – Pamiętasz tę scenę? Jestem twoją mamką!

– Uszyłaś tę suknię?

Kiwnęła głową.

– Podoba ci się?

– Podoba? Jest cudowna!

– To dobrze. Chcę ci jeszcze coś pokazać – oznajmiła Vicki, sięgając do torebki. Wyjęła wizytówkę ze swoim nazwiskiem, na której przedstawiała się jako dekoratorka wnętrz.

– Koniec ze striptizem? – zapytałam.

– Hej, było zabawnie, dopóki trwało, ale zwolnili mnie za kolejne spóźnienie. – Uśmiechnęła się zawstydzona. – I te siniaki, wiesz. Niezbyt seksowne.

– Niezbyt seksowne?! – jęknęłam jak Scarlett O'Hara. – Ci mężczyźni zdecydowanie są stuknięci.

Vicki była chyba najbardziej seksowną kobietą, jaką w życiu spotkałam. Podczas weekendu dowiodła tego, podniecając gości

baru Lamplighter swoją stuprocentowo okropną interpretacją *Brick House*. Wynika z tego moral, że w karaokę – podobnie jak w życiu – nastawienie jest ważniejsze niż talent. Kiedy mówię, że Vicki nie umie śpiewać, nie chcę powiedzieć, iż jest przeciętna. Dosłownie zarzyna piosenkę. Nuty bierze tak płasko, że aż przykro jej słuchać, ale o rany, jak się umie przy tym zaprezentować. Tańczyła na głośniku, weszła w tłum i usiadła na kolanach jakiegoś starszego pana, sobowtóra Sinatry, i wyglądała, jakby przeżywała na scenie życiowy triumf. Po początkowych trzydziestu sekundach szoku, że ktoś o takiej urodzie może wydawać z siebie taką kakofonię dźwięków, ludzie wciągnęli się w jej przepotworny występ. Śpiewali refreny częściowo dlatego, że mieli ochotę, częściowo, żeby zagłuszyć jej głos. Kiedy piosenka się skończyła, wszyscy zerwali się na równe nogi i klaskali. Lekko wstawiona Greta nie trafiła w ręce Mike'a wyciągnięte, żeby przybić mu piątkę. Wszyscy znajdowali się w stanie radosnego upojenia. Wszyscy oprócz Adama, który zasugerował, że byśmy wcześniej wyszli.

– A następny będzie Mike – zapowiedział przysadzisty didżej.
– Gotowy, Mike? Mike miał na sobie szary T-shirt z Naval Academy i lewisy tak znoszone, że na kolanie się przetańczyły.

– To ty. – Vicki pchnęła brata.

– Nie pisałem się na śpiewanie. – Wzruszył ramionami. – To jakiś inny Mike.

– Mike? Jest tu jakiś Mike? – ponownie zagadnął prowadzący.

– Ja cię zgłosiłam. – Vicki znów go pchnęła, gdy zaczęła się muzyka. Czerwone litery *Just the Way You Are* Billy'ego Joela zaczęły się przesuwac po sporym ekranie i zabrzmiało pianino.

– Daj spokój, Mike, nie bądź mięczakiem, wstawaj i śpiewaj – ryknął mikrofon. Wszyscy w barze zaczęli dopingować, skandując jego imię jak w finale meczu futbolowego. Mike uniół ręce w geście poddania i potykając się, wszedł na scenę w samą porę na drugi wers. – „I nie myśl, że za dobrze cię znam i już na ciebie nie patrzę” – zaśpiewał z niewielkim opóźnieniem w stosunku do muzyki. Było słychać, że jest skrępowany, głos lekko mu drżał. Dobry Boże, Mike był naprawdę zdenerwowany. Wstyd się przyznać, ale patrzy-

łam na to z rozkoszą. Jakbym zobaczyła własne odbicie w pewnym sobie, często aroganckim facecie. Rzuciłam okiem na Adama i poczułam leciutkie ukłucie winy, bo miałem nadzieję, że Mike myśli o mnie, śpiewając, iż kocha kobietę taką, jaka jest.

Czułabym się naprawdę okropnie, gdyby nie fakt, że Adam tego wieczoru zachowywał się jak rozkapryszone dziecko. Siedział z rękami skrzyżowanymi na piersi i dąsał się, kiedy śpiewający wstawali i starali się jak mogli, żeby nas zabawić. Pamiętam, jak Vicki powiedziała mi kiedyś, że zgodnie z zapowiedzią naszej nauczycielki Tabithy na każdy taniec, który sprzedawała, pięć razy spotykała się z odmową i że było to prawdziwe wyzwanie dla ego. Nie rozumiałam, dlaczego piękne, pełne życia kobiety w rodzaju Vicki tak bardzo brały sobie do serca to, co myśli o nich banda przeciętniaków, ale kiedy zobaczyłam, jak ciężko pracuje na scenie, żeby utrzymać uwagę tłumu, dostrzegłam też dobrze ukryty głód, pragnienie adoracji. Jasne, Vicki robiła to dla pieniędzy, ale brak akceptacji przeżywany czterdzieści razy w ciągu jednego wieczoru miał naturalny efekt uboczny. Czułam, jak Adam, który miał kwaśną minę i językiem ciała wyrażał brak zaangażowania, odrzuca Vicki i Mike'a. A niedługo była moja kolej.

– Przepraszam, czy któraś z pań mogłaby mi towarzyszyć w dućcie? – zapytał Ollie, podchodząc do naszego stolika.

– Kochany, ja zaraz zabieram moje buty na przechadzkę, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, ale może moja przyjaciółka może ci pomóc? – Greta wskazała na mnie. Wreszcie została pełnoprawną współniczką zbrodni.

– Nie, nie mogłabym – powiedziałam, zerkając na Adama, czy doda mi odwagi.

– Idź, Mona – powiedziała Vicki. – To miła widownia.

Kiedy się wygląda jak Vicki, każda widownia jest miła. Chociaż wszystko było zaplanowane i ćwiczyliśmy z Olliem od miesięcy, przestraszyłam się. Czułam przerażenie. Vicki zdecydowanie była najgorszą piosenkarką, jaką słyszałam w życiu. Mike był trochę lepszy. Greta – która oceniała szerokość baru, żeby sprawdzić, czy może na niego wskoczyć w swoich stworzonych do chodzenia butach

– miała przeciętny głos. A jednak to mnie kręciło się w głowie z przerażenia, ponieważ to rzeczywiście coś dla mnie znaczyło. Część mnie nie mogła się doczekać, żeby wejść na scenę i skupić na sobie te wszystkie spojrzenia. Z drugiej strony obawiałam się, ale nie tego, czego chciałam, tylko dlatego, że tego chciałam. Zawsze byłam całkiem zadowolona, żyjąc w tle. Tego wieczoru chciałam czegoś więcej.

Odczekaliśmy pięć piosenek, włącznie z bezwstydną interpretacją hitu Nancy Sinatry w wykonaniu Greta, która nie podarowała sobie nawet wirowego tańca w stylu Vicki.

– Gotowe, moje buty? – zapytała. – To w drogę.

Ollie i ja nie mieliśmy opracowanych tanecznych ruchów. Trzęsłam się ze strachu, kiedy wywołano nasze nazwiska do duetu. Śpiewaliśmy *Cruisin* jak Gwyneth Paltrow i Huey Lewis w *Duetach*. Zestroiliśmy się z Olliem idealnie, poradziłam sobie z trudnymi częściami, które ćwiczyłam pod prysznicem na pewno ze sto razy, a widownia siedziała w ciszy i nas obserwowała. Myślałam, że albo będzie totalna kłapa, albo sukces, ale w oślepiającym świetle scenicznych reflektorów nie widziałam ani jednej twarzy z widowni.

Kiedy skończyliśmy, goście grzecznie zaklaskali, ale bez żadnych szalonych aplauzów, jakich doczekały się Vicki i Greta. Wróciłam do stolika i Adama, który sprawiał wrażenie, jakby był po prostu wściekły, ale zanim zdążyłam zapytać, co mu przeszkadza, ten starszy facet w typie Sinatry podszedł na nas i zapytał, czy mogłabym zaśpiewać dla niego jeszcze jedną piosenkę.

– Coś współczesnego, w bardziej miejskim stylu? – zapytał.

Mike mrugnął do mnie i zorientowałam się, że musiał to wszystko ustawić, żebym dobrze wypadła w oczach Adama, jakbym miała fanów. Chociaż wiedziałam, że wszystko jest ukartowane, prośba o wykonanie kolejnej piosenki była podniecająca. A może to perspektywa, że znów będę śpiewać. Pół roku temu wybrałabym *I'm Like a Bird* Nelly Furtado, bo kiedy słyszałam, jak śpiewa, że nie wie, gdzie jest jej dom i dusza, dokładnie wiedziałam, co ma na myśli. Tego wieczoru spróbowałam czegoś innego.

– Nie masz nic przeciw temu? – zapytałam Adama.

– A dawaj, do upadłego – powiedział, okazując, że zupełnie nie jest ze mnie zadowolony. Zabrzmiało to jak coś, co mógłby powiedzieć przed moim pierwszym meczem bokserkim.

Zanim przyszła moja kolej, by wejść na scenę, wypilałam kolejne dwa kieliszki wina. W tym momencie nie miałam już żadnych oporów.

Mrugnęłam do Vicki, która rozpoznała nucony przez mnie wstęp do *Beautiful* Christiny Aguilery. Wymieniliśmy uśmiechy, przypomniawszy sobie, jak Tabitha, nauczycielka striptizu, opowiadała, że śpiewa to do lustra w garderobie przed cholernym występem. Zanim zdążyłam się zastanowić, jak się ułożyło reszcie naszej klasy – jak wypadł ślub Betty Paige, czy wypisano tę receptę na viagrę, jak szły tańce na stoliku do kawy – była moja kolej. – „Każdy dzień jest tak wspaniały” – zaczęłam.

Samotnie stojąc na scenie, poczułam się najbardziej nago i bezbronią na świecie. A jednak nagość i bezbronność miały swoje plusy. Ta inwestycja zapewniała pewien zysk, którego nie dostarczała bezpieczna anonimowość. Zmrużyłam oczy, żeby zobaczyć Mike'a, który pokazał mi uniesione do góry kciuki. Nawet nie pamiętam, jak zaśpiewałam tę piosenkę. Pamiętam tylko, że kiedy skończyłam, moja grupa ryczała z aprobatą, a reszta baru chyba się przyłączała. Sinatra wrócił i wręczył mi swoją wizytówkę.

– Masz świetny głos – powiedział. – Pracujesz z kimś? *Cholera, teraz będę musiała zdradzić, że biorę lekcje śpiewu.*

– To znaczy z jakimś nauczycielem?

Roześmiał się.

– Miałem na myśli agenta.

Mike znowu mrugnął i zrozumiałam, że wiara w sztukę reżyserowania wydarzeń publicznych zyskała prawdziwego wyznawcę. Jakże to urocze, że wszystko zorganizował. Uśmiechnęłam się szeroko i też mrugnęłam.

– Nie. Śpiewam tylko pod prysznicem – odparłam.

– Marnotrawstwo. Zadzwonź do mnie w tym tygodniu. Szukamy jakiejś uroczej młodej panny z głosem twojego typu na frontmenkę do nowego żeńskiego zespołu, który kompletujemy. Może się nadasz. Nie nie obiecuję, ale kto wie.

Genialne!

– Och, okej. – Mrugnęłam do Sinatry.

Gdy szliśmy do samochodów, podeszłam ukradkiem do Mike'a i wyszeptalam mu do ucha „dziękuję”.

– Za co?

– Za to. W barze.

– Za piosenkę?

– Nie, głupolu! Za Sinatrę. Był idealny. Nie sędzę, żeby na Adamie zrobiło to wrażenie, ale to urocze, że wszystko zaplanowałaś.

– Mona Lisa, jesteś pijana.

– To prawda, ale prawdą jest też to, że jesteś stu procentowo uroczy.

– Nie zrozum mnie źle, uwielbiam te słodkie słówka, a jeżeli rzucisz tego ponuraka, postaram się, żebyś naprawdę miała mi za co dziękować, ale nie wiem, o czym mówisz.

– Ten facet, który wyglądał jak Sinatra! – przypomniałam mu, zawieszając głos. – Ten, który podszedł i poprosił, żebym zaśpiewała, a potem dał mi wizytówkę do tego babskiego zespołu. To twoja sprawa. – Mike patrzył na mnie niezrozumiejącym wzrokiem. – Prawda? – Nic nie mówił. – Prawda?!

– Mona Lisa, nie wiem, o czym mówisz.

– Wiem wszystko, panie naklejaczu wojskowych naklejek – wymamrotalam.

– Mona, posłuchaj. Owszem, nakleiłam ci plakietkę na samochodzie, ale nie zalatwiłam tego faceta, żeby ci składał propozycje.

Ktoś naprawdę i sam z siebie uważa, że mogłabym być dość dobra, żeby śpiewać w zespole? AAAAAAA! W duchu wrzasnęłam z radości. AAAAAAAA!

– Och. – Uśmiechnęłam się. – Mogłoby być zabawnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Jak się okazało, Adam nie miał szczególnego upodobania do muzyki. Wszystkie artykuły, które znalazłam w google'u wymieniające go jako miłośnika opery, teatru i sponsora orkiestry kameralnej zostały w rzeczywistości napisane o jego ojcu – Adamie P. Zieglerze. Co więcej, jak wyjaśnił, odwożąc mnie tego wieczoru do domu, nie podobało mu się, że śpiewałam z innym mężczyzną.

– Przede wszystkim demonstrowałeś niezadowolenie o wieeeeeee wcześniej, niż śpiewałam, a po drugie tylko śpiewałam. Przecież my, przecież... nie mogę uwierzyć, że ci to tłumaczę! Kogo obchodzi, czy śpiewam z kimś innym?

– Mnie! – krzyknął. – I gdybym ja obchodził ciebie, też by cię to obchodziło. Mona, zaczynam żywić dla ciebie poważne uczucia i wygląda na to, że nie są odwzajemnione!

I nagle wszystkie moje słuszne żale wyparowały. Adam miał rację. Cały czas wykorzystywałam go do zapelnienia pustki i było to kompletnie nie w porządku wobec niego. Wbrew moim nadziejom nie okazał się przepustką do cudownego życia, ale był miłym, porządnym człowiekiem, który zasługiwał na coś lepszego niż to, co mu dawałam. Tej nocy przysięgłam sobie stanowczo, że na pewno zakończę ten oszukańczy związek. A jednak kiedy się zegnaliśmy, powiedziałam, że niedługo się zobaczymy.

Przez kilka następnych dni unikałam rozmowy z Adamem i korzystałam z automatycznej sekretarki, żeby odbierać tylko telefony od Greta i Mike'a. Ostatecznie w piątek wieczorem usłyszałam jego głos na sekretarce i zdałam sobie sprawę, że moje tchórzostwo graniczy z okrucieństwem.

– Cześć Adam. – Odebrałam telefon zadyszana, może pomyśli, że właśnie wszłam.

– Cześć Mona. – Niezręczna cisza. – Chcę cię przeprosić za tamten wieczór.

Nieeee! Proszę, nie przepraszaj.

Ciągnął:

– Byłem niegrzeczny, okazując zazdrość z powodu twojego występu z tamtym facetem. Nawiasem mówiąc, byłaś fantastyczna. Nie byłbym zaskoczony, gdyby ten zespół chciał cię mieć jako frontmenkę.

– Och, ee, dzięki. Ale naprawdę nie ty powinnaś przeproszać. Widziałam, że źle się tam czujesz, i powinnam była zaproponować wyjście.

– Nie, wcale nie. Powiniem był przywołać się do porządku. Ludzie w związkach powinni koncentrować się na potrzebach partnerów bardziej niż na własnych. W to wierzę. W każdym razie mam nadzieję, że spotkamy się w sobotę wieczorem.

– Och, dzięki – zawahałam się. – Ale idę do teatru z Vicki, Gretą, Mikiem i dwiema dziewczynami z „Kociaków”. Może w tygodniu?

– A na co idziecie? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem. Vicki ma jutro coś wybrać w takim miejscu ze zniżkowymi biletami w śródmieściu. Obejrzymy cokolwiek, na co będą mieli sześć miejsc na jutro.

– Och, w takim razie, czy mógłbym się wybrać z wami?

Adam, musimy porozmawiać.

Adam, nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie.

Ten związek się wyczerpał.

– Okej! – powiedziałam z przesadnym entuzjazmem. Zabrzmiałam jak szefowa drużyny cheerleaderek, która przygotowuje zespół do występu podczas przerwy.

W czasie kolacji w sobotę wieczorem jęknęłam z przerażenia, bo zapomniałam powiedzieć Adamowi, gdzie się spotkamy, żeby pójść na tę sztukę. Vicki trzymała w górze rękę, dopóki nie skończyła żuć kęsa lososia z grilla. – Mmm, nie ma sprawy – oznajmiła. – Dzwonił rano, kiedy byłeś w klubie, i podałam mu szczegóły. Spotka się z nami na miejscu. Kazałam mu wypatrywać Mike’a i Gretę, jeżeli nie będzie nas równo o siódmej trzydzieści.

– A na co w ogóle idziemy? – zapytałam.

– Och, będziesz zachwycona. Musicalowa adaptacja *To wspaniałe życie*. Jedna z dziewczyn z drużyny widziała to w ostatni weekend i powiedziała, że jest świetnie. Jedna z tych „odmiennych” grup teatralnych, no wiesz.

– *To wspaniałe życie* w czerwcu? Hm, dziwne.

– Bardzo dziwne – przyznała. – Zostało opisane przez „San Diego Reader” jako najbardziej dziwaczna produkcja w San Diego od czasów, kiedy Sledgehammer w 1992 wystawił *Fausta na lodzie*.

Chętnie bym oceniła, czy musicalowa adaptacja *To wspaniałe życie* była dziwna, ale widziałam tylko dziesięć pierwszych minut przedstawienia. Adam siedział po mojej prawej stronie ubrany w kanarkowożółtą wyprasowaną koszulę i spodnie khaki, nerwowo mnąc program. Mike siedział zaraz po mojej lewej w dzinsowej koszuli i dżinsach. Patrzył prosto przed siebie na zasuniętą aksamitną kurtynę.

– Jak leci? – klepnęłam go w kolano.

– Leci. – Wzruszył ramionami. Światła przygasły. Usłyszałam znajomy wstęp z *Allentown* Billy’ego Joela. Chór mieszkańców miasteczka wmaszerował na scenę ze świątecznymi dekoracjami i zaczął śpiewać: „Mieszkamy tu w Bedford Falls i George Bailey się boi, że czas w miejscu stoi, a jego życie nie ma znaczenia, ale się myli, anioł Clarence go docenia. I naprawdę cudowne to życie. I George Bailey cudowną żonę ma. I jego dzieci szczęśliwe są, że jest ich tatą, ach jak będzie smutnie, kiedy skok z mostu to życie utnie. Im i wszystkim ludziom tutaj w Bedford Falls”.

Mike spojrział na mnie z przerażeniem, jakby chciał powiedzieć, że nie znieśnie półtorej godziny tak bezwstydnej kłiwosci. Dekoracja się zmieniła, pokazywała teraz salon, do którego wchodzi George, gdy dowiaduje się, że jego wuj niewłaściwie ulokował osiem tysięcy dolarów.

Kiedy George Bailey pojawił się na scenie, Adam wyszeptał:

– Wygląda dokładnie jak twój były chłopak, Trucizna.

Cho-le-ra!

Rozkochana żona Bailey’a obejmuje go w pasie ramionami w czarno-białych rękawach.

– Och, kochanie, jest Wigilia, spróbuj nie myśleć więcej o tym parszywym Potterze.

Adam ze zmrużonymi oczyma przyjrzał się aktorce.

– Czy to jest ta pani, która zemdlala w zoo?

O mój Boże! Za chwilę zobaczy Pottera, który...

Puk, puk, puk w drzwi na scenie. Julie otworzyła i chwyciła się ręką za głowę.

– Potter! – krzyknęła. – Nie może pan nas zostawić w spokoju w Wigilię, chciwy starcze?

– Co do... – powiedział Adam głośniejsze, niż należy mówić w teatrze.

– Csss – oparłam rękę na jego nodze. – Później ci to wyjaśnię.

– To jest ten facet, z którym w zeszłym tygodniu śpiewałaś w barze! – wrzasnął Adam i wstał. – Co tu się, do cholery, dzieje? – Aktorzy zamarli, przestraszeni wściekłością widza, ale po chwili podjęli przedstawienie.

– Adam, siadaj – wyszeptalam. – Wszystko ci potem wytłumaczę.

– Teraz mi wytłumaczysz! – krzyknął i wstał. Spojrzałam przezpraszająco na scenę, ale zobaczyłam, że Ollie każe oświetleniowcowi skierować na Adama punktowy reflektor. Reszta stała z otwartymi ustami, kompletnie wypadli z ról i skupili się na tym, co powiem albo zrobię, żeby się wytłumaczyć. Spodziewałam się, że ktoś z widowni się odezwie i każe Adamowi siadać, ale wszystkie oczy były skierowane na niego – i na mnie. Nagle ja też byłam oświetlona i wszyscy czekali na odpowiedź.

– Kim są ci ludzie? – zażądał odpowiedzi Adam.

– To aktorzy – powiedziałam uspokajająco.

– Ale George Bailey to twój były chłopak z heavymetalowego zespołu! – rzucił Adam. Widzowie wyglądali, jakby śledzili mecz tenisa. Wszystkie głowy z miejsca odwróciły się w moją stronę w oczekiwaniu na odpowiedź, chociaż byli szczerze zmieszani pytaniem.

– Adam, czy możemy porozmawiać o tym później? – odezwałam się błagalnie.

– Dlaczego w zeszłym tygodniu śpiewałaś karaoke w barze z Potterem? – wrzasnął Adam.

Usłyszałam szepc kobiety trzy rzędy za nami:

– Co za oryginalna produkcja. – Zdałam sobie sprawę, że polowa ludzi na widowni z powodu skierowanego na nas punktowca założyła pewnie, że wybuch Adama stanowi element przedstawienia. W tym momencie Toby wystawił głowę zza kurtyny.

– Mona, ten anioł cię napadł! – zawołał Adam, widząc Toby'ego w pełnym anielskim rynsztunku. – A czy ta kobieta w kapeluszu z piórami to nie twoja dawna kochanka lesbijka?! Stanowczo żądam wyjaśnienia, co się tu dzieje!

Tym razem aktorzy znieruchomieli i zwrócili się do mnie. Spoczywały na mnie spojrzenia całej widowni. Wszyscy chcieli wiedzieć, o czym mówi Adam.

– Ja... próbowałam... Adam, to nie to, na co wygląda – wyjąkałam.

– Kochałem cię! – zawołał. – Miałem zamiar cię poprosić, żebyś za mnie wyszła. Nawet nie wiem, kim do cholery jesteś. Co z ciebie za wariatka?!

– Okej, koleżko, teraz musisz się wycofać – Mike w końcu wstał, żeby mnie bronić. Nagle punktowiec załsnął na mnie. – Kurwa – powiedział zrezygnowany, jakby się tego spodziewał. A potem ciągnął: – Odpuść Monie, stary. Robiła to wszystko, bo chciała, żebyś ją lubił.

– Co robiła?! – wrzasnął na Mike'a Adam.

– Uspokój się, koleżko.

– Może sam mnie uspokoisz, koleżko? – Adam rzucił wyzwanie.

Kobieta trzy rzędy dalej wyszeptala:

– Muszę opowiedzieć Louise o tym przedstawieniu.

Mike zignorował wyzwanie do walki i zwrócił się do mnie. Siedziałam na miejscu pomiędzy nimi dwoma. Udało mi się jakoś skurczyć i ukryć w ciemności, ale Mike chwycił mnie za rękę i znów znalazłam się w świetle reflektorów. Powiedział miękko:

– Słuchaj, Mona, wiem, że to nie jest najlepsza pora, ale muszę ci powiedzieć: ja też cię kocham. Moje cale... to, jak... sam nie wiem, po prostu cię kocham, Mona Lisa. Kiedy na początku mnie zatrudniłaś, myślałem, że brakuje ci paru klepek, ale im lepiej cię poznawałem, tym swobodniej się przy tobie czułem. Jesteś pierwszą kobietą, przy której potrafiłem naprawdę być sobą. Nawet nie sobą,

kimś lepszym niż ja. Nie sądziłem, że mogę kimś takim być. Nie wiem, może to dlatego, że nie brałem cię pod uwagę jako potencjalnej dziewczyny i nie było potrzeby robić na tobie wrażenia ani gadać tych zwykłych głupot. Jakby fakt, że nie istniała możliwość, że ze sobą będziemy, sprawił, że mogliśmy być razem i mogłem, sam nie wiem, po prostu być sobą i będąc sobą, być lepszym niż ja sam... Czy to w ogóle ma jakiś sens? Nie odpowiadaj, wiem, że nie, ale nic mnie to nie obchodzi. Kocham cię, Mona. Jestem szaleńczo, jak wariat zakochany, chcę być twoim zakochanym mężusiem pantoflarzem. I wiesz, że nigdy się tak głupio nie zachowuję, ale nie mogę znieść, że starasz się zrobić wrażenie na tym blaźnie, kiedy oboje wiemy, że do siebie należymy.

Otaczająca nas grupa widzów wydobyła z siebie wielkie „Aaaaaach!”.

Ktoś z tyłu krzyknął:

– Co powiedział!

– Powiedział, że ją kocha, ćśśś – wyjaśniła Vicki.

Greta zamknęła oczy, wyglądała, jakby publiczne zainteresowanie ją sparaliżowało. Ale potem wstała z miejsca i od razu znalazła się w centrum jasnego kręgu światła.

– Mona, od miesięcy ci dokuczałam z powodu tych występów, które organizowałaś, żeby skusić Adama.

Jej przemowa została zakłócona wtrąceniem ze strony Adama:

– Okej, nareszcie zaczynam cokolwiek rozumieć z tego, co się tu dzieje.

– Zamknij się! – krzyknęły na niego trzy osoby z widowni.

– Teraz mów ktoś inny, panie Wielka Gęba! – rzucił jakiś człowiek.

Greta spojrzała w ziemię, a potem podniosła głowę, jakby miała poprowadzić oddziały do walki.

– W każdym razie to ja byłam oszustką. Ty przynajmniej szczerze mówiłaś, czego chcesz. Ja nie miałam nawet odwagi wyznać, kim naprawdę jestem i że, że... Terry jest kobietą i zostawiłam ją, bo chciała ode mnie większego zaangażowania, a ja nie potrafiłam jej tego dać. Nie mogłam zostać z nią dłużej, bo kocham ciebie, Mona.

– Ożeż jasna cholera – powiedział facet z widowni, z zadowoleniem zacierając ręce.

Ollie krzyknął ze sceny:

– Dość tego! – I wreszcie przedstawienie przeniosło się tam, gdzie było jego miejsce. Przynajmniej Ollie zdecydował się zakończyć ten spektakl i wrócić do przerwanej sztuki.

– Mona, ja też cię kocham – oznajmił.

Ollie?

– Od chwili, gdy tamtego dnia weszłaś do mojego teatru, jestem jak rażony gromem. Nikt nigdy nie kwestionuje zdania reżysera, aż nagle zjawia się taka pannica i twierdzi, że wszystkie moje wybory są niewłaściwe i że nie trzymam się scenariusza. – Głośno westchnął. – A potem, kiedy razem śpiewaliśmy, to było to. Twój głos jest zniewalający i ty mnie zniewoliłaś, Mono Warren.

– Czy to nie wspaniale? – zawołała do Olliego Vicki. – Ten facet z baru mówi serio i Mona może zostać liderką nowego damskiego zespołu. – Zdawało mi się, że nie jest to właściwy moment na taką pogawędkę, ale ludzie na widowni zaczęli mrużyć z uznaniem. Kobieta siedząca trzy rzędy dalej nawet życzyła mi szczęścia, więc biorąc to wszystko pod uwagę, wtrącenie Vicki nie było całkiem nie na miejscu. Jakiś facet z tylnego rzędu, którego nigdy nie widziałam, wstał i oświadczył, że też mnie kocha. Nawet kiedy został oświetlony punktowcem, nie poznałam go.

– Czy ja pana znam? – zapytałam.

– Nie, mała, ale trzech facetów i lesbijka nie mogą się mylić. Musi z ciebie być niezła laska.

– Mnie się podoba ten drugi chłopak – powiedziała swatka z pierwszego rzędu. – Ten pierwszy tylko krzyczy, krzyczy i krzyczy. Niezbyt to miłe. Mona potrzebuje wrażliwego chłopca, takiego jak numer dwa.

Julie obwieściła ze sceny:

– Ollie też jest bardzo miły.

Swatka odparła:

– Oczywiście, mogłaby trafić gorzej, ale ja stawiam na numer dwa.

– Ma na imię Mike – poprawiła Vicki.

– Cóż, w takim razie mnie się podoba Mike. – Uśmiechnęła się do Vicki, która zrewanżowała się tym samym.

– Weź tę lesbijkę! – krzyknął ten sam facet, który wystartował po oświadczeniu Greta. – Mnie i lesbijkę. – Greta wywróciła oczyma.

Po chwili niemal cała widownia i obsada przekrzykiwały się, rzucając swoje sugestie. Większość była za Mikiem. Wielu mężczyzn chciało Gretę, ale ich motywacja była wątpliwa. I garstka uważała, że powinny zdecydować się na Olliego. Nikt nie popierał kandydatury Adama, a już na pewno nie on sam.

– Bierz Mike'a!

– Bierz dziewczynę!

– Ollie to porządny facet.

– Zamknijcie się! – wrzasnęłam, ile sił w płucach. – To nie są eliminacje do „Randki w ciemno” – dodałam już spokojniej. – To ludzie, którzy mają uczucia, a wy ich traktujecie jak towar jednorazowego użytku. Proszę, proszę, bądźcie przez chwilę cicho. – Wzięłam głęboki wdech zdenerwowana, że znów stoję w jaskrawym świetle reflektorów. – Adam, strasznie mi przykro. Zakochałam się w tobie siedem lat temu, na odległość, i ułożyłam wszystkie te scenariusze, bo uważałam, że sama, o własnych siłach cię nie zdobędę. Wymyślałam sobie, że uznasz mnie za bardziej interesującą, jeżeli się okaże, że umawiałam się z gwiazdami rocka i ratowałam nieznanomych, ale wszystko, czego próbowałam, było żałośnie nieudane i szczerze mówiąc, nie mogę uwierzyć, że mimo wszystko się we mnie zakochałeś. To znaczy wyszłam na kompletną ofiarę, a ty mnie mimo to kochałeś. Nawet nie umiesz sobie wyobrazić, jaki to dla mnie dar. Przysięgam, kocham cię za to. Kocham cię jako osobę i za to, co mi dałeś, ale nie jestem w tobie zakochana i to pierwsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałam ci całkiem uczciwie... i tak mi przykro, że cię zraniłam.

Adam milczał.

– Greta, jesteś moją najlepszą na świecie przyjaciółką. Byłaś moją przyjaciółką, kiedy nie miałam żadnych innych przyjaciół, i tych kilka ostatnich miesięcy, gdy wróciłaś do San Diego to był

cudowny czas. Kocham cię bardzo, ale po prostu nie jestem lesbijką. Ale cieszę się, że ty nią jesteś. To znaczy, że wreszcie mi o tym powiedziałaś. I znów nie potrafię uwierzyć, że chociaż wiesz o mnie to, co wiesz, twoje uczucie się rozwinęło, ale tak jak ty nie umiesz zmienić tego, kim jesteś, ja też nie umiem tego zmienić. – Greta się uśmiechnęła. Naprawdę nie wierzyłam, że była kiedykolwiek we mnie zakochana z taką intensywnością, z jaką kochała mnie jako przyjaciółka, kiedy miałyśmy po naście lat i odkrywała swoją seksualność. – I Ollie, nie wiem, co mam powiedzieć. Lubię z tobą śpiewać, ale prawie się nie znamy. Uważam, że jesteś uroczy i może coś by się między nami wydarzyło, gdybyś nie kazał oświetleniowcom oświetlić wszystkich do naszego dodatkowego przedstawienia. – Roześmiałam się. – Ollie, jesteś pierwszym mężczyzną, który uznał, że jestem apodyktyczna i uciążliwa jak wrzód na tyłku. Jesteś pierwszą osobą, która mnie w taki sposób scharakteryzowała, i świadomość, że mogę jako ktoś taki być akceptowana i nawet kochana, jest dla mnie bezcenna.

– A co ze mną? – zawołał facet z tyłu.

– Proszę pana, nawet pana nie znam.

– Nieznajomi też potrzebują miłości.

– Mike. – Głos mi zadrział. – Będę szczerą, chociaż to dla mnie nowe doświadczenie. Przerazasz mnie. Byłam jakiegoś dwa kroki od tego, żeby się tobie zakochać w chwili, kiedy się poznaliśmy. Jest w tobie coś niewiarygodnie pociągającego, ale potrafisz być taki wycofany. Są chwile, kiedy tak daleko odchodzisz od swojego prawdziwego ja, że nie umiem stwierdzić, która z tych osób jest postacią literacką, a która prawdziwym Mikiem – felietonista czy facet, który skleił mój kubek. Z rozkoszą rzuciłabym się w twoje ramiona i zakończyła to przedstawienie wielkim hollywoodzkim pocałunkiem. Ale mnie przerazasz. Kiedy pozwolę sobie zakochać się w tobie, nie jestem pewna, czy będę potrafiła się odkochać. Ale ty możesz się odkochać. Ja – oczy napelnily mi się łzami – nie mogę ryzykować utarty kolejnej osoby, którą kocham, więc po prostu się z tym wstrzymam. Jeżeli naprawdę mnie kochasz, poczekasz. I wiem, że to wszystko brzmi dziwnie, ale chyba muszę się przekonać, czy poczekasz.

Zdałam sobie sprawę, że w całym teatrze zapadła pełna rozczarowania cisza, że nie dałam im takiego zakończenia, na jakie mieli nadzieję. Szokujące było to, że cała nasza grupa – nawet Adam – wciąż siedziała na miejscach i najwyraźniej była gotowa obejrzeć resztę musicalu *To wspomiale życie*.

Ollie odczekał chwilę, chcąc się upewnić, czy skończyłam.

– No dobrze, jak to się mówi, przedstawienie musi trwać.

– „Mieszkamy tu w Bedford Falls” – zaczął śpiewać zespół, gdy uciekłam z teatru i złapałam taksówkę, która zawiozła mnie z powrotem do mojego cichego domu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Sześć miesięcy po scenicznych świętach Bożego Narodzenia w domu Baileyów miałam wreszcie swoją staroświecką rodzinną Gwiazdkę. Nie za bardzo przypominała fantazję, którą wysnułam rok wcześniej w biurze Larry'ego Fontaine'a. Cała nasza dwudziestka kręciła się po domu. Greta i Vicki pomogły mi w kuchni, podczas gdy Mike nakrył stół w jadalni. Salon wypełniała świąteczna muzyka i do Tary wlewało się słońce. Miało się uczucie, że chociaż jutro może i będzie nowy dzień, dzisiaj życie jest cudowne.

Vicki przyniosła filiżankę eggnogu swojemu nowemu mężowi, kapitanowi Johnowi, do którego to związku musiałam, przynajmniej, powoli się przyzwyczaić. Coś między nimi zaiskrzyło, gdy Vicki urządziła salon i sypialnię kapitana. Kiedy skończyła pracę, zapytała, co kapitan sądzi o domu, a on odparł: „Wyglądałby dużo lepiej, gdybyś stanowała jego trwały element”, po czym sprezentował jej brylant, który wielkością mógł śmiało konkurować z solidną gałką do drzwi. Mike z początku miał z tym problem i nazywał kapitana „gościem od płatków Quaker Oats”. Kiedy się rozeszło, że Vicki była striptizerką, wszyscy na wyspie okropnie plotkowali, ale dwa tygodnie później syn jednego z najbogatszych handlarzy nieruchomości wjechał porsche swojego ojca w salon wartę trzy miliony posiadłości przy plaży i wszystkie plotki skupiły się na „jeździe wskazującej na spójność” chłopaka O'Connorów.

Greta i Brooke zeszły się po otwarciu sezonu „Kociaków”. To dwie najbardziej zacięte i zapalone sportsmenki, jakie kiedykolwiek widziałam na boisku. Aż się boję myśleć, jakiego rodzaju seks uprawiają. A potem po prostu przestają się nad tym zastanawiać. Najbardziej lubię w Brooke to, że wsiada na Gretę z powodu jej potrzeby robienia psychoanalizy pozostałym zawodniczkom. Roześmiałam się na myśl, że w mojej rodzinie zastępczej lesbijka, która

gra jako środkowa, jest moją nową szwagierką. Mój osiemdziesięcioletni szwagier to niedoszły kochanek mojej babki, a ożenił się ze striptizerką, która została dekoratorką. Oj, w Coronado sporo się zmieniło. I wszystko pod jednym dachem.

Siedzący przy pianinie Ollie zapytał, czy ktoś ma jakieś życzenia, na co Julie odparła, że chciałaby usłyszeć *Auld Lang Syne*. – Ale po kolacji, Ollie – dodała. – Wszyscy umierają z głodu.

– Zmówimy błogosławieństwo? – zapytała Francesca. Wprowadziła się mniej więcej dwa tygodnie po Święcie Dziękczynienia, kiedy zadzwoniłam do niej z wiadomością, że jestem w ciąży. Powiedziała, że chociaż lubi swoje życie w Missouli, ponownie dojrzała do życia w otoczeniu rodziny. W tym momencie poczułam ucisk w gardle i poprosiłam, żeby przyjechała i zamieszkała z Mikiem i ze mną. Bóg jeden wie, że nie mamy pojęcia o opiece nad dzieckiem. A Francesca była właśnie babcią, której tak rozpaczliwie potrzebowaliśmy. Jako uprawniony do tego urzędnik ma zamiar w przyszłym tygodniu udzielić nam ślubu.

Kontrakt Mike'a z „Maksimum dla niego” nie został przedłużony po tym, gdy ośmielił się zasugerować, że nieskomplikowana miłość do kobiety jest możliwa i nawet prawdopodobna, o ile obie płcie przestaną myśleć o sobie jako o mieszkańcach dwóch różnych planet. Oczywiście wielka część osobowości Mike'a wiązała się z Psem, więc kiedy skończyło się „Pieskie życie”, przeżył dosyć depresyjny okres. Tydzień później zadzwonili do niego z „Glamoura” z pytaniem, czy przyjmie posadę Jake'a, autora rubryki oferującej kobietom wgląd w męski sposób myślenia. No i dostał wielką zaliczkę na pracę nad książką o relacjach męsko-damskich. Tytuł roboczy: „Kto spuścił Psa z łańcucha?”. Kiedy go usłyszałam, uśmiechnęłam się z dumą. Ja, pomyślałam. Mona Lisa.

Co do mnie, wpasowałam się w ten kobiecy zespół, który ostatecznie przyjął nazwę Totalne Oszustwo (za moją namową). Śpiewamy wszystko, od AC/DC po Norah Jones i hip-hop, w weekendy gramy w okolicznych podłych barach. Nasza pierwsza płyta wyjdzie na wiosnę. Moja ciąża będzie już wtedy widoczna, ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadza, a dopóki w kalifornijskich barach obo-

wiązuje zakaz palenia, nie mam problemu z wyjściem na scenę wielka jak góra. We wrześniu odbyłam też pierwszą prawdziwą walkę i doczekałam się ostrego wycisku. Zostałam znokautowana w drugiej rundzie. To twierdził, że mogłam lepiej się sprawić, ale kiedy doszłam do siebie i powiedzieli mi, co się stało, oświadczyłam: „Znokautowanie mnie zajęło jej całe dwie rundy, a to cholernie dobry wynik”. Najbardziej byłam dumna z tego, że wstałam i zeszałam z ringu o własnych siłach. Następną walkę przegrałam na punkty. Trzy rundy w pełni świadomości. Jestem mistrzynią. Oczywiście moja kariera żeńskiego Rocky'ego jest zakończona przynajmniej do czasu narodzin dziecka.

Jedyną osobą z naszego wieczoru teatralnego, której zabrakło, jest Adam. Zadzwoniłam do niego we wrześniu z pytaniem o kwestie podatkowe i pani Trąbalska powiedziała mi, że porzucił rodzinny interes.

– Tak, któregoś dnia w zeszłym roku, latem, wszedł, oznajmił, że ma w nosie rodzinne zobowiązania, że w Południowej Kalifornii aż się roi od świrów, i wyjechał do Oklahomy. Może pani w to uwierzyć? – Mogłam. I cieszyłam się, że jest szczęśliwy.

Gdy usiedliśmy do jedzenia, Mike pod stołem ścisnął mnie za kolano.

– Hej, wszystkiego najlepszego, Mona Lisa.

– Tak – odparłam z uśmiechem.

Dzwonek przy drzwiach odezwał się dokładnie wtedy, gdy kapitan John zaczął kroić indyka. Spojrzałam na Mike'a, który siedział najbliżej drzwi. Vicki też na niego popatrzyła, jakby był osłem, że nie wstaje i nie otwiera.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz wcisnąłeś ten dzwonek? – zapytałam.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy dzwonek rozległ się ponownie. Kto to? – pomyślałam z zaciekawieniem. Wszyscy nasi przyjaciele i rodzina siedzieli już przy stole.

– Wiesz, co to znaczy? – z rozmarzeniem zapytałam Mike'a.

– Że anioł zasłużył na skrzydła?

Vicki rzuciła:

- To znaczy, że ktoś stoi pod drzwiami, wy otępiecie gołąbki.
- Sluchajcie, jeżeli żadne z was nie idzie otworzyć, to ja pójdę.
- Zuch dziewczyna, Vicki - Mike puścił do mnie oko.
- Zuch dziewczyna - dokończyliśmy razem.